wolnelektury.pl

Mark Twain
(tłum. Teresa Prażmowska)

Przygody Hucka Finna



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARK TWAIN

Przygody Hucka Finna

TŁUM. TERESA PRAŻMOWSKA

PRZEDMOWA

Kondycja ludzka, Zwierzę

Wśród tysiąca określeń usiłujących scharakteryzować człowieka, istotę najtrudniejszą do określenia, spotykamy i takie, że człowiek to *animale risibile*[1], to jest zwierzę zdolne do śmiechu. Że jednak moglibyśmy spotkać przypadkiem w ogrodzie zoologicznym jakieś stworzenie przejawiające choć w małym stopniu zdolność podobną, więc sama ta definicja nie bardzo by nam pochlebiała. Śmiać się nie w porę, bezmyślnie i nie wiadomo dlaczego to ujemność fatalna — a nie przywilej. Na szczęście człowiek jest istotą nie tylko *risibile*, lecz i *razionale*[2], to jest prócz zdolności do śmiechu ma i rozum. Otóż dopiero przy kombinacji tych dwóch określeń możemy uważać człowieka za istotę z humorem i dowcipem.

Śmiech

Kondycja ludzka

Kondycja ludzka

Liczni pisarze twierdzą nie bez pewnej racji, że człowiek pozbawiony zdolności śmiechu, rozweselenia się zabawną rzeczą, nie może być nigdy typem istoty doskonałej, gdyż najwymowniejszym dowodem niedoskonałości niższych stworzeń jest jakoby ich niezakłócona i bezduszna powaga. Człowiek to jedyna istota, która się śmieje i płacze, ponieważ tylko ona ma świadomość różnicy pomiędzy rzeczami, jakie są, a jakimi być winny.

Naród, Śmiech

Lecz jak nie wszyscy ludzie posiadają w jednakowym stopniu chęć do śmiechu lub do rozbudzania wesołości i niejednakowo się śmieją, tak i narody różnią się w tym kierunku bardzo wybitnie, zarówno ze względu na swój charakter, jak i warunki, wśród których żyły. Toteż badania nad tym, jak, kiedy i z czego śmiał się dany naród, są także pouczające i stanowią dla historii cywilizacji ciekawe źródło.

Humor ma niewątpliwie bardzo starą tradycję; przejawiał się on w życiu i w literaturze wszystkich narodów i czasów. Specjalne zamiłowanie w nim ma wszakże arcypoważna rasa anglosaksońska.

„Humor — mówi Taine[3] — wyraz niedający się przetłumaczyć, ponieważ mu rzeczy brakuje, jest rodzajem talentu, który może bawić Germanów[4], dzieci północy, gdyż tak jest właściwy ich duchowi, jak piwo i wódka ich podniebieniu. Ludzie innej rasy nie znoszą go, gdyż dla naszych nerwów jest zbyt cierpki i gorzki. W tym talencie tkwi, między innymi, skłonność do kontrastów i zapominania o publiczności. Autor oznajmia nam, że nie troszczy się o nas, że nie potrzebuje być zrozumiany i uznany, że myśli i bawi się sam i że jeśli jego smak oraz idee nam nie dogadzają, możemy go wcale nie słuchać. Chce on być subtelny i oryginalny dla swej wygody, jest u siebie, w swej książce, przy drzwiach zamkniętych, ubiera się w szlafrok i w pantofle, siedzi często z nogami w powietrzu, a niekiedy nawet bez koszuli. Humor to wybuch jowialności[5] gwałtownej, zagrzebanej wśród smutków. Nieprzyzwoitość śmieszna zjawia się niespodziewanie. Natura fizyczna, ukryta i przygnieciona refleksją melancholijną, rozbiera się na chwilę... do naga. Widzisz

[1] *animale risibile* (wł.) — zwierzę zdolne do śmiechu (odpowiednik łac. *homo ridens*: człowiek śmiejący się). [przypis edytorski]

[2] *razionale* (wł.) — racjonalny. [przypis edytorski]

[3] *Taine, Hippolyte Adolphe* (1828–1893) — francuski psycholog, filozof, historyk sztuki i krytyk literacki. Stworzył teorię, wedle której na kształt charakteru człowieka wpływają trzy elementy: jego pochodzenie, środowisko, w którym się kształtował, i moment historyczny, w którym żył. [przypis edytorski]

[4] *Germanin* — przedstawiciel ludu indoeuropejskiego zamieszkującego w starożytności północną część Europy; od Germanów wywodzi się naród niemiecki oraz narody skandynawskie. [przypis edytorski]

[5] *jowialność* — pogodne usposobienie, dobroduszność. [przypis edytorski]

grymas, gest ulicznika i wszystko wraca do powagi uroczystej. Wreszcie dodaj do tego nieprzewidziane kaprysy wyobraźni! Humorysta zamyka poetę — aż tu nagle, u kresu rozumowania, w monotonnej mgle prozy błysnął krajobraz, mniejsza — piękny czy brzydki; wystarcza, ażeby olśnił. Te nierówności malują dosadnie Germanina samotnego, energicznego, zwolennika kontrastów gwałtownych, ugruntowanego na refleksji osobistej a smutnej, z niespodzianymi[6] zwrotami instynktu fizycznego. To nie człowiek rasy łacińskiej i klasycznej, rasy artystów i mówców, gdzie piszą tylko dla publiczności, lubują się w ideach jasnych, są szczęśliwi wobec form harmonijnych, gdzie wyobraźnia jest prawidłowa, a rozkosz zdaje się naturalną...".

Przytoczyliśmy powyższe słowa, w wysokim stopniu przesadne i jednostronne, dla wykazania, że jeśli pisarz tej skali nie umiał zrozumieć i ocenić należycie genialności humoru angielskiego u nawet takich mistrzów pióra jak: Dickens[7], Thackeray[8], Eliot[9] i Carlyle[10] — to znaczy, że charakter tego humoru ma swoje cechy na wskroś odrębne, nieprzystępne dla ludów rasy romańskiej.

Więc chociaż humor, w nowożytnym pojęciu tego słowa, nie jest obcy żadnemu z narodów cywilizowanych, stanowi jednak niemal specyficzną właściwość Anglików i Amerykanów, którzy najwięcej go cenią i rozumieją jego doniosłość, bowiem tkwi on głęboko w ich naturze.

Literatura angielsko-amerykańska wykazuje nie tylko największy zastęp humorystów, lecz także i teoretyków humoru, którego analizie poświęcały się najdzielniejsze umysły, pragnąc mianowicie określić pojęcia humoru i dowcipu oraz wykazać zasadnicze różnice między nimi. George Eliot, Sydney Smith[11], Wiliam Hazlitt[12] i inni poświęcają temu przedmiotowi w nowszych czasach całe studia, a Fleet na przykład w dziele pod tytułem *A Theory of Wit and Humour* (*Teoria dowcipu i humoru*) poddaje te dwa pojęcia analizie niesłychanie subtelnej i drobiazgowej aż do przesady.

Dotychczas w Anglii największą powagą cieszy się określenie dowcipu wypowiedziane przez słynnego filozofa Locke'a[13] (1632–1704). „Dowcip — według niego — zasadza się po większej części na tak szybkim i urozmaiconym zestawieniu różnorodnych idei, żeby mogło uwydatnić się ich pewne podobieństwo i pewna zgodność, dająca zabawny obraz i przyjemne dla wyobraźni wrażenie; gdy przeciwnie, nasz sąd o rzeczy polega na tak troskliwym rozdzieleniu idei, żeby nawet przy ich największym pokrewieństwie uwydatniła się zasadnicza różnica między nimi, niedozwalająca brać jednej idei za drugą...".

„Prosta rzecz — wyjaśnia Addison[14] — że dowcip wytryska tylko przy takim podobieństwie idei, która oprócz rozkoszy daje przede wszystkim czytelnikowi... niespodziankę".

Wesołość to niższy stopień humoru, który znów jest pośledniejszym[15] gatunkiem dowcipu. Istotą humoru jest niewłaściwość, niezgodność, i tak zależy od gwałtownych kontrastów, jak dowcip od ukrytych podobieństw. Humor działa za pomocą silnych przeciwieństw, dowcip czaruje zręcznymi kombinacjami; wszakże rdzeniem, istotą obu jest niespodzianka.

„Gdyby jaki poważny kupiec — pisze Sydney Smith — okazałej powierzchowności, ubrany świątecznie w kostium barwy zielonego groszku, upadł w błoto i zniszczył zupeł-

[6] *niespodziany* — niespodziewany. [przypis edytorski]

[7] *Dickens, Charles* (1812–1870) — angielski pisarz, jeden z czołowych twórców powieści społeczno-obyczajowej 2. połowy XIX w. Autor m.in.: *Klubu Pickwicka*, *Olivera Twista*, *Dawida Copperfielda*, *Magazynu osobliwości* i *Wielkich nadziei*. [przypis edytorski]

[8] *Thackeray, William Makepeace* (1811–1863) — angielski pisarz, dziennikarz tworzący w duchu realizmu, autor powieści ukazujących XIX-wieczne społeczeństwo angielskie: *Targowisko próżności*; autor baśni dla dzieci *Pierścień i róża*. [przypis edytorski]

[9] *Eliot, George*, właśc. *Mary Ann Evans* (1819–1880) — angielska pisarka, autorka powieści realistycznych. [przypis edytorski]

[10] *Carlyle, Thomas* (1795–1881) — szkocki pisarz społeczny, historyk i filozof historii. [przypis edytorski]

[11] *Smith, Sydney* (1771–1845) — angielski pisarz i duchowny anglikański. [przypis edytorski]

[12] *Hazlitt, Wiliam* (1778–1830) — angielski pisarz, krytyk literacki i eseista. [przypis edytorski]

[13] *Locke, John* (1632–1704)— angielski filozof, polityk i ekonomista; rozwinął empirystyczną teorię poznania, stworzył nowożytną teorię tolerancji i państwa konstytucyjnego. [przypis edytorski]

[14] *Addison, Joseph* (1672–1719) — angielski dramaturg, publicysta i polityk; pionier nowożytnego dziennikarstwa: w 1711 założył z Richardem Steelem dziennik „The Spectator", najważniejsze czasopismo angielskiego oświecenia. [przypis edytorski]

[15] *pośledni* — gorszy; mający mniejsze znaczenie. [przypis edytorski]

nie swój garnitur, byłoby barbarzyństwem śmiać się z niego, chociażby nawet podczas upadku i peruka opuściła zdradziecko głowę dostojnego obywatela. Lecz gdyby ów mąż pod wpływem rozdrażnienia uniósł się gniewem i dał go odczuć przechodniom, nikt by nie mógł zapanować nad niezgodnością pomiędzy położeniem szanownego kupca w zielonkawym stroju, unurzanego w błocie, a groźbą rzucaną pod wpływem niehamowanej wściekłości. Wówczas już każdy drobiazg potęgowałby humor tej sceny, w której zabawność kostiumu, szanowne oblicze nieszczęśnika, poprzegowane bryzgami błota, i jego bezsilna wściekłość walczą o lepsze dla wywołania wesołości. Gdyby wszakże jakiś uliczny stróż znalazł się w tym położeniu, nie zwróciłby niczyjej uwagi, gdyż niezgodność idei byłaby w tym wypadku bardzo mała".

Dowcip im subtelniejszy, im więcej daje rozkosznych niespodzianek, tym jest bardziej przelotny i niepochwytny. Błyska i niknie. Trzeba być niesłychanie bystrym i bacznym, żeby coś dojrzeć przy jego świetle. Gdy dowcip zjawia się przelotnie — humor trwa; tamten jest blaskiem, ten płomieniem, stąd też pierwszy olśniewa i pobudza — drugi grzeje. Społecznie dowcip jest młodszy, humor ma pochodzenie bardzo stare. Są ludzie, którzy mając poczucie humoru, uważają błyski dowcipu za rozdrażniający wybryk.

Kondycja ludzka

Humor — według Haweisa[16] — to atmosfera elektryczna, dowcip to błyskawica. Charakter Carlyle'owskiego Teufelsdröckha[17] jest przepełniony pewnego rodzaju humorem suchym a płynnym, lecz gdy ten pisarz mówi, że Anglia składa się z dziesięciu milionów istot po większej części wariatów — to błyskawica.

Dowcip ma orzeźwiającą siłę, zawiera bowiem przesadę, odwrotną stronę idei, promień pewnej niewłaściwości i niemożliwości, stąd też na przedstawieniach ludowych zawsze ma powodzenie mysz duża jak słoń lub mucha wielkości wołu. Kiedy klaun w cyrku, patrząc z podziwem na sztuki konia posłusznego każdemu skinieniu swego pana, zawoła do publiczności: „jest rzeczą zadziwiającą, jak te owady można wykształcić" — odwrotna strona myśli jest zabawna, gdyż w naszym mózgu następuje błyskawiczne porównanie rumaka z komarem lub muszką. Gdy Dickens mówi o damie, którą nieśli do domu „w potoku łez i w lektyce[18]", wówczas zabawnie oddziaływa bezpośrednie poczucie niewłaściwości.

Gdy kuglarz[19], pokazując wypchanego krokodyla, mówi: „Panowie i panie: to ekscentryczne zwierzę zamieszkuje samotną wyspę, odległą o siedemdziesiąt pięć mil[20] od jakiegokolwiek lądu lub morza" — wówczas prawdziwa naturalność głosu czyni ten absurd jeszcze zabawniejszym.

Dla Anglików i Amerykanów dowcip posiada swoją godność i szlachetny cel, gdyż przy odpowiednim użyciu jest rozumny, moralny i pobudzający w najwyższym stopniu. Porson[21] uważa „dowcip za rozum najlepszy w świecie, bowiem wszystko prawdziwie dowcipne jest — według niego — jądrem zwartej myśli, samym ekstraktem rozumu".

Rozum

Toteż nawet kaznodzieje posiłkują się tam bronią dowcipu i satyry w przekonaniu, że na ambonie humor działa nieraz więcej niż powaga. Rowland Hill[22] widząc, że niektórzy chronią się do kościoła przed deszczem, powiedział z ambony: „Słyszałem o ludziach, którzy z religii robią płaszcz, lecz dopiero dziś poznałem takich, którzy z niej czynią parasol".

Religia

Dowcip jest darem indywidualnym, humor zaś przeważnie narodowym, tak że ze znamiennych rysów danej humorystyki można by odgadnąć jego pochodzenie narodowe.

Naród

[16] *Haweis, Hugh Reginald* (1838–1901) — angielski duchowny i pisarz. [przypis edytorski]

[17] *Teufelsdröckh* — filozof niemiecki, fikcyjny bohater książki Thomasa Carlyle'a *Sartor resartus : życie i zdania pana Teufelsdröckha w trzech księgach*. [przypis edytorski]

[18] *lektyka* (z łac.) — łoże lub fotel na drążkach do przenoszenia ludzi. [przypis edytorski]

[19] *kuglarz* — wędrowny aktor, żongler, sztukmistrz. [przypis edytorski]

[20] *mila* — jednostka miary długości; daw. mila ang. wynosiła ponad 1600 m. [przypis edytorski]

[21] *Porson, Richard* (1759–1808) — angielski filolog klasyczny, profesor uniwersytetu w Cambridge. [przypis edytorski]

[22] *Hill, Rowland* (1795–1879) — nauczyciel brytyjski, inicjator wprowadzenia do dystrybucji znaczków pocztowych. [przypis edytorski]

Doktor Davies[23] w swym pracowitym dziele *Fun, Ancient and Modern* mniema, że nawet z epigramatycznych[24] drobiazgów humoru można poznać, czy są irlandzkie na przykład, czy szkockie.

Irlandczyk odznacza się w swoim humorze pewną naiwnością satyryczną. Zapytany, na którym piętrze mieszka, odpowie: „Gdyby dom przewrócił się do góry nogami — to na pierwszym". Inny twierdzi, że księżyc jest „dwa razy lepszy od słońca, bo świeci w nocy, gdy tego potrzebujemy, słońce zaś przyświeca we dnie, gdy nam go wcale nie potrzeba". Zapytany, dlaczego trzyma świnie w mieszkaniu, gdzie jest rodzina — odpowiada: „A czemuż nie? Czy to miejsce niewygodne, żeby świnia mogła żądać lepszego?".

Humor Szkota jest zwykle suchy i szorstki. Strzeże się on zawsze stopni najwyższych w wyrażaniu swego uznania czy podziwu. Przezorność wrodzona nakazuje mu unikać zagalopowania się w danym kierunku przy ocenie ludzi, rzeczy i wypadków. Na słowa: „to jest dobry dzień", odpowie zazwyczaj: „tak, widziałem gorsze". O najlepszej żonie powie tylko „niezła kobieta"; o znanym powszechnie dobroczyńcy wyrazi się: „nienajgorszy człowiek na świecie". Usłyszawszy jakąś rzecz zupełnie nową a mądrą, powie na pewno: „Właśnie myślałem tak samo". Szkotka, żegnając się przed samą śmiercią z siedzącym u jej wezgłowia mężem, starym szewcem, rzecze do niego:

— Wygrałeś, Janie, swoją sprawę. Byłam dla ciebie bardzo dobrą żoną.

— O tak, średnią, moja Dżenny, średnią — odparł małżonek.

— Janie, obiecałeś pochować mnie na starym cmentarzu w Stravon, przy mojej matce. Nie mogłabym leżeć spokojnie wśród obcych ludzi w Glasgow[25], brudnym i błotnistym.

— Dobrze, dobrze, moja żono — odpowiada małżonek pieszczotliwie. — Spróbujemy naprzód[26] w Glasgow, a gdybyś tam nie miała spokoju, to spróbujemy w Stravonie.

Humor amerykański, na wskroś narodowy, ma swoje odrębne cechy, właściwe arcyzłożonemu charakterowi Jankesa[27], który jest osobliwszym mieszańcem, wyrosłym wśród nowego świata na starym pniu purytańskim[28]. Mistyczna praktyczność, zapał roztopionego żelaza, kwaśno-szczery humor, a wreszcie skąpa i twarda szlachetność — oto znamienne cechy Jankesa.

„Uczciwość jest najlepszą policją, mój przyjacielu — poucza Jankes — ja to wiem, bo obie zdradziłem". „Czy, chłopcze, porachowałeś te świnie?" „Wszystkie, z wyjątkiem jednej — brzmiała odpowiedź — gdyż ta jedna tak się w kółko kręciła, że jej porachować nie mogłem". Młody człowiek wzięty do wojska błaga o uwolnienie ze względu, że jest jedynym synem wdowy, która go utrzymuje.

Humor amerykański zasadza się po większej części na mieszaninie rzeczy arcypoważnych z zabawnymi, na bijącym w oczy fałszu, który pragnie uchodzić za prawdę, lub na upowszechnionej i pospolitej prawdzie, która ma pretensję do nowości. Kochają się też w takich porównaniach i zwrotach, które są zabawne przez niespodziankę zawartą w ostatnich paru wyrazach.

„Statek tak lekki, że można nim żeglować... po rosie". „Ów człowiek był tak ciężki, że cień jego padłszy na chłopca... zabił go".

Albo taki napis na nagrobku żony:

> „Tu, pod tym żona moja pochowana głazem!
> Teraz ona w spokoju — a i ja zarazem!".

Dowcip amerykański ma trzy główne korzenie, wyrastające z charakteru narodowego i ściśle związane z pierwszą historią Amerykanów.

Na pierwszym planie stoi kolizja pomiędzy interesem a bogobojnością; jest to obfite źródło komedii dla cudzoziemców. Ci pierwsi ojcowie emigranci, którzy wyszli dla zdobycia nowego świata i wytworzenia nowej cywilizacji, tak byli przezorni wielce, jak pobożni.

---

[23] *Davies, Charles Maurice* (1828–1910) — duchowny anglikański, pisarz i spirytysta. [przypis edytorski]
[24] *epigramatyczny* — krótki, zwięzły. [przypis edytorski]
[25] *Glasgow* — największe miasto Szkocji. [przypis edytorski]
[26] *naprzód* (daw.) — przede wszystkim. [przypis edytorski]
[27] *Jankes* (ang. *Yankee*) — pot. Amerykanin. [przypis edytorski]
[28] *purytański* — surowy, rygorystyczny. [przypis edytorski]

Nawet będąc męczennikami idei religijnych, wcielali się w praktyczną stronę rzeczywistego życia.

— Janie — mówi pobożny handlarz amerykański — czy pomieszałeś piasek z cukrem?

— Tak, panie.

— Dodałeś słoniny do masła?

— Tak, panie.

— Pomączyłeś imbir?

— Tak, panie.

— No, to idź do pacierza.

Satyra Irvinga[29], wymierzona przeciwko prawnikowi Jankesów, który, ujrzawszy widmo, nawrócił się i już odtąd nigdy nie oszukiwał „z wyjątkiem, gdy chodziło o jego własną korzyść", uderza właśnie w to faryzeuszostwo[30] religijne, które bez względu na swą ohydę moralną stanowi dla pisarzów amerykańskich niewyczerpaną skarbnicę humoru.

Inną podstawą tego humoru jest kontrast narodowy, jaki istnieje dla każdego Amerykanina pomiędzy Jankesem a biednym czerwonoskórym[31]. Irving i Ward stworzyli do spółki wielką sztukę na ten temat pod tytułem *Knickerbocker*[32].

Wreszcie kontrast pomiędzy kolosalnością natury amerykańskiej a małością człowieka, zwłaszcza europejskiego, zdaje się być niewysychającym nigdy źródłem zabawy dla humorystów.

Według dowcipu jednego z nich Niagara[33] zgasiłaby Wezuwiusza[34] w dziesięć minut. Nasze największe rzeki są w porównaniu z Missisipi[35] i Missouri[36] tylko szemrzącymi strumykami. Alpy[37] i Pireneje[38] to karły, a nasze pola i drzewa mają się jak pastwiska i krzewy do dziewiczych lasów i bezbrzeżnych stepów Ameryki. Turysta-Jankes zapytany, jak mu się podobała Wight[39], angielska wyspa, odpowiedział: „Dość ładna, lecz niebezpieczna, gdyż można bardzo łatwo spaść z łóżka w morze, tak jest maleńka". Umieją też Amerykanie drwić i z siebie.

Wyspa

„Mężowie z Rochester[40] — przemawia Webster do mieszkańców tego miasta — cieszę się, że widzę i was, i wasz zacny gród. Dżentelmeni! Widzę wasz wodospad, który ma sto pięćdziesiąt stóp[41] wysokości. Jest to bardzo interesujący fakt. Dżentelmeni! Rzym miał swego Cezara[42], swego Scypiona[43], swego Brutusa[44], lecz Rzym w swoich najświetniejszych dniach nie miał nigdy wodospadu o stu pięćdziesięciu stopach wysokości.

---

[29] *Irving, Washington* (1783–1859) — amerykański pisarz, biograf i historyk. [przypis edytorski]

[30] *faryzeuszostwo* — fałszywa pobożność, hipokryzja, obłuda. [przypis edytorski]

[31] *czerwonoskóry* — Indianin. [przypis edytorski]

[32] *Knickerbocker* — postać literacka wywodząca się z pierwszej powieści Washingtona Irvinga: historyk, który nosi specyficzne, workowate spodnie, zwane knickerbockerami; słowo *knickerbocker* jest również używane w odniesieniu do ludzi mieszkających na Manhattanie. [przypis edytorski]

[33] *Niagara* — rzeka na granicy Kanady i Stanów Zjednoczonych; również wodospad na tej rzecze. [przypis edytorski]

[34] *Wezuwiusz* — wulkan we Włoszech, na Półwyspie Apenińskim. [przypis edytorski]

[35] *Missisipi* — druga pod względem długości rzeka Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

[36] *Missouri* — rzeka w Stanach Zjednoczonych, dopływ Missisipi. [przypis edytorski]

[37] *Alpy* — najwyższy łańcuch górski Europy, ciągnący się od Morza Śródziemnego po okolice Wiednia. [przypis edytorski]

[38] *Pireneje* — łańcuch górski znajdujący się w północno-wschodniej części Półwyspu Iberyjskiego; rozciągają się pomiędzy Atlantykiem na zachodzie i Morzem Śródziemnym na wschodzie. [przypis edytorski]

[39] *Wight* — wyspa należąca do archipelagu Wysp Brytyjskich, od wybrzeża brytyjskiego oddziela ją cieśnina Solent; jej główne miasta to Newport, Ryde i Cowes. [przypis edytorski]

[40] *Rochester* — miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Nowy Jork, położone nad jeziorem Ontario. [przypis edytorski]

[41] *stopa* — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

[42] *Cezar, Gajusz Juliusz* (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim. [przypis edytorski]

[43] *Scypion* — w historii rzymskiej wyróżniło się dwóch Scypionów: Scypion Afrykański Starszy (235–183 p.n.e.), wódz z okresu II wojny punickiej, zwycięzca Hannibala w bitwie pod Zamą w 202 p.n.e., oraz jego wnuk przez adopcję, Scypion Afrykański Młodszy (185–129 p.n.e.), wódz z okresu III wojny punickiej, który w 146 p.n.e. zdobył i zburzył Kartaginę. [przypis edytorski]

[44] *Brutus* — w historii rzymskiej wyróżnili się dwaj Brutusowie: Lucjusz Juniusz Brutus: założyciel republiki rzymskiej, pierwszy konsul (509 p.n.e.) oraz Marek Juniusz Brutus, zwany Brutusem Młodszym (85–42 p.n.e.): republikanin, uczestnik zamachu na życie Juliusza Cezara. [przypis edytorski]

Dżentelmeni! Grecja miała swego Peryklesa[45], swego Demostenesa[46], swego Sokratesa[47], lecz Grecja w swoich najświetniejszych dniach nigdy nie miała wodospadu sto pięćdziesiąt stóp wysokiego. Mężowie z Rochester! Ten naród nie straci swojej wolności, który ma wodospad na sto pięćdziesiąt stóp wysoki".

Albo inna humoreska o Ameryce: Ironia, Żart

> „To jest sławny kraj! Ma on rzeki dłuższe, bardziej błotniste, głębsze, bystrzejsze, wznoszące się wyżej i spadające niżej, a czyniące więcej szkody niż jakiekolwiek rzeki na świecie! Nasze wagony są obszerniejsze, wspanialsze, wykolejają się częściej i zabijają ludzi daleko więcej niż wszystkie koleje świata. Nasze parostatki wiozą więcej ciężaru, są dłuższe i szersze, zaś kotły wybuchają na nich daleko częściej i wyrzucają pasażerów nierównie wyżej niż parostatki innych narodów. Nasi mężczyźni są wyżsi i grubsi, biją się częściej i lepiej, piją mniej wódki i palą mniej tytoniu, a plują dalej i wyżej niżeli w innych krainach. Nasze panie są bogatsze, piękniejsze, marnują więcej pieniędzy, łamią więcej serc, noszą pierścionki grubsze, a suknie krótsze, wyzywają zaś diabła daleko lepiej niż inne niewiasty w świecie. Nasze dzieci krzyczą głośniej, rosną szybciej, są zbyt wybujałe w stosunku do swoich majtek i dochodzą do lat dwudziestu o kilka miesięcy wcześniej niż inne dzieci we wszystkich krainach świata".

W licznym szeregu amerykańskich humorystów najwyżej stanął pod każdym względem i cieszy się największą popularnością równie w Ameryce, jak w Europie Samuel Langhorne Clemens, piszący pod pseudonimem Mark Twain.

Clemens urodził się we Florydzie 30 listopada 1835 roku, a swoje dzieciństwo spędził w mieście Hannibal nad brzegiem Missisipi. W owym czasie rzeka ta była wielkim gościńcem handlowym pomiędzy stanami średnio zachodnimi a Nowym Orleanem[48], więc statki najrozmaitszego typu przepływały nieustannie, pochłaniając całą uwagę i zajęcie wszystkich nadbrzeżnych mieszkańców. Nic też dziwnego, że wśród chłopców panowała najwyższa ambicja zostania żeglarzem, sternikiem i kapitanem. Dlatego też mały Clemens błagał rodziców, żeby go oddali na jeden z parostatków krążących pomiędzy St. Louis[49] a Orleanem, rodzina jednak, nie uwzględniając prośby chłopca, oddała go na naukę do drukarni brata, w czternastym roku życia. Wyuczywszy się drukarstwa, Clemens pracował następnie w St. Louis, Cincinnati[50], Filadelfii, Nowym Jorku i innych wielkich miastach. Niezadowolony wszakże z tego zajęcia, wrócił na zachód, żeby urzeczywistnić swoje dziecinne marzenia i zostać żeglarzem na Missisipi. Więc zostawszy nim, z całą gorliwością młodzieńca, jak sam się wyraża, *learned the river*[51], to jest poznał rzekę. Właśnie wtedy zdobył swój pseudonim. Przy sondowaniu rzeki wołano zwykle: *Mark one*, *Mark twain*, *Mark three* i tak dalej, co znaczy „jedna, dwie, trzy miary". Osłuchawszy się tych wykrzykników, Clemens przyjął później „Mark Twain" za swe nazwisko literackie. Imię

Gdy w 1861 roku żeglarstwo na Missisipi upadło, Clemens udał się do Nevady jako sekretarz swego brata, który był agentem rządowym przy kopalniach srebra, i w tej dzikiej krainie wystąpił po raz pierwszy jako dziennikarz pod pseudonimem Mark Twain. Opuściwszy Nevadę, zwiedził Kalifornię i inne miejscowości w stanach zachodnich.

---

[45] *Perykles* (495–429 p.n.e.) — ateński polityk, mąż stanu, reformator demokracji ateńskiej. [przypis edytorski]

[46] *Demostenes* (384–322 p.n.e.) — mówca i polityk grecki, przeciwnik dominacji dynastii macedońskiej. [przypis edytorski]

[47] *Sokrates* (469–399 p.n.e.) — filozof grecki, nauczyciel Platona. Stosował metodę żywego dialogu, dysputy jako sposób dochodzenia do prawdy. Nie pozostawił żadnych pism, zaś jego poglądy są znane z dzieł autorów, którzy go znali: Platona, Ksenofonta i Arystofanesa. W kulturze utrwalił się wizerunek Sokratesa stworzony przez Platona w jego dialogach. [przypis edytorski]

[48] *Nowy Orlean* — największe miasto stanu Luizjana w Stanach Zjednoczonych; położone w delcie rzeki Missisipi. [przypis edytorski]

[49] *St. Louis* — miasto w środkowej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Missouri, leżące na zachodnim brzegu rzeki Missouri. [przypis edytorski]

[50] *Cincinnati* — miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Ohio. [przypis edytorski]

[51] *learned the river* (ang.) — nauczył się rzeki. [przypis edytorski]

W czasie tych wędrówek był kolejno komisantem[52], dziennikarzem, wydawcą i prelegentem. W 1863 roku zaczął opisywać swe podróże w redagowanym przez siebie dzienniku „Virginia City Enterprise". W roku następnym osiadł w San Francisco i tu przez jeden rok wydawał dziennik. W 1866 roku zwiedził Wyspy Hawajskie i stamtąd wrócił do Stanów Zjednoczonych z odczytami o swych podróżach, którymi zjednał sobie niemały rozgłos. W roku 1867 zwiedził stany wschodnie, a po przyjeździe do Nowego Jorku wystąpił po raz pierwszy z książką pod tytułem *The Jumping Frog and Other Sketches* (*Żaba skacząca i inne szkice*), która swoim świeżym humorem zwróciła ogólną uwagę na autora. W 1867 roku razem z amerykańskimi turystami odbył podróż po Morzu Śródziemnym, zwiedził Palestynę, Egipt, a w końcu i Europę. Podróż tę opisał w książce pod tytułem *The Innocents Abroad* (*Niewinni poza krajem*), która w ciągu pięciu miesięcy uczyniła autora sławnym, wszędzie gdzie tylko mówią po angielsku, a według Forda „wsławiła imię Twaina po koniec świata". Odtrąciwszy ową przesadę, przyznać musimy, że w *Niewinnych* autor złożył dowody pierwszorzędnego talentu w kierunku humorystycznym. Ten opis podróży jest właściwie satyrą, ośmieszającą tego rodzaju opisy. Historyczne miasta, pałace, muzea, dzieła sztuki, a nawet rzeki i góry swawolny autor przedstawiał w świetle i w barwach na wskroś humorystycznych, jak gdyby odkrywając zupełnie nową Europę. Praca ta miała powodzenie tak olbrzymie i powszechne, że według słów Wrighta już sama wzmianka o autorze *Niewinnych* wszędzie budziła wesołość. W 1870 roku Clemens osiadł w Buffalo[53] i wydawał tu dziennik pod tytułem „The Buffalo Express" oraz drukował mnóstwo artykułów literackich i humorystycznych w nowojorskim piśmie „Gallaxy Magazine".

W 1872 roku, po ożenieniu się z kolosalnie bogatą panią Langdon, przyjechał do Anglii z odczytami, które miały wielkie powodzenie, a po powrocie osiadł na stałe w Hartford[54], w bliskim sąsiedztwie pani Beecher Stowe[55], słynnej autorki *Chaty wuja Toma*.

Z kolei następna książka Twaina, nosząca tytuł *Roughing it*, przedstawia sceny z życia górników w Nevadzie, pełne ruchu, prawdy i humoru. W 1874 roku Clemens wystawił komedię *The Gilded Age* (*Pozłacany wiek*), graną w Ameryce z powodzeniem. Bohaterem sztuki jest pułkownik Sellars, jeden z tych zapaleńców złotej gorączki, którym się zdaje, że bez pracy można dojść do olbrzymiej fortuny.

Przy talencie humorystycznym Mark Twain jest psychologiem w subtelnych analizach natury ludzkiej oraz posiada pewną skłonność do patetycznych opowieści. Nic w tym dziwnego; źródło śmiechu graniczy niesłychanie blisko z krynicą łez. Śmiech

W książce pod tytułem *Przygody Tomka Sawyera* (1876) autor przedstawia świat dziecinny z wyborną znajomością i widocznym ukochaniem przedmiotu. Bohater opowieści Tomek i jego przyjaciel Huck, obaj dziewięcioletni chłopcy, otoczeni całym gronem rówieśników, wypełniają książkę swoim arcyzabawnym i do pewnego stopnia romantycznym urwisostwem.

Do tej samej kategorii należy następna opowieść *The Adventures of Huckleberry Finn* (*Przygody Hucka Finna*) napisana dopiero w 1884 roku, a mająca nieporównanie wyższą wartość od poprzedniej. Rzecz tę, wysoce oryginalną i ciekawą, dajemy właśnie naszym czytelnikom w polskim przekładzie, nadmieniając tylko celem wyjaśnienia zasadniczych w niej szczegółów, że wypadki przedstawione w tej powieści rozgrywają się w epoce, kiedy jeszcze kwitło niewolnictwo w Ameryce i kiedy nie tylko prawo zajadle ścigało tych wszystkich, którzy by pomagali Czarnemu w ucieczce lub opiekowali się zbiegiem, ale i opinia publiczna piętnowała tego rodzaju humanitarne objawy.

Punch, Brothers, Punch (1878) jest humoreską niestojącą na wysokości poprzednich. To samo trzeba powiedzieć o *The Decay of Lying* (*Upadek kłamstwa*), *Crime in Connec-*

[52]*komisant* — człowiek sprzedający (lub kupujący) przedmioty na rzecz zleceniodawcy, ale we własnym imieniu, za co pobiera określoną prowizję; dawniej: agent handlowy, przedstawiciel przedsiębiorstwa. [przypis edytorski]

[53]*Buffalo* — miasto w Stanach Zjednoczonych, w zachodniej części stanu Nowy Jork. [przypis edytorski]

[54]*Hartford* — stolica amerykańskiego stanu Connecticut, kiedyś siedziba hrabstwa o tej nazwie. [przypis edytorski]

[55]*Stowe, Harriet Beecher* (1811–1896) — amerykańska pisarka i działaczka społeczna; sławę przyniosła jej powieść *Chata wuja Toma* opisująca życie czarnoskórych niewolników. [przypis edytorski]

ticut (*Zbrodnia w Connecticut*), trawestacji[56] poematu Edgara Poego[57] i *The Stolen White Elephant* (*Skradziony biały słoń*). Za to *A Tramp Abroad* (*Włóczęga na obczyźnie*) (1880) ma niepospolitą wartość. Jest to w rzeczywistości rodzaj wybornego przewodnika po Europie, ilustrowanego mnóstwem dowcipów i żartów. Najzabawniejszą część książki stanowią *Appendices* (*Dodatki*), wśród których spotykamy humoreskę o języku niemieckim i jego niezbędnej reformie. Wyrazy niemieckie, według autora, „są tak długie, że posiadają... perspektywę; na oznaczenie rzeczy nie ma wyrazów, ale całe procesje alfabetyczne". „Możesz przyczepić — pisze autor — jakikolwiek wyraz do końca innego i otrzymasz znaczenie według woli. Zacznij od *Schlagader*[58], co znaczy arteria, a przystawiając na końcu wszystkie wyrazy ze słownika, będziesz miał za każdym razem co innego. Taką samą przysługę odda i wyraz *Zug*[59]. Ja bym dla udoskonalenia mowy niemieckiej projektował przede wszystkim zniesienie celownika, który niepotrzebnie bruździ w liczbie mnogiej, posunąłbym czasownik ku frontowi, żeby wszak raz zszedł się z podmiotem, przeniósłbym kilka silnych wyrazów z angielskiego, zreorganizowałbym płeć zgodnie z wolą Stwórcy, wyrzuciłbym do licha owe nieskończonej długości wyrazy złożone albo je podzielił na sekcje dla wypoczynku mówiącego, gdyż pokarm umysłowy, jak każdy inny, przyjemniej spożywać łyżką niż szuflą. Zaleciłbym mówcom zatrzymywać się we właściwym miejscu, bez dochodzenia do nieszczęsnych *haben sind gewesen*[60], *gehabt haben*[61], *geworden sein*[62], które zamykają każdą mowę. Wreszcie zniósłbym nawiasy, a zatrzymawszy tylko wyrazy *Schlag* i *Zug* z ich odpowiednikami i wyraz *also*[63], wyrzuciłbym resztę ze słownika. To by znacznie uprościło język! Moje studia filologiczne doprowadziły mnie do przekonania, że jeśli osoba rozgarnięta mogłaby nauczyć się (prócz wymowy) języka angielskiego w czterdziestu godzinach, francuskiego w czterdziestu dniach, to niemieckiego w czterdzieści lat".

W powieści pod tytułem *The Prince and the Pauper* (*Książę i żebrak*) autor daje nam obraz życia w czasach Edwarda VI[64], króla Anglii, przedstawiając czytelnikowi Londyn w początkach XVI wieku, z jego pałacami i lepiankami, ze słynnym Towerem[65] napełnionym więźniami z wyższych sfer, z paradami wojskowymi i tym podobne. Bajka zasadzająca się na zamianie stroju pomiędzy młodziutkim królem Edwardem a biedakiem Tomem Cantym oraz na przeróżnych następstwach tej zamiany grzeszy nadmierną patetycznością.

Do najpiękniejszych utworów Clemensa należy *Life on the Mississipi*, w którym to dziele autor z wielkim artyzmem odtworzył życie żeglarzy, tak kiedyś przez niego umiłowane. Pełno tu pięknych opisów przyrody i malowniczych obrazów społeczeństwa amerykańskiego w danej epoce.

W powieści pod tytułem *Connecticut Yankee in King Arthur's Court* (*Jankes na dworze króla Artura*) Twain przeniósł typowego Jankesa dzisiejszych czasów w epokę Okrągłego Stołu. Swoje przygody razem z królem Arturem i z Lancelotem, pogardę dla zwyczajów rycerstwa i niesmak, jaki mu sprawia ciemnota rycerzy Okrągłego Stołu, zabawnie opowiada sam bohater, który, uzbrojony w wiedzę nowożytną, góruje nad Merlinem, czarnoksiężnikiem, wprowadza do kraju telefony i bicykle[66], urządza faktorie[67] i szkoły, przekształcając starą Brytanię w nowożytną.

---

[56] *trawestacja* — przeróbka czyjegoś utworu literackiego. [przypis edytorski]

[57] *Poe, Edgar Allan* (1809–1849) — amerykański poeta, nowelista, redaktor i krytyk literacki; twórca pierwszej w literaturze postaci detektywa — C. Auguste'a Dupina. [przypis edytorski]

[58] *Schlagader* (niem.) — arteria, tętnica. [przypis edytorski]

[59] *Zug* (niem.) — pociąg, wyprawa, cug. [przypis edytorski]

[60] *haben sind gewesen* (niem.) — byli. [przypis edytorski]

[61] *gehabt haben* (niem.) — miałem. [przypis edytorski]

[62] *geworden sein* (niem.) — stali się. [przypis edytorski]

[63] *also* (niem.) — a więc, zatem. [przypis edytorski]

[64] *Edwarda VI Tudor* (1537–1553) — jedyny syn króla Henryka VIII Tudora i jego trzeciej żony Joanny Seymour; od 1547 król Anglii. [przypis edytorski]

[65] *Tower* właśc. *Tower of London* — budowla wzniesiona jako twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii; Tower słynęła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki, więźniów przywożono więc łodziami. [przypis edytorski]

[66] *bicykl* — dawny typ roweru o dwóch kołach różniących się wielkością. [przypis edytorski]

[67] *faktoria* — placówka handlowa. [przypis edytorski]

W powieści *Pudd'nhead Wilson* (*Tępa głowa Wilson*) autor złożył jeden dowód więcej, że jest dzielnym obserwatorem życia i że umie głęboko wnikać w dusze swoich współziomków. Jak w *Tomku* i *Hucku* przedstawia typowe amerykańskie dzieci, tak tu z dużą plastyką nakreślił charakter męża.

Personal Recollections of Joan of Arc jest romansem historycznym o mężnej Dziewicy Orleańskiej[68]. Do tego dzieła Twain przez rok zbierał w Paryżu materiały z największą gorliwością historyka.

Literat

Oto wszystkie ważniejsze prace Marka Twaina. Komu wystarczy zdanie Thackeraya, że głównym celem pisarza humorysty jest rozbudzanie i utrwalanie miłości, współczucia, dobroczynności i miłosierdzia dla słabych, biednych, uciśnionych i nieszczęśliwych, a wstrętu i pogardy dla fałszu, pychy i wszelakiego szalbierstwa[69]; jeśli od humorysty wymagamy, żeby był nie tylko bawicielem[70] swych czytelników, lecz i artystą, który w całej pełni daje nam swoją intuicję o świecie i życiu ludzkim, jeśli zadowala nas tylko taki humor, który posiada twórczą siłę, będącą wyjątkowym przywilejem niepospolitych umysłów, to i przy takim dziale spraw możemy przyznać Twainowi, że jest prawdziwym humorystą.

Ma on cięte i ostre pióro, a serce miękkie i szlachetne. Śmieje się z głupoty, piętnuje zło, jednak w najgorszym okazie ludzkim widzi człowieka i ma dla niego pewne współczucie. Gdyby czytelnik nie wiedział od biografów Twaina, że jest on człowiekiem najzacniejszym, sam by się o tym przekonał z jego utworów. Przede wszystkim kto tak kocha dzieci, nie już jak ojciec, bo to zwyklejsze, ale jako obywatel kraju widzący w tych drobnych istotkach przyszłe szczęście, wielkość i odrodzenie swego narodu — ten już musi być dobry. Obcuje on też z dziećmi w swoich utworach z bardzo widoczną rozkoszą i jest ich znakomitym psychologiem. Co to za świetny epizod miłości dziewięcioletniego chłopca i siedmioletniej dziewczynki w *Tomku Sawyerze*! Co za prawda w humorystycznym przedstawieniu zabawnego romansu tych dwojga dzieci...! Jak dalece Twain umiłował te przyszłe pociechy narodu, świadczy między innymi pełen humoru, a dziwnie rozrzewniający toast, jaki wzniósł w imieniu dzieci (*The Toast of the Babies*) na uczcie w Chicago, wydanej dla niego przez generała Granta[71].

Dziecko

Humor Twaina, zbyt powierzchowny i gwałtowny w pierwszych utworach, pogłębił się z czasem i uspokoił, co świadczy o ciągłym doskonaleniu się tego pisarza, który celuje również w niezmiernie malowniczym odtwarzaniu cudów przyrody, gorąco przez niego ukochanej.

Literat

Powodzenie Twaina jako pisarza jest w Ameryce kolosalne; ceni go również i Europa, która przyswoiła sobie prawie wszystkie jego utwory. Toteż każda linijka autorstwa Twaina jest obecnie na wagę złota. Jego biografowie podają, że do 1894 roku zarobił piórem czterysta tysięcy dolarów. Twain umiał jednak zdobywać nie tylko złoto, lecz, co więcej znaczy, miłość ludzi. „Jest on kochany — mówi historyk Wright[72] (*American Men of Letters*) — i w domu, i poza domem, gdyż dzięki swemu charakterowi wszędzie zdobywa przyjaciół". „Niech nam Twain żyje jak najdłużej — tak kończy swą pracę o nim Robert Ford (*American Humorists Recent and Living*) — gdyż swoim piórem daje współziomkom więcej zdrowia i szczęścia niżeli cała armia doktorów ze skalpelami i apteką".

Mark Twain umarł dnia 21 kwietnia 1910 roku w Danbury, Connecticut[73], licząc lat siedemdziesiąt cztery.

J. A. Święcicki

[68] *Dziewica Orleańska* właśc. *Joanna d'Arc* (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej z Anglią poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw, twierdząc, że działa kierowana przez Boga; zginęła spalona na stosie. [przypis edytorski]

[69] *szalbierstwo* — oszustwo, wyłudzenie. [przypis edytorski]

[70] *bawiciel* — ten, kto rozwesela innych. [przypis edytorski]

[71] *Grant, Ulysses* (1822–1885) — amerykański generał i polityk, główny dowódca wojsk Unii podczas wojny secesyjnej (od 1863); osiemnasty prezydent USA (1869–1877). [przypis edytorski]

[72] *Wright, Henrietta Christian* (1852–1899) — amerykańska autorka książek dla dzieci. [przypis edytorski]

[73] *Connecticut* — północno-wschodni stan Stanów Zjednoczonych, jedna z trzynastu pierwotnych kolonii. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ I

Cywilizowanie Hucka. — Mojżesz w trzcinach. — Miss[74] *Watson. — Tomek Sawyer czeka na mnie.*

Muszę państwu powiedzieć, że ja i Tomek Sawyer, mój przyjaciel, znaleźliśmy pieniądze, które rabusie ukryli byli[75] w jaskini, i to nas wzbogaciło. Dostaliśmy każdy po sześć tysięcy dolarów, samym złotem. Otóż sędzia Thatcher wziął je i oddał na procent, co nam przynosiło każdemu po dolarze dziennie przez cały rok. Wdowa Douglasowa wzięła mnie do siebie za syna i obiecała, że mnie ucywilizuje; ciężko jednak było wytrwać w tym domu, tak okropnie porządna i przyzwoita była wdowa i wszystkie jej postępki. Toteż ile razy nie mogłem wytrzymać, wymykałem się do beczki po cukrze, włożywszy na siebie stare łachmany; czułem się całkiem swobodny. Tomek Sawyer zawsze mi obiecywał, że zebrawszy bandę rozbójników i stanąwszy na jej czele, przyłączy mnie do niej, bylebym tylko pozostał u wdowy i wiódł porządne życie. Wracałem więc do niej.

Wdowa płakała nade mną, nazywając mnie biedną, zbłąkaną owieczką i dając mi różne inne przezwiska, którymi zresztą nie chciała mnie krzywdzić. Sprawiła mi też nowe ubranie, w którym się strasznie pociłem, bo było ciasne. Gdy wdowa zadzwoniła na wieczerzę[76], trzeba było zaraz przychodzić i czekać, aż ona, spuściwszy głowę, pomruczy trochę nad jedzeniem, z którym, prawdę rzekłszy, nic się nie działo.

Po wieczerzy wdowa wydobywała księgę i uczyła mnie o Mojżeszu i o trzcinach. Aż poty na mnie biły, tak pragnąłem dowiedzieć się wszystkiego o Mojżeszu, ale gdy się okazało, że on już od dawna nie żyje, przestałem dbać o niego, bo co mnie tam obchodzą umarli.

[74] *miss* — zwrot grzecznościowy używany w krajach anglosaskich w odniesieniu do niezamężnych kobiet. [przypis edytorski]

[75] *ukryli byli* — konstrukcja czasu zaprzeszłego; znaczenie: ukryli wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

[76] *wieczerza* — wieczorny posiłek. [przypis edytorski]



Poczuwszy pociąg do tytoniu dość wcześnie, prosiłem wdowę, żeby mi pozwoliła palić; otrzymałem jednak odpowiedź, że to brzydki nałóg, że z tego w domu nieporządek, więc że palić nie powinienem. Tak właśnie jest z niektórymi ludźmi. Wdowa zawracała mi głowę Mojżeszem, który jej ani brat, ani swat[77], i nikogo nie obchodzi, skoro już umarł, i broniła[78] mi palić, a sama zażywała tabakę[79], uważając to, ma się rozumieć, za dobre — ponieważ ona to robiła.

Jej siostra, miss Watson, nieco przychuda stara panna, z puklami zwiniętymi w obwarzanek na skroni, zamieszkawszy z nią, gnębiła mnie elementarzem, znęcając się nade mną co dzień przez pół godziny. Nie mógłbym wytrzymać dłużej! Potem z dobrą godzinę bywało śmiertelnie nudno, więc też zaczynałem się kręcić. Wtedy miss Watson mawiała:

— Huckleberry, po co kładziesz tu nogi?

Albo:

— Nie garb się tak, siedź prosto.

Parę minut później znów zrzędziła:

— Nie otwieraj ust, nie przeciągaj się tak, dlaczego nie siedzisz przyzwoicie? — I opowiadała mi o tym miejscu, gdzie dusze idą za karę. Gdy rzekłem, że chciałbym się tam dostać, aż oniemiała ze zgrozy, choć nie miałem zamiaru powiedzieć nic złego. Po prostu pilnie mi było pójść sobie gdzie indziej, pragnąłem zmiany, nie będąc wcale wybredny w wyborze miejsca. Miss Watson twierdziła, że to grzech tak mówić i że ona za nic w świecie nie powiedziałaby tego, albowiem pragnie się dostać do miejsca wiecznej szczę-

[77] *ani brat, ani swat* — obca osoba; niespokrewniona z tym, o kim mowa. [przypis edytorski]
[78] *bronić* — tu: nie pozwalać. [przypis edytorski]
[79] *tabaka* — sproszkowany tytoń, wciągany przez nos; daw. tytoń do fajki. [przypis edytorski]

śliwości. Nie widząc dla siebie żadnej korzyści w przebywaniu gdziekolwiek razem z nią, postanowiłem nie starać się o to. Tego jednak nie powiedziałem, bo byłaby nowa afera, a pożytku żadnego.

Wziąwszy więc nade mną górę, poczęła opowiadać wszystko, co tylko było jej wiadomo o miejscu onej[80] szczęśliwości. Mówiła, że człowiek, nic tam nie robiąc, będzie tylko siedział z harfą i śpiewał. Jakoś mi się to nie podobało, ale nie powiedziałem ani słówka. Spytałem tylko, czy Tomek Sawyer tam pójdzie. A ona:

— Nie! Daleko mu do tego!

Bardzo się wtedy ucieszyłem, chciałem bowiem, żebyśmy byli razem.

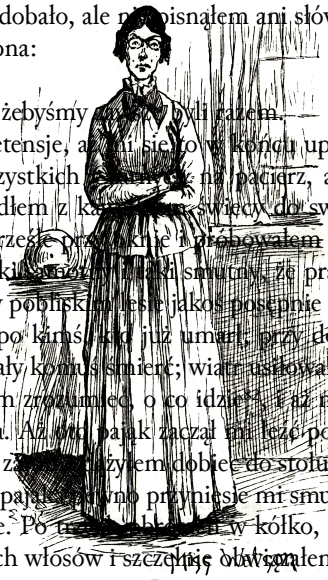

Ale miss Watson ciągle miała do mnie o coś pretensje, aż mi się to w końcu uprzykrzyło[81]. Niezadługo potem zaczęła sprowadzać wszystkich na pacierz, a po pacierzu każdy musiał iść do łóżka. Więc i ja poszedłem z kawałkiem świecy do swego pokoju, a postawiwszy ją na stole, sam siadłem na krześle przy oknie i próbowałem myśleć o czymś wesołym, ale na próżno. Czułem się taki samotny i smutny, że prawie pragnąłem już śmierci. Gwiazdy świeciły na niebie, w pobliskim lesie jakoś posępnie szumiały liście; w oddali odzywała się sowa, zawodząc po kimś, kto już umarł; przy domu pies i puszczyk, wzajemnie sobie wtórując, zapowiadały komuś śmierć; wiatr usiłował coś mi powiedzieć, coś do ucha szepnąć, a ja nie mogłem zrozumieć, o co idzie[82], aż mnie dreszcze przejęły. Zapragnąłem jakiegoś towarzystwa. Aż wtem pająk zaczął mi łazić po ramieniu. Strąciłem go tak silnie, że wpadł w płomień; zanim zdążyłem dobiec do stołu, już był nieżywy. Nie wątpiłem, że to zły znak i że śmierć pająka na mnie przyniesie mi smutek, toteż przestraszony, zacząłem z siebie zrywać ubranie. Po trzykroć obróciłem się w kółko, przy żegnaniu się za każdym razem, wziąłem kosmyk swych włosów i szczelnie owinąłem go nitką, aby oddalić od siebie czarownice, które mogły mnie urzec. Lecz to mi nie przywróciło spokoju. Drżąc ze strachu, wydobyłem fajeczkę, aby się trochę zaciągnąć, pewny, że wdowa mnie teraz nie złapie. Siedząc tak, słyszę, że w pobliskim mieście zaczyna bić zegar. Bum! bum! bum! Dwanaście razy uderzył — potem znów cisza. Wtem na dole, pośród drzew, trzeszczy złamana gałązka... Coś się tam rusza! Prawie tłumiąc oddech, słuchałem. Po zaledwie chwili dosłyszałem na dole:

Samotność, Smutek

Zabobony, Pająk

— Mia-u! Mi-a-u-u!

Doskonale! Więc ja też:

— Mia-u! Mi-a-u-u! — Jak najciszej...

Zdmuchnąwszy świecę, wyszedłem przez okno na biegnący wokoło domu gzyms. Stamtąd zsunąłem się na ziemię i popełzłem pomiędzy drzewami w głąb ogrodu, gdzie, ma się rozumieć, czekał na mnie... Któż by inny, jak nie Tomek Sawyer!

ROZDZIAŁ II

Chłopcy wymykają się Jimowi. — Rozbójnicza banda. — Głęboko obmyślane plany.

Szliśmy na palcach ścieżyną[83], która wijąc się wśród drzew, wiodła na skraj ogrodu. Idąc, musieliśmy pochylać się, żeby gałęzie nie podrapały nam twarzy. Kiedy przechodziliśmy obok kuchni, przewróciłem się o korzeń i narobiłem hałasu. Skuliliśmy się i położyliśmy nieruchomo. Jim, ogromny Czarny należący do miss Watson, siedział w otwartych drzwiach kuchni, widzieliśmy go jak najwyraźniej, przed światłem. Usłyszawszy hałas, wstał, wyciągnął szyję i nasłuchiwał przez parę minut.

— Kto tam? — zapytał.

Znów nasłuchuje, a wreszcie wszedłszy do ogrodu, tak stanął między nami dwoma, że każdy z nas mógł był dotknąć go ręką. Jak na złość zaczęło mnie swędzić kolano, potem ucho, następnie plecy, pomiędzy samymi łopatkami. Zdawało mi się, że umrę, jeżeli się nie podrapię. Już ja to nieraz zauważyłem, że gdy jesteś w przyzwoitym towarzystwie albo na pogrzebie, albo musisz leżeć, nie mogąc w ogóle spać, wówczas, gdy nie wypada ci się drapać, to od razu poczujesz swędzenie w kilkunastu miejscach. Po chwili Jim się odzywa:

[80] *onej* (daw.) — tej. [przypis edytorski]
[81] *uprzykrzyć* — znudzić się czymś. [przypis edytorski]
[82] *o co idzie* — o co chodzi. [przypis edytorski]
[83] *ścieżyna* — ścieżka, droga. [przypis edytorski]

— Kto tam? Odezwij się. Czy jest tam kto? Bodaj pies zdeptał mego kota, jeżeli ja nie słyszałem, że coś chodzi. Wiem, co zrobię. Będę tu siedział, póki znów czegoś nie usłyszę.

Usiadł więc na ziemi, pomiędzy mną i Tomkiem. Plecami oparł się o drzewo, a nogi wyciągnął przed siebie tak, że jedną prawie dotykał mojej. Poczułem wędzenie w nosie i to tak silne, że aż łzy stanęły mi w oczach, nie podrapałem się jednak, żeby nie zdradzić swej obecności. Mało ze skóry nie wyskoczyłem, tak mi dokuczało swędzenie w różnych miejscach. Trwała ta męczarnia kilka minut, a wydała mi się bardzo długa. Gdy już czułem, że nie wytrzymam, Jim zaczął oddychać ciężko, a potem chrapać.



Wówczas, pełzając po cichu na rękach i na kolanach, coraz bardziej oddalaliśmy się od Jima. Nagle Tomek szepnął do mnie, żeby przywiązać Jima do drzewa, dla zabawy, ale ja się na to nie zgodziłem. Mógł narobić hałasu i zaraz by się wydało, że nikt nie ma w domu. Chwilę później Tomek postanowił zabrać z kuchni parę świec. Wzięliśmy trzy świece, a on położył na stole pięć centów jako zapłatę. Pomimo [illegible] mnie z niecierpliwości, Tomek popełznął na czworakach do Jima, aby [illegible] figla. Gdy powrócił, dowiedziałam się, że zdjąwszy Jimowi kapelusz, [illegible] na dość wysokiej gałęzi. Później Czarny opowiadał, że czarownice, [illegible] przytomności, jeździły na nim wierzchem[84] po okolicy. Pięciocentówkę [illegible] szyi, zawieszoną na sznureczku, mówiąc, że to dany mu przez diabła talizman do [illegible] chorobę i na sprowadzanie czarownic do usług. Schodzili się zewsząd czarni i dawali Jimowi, co kto miał, aby tylko pokazał im tę monetę, ale żaden nie chciał jej dotknąć, dlatego że była w diabelskim ręku. Jako służący Jim stał się do niczego, tak zhardział[85] od chwili, gdy diabła widział na własne oczy i czarownicom służył za wierzchowca.

Żart, Zabobony, Czarownica, Diabeł

Spotkawszy Józia Harpera, Benia Rogersa i kilku innych chłopców ukrytych w zapuszczonym sadzie, popłynęliśmy z nimi łódką ku wąwozowi odległemu na jakieś dwie i pół mili. Tu, w krzakach, Tomek odebrawszy od nas przysięgę, że dochowamy tajemnicy, pokazał nam rozpadlinę wiodącą w głąb wzgórza, a ukrytą w najgęstszych zaroślach; zapaliwszy świece, wczołgaliśmy się wewnątrz na czworakach do obszernej jaskini, Tomek zaś, będący na przedzie, wrócił pod ścianę i znikł niebawem w otworze tak ukrytym, że nikt nie zauważyłby tam dziury. Poszliśmy wszyscy jego śladem, a po przejściu przez wąziutki korytarzyk znaleźliśmy się w małym niby pokoiku, wilgotnym i zimym. Tomek powiada:

— No! Teraz utworzymy bandę rozbójników i nazwiemy ją bandą Tomka Sawyera. Każdy, kto chce do niej należeć, niech złoży przysięgę i podpisze krwią swoje nazwisko.

Przysięga

Zgoda była ogólna i ochocza.

Tomek wydostał więc arkusz papieru, na którym poprzednio napisał był przysięgę i przeczytał ją głośno. Każdy z chcących należeć do bandy zobowiązywał się [illegible] święcie dochowa wszystkich tajemnic.



Gdyby któryś z członków bandy zdradził jej tajemnicę, czekała go za to kara śmierci, po czym jego trup miał być spalony, popioły rzucone na wiatr, jego imię wykreślone [illegible] ze spisu członków. Pozostałym wzbraniało się wymawiać imię zdrajcy, które miało być uroczyście przeklęte, a potem na wieki zapomniane.

Wszyscy uznali jednomyślnie, że rota[86] przysięgi jest prześliczna i każdy zapytywał Tomka, czy ją sam ułożył. Tomek odpowiadał każdemu, że trochę sam, a resztę wziął z książek o rozbójnikach morskich i opryszkach.

Niektórzy odezwali się z tym, że należałoby zabijać rodziny zdrajców, którzy wydali tajemnicę stowarzyszenia. Tomkowi podobał się ten pomysł: wziął więc ołówek i dodał kilka słów w tym sensie. Na to odzywa się Benio Rogers:

— No a Huck Finn? On nie ma nikogo z rodziny. Cóż z nim będzie?

Ojciec, Pijaństwo

— Ma przecież ojca — odpowiedział Tomek.

— Tak, ma ojca, ale nikt teraz nie wie, gdzie się ten ojciec podziewa. Dawniej widywano go po chlewach, gdzie spał pijany razem z wieprzami, ale od przeszło roku nikt go nie spotkał w tych stronach.

[84] *jazda wierzchem* — jazda na grzbiecie zwierzęcia. [przypis edytorski]
[85] *zhardzieć* — stać się hardym, wbić się w pychę, gardzić innymi. [przypis edytorski]
[86] *rota* — tekst przyrzeczenia. [przypis edytorski]

Zaczęli rozprawiać o tym i o mały włos nie wyrzucili mnie spomiędzy siebie, mówili bowiem, że każdy z nas musi mieć rodzinę lub kogoś przeznaczonego do zabicia, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby wśród nas sprawiedliwości. Nikt nie wiedział, co na to poradzić, milczeli więc wszyscy, zakłopotani. Ja byłem gotów płakać, ale naraz przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy:

— Oddam wam miss Watson! — krzyknąłem.

Na co oni, jak jeden, zawołali:

— Prawda! Prawda! Można zabić miss Watson! Wszystko w porządku! Przyjmujemy miss Watson! Huck może do nas należeć.

Przysięga

Po czym każdy ukłuwszy się szpilką w palec, wycisnął kropelkę krwi i nią podpisał swoje nazwisko, kto zaś pisać nie umiał, ten własnoręcznie położył na papierze swój znak.

— A teraz — zaczął Benio Rogers — trzeba się naradzić, jaka będzie działalność stowarzyszenia.

— Żadna inna prócz grabieży i morderstw! — odparł Tomek.

— Ale kogo i co mamy grabić? Domy, bydło lub...

— Pleciesz! Kto zabiera bydło i tym podobne rzeczy, nie jest rozbójnikiem, lecz złodziejem — odpowiada Tomek.

— My nie złodzieje, tylko rozbójnicy. W maskach na twarzy zatrzymując na gościńcach wozy z towarami, będziemy zabijali podróżnych, żeby im zabierać zegarki i pieniądze.

— Czy koniecznie trzeba zabijać?

— Koniecznie. Tak wypada. W niektórych książkach czytałem, że lepiej nie, ale w innych uważane to jest za konieczność. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, tych podróżnych, których się tu przyprowadzi do jaskini i trzymać będzie, dopóki nie złożą okupu.

— Okupu? Co to znaczy?

Książka

— Nie wiem dobrze... „Wziąć okup". Tak jest napisane w książkach, więc naturalnie trzeba tak czynić.

— Ale jakże możemy tak czynić, skoro nie wiemy dobrze, co to jest?

— E! Nie nudź. Musimy i koniec. Nie słyszysz? Tak jest napisane w książkach!

— Więc chcesz być rozbójnikiem byle jakim i robić nie to, co potrzeba, lecz to, co ci przyjdzie do głowy?

— Dobrze ci mówić, Tomku, ale ja bym tylko chciał wiedzieć, co będzie, jeżeli i nasi jeńcy nie będą rozumieli, co to jest „okup"? Jak ty myślisz: co to znaczy?

— Nie... nie wiem... Może oni będą wiedzieli...

— A jeżeli nie będą, to co?

— Ha! To trzeba ich będzie trzymać w niewoli, dopóki nie pomrą.

— A! Tak, to rozumiem. Tak, to dobrze. Czemu od razu tak nie mówiłeś? Myślę tylko, że będzie z nimi dużo kłopotu, bo im trzeba dawać jeść i pilnować, żeby nie pouciekali.

— Co też ty pleciesz, Beniu? Jakże mogą pouciekać spod straży gotowej do zabicia ich, gdy ruszą palcem?

— Straż? A to mi się podoba! Więc musimy pilnować ich przez dnie i noce?

— Głupstwo! Dlaczego nie mamy zabić ich od razu, zamiast czekać, aż „wezmą okup" i umrą?

— Dlatego, że tak jest napisane w książkach. Powiedz mi raz, Beniu, czy chcesz być prawdziwym rozbójnikiem, czy nie? Albo myślisz może, że ci, co pisali książki, nie wiedzieli, jaki powinien być rozbójnik? Czy chcesz ich uczyć rozumu i myślisz, żeś ty od nich mędrszy[87]? Nie. Prawda? A więc skoro nie, to siedź cicho i postępuj według prawideł[88].

— Dobrze już, dobrze. Nie upieram się, tylko chciałem zrozumieć. A kobiety? Czy także mamy zabijać?

— Słuchaj, Beniu, gdybym tak niczego nie rozumiał jak ty, to już bym przynajmniej siedział cicho. Zabijać kobiety? W jakiejże książce powiedziano, że można zabijać kobiety? Nie! Przyprowadziwszy je do jaskini, będziesz dla nich słodki jak cukierek; zawsze skończy się na tym, że kobieta zakocha się w tobie i nie zechce wracać do domu.

[87] *mędrszy* — dziś: mądrzejszy. [przypis edytorski]

[88] *prawidło* — obowiązująca norma, przepis. [przypis edytorski]

— No, kiedy tak, to tak. Tylko widzisz, niezadługo nazbiera się w jaskini tyle kobiet i jeńców czekających na „okup", że zabraknie miejsca dla rozbójników. No, ale niech i tak będzie.

Mały Tomuś Barnes rozespał się przez ten czas na dobre; gdy go zbudzono, przestraszył się i zaczął krzyczeć, że on chce iść do domu, do swej mamusi, a nie myśli już wcale być rozbójnikiem.

Inni, śmiejąc się z niego, przezywali go beksa. Tomuś więc, rozzłoszczony, zagroził wydaniem wszystkich tajemnic. Tomek Sawyer dał mu zatem pięć centów, żeby milczał, nam zaś polecił rozejść się i wyznaczył schadzkę za tydzień.

Benio Rogers oświadczył, że będąc wolnym tylko w niedzielę, w inne dni nie może chodzić na rozbój. Niedziela

Ale wszyscy chłopcy stwierdzili, że byłoby niegodziwością robić to w niedzielę.

Po czym, obrawszy Tomka Sawyera dowódcą, a Józia Harpera jego namiestnikiem[89], rozeszliśmy się do domów.

Wróciłem przez okno do pokoju przed samym świtem. Moje nowe ubranie było potłuszczone i całe gliną uwalane[90], a ja okropnie zmęczony.

ROZDZIAŁ III

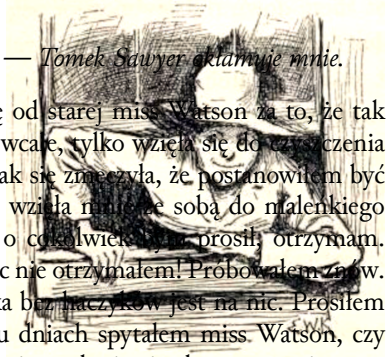

Porządna bura. — Dwie Opatrzności. — Geniusze. — Tomek Sawyer okłamuje mnie.

No, nazajutrz rano dostałem też porządną burę od starej miss Watson za to, że tak powalałem[91] ubranie! Ale wdowa nie skarciła mnie wcale, tylko wzięła się do czyszczenia i wywabiania plam, a tyle przy tym miała roboty, tak się zmęczyła, że postanowiłem być lepszy choć przez dni kilka. Właśnie miss Watson wzięła mnie ze sobą do malenkiego pokoiku i zaczęła modlić się ze mną, mówiąc, że o cokolwiek będę prosił, otrzymam. Prosiłem, modliłem się co dzień, co rano, ale nic. Nic nie otrzymałem! Próbowałem znów. Nic! Raz dostałem wędkę, ale bez haczyków. Wędka bez haczyków jest na nic. Prosiłem więc kilka razy o haczyki, ale nadaremnie. Po paru dniach spytałem miss Watson, czy ona nie mogłaby prosić za mnie, ale odpowiedziała, żem głupi, nie tłumacząc mi nawet dlaczego. Dziecko, Modlitwa, Dziecko

Pewnego dnia długo nad tym rozmyślałem w lesie. Jeżeli każdy może otrzymać wszystko, o co prosi, dlaczego nasz sąsiad nie może odzyskać pieniędzy, które stracił na wieprzach? Dlaczego miss Watson nie może troszeczkę przytyć? Nie, to coś nie tak, jak mówi miss Watson. Idę więc do wdowy i pytam jej, jak to jest naprawdę. A ona mi tłumaczy, że każdy może otrzymać to, o co prosi, ale że prosić należy jedynie o „dary duchowe", nie zaś o nabytki doczesne[92]. Za mądre to było dla mnie, ale mi zaraz wytłumaczyła:

— Powinieneś dopomagać drugim, każdemu dobrze czynić, myśleć o szczęściu drugich, o swoim zaś najmniej. Starszych trzeba szanować i słuchać... Grzeczność

No, to z pewnością dotyczyło miss Watson!

Znów poszedłem do lasu, żeby to sobie obrócić w głowie na wszystkie strony. Nie widząc jednak żadnej korzyści dla siebie w ciągłym myśleniu „o drugich", postanowiłem dłużej się tym wcale nie martwić.

Czasami wdowa wezwawszy mnie, tak opowiadała o Opatrzności, że mi się aż miękko na sercu robiło, ale już nazajutrz z nowych rozpraw miss Watson o Opatrzności wyciągałem wnioski wprost odwrotne. Przypuszczałem więc, że muszą być dwie Opatrzności: z Opatrznością wdowy byłoby biedakowi jak u Pana Boga za piecem, ale gdyby go złapała Opatrzność miss Watson, to już po nim! Wszystko to sobie obmyśliwszy, postanowiłem, w razie gdyby mnie przyjęła Opatrzność wdowy, pójść pod Jej rządy. Nie wiem tylko, jaką by ona korzyść stąd miała, bo ja nieborak[93] głupi i prosty, biedny włóczęga i nic więcej. Los, Bóg, Religia

Nikt nie widział taty od przeszło roku i było mi z tym bardzo dobrze; nie miałem Ojciec, Dziecko

[89] *namiestnik* — osoba sprawująca władzę w zastępstwie panującego. [przypis edytorski]
[90] *uwalany* — pobrudzony. [przypis edytorski]
[91] *powalać* — pobrudzić. [przypis edytorski]
[92] *doczesny* — związany z życiem ziemskim; przemijający. [przypis edytorski]
[93] *nieborak* — nieszczęśnik, biedak. [przypis edytorski]

najmniejszej ochoty znów go zobaczyć. Miał brzydki zwyczaj bić mnie zawsze, nawet gdy był trzeźwy, toteż spędzałem w lesie prawie cały czas jego bytności w okolicy. W tych dniach właśnie znaleziono go w rzece, o jakieś dwanaście mil od miasta: utonął! Tak przynajmniej mówiono, gdyż topielec był tego samego wzrostu, tak samo obdarty, takie same długie włosy — tatko wykapany! Tylko twarzy nie mogli rozpoznać, bo tak długo leżała w wodzie, że już przestała być twarzą. Zwłoki płynące na wznak wydobyto i pogrzebano na brzegu. Ale ja ciągle byłem niespokojny, bo mi wciąż przychodziło do głowy, co kiedyś usłyszałem: że mężczyzna, gdy utonie, nie może wypłynąć na wznak, tylko zawsze twarzą do wody. Byłem więc pewien, że to nie tatko, lecz jakaś kobieta w męskim stroju.

Bawiliśmy się od czasu do czasu w rozbójników, z miesiąc może, a potem daliśmy spokój. Nikogo nie ograbiliśmy ani nie zabiliśmy, tylko tak udawaliśmy, że napadamy. Czyniąc zasadzki w lesie, uderzaliśmy na ludzi pędzących wieprze do miasta, na kobiety wiozące na targ jarzyny, niewolników jednak nie braliśmy. Tomek Sawyer nazywał wieprze „jeńcami", a jarzyny „łupem".

Pewnego dnia Tomek wyprawił jednego z naszych chłopców do miasta i kazał mu biegać po ulicach z zapalonym patykiem, to jest z „żagwią[94] mordu", na znak, że banda powinna się zebrać czym prędzej. Po zebraniu powiedział nam, że przez swoich szpiegów otrzymał ważne wiadomości. Nazajutrz miała stanąć obozem w jednej z górskich dolin karawana hiszpańskich kupców i bogatych Arabów, wiodąca ze sobą dwieście słoni, sześćset wielbłądów i przeszło tysiąc mułów, objuczonych samymi brylantami; cała zaś straż karawany składała się z zaledwie czterystu żołnierzy. Otóż uczyniwszy zasadzkę, mieliśmy niespodzianie uderzyć na karawanę, rozbić ją i zabrać skarby. Kazał nam wyczyścić broń, opatrzeć i stać w pogotowiu wojennym. Nawet przy pogoniach za wózkiem z rzepą musieliśmy zawsze mieć wyczyszczoną broń, choć składała się ona tylko z kijów od mioteł i blaszanych szabelek, które można było trzeć i szorować do siódmego potu[95], blacha zaś zawsze była blachą, tak jak kij kijem. Nie wierząc, żebyśmy mogli pobić taką moc Hiszpanów i Arabów, jedynie z ciekawości ujrzenia wielbłądów i słoni stawiłem się nazajutrz w sobotę o wyznaczonej godzinie.

Z gęstych zarośli na komendę wodza zbiegliśmy pędem w dolinę. Nie było tam jednak Hiszpanów ani Arabów, nie było wielbłądów ani słoni, ale za to spotkaliśmy dzieciaki z niedzielnej szkółki na majówce.

Napadliśmy na nich i rozpędziliśmy, wszakże naszą jedyną zdobyczą były pierniczki i marmolada. Benio Rogers znalazł wprawdzie zwiniętą z gałganów lalkę, a Józio Harper książeczkę do nabożeństwa, lecz nauczyciel, zmusiwszy nas do oddania łupu, rozpędził bandę.

Brylantów nie widziałem wcale i powiedziałem to Tomkowi, on jednak upierał się, że były ich tam całe fury[96]; byli też i Arabowie, słonie i wszystko, co być miało. Na moje pytanie, dlaczego ja nic nie widziałem, nazywał mnie nieukiem, dodając, że gdybym znał *Don Kichota*, pytać bym nie potrzebował. Stało się to wszystko za sprawą czarów. Nieprzyjaźni nam czarnoksiężnicy przemienili wszystko w dzieciaki z niedzielnej szkółki, w pierniczki i w galaretę.

— Skoro tak — odpowiedziałem — to trzeba bić się z czarnoksiężnikami.

— Cóż ty sobie myślisz, głowo cielęca? — odparł Tomek. — Czy to czarnoksiężnik nie ma całego wojska geniuszy[97], którzy cię rozsiekają na drobny mak, zanim powiesz „Jack Robinson"?! Każdy geniusz jest wysoki jak drzewo, a gruby jak kościół.

— A jeżeli kilku geniuszy stanie po naszej stronie, czy nie możemy zwyciężyć tamtych?

— Aha! A skądże weźmiesz geniuszy?

— Nie wiem. Skądże ich biorą czarnoksiężnicy?

— To co innego. Taki czarnoksiężnik potrze sobie pierścień albo starą lampę blaszaną i geniusze hurmem[98] się cisną do niego... Pioruny biją, grzmot huczy, błyskawice po

[94]*żagiew* — pochodnia, płonący kawał drewna. [przypis edytorski]
[95]*do siódmego potu* — do całkowitego wyczerpania. [przypis edytorski]
[96]*fura* — duża ilość czegoś. [przypis edytorski]
[97]*geniusz* (mit. rzym.) — bóstwo opiekuńcze miejsca albo osoby, wyobrażane jako uskrzydlony człowiek; później ogólnie duch (dobry albo zły). [przypis edytorski]
[98]*hurmem* — tłumnie. [przypis edytorski]

niebie latają, dym bucha kłębami, a czarnoksiężnik rozkazuje geniuszom i co im powie, to oni czynią. To nic dla nich wyrwać wieżę z korzeniami i przerzucić ją sobie przez głowę razem z dyrektorem niedzielnej szkółki.

— Któż ich zmusi do wyrwania wieży?

— Każdy, kto potrze lampę albo pierścień. Oni są poddani każdemu, kto posiada lampę albo taki pierścień, i muszą być posłuszni każdemu rozkazowi swego władcy. Jeżeli im powie: „Zbudujcie mi pałac na czterdzieści mil długi, cały z diamentów, i napełnijcie go od dachu do piwnic cukierkami, porwijcie cesarzowi chińskiemu córkę dla mnie za żonę", oni muszą to zrobić i to zaraz, nim słońce wstanie. Więcej powiem: muszą na twój rozkaz przenosić ten pałac z miejsca na miejsce i to przynajmniej raz dwa trzy, jakby walca tańczył. Rozumiesz?



— Wiesz, co ja myślę? Głupi być muszą ci geniusze, jeżeli tak szybko pałacami i cukierkami, zamiast je zatrzymać dla siebie! Niedoczekanie, żebym ja porwał to, zrobię, i pędził na rozkazy pierwszego lepszego, kto potrze starą lampę albo pierścień.

— Sam nie wiesz, co gadasz, Huck. A ja ci powiadam, że rad nierad, ty być przyjść musiał.

— Ja? Gdybym był wysoki jak to drzewo i gruby jak nasz kocioł?! Nooo, przyszedłbym, ale za to zmusiłbym tego człowieka do wdrapania się na najwyższe drzewo w całym lesie.

— Wiesz, Huck, z tobą gadać nie warto. O niczym nie masz pojęcia! Istna cielęca głowa!

Rozważając to wszystko przez kilka dni, postanowiłem wreszcie przekonać się, czy jest w tym cokolwiek prawdy. Wyszukawszy starą, blaszaną lampę i również stary pierścień żelazny, tarłem go w lesie aż do potu, licząc na to, że zbudowany przez geniusza pałac sprzedam za dobre pieniądze. Ale wszystko na nic! Nie przyszedł ani jeden geniusz. Doszedłem więc do wniosku, że cała gadanina była kłamstwem wymyślonym przez Tomka. Może i on zresztą wierzył zarówno w Arabów, jak i w słonie, ale ja nie. To była po prostu szkółka niedzielna.

ROZDZIAŁ IV

Powoli naprzód. — Huck i sędzia. — Zabobon.



Upłynęło kilka miesięcy i nadeszła zima. Prawie przez cały czas chodziłem do szkoły, umiałem już czytać, literować, pisałem już jako tako, [illegible] mnożenia aż do: „sześć razy siedem, trzydzieści pięć". Zdawało mi się jednak, że [illegible] nie wiem jak długo i przez całe życie chodził do szkoły, [illegible] się jej do końca. Nie mam jakoś zapału do matematyki. Szkoła, Dziecko

Z początku nie cierpiałem szkoły, ale powoli doszedłem do tego, że znosiłem ją nieźle. Gdy byłem zanadto zmęczony nauką, szedłem zamiast do [illegible] na [illegible] a nazajutrz brałem za to odpowiednie natarcie głowy, które mnie [illegible] Im dłużej zresztą chodziłem do szkoły, tym nauka wydawała mi się [illegible] Przyzwyczaiłem się także do mojej wdowy i jej dziwactwa [illegible] Co prawda okropnie ciężko było mi żyć ciągle wśród czterech ścian i [illegible] Przed nadejściem zimy wykradałem się kiedy niekiedy i spędzałem noc w lesie pod gołym niebem, tak że miałem trochę odpoczynku i ulgi. Wolałem dawny sposób życia, ale przywykałem do nowego, nawet zaczynałem go lubić. Wdowa mawiała, że postępy czynię: „powoli, ale naprzód", i była ze mnie bardzo zadowolona, dodając, że nie potrzebuje wstydzić się mnie. Nauka, Szkoła

Pewnego dnia przy śniadaniu zdarzył mi się wypadek: przewróciłem solniczkę. Jak najprędzej wyciągnąłem rękę, aby wziąć trochę soli i, dla odwrócenia nieszczęścia, rzucić ją przez lewe ramię za siebie, ale zburczała mnie miss Watson: Zabobony

— Weźże ze stołu ręce — powiada. — Zawsze coś zbroić musisz.

Wdowa wtrąciła jakieś słówko za mną, ale ja już wiedziałem, że nieszczęście nie da się odwrócić. Wstałem od śniadania w złym humorze, myśląc tylko o tym, skąd się na mnie zwali bieda[99].

Są sposoby na odwrócenie pewnych nieszczęść, ale na to, które sprowadza rozsypana sól, nie ma żadnego. Chodziłem więc smutny, ciągle się mając na baczności.

Wkrótce potem będąc w ogrodzie, spostrzegłem na śniegu jakieś ślady. Ktoś idąc od lasu ku domowi, postał trochę przy bramie i obszedł ogród dookoła pod parkanem. Dziwne to było, że nie wszedł do środka, lecz krążył; przyglądając się bacznie owym śladom, spostrzegłem, że w obcasach lewego buta były ćwieki w kształcie krzyża, mające odpędzać diabła. Zerwawszy się w mgnieniu oka, wpadam do sędziego Thatchera, cały zdyszany.

— Cóż to, mój chłopcze, tchu złapać nie możesz? Po procent przychodzisz?

— Nie, proszę pana, a czy jest?

— A jakże! Za całe pół roku. Dzisiejszej nocy upłynęło półrocze. Są pieniądze, są, sto pięćdziesiąt dolarów z górą. Niemały to grosz, jak dla ciebie. Daj mi upoważnienie do złączenia tej sumki z kapitałem, bo jeżeli ją weźmiesz do ręki, wydasz wszystko.

— Nie, proszę pana — mówię — nie wydam, nie. Mnie tych pieniędzy nie potrzeba, ani tych, ani sześciu tysięcy. Niech pan sobie wszystko zabierze.

Zdziwił się sędzia, nie mogąc zrozumieć mojej mowy.

— Co to ma znaczyć, mój chłopcze?

— Niech pan się nie pyta. Proszę zabrać wszystko. Czy dob[illegible].

— Nic nie rozumiem. Co ci się stało?

— Ja pana na wszystko proszę o wzięcie tych pieniędzy b[illegible]ch pytań, a[illegible]m nie potrzebował kłamać.

Sędzia pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Aha! Rozumiem. Chcesz mi pożyczyć swoją własn[illegible].

— Tak! Pożyczyć. Rozumie się!

— A cóż? Pożyczkę mogę zaciągnąć.

Napisał więc coś na arkuszu papieru, przeczytał raz i drugi i mówi:

— Oto jest dowód, że pożyczyłem od ciebie sześć tysięcy na dziesięć lat, z obowiązkiem wcielania procentu do kapitału. Podpisz imię i nazwisko. A teraz... masz ode dolara dla siebie.



Duch, Zabobony

Podpisawszy, wziąłem dolara i wróciłem do domu.

Jim, Czarny należący do miss Watson, posiadał kulę ze zbitej sierści, wielką jak pięść, wyjętą z żołądka wołu. Używał on jej do wróżenia, mówiąc, że w środku siedzi zaklęty duch, któremu wszystko jest wiadome. Powiedziawszy więc zaraz Jimowi, że tatko powrócił, bo widziałem jego ślady na śniegu, prosiłem go o wybadanie ducha, co tatko zamierza czynić i czy długo tu zabawi. Wyjąwszy włosianą kulę, Jim coś nad nią szeptał, a potem rzucił na podłogę. Upadła, lecz nieodbita potoczyła się niedaleko, na cal[100] zaledwie. Jim znów ją rzucił raz, drugi i trzeci, a ona zawsze padała tak samo i nie toczyła się wcale. Więc Jim ukląkł, przyłożył do niej ucho i słuchał, ale na próżno.

— Zdarza się — wyjaśnił Czarny — że kula dopóty nic nie powie, dopóki pieniędzy nie otrzyma.

— Mam starą, fałszywą monetę, ćwierć dolara (z rozmysłu nic nie mówiłem o dolarze), może weźmie ją kula, która przecież nie pozna się na niej.

Jim powąchał pieniądz, spróbował zębami, potarł go, aż w końcu rzekł:

— Zrobię tak, żeby kula wzięła ten pieniądz za prawdziwy. Nadkroję surowy kartofel i wsadzę w środek monetę na całą noc. Gdy zaśniedzieje, każdy weźmie ją za dobrą. A już co kula włosiana, to wcale się na niej nie pozna.

Jim dobrze mówił. Ja i bez niego wiedziałem, że kartofel na to najlepszy, tylko nie wiem, dlaczego zapomniałem.

Jim wsadził monetę pod kulę, znów przykląkł, przyłożył ucho i słuchał. Tym razem kula oświadczyła, że jest gotowa przepowiedzieć mi całe życie. Ja na to: „i owszem". Gadała więc kula Jimowi, a Jim powtarzał mnie. Mówiła tak:

[99] *bieda* — tu: trudna sytuacja. [przypis edytorski]

[100] *cal* — daw. jednostka miary długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

— Twój ojciec do tej pory nie wie jeszcze, co zrobi. Czasem zamierza pójść het, daleko, czasem znów mówi, że zostanie. Niech robi, co chce. Unoszą się nad nim dwa anioły. Jeden aż lśni od białości, drugi czarny. Biały skłania ku dobremu, czarny przeszkadza. Nie można jeszcze przewidzieć, który zwycięży. O siebie bądź spokojny. Pomimo wielkich kłopotów i zmartwień czeka cię w końcu wielka radość i szczęście. Stoją koło ciebie dwie panny. Jedna biała, a druga czarna, jedna bogata, druga uboga. Ożenisz się najpierw z ubogą, później z bogatą. Strzeż się wody, nie puszczaj się na tratwę, bo [illegible] wodą twoja śmierć stoi i czeka...

Ojciec

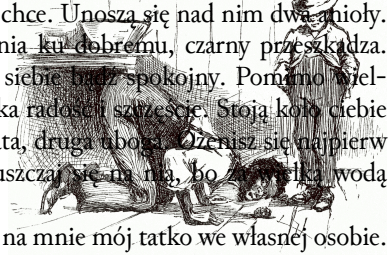

Gdy powróciłem do swego pokoiku, czekał tam na mnie mój tatko we własnej osobie.

ROZDZIAŁ V

Ojciec Hucka. — Czuły „tatko". — Poprawa.

Wszedłszy, zamknąłem drzwi, odwracam się i widzę: tatko! Zazwyczaj drżałem przed nim, gdyż bił mnie, ile się zmieściło. Mój ojciec miał lat pięćdziesiąt z górą i na tyle wyglądał. Czarne, długie włosy, potargane i zatłuszczone, tak spadały na twarz, że mu prawie nie było widać oczu. Nosił też i bokobrody: białą, bladą twarz zaledwie było można dojrzeć przez włosy. Łachmany ledwo się na nim trzymały. Gdy siedząc, założył nogę na nogę, z jednego buta wyglądały dwa palce, którymi od czasu do czasu poruszał. Na podłodze położył stary, czarny, pikowy[101] kapelusz, którego oddarte dno wpadało do środka, przypominając wieko od pudełka.

Ojciec

On patrzył na mnie, ja na niego. Postawiwszy świecę na stole, spostrzegłem, że okno jest otwarte: musiał wejść po gzymsie na balkon. Po długim milczeniu rzekł wreszcie:

— A to mi elegant, co się zowie[102]. Pewno się masz za coś wielkiego? Może nie?

— Może się mam, a może i nie mam — odrzekłem.

— Nie rozpuszczaj buzi tak śmiało! Strasznie głowę zadarłeś podczas mojej nieobecności. Przytrę ja ci rogów, nim cię z rąk wypuszczę. Podobno jesteś uczony: umiesz czytać i pisać? Masz się za coś lepszego od ojca? Co? Prawda? Ale ja to z ciebie wytrzęsę. Kto ci powiedział, że możesz się bawić w taką głupotę jak uczoność? Hę? Pytam się ciebie, kto ci to powiedział?

— Wdowa.

— Wdowa? To tak? A wdowie kto powiedział, że może wtykać swój nos w cudze sprawy?

— Nikt jej tego nie mówił.

— No to ja ją oduczę wtykania nosa. Słuchaj no: rzucisz mi szkołę, rozumiesz? Ja im pokażę, co to jest wychowywać chłopca, żeby zadzierał nosa, patrzył z góry na ojca i miał siebie za coś lepszego. Niech ja cię złapię w tej szkole! Popamiętasz ty mnie! Twoja matka, rodzona matka, czytać nie umiała... i pisać także! Nikt w naszej rodzinie nie umiał czytać ani pisać... do samej śmierci. I ja nie umiem, a ty się będziesz nadymał swoją mądrością! Ja nie taki, żebym to znosił, rozumiesz? Weź książkę, niech no usłyszę, jak ty czytasz.

Szkoła, Dziecko, Ojciec, Rodzina, Pozycja społeczna

Zaledwie przeczytałem kilka wierszy o Waszyngtonie[103], ojciec dał książce takiego prztyka[104], że wypadła mi z ręki o kilka kroków.

— No, teraz widzę, że umiesz czytać. Ale słuchaj: daj sobie spokój z tym rozumem. Ja tego nie chcę. Niech no cię przydybię[105], ty elegancie, w bliskości szkoły, odpowiesz mi za to skórą. Przede wszystkim trzeba mieć religię: czcić ojca i matkę. Co z ciebie za syn wyrośnie?

Religia

Wziąwszy do ręki mały obrazek, przedstawiający żółte krowy i niebiesko ubranego chłopczyka, pyta:

— Co to?

[101] *pikowy* — wykonany z piki: dwuwarstwowej, bawełnianej tkaniny, która z jednej strony pokryta jest delikatnym, wypukłym wzorem. [przypis edytorski]

[102] *co się zowie* — w całym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

[103] *Waszyngton*, właśc. *George Washington* (1732–1799) — wódz naczelny podczas wojny Stanów Zjednoczonych o niepodległość, a następnie pierwszy prezydent (1789–1797) nowo powstałego państwa. [przypis edytorski]

[104] *prztyk* — pstryczek. [przypis edytorski]

[105] *przydybać* — przyłapać. [przypis edytorski]

— Nagroda za dobrą naukę.

Rozdarł obrazek na dwoje, mówiąc z cicha:

— Ja tobie dam coś lepszego, wygarbuję ci skórę[106] co się zowie!

Siedział jakiś czas, mrucząc coś pod nosem, a w końcu rzekł:

— Jaki to z ciebie paniczyk! Łóżko, pościel, lustro, dywanik na podłodze, fiu, fiu! A rodzony ojciec musi sypiać w chlewie ze świniami! Jak żyję, nie widziałem takiego syna. Że ja cię oduczę tych grymasów, to pewne. Z rąk nie popuszczę! Będziesz sobie nadawał jakieś tony? Ja ci pokażę tony! Powiadają, że masz pieniądze. Jakie pieniądze? Skąd? Gadaj.

— Mówią nieprawdę.

— Mów no ty do mnie, jak się patrzy, bo się moja cierpliwość wyczerpie. Gadaj prawdę. W miasteczku wszyscy o tym gadają, żeś bogaty. Wszyscy powtarzają to samo. Dlatego przyszedłem. Jutro zaraz oddasz mi pieniądze.



— Nie mam żadnych pieniędzy.

— Nieprawda. Są u sędziego Thatchera. Odbierz i daj mi, bo potrzebuję.

— Powiadam tatkowi, że nie mam żadnych pieniędzy. Proszę się spytać pana sędziego.

— Dobrze, zapytam się. Gadaj zaraz: ile masz w kieszeni?

— Mam tylko dolara, potrzebny mi...

— Mało mnie to obchodzi. Dawaj go zaraz.

Spróbowawszy w zębach dolara, powiedział, że pójdzie do miasteczka po wódkę, której jakoby tego dnia nie miał w ustach, i wyszedł przez okno.

Po dobrej chwili, gdy już byłem pewny, że go nie ma, wsadził głowę do pokoju, wołając:

— A pamiętaj, co ci mówiłem, żebyś się nie kręcił koło szkoły.

Nazajutrz poszedł pijany do sędziego, żeby odebrać moje pieniądze. Spotkawszy się z odmową, zaprzysiągł zemstę i sądowne dochodzenie owych pieniędzy.

Sędzia i wdowa podali prośbę do sądu o odebranie mnie ojcu i ustanowienie opiekuna. Ale gdy przybył nowy sędzia, który nie znał tatka i nikogo w mieście, nie pozwolił na rozłączenie mnie z ojcem.

Pod ciągłą groźbą ojca pożyczyłem od sędziego Thatchera trzy dolary, za które, upiwszy się, takich narobił awantur w mieście, że go wreszcie wsadzili do kozy[107] na tydzień.

Tymczasem nowy sędzia postanowił zająć się ojcem. Wziął go do swego domu, ubrał czysto od stóp do głowy, sadzał do stołu ze swą rodziną i był dla niego prawdziwym dobrodziejem. Po wieczerzy rozmawiał z nim o wstrzemięźliwości, o poprawie, a tak pięknie, że stary, płacząc, przeklinał swoją głupotę i solennie przyrzekał rozpocząć uczciwy żywot, byleby mu sędzia nie odmawiał swojej pomocy. Sędzia, słysząc te słowa, ściskał tatka jak brata i płakał nad nim razem z całą swoją rodziną. Gdy przyszła pora spoczynku, stary mój, powstawszy z krzesła, wzniósł rękę do góry i prawił:

— Spojrzyjcie na tę rękę, szanowni państwo. Weźcie tę rękę w swoje dłonie, uściśnijcie ją. Była to ręka ostatniej świni, ale nią nie jest i nigdy nie będzie, dziś ona należy do człowieka, który rozpoczął nowe życie i bodajbym nie ruszył się z tego miejsca, jeśli powrócę do dawnego. Zapamiętajcie sobie te słowa, szanowni państwo! Nie zapominajcie, że z ust moich wyszły. Nie lękajcie się dotknąć tej ręki, bo ona już czysta.

Więc kto był w pokoju, ściskał rękę tatka, a żona sędziego to ją nawet pocałowała. Wreszcie mój stary podpisał znakiem przyrzeczenie, że będzie innym człowiekiem. Sędzia mówił, że nie pamięta uroczystszej chwili w swoim życiu. Gdy stary przeszedł do pokoju, w którym zwykle nocowali najprzedniejsi[108] goście, w nocy, poczuwszy widać straszne pragnienie, spuścił się z okna po filarze ganku, poszedł do szynku[109] i oddał nowy surdut za flaszkę wódki. Wróciwszy z dzbankiem, pił co się zowie. Spuszczając się nad ranem, pijaniusieńki, po filarze, spadł, złamał lewe ramię w dwóch miejscach i leżał w śniegu na wpół umarły.

---

[106] *wygarbować komuś skórę* — pobić kogoś. [przypis edytorski]

[107] *koza* — więzienie, areszt. [przypis edytorski]

[108] *najprzedniejszy* (daw.) — najlepszy. [przypis edytorski]

[109] *szynk* (daw.) — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

Sędzia, wziąwszy ponoć do serca tę historię z moim starym, miał się odezwać, że takiego człowieka poprawić może tylko kula karabinowa.

ROZDZIAŁ VI



Tatko bierze się do sędziego Thatchera. — Huck w ręku tatka. — Tatko używa...

Wyzdrowiawszy, tatko zaraz pozwał sędziego Thatchera o pieniądze. Wziął się także i do mnie za chodzenie do szkoły, lecz choć mnie wytłukł parę razy, uczyłem się. Dawniej nic mnie do szkoły nie ciągnęło, ale teraz chodziłem do niej na złość tatkowi. Sprawa w sądzie ciągnęła się bardzo powoli, więc od czasu do czasu udawało mi się brać od sędziego Thatchera po parę dolarów, żeby uniknąć garbowania skóry. Ile razy tatko wziął pieniądze, zawsze się upijał i awantury opłacał kozą.

Gdy zaś wdowa zabraniała mu wtrącać się do mnie, pewnego dnia, na wiosnę, chwyciwszy mnie, wsadził w czółno[110] i popłynął na drugą stronę rzeki, do lesistego brzegu stanu Illinois, gdzie nie było domów, tylko stara, drewniana buda, a las taki gęsty, że kto go nie znał, musiał w nim błądzić. Cały czas trzymał mnie przy sobie. Tak mnie pilnował, że nie było sposobności do ucieczki. Mieszkaliśmy w tej starej budzie, którą tatko zamykał na klucz, chowając go zawsze pod poduszkę. Miał też i strzelbę, pewnie skradzioną, więc polowaliśmy i łowiliśmy ryby, żyjąc zdobyczą. Od czasu do czasu tatko, zamknąwszy mnie, szedł do sklepu odległego stamtąd o trzy mile, żeby zwierzynę i ryby wymienić na wódkę, którą przynosił do domu. Wówczas upijał się i bił mnie. Wdowa wywiedziała[111] się jakoś, gdzie ja jestem, i przysłała po mnie człowieka. Ale tatko zagroził mi śmiercią i zostałem. Po jakimś czasie przywykłem do naszego życia, polubiłem je nawet i byłoby mi nieźle, gdyby nie to garbowanie mej skóry. Dziecko, Ojciec

Żadnej roboty, zupełna swoboda, bo to cały dzień leżysz z fajeczką w ustach lub z wędką w dłoni; książki i lekcji ani na lekarstwo. Po dwu miesiącach ubranie moje rozleciało się w strzępy i zapomniałem nawet, jak to się żyło u wdowy.

Ale gdy tatko coraz częściej brał się do kija, wcale mi się to nie podobało, gdyż byłem pokryty siniakami. O ile zaś wychodził na dłużej, musiałem siedzieć zamknięty, raz nawet przez całe trzy dni. To mnie dręczyło. Byłem pewny, że się utopił, że zostanę w swoim zamknięciu. Brał mnie wielki strach.

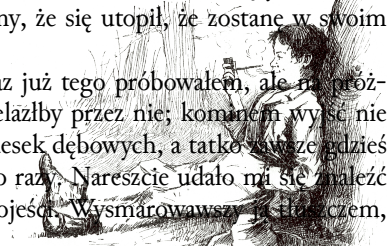

Postanowiłem więc wydostać się z budy. Nieraz już tego próbowałem, ale na próżno. Okienko było tak małe, że i szczeniak nie przelazłby przez nie; kominem wyjść nie mogłem, bo wąski, drzwi zaś były zbite z grubych desek dębowych, a tatko zawsze gdzieś chował wszelkie narzędzia, których szukałem ze sto razy. Nareszcie udało mi się znaleźć w wiązaniach dachu starą, zardzewiałą piłę bez rękojeści. Wysmarowawszy ją błotem, zabrałem się zaraz do roboty.

Do jednej ściany, przy której mieliśmy stół, przybita była spadająca do ziemi zużyta dera końska[112], dla zabezpieczenia od wiatru świecy, która zawsze stała w tym miejscu. Wlazłszy więc pod stół, uniosłem derę i zacząłem w pierwszej belce od dołu wypiłowywać otwór tak wielki, żebym się mógł przez niego wydobyć. Ciężka to była robota i szła powoli, lecz gdy już zbliżała się ku końcowi, silny wystrzał zapowiedział przybycie tatka. Uprzątnąwszy ślady swej pracy, spuściłem derę i schowałem piłę. Po chwili wszedł tatko.

Będąc w złym humorze, jak zazwyczaj, powiedział, że ma nadzieję wygrać proces, ale nieprędko, bo sędzia Thatcher działa na zwłokę. Mówił też, że sąd po raz drugi ma wyrokować w sprawie wyznaczenia wdowy moją opiekunką i że zapewne tym razem wdowa zwycięży. Co prawda nie miałem już najmniejszej ochoty wracać do niej po to, żeby się, jak mówiła, „cywilizować". Następnie tatko zaczął przeklinać wszystkich ludzi znanych i nieznanych.

— Chciałbym widzieć — mówił — jak cię to wdowa teraz odbierze. Będę stał na czatach bez ustanku, a gdybym spostrzegł, że chcą cię wykraść, znajdę inne miejsce, w którym cię do śmierci nikt nie znajdzie.

Zaniepokojony tymi słowami, postanowiłem nie czekać, aż stary spełni swój zamiar.

---

[110] *czółno* — łódź wydrążona z jednego pnia. [przypis edytorski]
[111] *wywiedzieć się* — dowiedzieć się czegoś potajemnie, wypytać o coś. [przypis edytorski]
[112] *dera końska* — gruby materiał kładziony pod siodło; rodzaj koca. [przypis edytorski]

Tatko posłał mnie do łodzi po przywiezione sprawunki. Był tam worek mąki, połeć[113] słoniny, proch i naboje, garncowy[114] gąsior[115] wódki, trochę bielizny, a przy tym jakaś stara książka i dwa numery gazety, w którą był owinięty połeć. Zabrałem, ile mogłem unieść, a wróciwszy po resztę, usiadłem w łodzi i tak myślę: gdy będę uciekał, zabrawszy strzelbę i trochę bielizny, pójdę w las, nigdzie się nie zatrzymując. Co w dzień upoluję, zjem w nocy, byleby odejść tak daleko, żeby ani tatko, ani wdowa nigdy na mój ślad nie mogli wpaść. Jeżeli tatko upije się dzisiaj aż do utraty przytomności, a pewien byłem, że to zrobi, skończę swój otwór jeszcze tej nocy i ucieknę.

Alkohol

Gdy zaniosłem do budy resztę sprawunków, było już ciemno. Podczas gotowania wieczerzy tatko pociągał z butelki, a w miarę jak pił coraz więcej, swoim obyczajem wymyślał na rząd.

— I to się nazywa rząd! Ładne prawo, nie ma co mówić... Odbierać ojcu rodzonego syna, którego wychowanie kosztowało tyle trudu, starań i kosztów. I kiedy syn już się odchował, kiedy dziś lub jutro zacznie pracować i zarabiać, żeby odwdzięczyć się ojcu, to prawo każe mu wtedy odebrać syna. I to ma być prawo. Nie koniec na tym! Prawo przyznaje słuszność temu Thatcherowi i pozwala na przetrzymanie mojej własności. Tak czyni prawo! Prawo bierze człowieka posiadającego sześć tysięcy dolarowej góry i pakuje go do takiej budy, i każe mu pokazywać się ludziom w ubraniu, którego nie chciałby nosić wieprz... Powiadają, że jest rząd! A dlaczegóż dzieje mi się taka krzywda? Albo to ja pod tym rządem dojść mogę swoich praw? Czasem myślę, że najlepiej bym zrobił, rzucając ten kraj raz na zawsze. A tak! Powiedziałem to nawet Thatcherowi w żywe oczy. Nie on jeden mnie słyszał, wszyscy słyszeli i wszyscy zaświadczyć mogą. Powiedziałem tak: „Zobaczycie, czy ja nie rzucę tego przeklętego kraju na zawsze. Patrzcie na mój kapelusz, jeśli to można zwać kapeluszem. To nie kapelusz, jak się patrzy, sprawiedliwe nakrycie głowy, to dziura od komina, z której wygląda moja głowa. Patrzcie — powiadam — i to ja, jeden z najbogatszych ludzi (gdyby mi oddano, co moje), muszę nosić taki kapelusz! O tak, rząd przecudowny!". Posłuchajcie tylko, co się dzieje. Przyjechał tu wolny Czarny z Ohio, Mulat, miał białą skórę, bielusieńką jak śnieg koszulę i świecący jak lustro kapelusz. W naszym całym mieście nie znalazłby większego eleganta. I miał złoty zegarek, z łańcuszkiem, i srebrną gałkę u laski. No bogacz co się zowie, pan całą gębą. No i cóż? Powiadali, że to profesor w kolegium, że mówi wszystkimi językami, że wszystko umie. Ale nie koniec na tym. Powiadali, że on tam u siebie w swoim stanie ma prawo... głosować. Tego to już nadto. Do czego to dojdzie, myślę sobie. A był to właśnie dzień wyborów. I ja miałem także dać swój głos, jeżeli się nie upiję i nie padnę po drodze, ale kiedy mi powiedziano, że jest taki stan, w którym Czarny ma prawo głosować, nie poszedłem i nie będę głosował, póki życia! Słowo w słowo tak, wszyscy słyszeli: „Niech kraj przepada, ja nawet nie ruszę palcem, póki życia!". A trzeba było widzieć minę tego Czarnego. Cóż powiecie? Nie ustąpił mi z drogi, póki go na bok nie zepchnąłem. Mówię ja do ludzi: „Chciałbym wiedzieć, dlaczego ten Czarny jest niesprzedany?". I cóż mi odpowiedziano, jak myślicie? Że prawo nie pozwala go sprzedawać, dopóki nie przesiedzi u nas przez pół roku. I to jest rząd, który nie ma prawa sprzedawać wolnego Czarnego, kiedy zechce. Nazywają go rządem, a musi czekać sześć miesięcy, zanim położy rękę na takim urwipołciu[116] w białej koszuli!

Pogarda, Prawo, Rasizm

Tatko rozprawiał i rozprawiał, słaniając się po izdebce, ale że nie bardzo pewnie stał na nogach, więc przewrócił się i wpadł głową w kadź[117] z solonym mięsem. Bardzo się stłukł, więc klął siarczyście to Czarnego, to rząd, a wreszcie wymyślał kadzi, którą też kopnął, aż zadudniła. Na nieszczęście zrobił to butem, z którego wyglądały dwa palce. Jak nie zacznie krzyczeć i znów kląć w żywe kamienie[118]! Sam potem mówił, że jeszcze nigdy słowa nie płynęły mu z taką łatwością. Był u nas pewien Sowberry, który słynął z klątw

Pijaństwo

[113]*połeć* — duży kawałek. [przypis edytorski]
[114]*garniec* — daw. jednostka objętości ciał płynnych i sypkich, w XIX w. wynosiła ok. 4 litry. [przypis edytorski]
[115]*gąsior* — pękata butla z wąską szyjką. [przypis edytorski]
[116]*urwipołeć* — urwis. [przypis edytorski]
[117]*kadź* — duże naczynie wykorzystywane w gospodarstwie domowym. [przypis edytorski]
[118]*kląć w żywe kamienie* — kląć bardzo dosadnie. [przypis edytorski]

i wymyślań; tatko utrzymywał, że go w tym dniu prześcignął. Może, ale ja sądzę, że to przechwałki.

Po kolacji znów chwycił za flaszkę, mówiąc, że dosyć w niej wódki na dwa upicia. Myślałem, że za godzinę będzie gotów, a ja wówczas wykradnę mu klucz lub wyrżnę otwór. Pił i popijał, aż w końcu upadł na posłanie. Niestety, nie usnął mocno, lecz tylko niespokojnie drzemał, jęczał, stękał, rzucał się na wszystkie strony. Zmęczony oczekiwaniem, zasnąłem twardo, zostawiając niezgaszoną świecę.

Jak długo spałem, tego nie wiem, lecz nagle zerwałem się na równe nogi, słysząc jakiś okropny wrzask. Patrzę, aż tu tatko, całkiem nieprzytomny, rzuca się po izbie, krzycząc:

— Węże! Węże!

W przywidzeniu, że je ma przy swoich nogach, otrząsał się [illegible] krzycząc, że go jeden ukłuł w policzek. Ja jednak nie widziałem żadnego węża. Potem znów zaczął biegać naokoło izby, krzycząc:

— Zrzuć go! Zrzuć! I w kark mnie ugryzł!



Nigdy nie widziałem u człowieka takich strasznych oczu jak wtedy u tatka. Niebawem zmęczył się i upadł na ziemię zadyszany, ale zamiast spokojnie leżeć, kopał nogami, kułakował[119], taczał się po całej podłodze, krzycząc, że diabeł go trzyma. Dopiero wyczerpany leżał spokojnie i jęczał. Po chwili umilkł zupełnie i tylko wycie wilków w lesie i hukanie sów przejmowało mnie dreszczem. Wkrótce tatko, wsparty na łokciu, przysłuchiwał się czemuś.

— Huup! Huup... huup... To umarli idą... Huup... huup... huup... Po mnie idą... Ale ja... nie pójdę. Hu! Przyszli... Już są... Nie dotykać mnie... Precz z rękami... zimne... Puszczajcie... A-a-a-a! Puśćcie mnie biednego...

Stanął na czworakach, a czołgając się, prosił, by go puścili; potem zawinął głowę w kołdrę i wsunął się pod stół, wrzeszcząc: „puszczajcie!", a przez kołdrę słychać było jego szlochanie!

Po jakimś czasie, stanąwszy na równe nogi, nieprzytomny i dziki rzucił się na mnie. Uciekałem, a on mnie gonił po całej izbie, ściskając w ręku mały, składany nożyk, ostry jak brzytwa; nazywając mnie aniołem śmierci, krzyczał, że gdy ja zginę, to już nie przyjdą po niego. Perswadowałem mu, że to ja, Huck, ale on ze śmiechem podobnym do zgrzytania piły krzyczał, klął i gonił za mną. Lecz gdy zawróciwszy na miejscu, przemknąłem mu się pod ramieniem, schwycił mnie za kurtkę w plecach... i byłem pewny, że już po mnie. Na szczęście wysunąłem się z kurtki i to mnie zbawiło. Niebawem sił mu zabrakło, upadł na podłogę, włożył nóż pod siebie i siedział oparty plecami o drzwi, mówiąc, że gdy odpocznie, zabije mnie.

Gdy szybko zasnął, wziąwszy nasze jedyne krzesło, z przedziurawionym siedzeniem, stanąłem na nim najostrożniej, żeby zdjąć ze ściany strzelbę. Przekonawszy się, że jest nabita, położyłem ją w poprzek pudła, w którym trzymaliśmy rzepę, lufą na wprost twarzy tatka. Następnie, usiadłszy za pudłem, czekałem, czy się nie zbudzi. Ach, jak wolno, jak ciężko płynęły godziny tej nocy!

ROZDZIAŁ VII

Jakiś człowiek. — Zamknięty. — Przygotowania do podróży. — Ułożenie i wykonanie planu. — Odpoczynek.

— Wsta-a-waj! Co sobie myślisz!

Otworzywszy oczy, spojrzałem dokoła, starając się przypomnieć sobie, gdzie jestem. Słońce stało już wysoko, długo więc musiałem spać. Tatko stał nade mną i wyglądał zarówno na człowieka w złym humorze, jak i na chorego. Powiada do mnie:

— A ty co robisz z tą strzelbą?

Przypuszczając, że nie pamięta, co wyrabiał w nocy, odpowiadam:

— Ktoś tu próbował wejść, więc miałem broń w pogotowiu.

— Czemu mnie nie obudziłeś?

— Próbowałem, ale nie mogłem.

[119] *kułakować* — bić, okładać pięściami. [przypis edytorski]

— Hm! No dobrze... Idź no zobacz, czy nie ma rybek na haczykach... Z wieczora założyłem wędki... Ja także wyjdę, lecz nie na długo.

Gdy otworzył drzwi, pobiegłem prosto nad rzekę. Woda niosła gałęzie, spore odłamy kory, oderwane kępki nadbrzeżnej ziemi, widocznie rzeka przybierała. Czemu ja teraz nie jestem w mieście! Miałbym używanie co się zowie. Czerwcowy przybór zawsze dawał mi zdobycz. Niech tylko woda przybierze, zaraz niesie drzewo różnej wielkości. Łapało się nieraz i po kilkanaście bali razem zbitych.

Idąc brzegiem, to bacznie śledziłem ojca, to spoglądałem na powierzchnię rzeki. Patrzę, aż tu płynie jak łabędź prześliczna łódź, ze trzynaście do czternastu stóp długa. Jak żaba skoczyłem z brzegu do wody i za chwilę siedziałem w łodzi. Gdy dopłynąłem do brzegu, tatka jeszcze nie było. Kierując łódź w stronę niewielkiej zatoki, zacienionej brzozami i dzikim winem, postanowiłem dobrze schować swą zdobycz, a gdy przyjdzie chwila ucieczki, popłynąć sobie z jakieś pięćdziesiąt mil w dół rzeki i przybić do miejsca, które już znam... Będzie mi wygodniej niż pieszo.

Zatoczka była w pobliżu budy, więc ciągle mi się wydawało, że słyszę tatka. Ledwie żem po ukryciu łodzi na brzeg wyskoczył, patrzę, a tatko stojąc na ścieżce, celuje do jakiegoś ptaka. Nie widział ani mnie, ani łodzi.

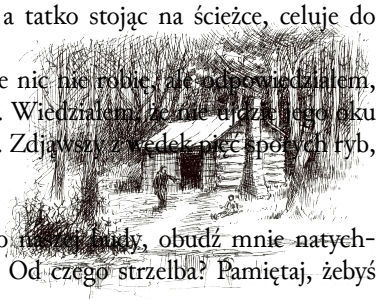

Gdy się zrównaliśmy, zwymyślał mnie trochę, że nic nie robię, ale odpowiedziałem, że wpadłem w rzekę i dlatego nie obejrzałem wędek. Wiedziałem, że nie ujdzie jego oku moje zmoczone ubranie i że zaraz zapyta o przyczynę. Zdjąwszy z wędek parę sporych ryb, poszliśmy zaraz na śniadanie.

Tatko, posiliwszy się, rzekł do mnie:

— Jeżeli ten jakiś człowiek przyjdzie jeszcze do naszej budy, obudź mnie natychmiast... Rozumiesz? On pewno coś złego zamierza. Od czego strzelba? Pamiętaj, żebyś mnie zbudził!

To mówiąc, zasnął, ale właśnie to, co powiedział, nasunęło mi pomysł.

Wstawszy około południa, poszliśmy z tatkiem na brzeg rzeki. Woda płynęła wartkim prądem, niosąc na wezbranej fali mnóstwo drzewa. Patrzymy, aż tu nadpływa dziewięć bali spojonych w tratwę. Podpłynęliśmy ku nim czółenkiem i przyciągnęliśmy do brzegu. Potem obiad. Każdy oprócz tatka byłby tu już przeczekał cały dzień, pilnując, czy czego więcej nie złowi; ale tatko nie jest taki. Dosyć mu było na dziś dziewięciu bali; śpieszył do miasta, żeby je sprzedać. Zamknął mnie więc i wsiadłszy w swoje czółenko, do którego przywiązał bale, około wpół do trzeciej popłynął do miasta. Pewien byłem, że nie powróci tej nocy. Czekałem, dopóki nie domyśliłem się, że jest daleko, a potem, wydobywszy z ukrycia piłę, znów się zabrałem do roboty. Zanim tatko przepłynął rzekę, ja już wyszedłem z budy; on i jego tratwa wyglądali jak ciemna plama, w oddali niknąca na wodzie.

Wziąwszy worek z mąką, zaniosłem go do łodzi, a następnie uczyniłem to samo ze słoniną, z butelką whisky, z cukrem, kawą i amunicją. Potem wziąłem jeszcze materac, poduszkę, kołdrę, wiadro, naczyńko z wydrążonej tykwy do picia, blaszany kubek, swoją starą piłę, dwa prześcieradła, imbryczek do kawy, mały kociołek, wędki, zapałki i mnóstwo innych drobiazgów, o ile tylko miały jakąś wartość. Wyniosłem wszystko do czysta. Miałem apetyt i na siekierę, lecz tylko jedna była przy stosie drzewa na opał, musiałem ją więc zostawić z poważnych przyczyn. Zabrawszy na koniec strzelbę, byłem już gotów do drogi.

Przeciągnąwszy przez otwór w ścianie tyle rzeczy, wydeptałem gładziuteńką ścieżkę, którą dla zatarcia śladów starannie zasypałem. Potem wprawiwszy w ścianę wypiłowany kawałek, podparłem go trzema kamieniami, żeby nie wypadł, bo ściana trochę się w tym miejscu wypaczyła.

Reszta mojej drogi do łodzi zarastała rzadką, króciutką, twardą trawą, na której nie został żaden ślad. Wziąwszy strzelbę, poszedłem do lasu, żeby upolować parę ptaków, aż tu spostrzegłem sporego wieprzka, który uciekłszy pewno z folwarku, zdziczał zupełnie, co u nas zdarza się często. Zabiłem go i przyniosłem do domu.

Wreszcie porwałem siekierę i dalejże walić we drzwi, aż drzazgi lecą. Zrąbawszy drzwi co się zowie, zaniosłem wieprzka do izby, położyłem go przy samym stole, wbiłem mu siekierę w gardło i zostawiłem tak, żeby naciekło krwi na ziemię. Następnie wziąwszy stary worek, napchałem w niego kamieni, unurzałem we krwi i wlokłem za sobą, od miejsca,

gdzie leżał wieprzek, aż do rzeki. Tam go wrzuciłem i zaraz poszedł na dno. Szkoda, że nie było przy tym Tomka Sawyera, bo on bardzo się zapala do wszystkiego, co wymaga trochę wyobraźni i pomysłowości.

Załatwiwszy się z workiem, wyrwałem sobie trochę włosów, przylepiłem je do zakrwawionej siekiery, którą wreszcie rzuciłem w kąt. Wtedy dopiero podniosłem z ziemi wieprzka, wziąłem go, jak dziecko, na ramiona, otuliłem połami ubrania, żeby krew z niego nie kapała, i poniosłem ku rzece. Wyjąwszy z łodzi worek z mąką, zaniosłem go z powrotem do domu i, podziurawionego piłą, postawiłem na zwykłym miejscu. Na koniec powlokłem dziurawy worek po trawie w zupełnie przeciwną stronę, do niewielkiego jeziorka, zarosłego trzciną i szuwarem. Bywało tam pełno cyranek[120] i różnego ptactwa wodnego. Z tamtej strony jeziorka wypływał strumyk, który płynął, nie wiem już gdzie, ale z pewnością nie wpadał do naszej rzeki.

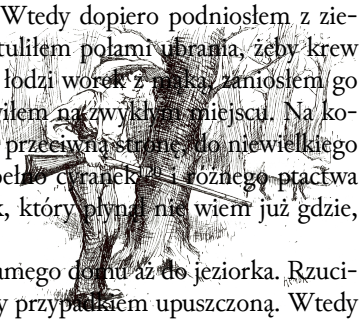

Mąka, sypiąc się przez dziurę, ubieliła ścieżkę od samego domu aż do jeziorka. Rzuciłem tam jeszcze tatka osełkę do ostrzenia nożyka, niby przypadkiem upuszczoną. Wtedy dopiero, zebrawszy brzegi dziur i związawszy je sznurkiem, razem z piłą odniosłem do łodzi.

Tymczasem już się ściemniło: wyprowadziwszy więc łódź z zatoczki, zatrzymałem się w cieniu drzew u brzegu z zamiarem czekania na księżyc. Dla bezpieczeństwa uwiązałem nawet łódź u drzewa, a sam, podjadłszy trochę, zapaliłem fajeczkę i usiadłem w łodzi dla obmyślenia dalszego planu.

Szukając mnie, będą szli do brzegu po śladzie zakrwawionego worka z kamieniami. Na trawie zgubią ślad, lecz znajdą drugi, usypany mąką, a prowadzący do jeziorka. Pomyślą więc: „Aha! Był tu rozbójnik. Chłopca zabił, zabrał, co się dało, a przez jezioro uciekł strumykiem". Nie znalazłszy moich zwłok w rzece, dadzą spokój poszukiwaniom. Doskonale, mogę teraz robić, co chcę, i płynąć, gdzie mi się podoba.

Popłynę sobie na Jackson's Island[121], tam mi będzie dobrze. Całą wysepkę znam na wylot; wiem, że nikt tam nie bywa. Nocami mogę robić wycieczki do miasta, pomyszkować to tu, to tam i zdobyć, co mi potrzebne. Tak! Nie ma dla mnie lepszego schronienia, płynę na Jackson's Island!

Okrutnie zmęczony, sam nie wiem, kiedy zasnąłem. Obudziwszy się, nie mogłem zdać sobie na razie sprawy, gdzie jestem: usiadłem więc i rozglądałem się naokoło, wszystko mi się wydawało dziwne i straszne. Jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko woda i woda. Księżyc świecił tak jasno, że mogłem policzyć, z ilu bali składa się tratwa, płynąca równo, cicho i prędko środkiem rzeki.

Przeciągnąwszy się raz i drugi, miałem już odwiązać łódź i popłynąć, gdy usłyszałem gdzieś w oddali na rzece majaczenie niewyraźnych głosów. Po jakiejś chwili rozległy się głuche, ale wyraźniejsze, miarowe uderzenia wioseł. Wyjrzawszy ostrożnie przez gałęzie, widzę, że od przeciwnego brzegu duża, piękna łódź podpływa ku mnie coraz bliżej. Kto tam wie, ilu jest na niej ludzi? Dużo unieść by mogła... Gdy prawie zrównała się ze mną, dojrzałem tylko jednego wioślarza. Może tatko? — myślę, choć nie przypuszczałem, żeby on. Zatrzymawszy się o kilkadziesiąt kroków ode mnie, ze środka rzeki skręca do brzegu... Już jest tak blisko, że końcem lufy mógłbym dotknąć wioślarza... To tatko! Z pewnością on! Nie dostrzegł mnie, ale trzeźwy zupełnie, widać to ze sposobu wiosłowania i z całej postawy.

Nie traciłem więc czasu. Po paru minutach płynę już cichutko w dół rzeki, trzymając się ciągle zacienionego brzegu. Gdy przebyłem z półtrzeciej[122] mili, popchnąłem się ku środkowi rzeki, wiedząc, że niezadługo napotkam łódź przewozową, przed ranem płynącą do miasta. Ułożywszy się na dnie czółna, pozwoliłem mu płynąć z wodą wśród drzew unoszonych przez fale.

Paląc fajkę, patrzyłem na niebo bez jednej chmurki. Jak też ono głębokie się zdaje, gdy na wznak leżąc, patrzysz w nie wśród jasnej nocy księżycowej! Nie wiedziałem o tym dotychczas. A jak daleko głos się rozchodzi w takie noce! Wybornie słyszałem słowa ludzi płynących do miasta na targ. Ktoś mówił, że dnia już przybyło, a noce krótsze; ktoś inny odpowiedział, że ta noc do krótkich nie należy. Dowcipkując, śmiali się wszyscy. Łódź

[120] *cyranka* — ptak wodny podobny do kaczki. [przypis edytorski]
[121] *Jackson's Island* — wyspa na rzece Missisipi, w stanie Missouri. [przypis edytorski]
[122] *półtrzeciej* — dwie i pół. [przypis edytorski]

oddalała się z każdą chwilą i już nie mogłem dosłyszeć słów, lecz tylko coraz niewyraźniejsze głosy.

Woda niosła mnie ciągle i doniosła. Podnoszę się, patrzę: przede mną Jackson's Island o jakieś dwie mile (angielskie) w bok od głównego prądu rzeki. Stoi na wodzie, starodrzewu pełna, ciemna, wielka, podobna do parowca bez świateł. Jej brzeg ostro wrzyna się w wodę, ale teraz nie widać występu: cały zalany.

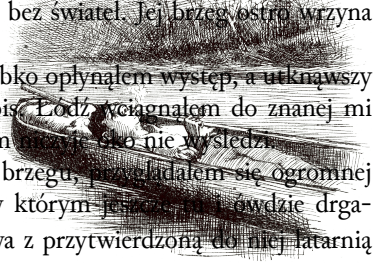

Wkrótce byłem na wyspie. Niesiony prądem, szybko opłynąłem występ, a utknąwszy na mieliźnie, wylądowałem naprzeciw brzegu Illinois. Łódź wciągnąłem do znanej mi zatoczki, tak ukrytej wśród bujnych drzew, że jej tam nawet oko nie wyśledzi.

Usiadłszy na kłodzie leżącej na stromo ściętym brzegu, przyglądałem się ogromnej rzece i położonemu o trzy mile stamtąd miastu, w którym jeszcze gdzie gdzie drgały światełka. Środkiem rzeki płynęła ogromna tratwa z przytwierdzoną do niej latarnią i usłyszałem wyraźnie jakiś głos:

— Hej, tam! Brać się na prawo! Nie zawadzić o brzeg wysepki!

Prawie o świcie poszedłem pomiędzy drzewa, żeby przedrzemać się trochę przed śniadaniem.

ROZDZIAŁ VIII

Sen w lesie. — Szukanie zwłok. — Baczność! — Zwiedzam wyspę. — Spotkanie z Jimem. — Ucieczka Jima. — Znaki. — Balaam.

Słońce stało już wysoko, gdy się obudziłem, musiała być ósma godzina. Leżąc na trawie pośród gęstych drzew, zadowolony i spokojny, myślałem o różnych rzeczach. Złote cętki, jakby przesiane przez gęstwinę liści, poruszając się na trawie, podskakiwały, zmieniały co chwila miejsce, jakby zdradzały istnienie wietrzyka tam w górze, ponad gęstym sklepieniem drzew. Wiewiórki siedziały na gałęziach, spoglądając na mnie przyjaźnie.

Trup, Rzeka

Było mi tak dobrze, że nie miałem ochoty myśleć o śniadaniu. Zdrzemnąwszy się znów, usłyszałem we śnie głuche a potężne: „bu-um-m!" daleko gdzieś, w górze rzeki. Podnoszę się, wspieram na łokciu i nasłuchuję; po chwili znów słyszę: „bu-um-m!". Wstaję więc, rozgarniam liście i patrzę: nad wodą wije się kłąb dymu, środkiem rzeki płynie znana mi łódź przewozowa, pełna ludzi. Wiedziałem już, co to znaczy. Znów słyszę huk, widzę kłąb dymu i wiem, że na łodzi znajduje się mała armatka, z której strzelają tuż nad wodą, aby poruszona wystrzałem, prędzej zwłoki moje wyrzuciła.

Byłem porządnie głodny, ale nie było możliwe rozniecenie ognia, który mógłby mnie zdradzić. Siedziałem więc spokojnie, przyglądając się kłębom dymu i przysłuchując hukowi wystrzałów. Rzeka w tym miejscu była bardzo szeroka, a zresztą w pogodny, letni poranek zawsze tak ślicznie wygląda, że nie przykrzyło mi się wciąż patrzeć na poszukiwania mojego ciała, pomimo że mi głód dokuczał coraz bardziej.

Trup, Rzeka, Zabobony

Przypomniałem też sobie, że aby znaleźć zwłoki topielca, najlepiej włożyć trochę żywego srebra[123] w bochenek chleba i puścić na wodę. Będzie on płynął prościuteńko aż do miejsca, gdzie zwłoki leżą, i tam się zatrzyma. O! Myślę sobie, trzeba się mieć na baczności: a nuż do mnie przypłynie taki bochenek i zatrzyma się tu? Pobiegłem więc na brzeg od strony stanu Illinois, czy też nie widać bochenka. Jest! Płynie! Wziąwszy długi pręt, przyciągnąłem nim chleb ku sobie, lecz gdy już prawie go miałem, potknąłem się, pręt wypadł mi z ręki, a bochenek popłynął dalej.

Po niejakim czasie nadpływa drugi i tym razem powiodło mi się. Rozłamałem bochen, wyrzuciłem żywe srebro i dalejże jeść! Był wyborny, miejski, nie żaden razowiec ani też zakalcowaty placek.

Znalazłszy wyborne miejsce wśród liści, usiadłem na kłodzie i przegryzając chlebem, patrzyłem z zadowoleniem na łódź z armatą. Z pewnością wdowa, proboszcz albo ktoś inny musiał się modlić do Boga, żeby ten chleb na mnie natrafił. I tak się stało. Widocznie jest nieco prawdy w naukach wdowy o Opatrzności, o modlitwie... Tak! Gdy modli się wdowa albo proboszcz — to co innego, ale moja modlitwa nie odniosłaby skutku, który niewątpliwie zależy od tego, kto się modli: dobry czy zły.

Modlitwa

[123] *żywe srebro* (daw.) — rtęć. [przypis edytorski]

Wreszcie łódź nadpłynęła tak blisko, że doskonale widziałem siedzące w niej osoby. Tatko, sędzia Thatcher z córką Elżbietką, Józio Harper, Tomek Sawyer z ciotką Polcią i jego małym braciszkiem i inni ludzie. Rozmawiali o mnie, o dokonanym na mnie morderstwie, gdy kapitan wyrzekł:

— Proszę teraz dobrze uważać. Prąd idzie pod samym brzegiem, mogę więc wyrzucić zwłoki. Kto wie, czy się nie znajdą zaplątane gdzieś w [illegible].

Ja nie miałem tej nadziei. Wszyscy stali na pomo[illegible] oparci o poręcz, z wzrokiem wytężonym na nadbrzeżne zarośla. Mogłem wybornie ich widzieć, ale oni mnie nie widzieli. Wtem kapitan zakomenderował:

— Ognia!

I jak mi nie huknie armata nad samym uchem! Myślałem, że [illegible] ogłuchnę od huku i oślepnę od dymu. Strzelając kulami, byliby [illegible] zwłoki, za którymi tak się uganiali! Na szczęście byłem zdrów i cały. Po [illegible] łódź znikła mi z oczu. Coraz słabiej słychać było wystrzały, a po upływie godziny nie słyszałem.

Wiedząc, że teraz nikt mnie już szukać nie będzie, [illegible] z łodzi swoje graty i założyłem obóz wśród gęstwiny, zrobiwszy z prześcieradeł namiot dla ochrony od deszczu. Złowiwszy rybę i oskrobawszy ją piłą, przed zachodem rozpaliłem ogień dla przyrządzenia wieczerzy, po czym założyłem wędkę, aby mieć świeżą rybę na jutro.

Siadłszy przy ogniu z fajką, czułem się najzupełniej zadowolony. Powoli jednak ogarniał mnie strach wśród samotności, poszedłem więc na brzeg słuchać uderzeń fali, liczyć gwiazdy na niebie, a kłody i bale na wodzie, gdy zaś i to mi się sprzykrzyło, poszedłem spać. Nie ma lepszego sposobu zabicia czasu, gdy człowiekowi się przykrzy: zaśniesz i zapomnisz o wszystkim. Sen, Czas

Tak było przez trzy dni i trzy noce. Żadnej odmiany — ciągle to samo. Tyle tylko, że na drugi dzień zwiedziłem wyspę. Będąc tu panem, chciałem wszystko obejrzeć; głównie chodziło mi o zabicie czasu.

Wśród tej włóczęgi po lesie prawie doszedłem do przeciwnego brzegu swej wyspy. Miałem broń ze sobą, ale nie strzeliłem ani razu, niosłem ją tylko dla obrony w razie napaści. Idąc, nastąpiłem na węża, który uciekał, czołgając się wśród traw i kwiatów. Chcąc go zabić bez użycia strzelby, w pogoni za nim przez chwilę, niespodzianie trafiłem na jeszcze dymiące popioły ogniska, które tu ktoś rozniecił.



Serce tak mi w piersiach zakołatało, żem nie zwlekając, rozpoczął odwrót na palcach, dokonywany gwałtownie, w największym strachu.

Dotarłszy do obozowiska, jakkolwiek głodny porządnie, przeniosłem wszystkie swe rzeczy do łodzi, żeby nie zostawić żadnego śladu; zgasiłem ogień, rozrzuciłem popiół, nadając ognisku wygląd zeszłorocznego, a w końcu wszedłem na drzewo.

Po jakichś może dwu godzinach, gdy nic nie widziałem i nie słyszałem, spuściłem się z drzewa w gęstwinę i czuwałem, nic nie jedząc, prócz jagód i resztek ze śniadania.

O zmroku, popłynąwszy na wybrzeże Illinois, również jak i wyspa lesiste, zjadłem wieczerzę, zdecydowany tam spędzić noc, gdy nagle usłyszałem tętent nóg końskich i ludzkie głosy. Zebrawszy czym prędzej wszystko do łodzi, wróciłem jeszcze do lasu, żeby zobaczyć, co to za ludzie i czego chcą. Zrobiłem zaledwie kilkanaście kroków, gdy słyszę głos:

— Tu zróbmy nocleg, jeżeli się znajdzie miejsce ku temu. Konie są straszliwie pomęczone.

Nie czekając dłużej, znów popłynąłem ku wyspie z postanowieniem spędzenia nocy w łodzi.

Jednak niewiele spałem, budząc się ciągle w przekonaniu, że ktoś trzyma mnie za kark. Taki sen nie mógł mnie pokrzepić. Dopiero gdy postanowiłem dowiedzieć się, kto mieszka ze mną na wyspie, doznałem ulgi na sercu.

Odepchnąwszy trochę łódź od brzegu, płynąłem, trzymając się cienia. Księżyc świecił jasno i tam, gdzie się cień kończył, widno było jak we dnie. Płynąłem z godzinę wśród najzupełniejszej ciszy. Lekki, chłodnawy wiatr zwiastował bliskie świtanie. Opłynąwszy całą długość wyspy, wziąłem strzelbę i po długim skradaniu się brzegiem lasu, zmęczony siadłem na pniaku. Wkrótce ponad drzewami ukazuje się blada, wąska smuga jasności — brzask dnia. Z fuzją[124] na ramieniu idę w głąb lasu szukać tego miejsca, gdzie widziałem gorące jeszcze ognisko, co minuta przystając i nasłuchując. Dopiero gdy się już dobrze nachodziłem, spostrzegłem, że wśród drzew coś błyszczy niby ogień. Idę ku niemu, ostrożnie, cicho i widzę, że ktoś leży na ziemi. Aż mnie mrowie przeszło! Spoza krzaków, o kilka stóp zaledwie, wciąż patrzę. A było już wtedy prawie jasno: za chwilę miał być wschód. Po paru minutach budzi się śpiący, zrzuca kołdrę z głowy, patrzę: Jim, Czarny należący do miss Watson. To się dopiero ucieszyłem!

— Jim! — wołam na niego.

Skoczył jak oparzony i spojrzawszy na mnie błędnym wzrokiem, upadł przede mną na kolana, składając ręce jak do modlitwy.

— Nie czyń mi nic złego. Nie czyń! Jim nigdy żadnego ducha nie skrzywdził... Jim zawsze lubił umarłych, zawsze dla nich czynił, co mógł. Idź sobie, duchu, idź, wracaj do rzeki, gdzie twoje mieszkanie, staremu Jimowi nie czyń krzywdy!

Udało mi się jednak przekonać go, żem nie umarły. Ogromnie byłem rad ze spotkania z Jimem, nie czułem się już tak samotny.

— Rozpal porządny ogień, zjemy śniadanie — rzekłem do niego.

— Na co rozpalać ogień? Malin ani poziomek nie będziemy przecież gotowali? A prawda! Masz ze sobą strzelbę, może upolujemy coś lepszego.



— Jak to? Więc żyjesz tylko malinami i poziomkami?

— Nic innego nie miałem.

— Tak? Jak dawno tu jesteś?

— Przyszedłem tej samej nocy, kiedy ciebie zabili.

— I cały czas nie jadłeś nic prócz jagód?

— Ano tak.

— No to musisz być okropnie głodny?

— Zjadłbym chyba całego konia. A ty od jak dawna jesteś na tej wyspie?

— Także od tej nocy, gdy mnie zabili.

— Nie może być? Czym żyłeś? A prawda, ze strzelbą głodu nie ma. Upolujże co, a ja rozpalę ogień.

Jedzenie

Udaliśmy się więc w stronę zatoki, w której stała moja łódź, i podczas gdy Jim rozniecał ogień na małej polance wśród drzew, ja przyniosłem mąkę, słoninę, imbryczek do kawy, patelnię, cukier i dwie blaszane filiżanki. Jim patrzył na to wszystko ze zdziwieniem i ze strachem, bo myślał, że to czary. Złapała się też na wędkę wyborna ryba, Jim oskrobał ją nożem, który miał przy sobie, i usmażył.

Gdy śniadanie było gotowe, usiedliśmy wygodnie na ziemi i zajadaliśmy ze smakiem gorącą strawę, zwłaszcza Jim, który od tak dawna nie miał w ustach nic oprócz jagód. Po obfitym śniadaniu pokładliśmy się na trawie i leżymy. Po chwili Jim powiada:

— Słuchaj no, Huck, a kogoż tam zabili w waszej bandzie, skoroś ty żyw?

Opowiedziałem mu wszystko, ku jego wielkiej radości.

— A ty skąd się tu wziąłeś?

Zakłopotany milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— E! Lepiej nie mówić.

— Dlaczego?

— Mam swoje powody. Nie wydasz mnie, Huck, jeżeli ci powiem całą prawdę? Nie wydasz?

— Nie, Jim, słowo daję.

— Skoro tak, to wierzę. Słuchaj, Huck, ja... ja uciekłem.

[124] *fuzja* — broń myśliwska. [przypis edytorski]

— Jim!

— Dałeś słowo, że nie powiesz nikomu, pamiętaj, Huck, dałeś słowo.

— Prawda, dałem. Przyrzekłem, że nie powiem, i nie powiem. Niech mi tam wymyślają od abolicjonistów[125], niech mną pogardzają za to, że nie doniosłem o zbiegłym Czarnym, wszystko mi jedno: słowa dotrzymam. Zresztą, nie myślę wracać do miasta. Opowiedzże mi wszystko, jak było.

Niewola, Obyczaje, Kondycja ludzka, Prawo, Handel

— Skoro nie powiesz, to słuchaj. Było tak... Stara pani, to znaczy miss Watson, dokuczała mi ciągle, gderała, nudziła, łajała, utrzymując jednak, że za nic w świecie nie sprzedałaby mnie kupcom z Orleanu. Tymczasem zauważyłem, że jeden z tamtejszych kupców ciągle do niej zachodzi, i zacząłem być niespokojny. Wreszcie jednego wieczora wchodzę do pokoju dość późno i przez niedomknięte drzwi słyszę, jak moja pani opowiada wdowie o swym zamiarze sprzedania mnie kupcowi z Orleanu. Wdowa żądała od siostry przyrzeczenia, że zostawi mnie w domu, ale ja już nie czekałem, co będzie dalej, i uciekłem. Wybiegłszy na wzgórek ponad rzeką, widzę, stoi łódka, nikogo w niej nie ma, można by ją zabrać i uciec. Tak też i uczyniłem; że jednak było jeszcze za wcześnie, tu i ówdzie bowiem ludzie snuli się po brzegu, ukrywszy się więc w starym sklepie, pustką stojącym, przesiedziałem tam przez całą noc. Około szóstej rano zaczęły pokazywać się łodzie, później było ich mnóstwo, a na wszystkich mówiono tylko o przyjściu twego tatka z wiadomością, że cię zabito. Rozmaici panowie i panie przeprawiali się przez rzekę po to tylko, żeby zobaczyć to miejsce, gdzie zostałeś zamordowany. Drudzy znów, stojąc na brzegu w oczekiwaniu na jakąś łódź, tak głośno rozmawiali o wypadku, że z rozmowy ich dowiedziałem się wszystkiego. Okropnie mi było żal ciebie, Huck. „Biedny chłopiec — myślałem — zamordowano go!" Ale teraz, gdy się przekonałem, że żyjesz, już mi cię nie żal...

Przeleżałem tam cały dzień pod kupą wiórów, nie obawiając się poszukiwań, bo wiedziałem, że moja stara pani razem z siostrą wybierała się po śniadaniu na jakieś pobożne zebranie. Że zaś zwykle o wschodzie słońca szedłem z bydłem na pole, więc moja nieobecność rano nikogo nie zadziwiła.

Dopiero gdy się ściemniło, wyszedłszy z mego ukrycia, czym prędzej pobiegłem za miasto. Wczorajszej łodzi nie było, więc nie wiedziałem, jak uciekać. Jeżeli pójdę piechotą, psy mnie wytropią; jeżeli zabiorę czyjąś łódź, to domyślą się, że uciekłem na drugi brzeg, popłyną i tam mnie z psami wytropią. Najlepiej byłoby dostać tratwę: tratwa nie łódź — śladu żadnego nie zostawia.

Patrząc na rzekę wśród takich myśli, spostrzegłem, że środkiem płynie jakieś światło. Rzucam się więc do wody, płynę na środek rzeki i ukryty wśród drzew pędzonych przez falę czekam, aż się owo światło przybliży. Domyśliłem się, że to pewno ktoś spławia drzewo tratwą i że na niej może nie ma nikogo. Było już dobrze ciemno, więc choć światło coraz bliżej nadpływa, ja nic nie widzę, chwytam za krawędź tratwy, jednym rzutem na nią wskakuję i leżę cicho jak ryba. Aż tu widzę, na środku, tam gdzie latarnia, ruszają się ludzie. Nic to, rzeka przybiera, prąd coraz bystrzejszy, wyliczyłem więc sobie, że do czwartej rano ze dwadzieścia pięć mil upłynę. Samym świtem będę mógł zsunąć się w wodę, popłynąć na brzeg Illinois i w lesie skryć się w największej gęstwinie.

Ale nie miałem szczęścia. Równaliśmy się już prawie z wyspą, gdy jakiś człowiek z latarnią zmierza ku przodowi tratwy, tam właśnie, gdzie leżałem w cieniu szychty[126]. Widząc, że nie mam po co dłużej czekać, chlust w wodę i popłynąłem prosto na wyspę. Poszedłszy w las, dałem sobie słowo, że nigdy już nie zbliżę się do tratwy, która płynie z latarnią pośrodku. Zdradzieckie! Wziąłem ze sobą fajkę, tytoń i zapałki, które, schowane w czapce, nie zamokły; więc miałem wszystko, co trzeba.

— Czy słyszałeś, jak strzelali z armaty?

— Słyszałem, pewny, że to ciebie szukają. Mogłem ich nawet widzieć przez krzewy.

Jakieś ptaki, zupełnie młode, zjawiły się nie wiadomo skąd i nagle przed nami upadły: podlecą na łokieć[127] lub dwa, przysiądą i znów się zrywają. Jim mówił, że to wróżba deszczu, przed którym kurczęta tak samo podrywają się w górę. Chciałem złapać chociaż jednego, lecz Jim odradzał w obawie, żebym śmierci nie schwytał. Raz, gdy jego ojciec był

Zabobony, Ptak

[125] *abolicjonista* — zwolennik zniesienia niewolnictwa. [przypis edytorski]

[126] *szychta* — stos bali albo desek. [przypis edytorski]

[127] *łokieć* — daw. miara długości; ok. 57–59 cm. [przypis edytorski]

bardzo chory, a ktoś w domu złowił ptaka, babka staruszka zaraz przepowiedziała śmierć w domu. I cóż państwo powiecie? Umarł ojciec Jima.

Zabobony

Według Jima nie trzeba też liczyć rzeczy, które się bierze do gotowania, bo to sprowadza nieszczęście, i nie można również strząsać z obrusa okruchów po zachodzie słońca.

Jeżeli zaś umrze właściciel ula, a pszczoły nie będą zawiadomione o jego śmierci przed wschodem słońca, to wszystkie pomrą. Twierdził też, że pszczoła nigdy nie ukole głuptasa, ale ja w to nie wierzę, bo mnie przecież kąsać nie chciały.

O tym wszystkim i dawniej już słyszałem od Jima, który znał różne prognostyki[128].

— Skoro tyle znaków wróży nieszczęście, to chciałbym wiedzieć, czy nie ma takich, które by zapowiadały szczęście? — rzekłem do niego.

— Bardzo mało, a i te niepożyteczne — odparł Jim. — Cóż ci z tego przyjdzie, jeżeli się dowiesz, że cię spotka coś dobrego? Szczęścia nie będziesz unikał. Wszelako są takie znaki i mogę ci je zaraz wymienić. Jeżeli ci rosną włosy na ramionach i na piersiach to znak, że będziesz bogaty. No, nie ma co mówić, taki znak przyda się człowiekowi; przyjemnie wiedzieć, że choć nieprędko, ale zawsze kiedyś będą pieniądze. Bo to, widzisz, mógłbyś pod wpływem nędzy zniechęcić się do życia, może nawet je sobie odebrać, gdybyś z tego znaku nie wnosił, że będziesz kiedyś bogaty.

— A ty, Jim, czy masz także włosy na ramionach i na piersiach?

— Po co to się pytać o takie rzeczy? Widzisz przecież, że mam.

Handel, Bogactwo

— I cóż? Bogaty jesteś?

— Nie, ale byłem już raz bogaty i znów nim będę. Miałem raz czternaście dolarów, ale na spekulacji[129] wszystko straciłem.

— Na jakiej spekulacji?

— Na handlu.

— Ale na jakim? Czym handlowałeś?

— Towarem. Żywym towarem: bydłem. Dziesięć dolarów włożyłem w krowę, która mi zdechła.

— I straciłeś dziesięć dolarów.

— Nie całe dziesięć, bo wziąłem dolara i dziesięć centów za skórę.

— A zatem miałeś jeszcze pięć dolarów i dziesięć centów. Czy tymi także spekulowałeś?

[128] *prognostyk* (daw.) — wróżba. [przypis edytorski]

[129] *spekulacja* — transakcja kupna-sprzedaży zorientowana na szybki i pokaźny zysk, obarczona dużym ryzykiem. [przypis edytorski]



Interes

— Właśnie. Znasz tego kulawego Czarnego, który należy do starego pana Bradesha? Otóż ten Czarny, założywszy bank, obwieścił, że każdy, kto w nim złoży dolara, dostanie cztery w końcu roku, a może i więcej. Rzucili się więc do banku wszyscy Czarni, choć każdy miał bardzo niewiele. Otóż umieściłem w tym banku pięć dolarów, za które po roku miałem odebrać trzydzieści pięć. Tymczasem Czarny ogłosił bankructwo i pieniądze moje przepadły.

— A z dziesięcioma centami coś zrobił?

— Chciałem sobie coś za nie kupić, ale we śnie otrzymałem rozkaz oddania ich Czarnemu Balaamowi, zwanemu dla krótkości Balaamową oślicą, bo to nawet i głupowaty trochę jest. We śnie słyszę: „Daj Balaamowi dziesięć centów, a on je tak umieści, że będą ci rosły i rosły". Dobrze! Wziąwszy pieniądze, Balaam poszedł do kościoła i słyszy, jak ksiądz mówi z ambony, że kto daje ubogiemu, ten Panu daje, a Pan zwróci mu to stokrotnie. Cóż miał robić Balaam? Oddał ubogiemu dziesięć centów... No! I czekaliśmy, co z tego będzie.

— I cóż było?

— Nic nie było. Ani mnie, ani Balaamowi nikt nie dał centa. Nigdy już nie oddam pieniędzy bez dostatecznej pewności. „Za grosz — sto odbierzesz", mówił ksiądz. Od kogo? U kogo się będę upominał? Żebym choć odzyskał te dziesięć centów!

— E! Mniejsza o to. Przecież znów będziesz bogaty.

— No, prawdę rzekłszy, już jestem, sam będąc swoim właścicielem; a wartość moja to osiemset dolarów. Chciałbym posiadać te pieniądze.

ROZDZIAŁ IX

Grota. — Pływający dom. — Dobra zdobycz.

Zachciało mi się pójść w głąb wyspy, aby obejrzeć jedno miejsce, które widziałem przy jej pierwszym zwiedzaniu. Dotarliśmy tam wkrótce, bo wyspa miała co najwyżej trzy mile długości, a zaledwie ćwierć mili szerokości.

Miejsce, które sobie dobrze zapamiętałem, to był dość długi i bardzo stromy pagórek, rodzaj wału wysokiego na czterdzieści stóp. Niełatwo nam przyszło wdrapać się na przełęcz, tak boki były spadziste i tak gęsto zarosłe różną krzewiną. Obejrzeliśmy jednak dokładnie sam grzbiet i boki i na tym od strony Illinois, pod samym prawie wierzchołkiem, znaleźliśmy przestronną grotę. Obszerna jak trzy pokoje razem wzięte, a tak wysoka, że Jim, chłop dobrego wzrostu, mógł w niej stanąć wyprostowany. Chłodno tam było, ale sucho. Jim radził, ażeby tu poznosić nasze rzeczy, lecz ja się opierałem temu, nie chcąc ciągle włazić na górę i schodzić z niej.

Jim był zdania, że gdybyśmy ukrywszy łódkę, rzeczy nasze znieśli do groty, mielibyśmy schronisko przed deszczem i przed ludźmi.

Więc niezadługo nastąpiły nasze przenosiny. Na haczykach wędek, wczoraj założonych, znalazły się ryby, zdjąłem je, nastawiłem znów wędki, a zdobycz ugotowałem na obiad.

Wejście do groty zakrywały zarośla, lecz ponad nimi znajdował się niewielki otwór, a tuż pod nim płaskie, równe wzniesienie, jakby przeznaczone umyślnie do rozpalania ognia. Tam też zrobiliśmy ognisko, żeby ugotować obiad.



Kołdry rozłożyliśmy na ziemi jak dywany, prześcieradło służyło za obrus i obiad odbył się z paradą. Niebawem zaczęło grzmieć i błyskać; ptaszki więc prawdę powiedziały. Po chwili padał ulewny deszcz, lało jak z cebra, zerwał się potężny wiatr, z całą siłą szalała letnia burza. Było tak chmurno, że powietrze miało ciemnoszafirowy kolor, bardzo piękny, a deszcz lał takimi strugami, że drzewa stojące o kilka kroków wyglądały jakby w obłoku, jakby całe otulone pajęczyną. Z podmuchem wiatru drzewa gną się aż do ziemi, tak że widać spód liści, jaśniejszy i bledszy, a gałęzie tak się wiją i wyginają, jakby ktoś ręce łamał z rozpaczy. Za chwilę, gdy najciemniej i najbłękitniej dookoła, nagle wytryska taka jasność, że wszystko zbieleje od razu i widzisz, jak tam, daleko gdzieś o sto łokci czy dalej, drzewa zamiatają ziemię wierzchołkami, rozrzucając gałęzie na wszystkie strony... I znów za chwilę noc, czarna jak grzech, i znów słyszysz grzmot, ze strasznym łoskotem, hukiem, rykiem toczy się po niebie i spada na tamtą stronę świata, jakby ktoś próżne kufy[130] toczył po schodach wysokich a spadzistych. Burza

— Jakie to piękne, Jim — powiadam. — Cieszę się, że tu jestem. Daj no mi jeszcze kawałek ryby i podpłomyk.

— A widzisz! Nie byłbyś tu, gdyby nie Jim. Siedziałbyś w lesie pod drzewem i nie miałbyś gorącego obiadu, i przemókłbyś do suchej nitki. Może nieprawdę mówię, co? Kurczęta wiedzą, kiedy ma być deszcz, i wiedzą także małe ptaszki. Pamiętaj o tym, kotku... Zwierzę

Przez przeszło dziesięć dni woda przybierała, aż nareszcie wyszła z łożyska. Niższa część wyspy, a głównie cały brzeg leżący naprzeciw Illinois stał pod wodą głęboką na kilka stóp. Z tej strony, jak okiem sięgnąć, wszędzie woda, ale na przeciwległym brzegu, naprzeciw Missouri, rzeka miała zwykłą szerokość, najwięcej pół mili, bo wysoki brzeg z tej strony sterczał nad wodą spadzistym urwiskiem.

Całymi dniami pływaliśmy łódką po wyspie. Słońce paliło żarem, a my wśród drzew zażywaliśmy cienia i chłodu. Łódka prześlizgiwała się pomiędzy licznymi pniami niby żywe, zwinne stworzonko; czasami stawała jej zaporą gęstwina splątanej winorośli i na to nie było rady. Zawracając, torowaliśmy sobie drogę. Na drzewach siedziały króliki, węże i inne zwierzęta, które z głodu były takie łaskawe, że pozwalały brać się do ręki. Tylko węże i żółwie niedowierzając, śpiesznie uciekały do wody. W naszej grocie aż roiło się od nich.

Jednej nocy schwytaliśmy część bardzo porządnej tratwy: dziewięć bali sosnowych, jeden w drugi dobieranych. Szerokość tratwy wynosiła dwanaście stóp, długość do szesnastu, a wystawała nad wodą najmniej na siedem cali, pomost był mocny i równy jak posadzka.

Kiedy indziej, o samym świcie, ujrzeliśmy płynący cały dom, duży, dwupiętrowy, z dachem łamanym. Podpłynąwszy pod ścianę, przez okno weszliśmy do środka. Że jednak było jeszcze ciemno, więc trzymając łódź na linie, płynęliśmy pod dachem wzdłuż wyspy.

Gdy dobrze zaczęło już dnieć, dojrzeliśmy łóżko, stół, dwa stare krzesła, jakieś graty leżące na podłodze i odzież na wieszadle[131]. Na podłodze, w najdalszym od światła kącie, leżało coś ciemnego, niby człowiek śpiąc. Więc Jim woła:

— Hej! Wstawajcie!

Ale to coś leży nieruchomo. Krzyczę, nie rusza się. Powiada więc Jim:

— Tak, to człowiek z pewnością, ale nieżywy, bo gdyby żył, już by się obudził. Potrzymaj łódź, a ja pójdę i zobaczę.

Poszedł, schylił się, popatrzył i mówi:

— Nie żyje. Sprawiedliwie umarły wstanie dopiero na dzień sądu. Kulą dostał w plecy i obdarty do naga. Już chyba ze dwa dni leży. Nie podchodź, Huck, i nie patrz. Okropnie wygląda. Śmierć, Zmartwychwstanie

[130] *kufa* — beczka. [przypis edytorski]
[131] *wieszadło* (pot.) — wieszak. [przypis edytorski]



Nie spojrzałem nawet w tamtą stronę. Jim przykrył go jakimiś starymi gałganami, pomimo że wcale nie byłem ciekawy tego widoku. Na podłodze leżały rozrzucone stare, zatłuszczone karty, wypróżnione butelki po wódce, kilka masek z czarnego sukna, a na ścianach było pełno nieprzyzwoitych słów i rysunków, kreślonych węglem. Wisiały tam także dwie stare, brudne suknie perkalowe[132], kapelusz, kilka zabłoconych spódnic kobiecych i trochę męskiej odzieży.

Wrzuciliśmy te gałgany do naszej łodzi, bo i to może się przydać. Zabrałem też stary, męski kapelusz słomiany, poplamiony i połamany. Była i pęknięta butelka z odrobiną mleka na dnie, zakorkowana gałganami, widocznie dziecko z niej ssało. Była i stara skrzynia, i nowy kufer z oderwanymi zawiasami i bez zamka. Jedno i drugie stało otwarte, ale niczego wartościowego tam nie było. Straszliwy nieład wskazywał, że mieszkańcy uciekali w popłochu przed rabusiami.

Wzięliśmy stamtąd porządną blaszaną latarnię, nóż rzeźnicki, ostry, ale bez rękojeści, nowiusieńki nóż stołowy, świeżo kupiony, paczkę świec łojowych, lichtarz[133] mosiężny, blaszaną flaszkę, kubek do wody, zbrukaną i gdzieniegdzie podziurawioną kapę do łóżka, damskie pudełeczko z igłami, nićmi, szpilkami i tym podobnymi drobiazgami, młotek, z garść gwoździ, wędkę tak grubą, jak mój mały palec, z ogromnymi haczykami do niej; wzięliśmy zwiniętą w wałek skórę jelenia, skórzaną obrożę, podkowę końską i kilka flaszek z lekarstwami bez napisu. Przed samym wyjściem znalazłem jeszcze wcale niezły grzebień, a Jim stary smyczek i drewnianą nogę. Rzemyków i sprzączek nie było przy niej, ktoś wszystkie poodrywał, ale zresztą była całkiem dobra, tylko dla mnie za długa, a dla Jima za krótka.

ROZDZIAŁ X

Niespodzianka. — Stary Hans Bunker. — W przebraniu.

Zabobony, Upiór, Pogrzeb

Po śniadaniu byłbym chętnie porozmawiał o tym nieboszczyku, żeby odgadnąć, kto go zabił i dlaczego, ale Jim nie miał ochoty do rozmowy. Przewidując jakieś nieszczęście, utrzymywał, że umarły gotów do nas przychodzić, bo niepogrzebanemu człowiekowi

[132] *perkalowy* — wykonany z perkalu: cienkiego, bawełnianego płótna. [przypis edytorski]
[133] *lichtarz* — świecznik na jedną świecę. [przypis edytorski]

zawsze łatwiej włóczyć się po świecie i straszyć żywych niżeli takiemu, co spokojnie i wygodnie leży pod ziemią. Wydało mi się to bardzo rozsądne, więc już nie wszczynałem rozmowy, pomimo że ciągle zastanawiałem się: co to był za człowiek, kto go zabił i dlaczego.

Przeszukawszy kieszenie zabranego odzienia, znaleźliśmy osiem dolarów srebrem, zaszytych w starym palcie pomiędzy podszewką a wierzchem. Jim był zdania, że ludzie przebywający w owym domu ukradli palto, nie wiedząc o tych pieniądzach. Ja zaś przypuszczałem, że nie tylko ukradli palto, lecz i zabili właściciela, ale gdy Jim nie chciał mówić o tym, rzekłem do niego:

— Obawiasz się nieszczęścia z takiej rozmowy? A pamiętasz, co powiedziałeś przedwczoraj, gdy przyniosłem wężową skórę? Utrzymywałeś, że nas spotka jak najgorsze. I cóż się stało?... Zdobyliśmy tyle różnego kramu[134] i jeszcze osiem dolarów. Chciałbym, żeby nas co dzień spotykało takie nieszczęście.

— Nie ciesz się przedwcześnie, mój kotku, przyjdzie jeszcze bieda. Zapamiętaj sobie! W drodze już jest i przyjdzie. Tylko patrzeć, jak się zjawi.

Żart, Niebezpieczeństwo, Wąż

I przyszła! Mówiliśmy o tym we wtorek. W piątek po obiedzie leżymy na trawie, rozmawiając. Spostrzegłszy brak tytoniu, idę do groty i znajduję tam grzechotnika. Zabiłem go i zwiniętego w kółko położyłem w nogach kołdry Jima, żeby go nastraszyć dla śmiechu. Tymczasem do wieczora zapomniałem o wężu. Gdy po powrocie na nocleg zapaliłem światło, a Jim legł na posłanie, okazało się, że do zabitego węża przyszedł jego towarzysz i ukąsił Jima.

Jim krzyknął, zerwał się i oto co ujrzeliśmy: na pościeli Jima leżał żywy wąż, gotów do skoku. W jednej chwili zabiłem go kijem, a Jim schwyciwszy butelkę z wódką, lał ją sobie w gardło.

[134] *kram* (pot.) — tu: stos porozrzucanych drobiazgów, nieład drobnych przedmiotów, rupiecie. [przypis edytorski]



Był bosy i gadzina ukąsiła go w piętę — wszystko przez moją lekkomyślność! Na śmierć zapomniałem, że tam, gdzie leży zabity wąż, zawsze przyjdzie jego towarzysz i owinie się wkoło niego. Jim kazał mi w tej chwili odciąć głowę wężowi, odrzucić ją, jak można najdalej, a z niego samego ściągnąć skórę i upiec kawałek mięsa. Zrobiłem to, a Jim zjadł mięso, mówiąc, że to pomaga. Potem kazał wyjąć z ogona grzechotki[135] i owiązać nimi rękę w samej kostce. Powiedział, że i to pomaga. Zrobiwszy to wszystko, wysunąłem się niepostrzeżenie, zabierając ze sobą oba węże, i cisnąłem je daleko, w najgęstsze zarośla, gdyż pragnąłem ukryć przed Jimem, że z mojej winy przyszło na niego nieszczęście.

Jim ciągle popijał i popijał. Od czasu do czasu odchodził od przytomności, oglądał się naokoło dzikim wzrokiem i krzyczał na całe gardło, ale po chwili znów dochodził do siebie i brał za flaszkę. Noga mu okropnie spuchła, za kolano, a wkrótce zaczął go rozbierać[136] trunek. Wiedziałem już, że wyzdrowieje, ale co do mnie, wolałbym chorować od ukąszenia węża niż od wódki.

[135] *grzechotka* — końcowa część ogona grzechotnika. [przypis edytorski]
[136] *rozbierać* — tu: osłabiać, obezwładniać. [przypis edytorski]

Cztery dni i cztery noce Jim leżał ciężko chory. Piątego puchlina[137] zeszła, wstał więc i wyzdrowiał. Dałem sobie słowo, że nigdy w życiu nie wezmę w rękę skóry węża, Jim również mówił, że tysiąc razy wolałby zobaczyć nów przez lewe ramię, niż to zrobić.

Doprawdy i ja zaczynałem przychylać się do tego zdania, choć dawniej byłem pewny, że najgorszym głupstwem, jakie człowiek może popełnić, jest właśnie tak stanąć, żeby nów był za nami z lewej strony. Uczynił to raz naumyślnie stary Hans Bunker i jeszcze się tym przechwalał. I cóż państwo powiecie? W dwa lata potem upił się, spadł z wieży, którą pokrywał dachem, i rozbił się na ciasto.



Dzień schodził jeden za drugim i rzeka, powróciwszy do łożyska, spokojnie płynęła, jak zawsze. Na jeden z wielkich haczyków, które zabraliśmy z pustego domu, zasadziłem odartego ze skóry królika i na tę przynętę złapała mi się ogromna ryba, ważąca przeszło dwieście funtów[138]. Nie mogliśmy dać jej rady we dwóch: o mało nas w wodę nie

[137] *puchlina* — gromadzenie się zbyt dużej ilości płynu w jamach ciała. [przypis edytorski]
[138] *funt* — anglosaska jednostka wagi równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

wciągnęła. *Catfish*[139] nazywa się taka ryba, największa ze wszystkich, jakie się poławia w Missisipi. Rozpłatawszy ją, znaleźliśmy w jej żołądku duży, mosiężny guzik i różne inne rzeczy, których zwykle ryby nie jadają, a obok tego dużą, twardą gałkę. Po rozcięciu jej, ukazała się w środku drewniana szpulka, którą ryba już dawno musiała połknąć. Mięso ma smaczne i białe jak śnieg.

Przebranie

Nazajutrz rano oświadczyłem Jimowi, że się nudzę i że chciałbym przeprawić się do Illinois. Chwaląc mój pomysł, radził mi przebrać się za dziewczynę dla bezpieczeństwa, co było łatwe dzięki znalezionej w owym domu odzieży. Rada była dobra i postanowiłem zastosować się do niej. Ponieważ jedna z perkalowych sukien była za długa, zrobiliśmy u niej zakładkę, spodnie zaś podwinąwszy do kolan, ukryłem zupełnie pod spódnicą. Jim pozapinał haftki na plecach i okazało się, że suknia leży doskonale, a gdy włożyłem na głowę perkalowy kapelusz od słońca, zawiązany mocno pod brodą, Jim utrzymywał, że w biały dzień nikt by mnie nawet nie poznał w tym przebraniu. Chodziłem w nim przez cały dzień, żeby się oswoić z babskim strojem. Tylko mój chód nie zadowalał Jima, który przestrzegał również, żebym nie podciągał w górę spódnicy, kładąc rękę do kieszeni w spodniach.



O zmroku wsiadłem do łodzi i popłynąłem na brzeg Illinois. Przybywszy szczęśliwie, wysiadłem nieopodal miasteczka i poszedłem wybrzeżem ku miastu. Stała tam mizerna chałupina, w której od dawna nikt nie mieszkał. Ściemniło się w oknie. Zaciekawiony, kto tam jest, zajrzałem ostrożnie w okno. Patrzę: siedzi kobieta, może czterdziestoletnia, i robi pończochę, a przed nią na prostym stole sosnowym pali się świeca w lichtarzu. Nieznana mi była twarz tej kobiety, zapewne obcej, bo wszystkich mieszkańców miasteczka doskonale znałem z widzenia. Ucieszyłem się też, ujrzawszy obcą twarz, bo myśl, że mnie ludzie poznają po głosie, przejmowała mnie strachem. A taka kobiecina, choćby przebywała tu dopiero od dwóch dni, już mi wszystko może rozpowiedzieć. Zastukałem więc do drzwi, z mocnym postanowieniem niezapominania ani na chwilę, żem panieneczka, nie chłopiec.

[139] *catfish* (ang.) — sum. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XI

Huck i nieznajoma. — Co słychać? — Huck się złapał. — Szukają nas!

Zapukałem.

— Proszę wejść — odpowiedziano.

Gdy wszedłem i przywitałem niewiastę, obejrzała mnie od stóp do głów małymi, świdrującymi oczkami i pyta:

— Nie można by wiedzieć, jak ci na imię?

— Sara Williams.

— A gdzie mieszkasz? W tych stronach?

— O nie, proszę pani, w Hookerville, o siedem mil stąd w dół rzeki. Całą drogę szłam pieszo i jestem okropnie zmęczona.

— I głodna pewno także? Poczekaj, znajdzie się coś dla ciebie.

— Dziękuję pani, nie jestem głodna. Bardzo chciało mi się jeść i wstąpiłam po drodze na folwark, o dwie mile stąd. Tam mnie nakarmili i wcale mi się jeść nie chce. Dlatego nawet tak się spóźniłam. Moja matka leży chora, nie mamy już ani pieniędzy, ani żadnych zapasów, przyszłam więc tu, do mojego wuja Abnera Moore'a. Jeszcze nigdy tam nie byłam, podobno dom wuja jest na końcu miasta. Prawda, proszę pani? A może pani zna mego wuja?

— Nie, nie znam jeszcze wszystkich. Nie ma dwóch tygodni, jak tu mieszkam. Kawał drogi masz przed sobą, jeżeli idziesz na drugi koniec miasta. Zanocuj tu lepiej, a tymczasem zdejmij kapelusz.

— Nie, dziękuję pani — powiadam. — Odpocznę tylko i pójdę dalej. Ciemno wprawdzie, ale ja się nie boję.

Ona mi na to, że mnie nie puści samej, że mnie odprowadzi jej mąż, który powróci za godzinę. Potem zaczyna mi rozpowiadać o swoim mężu, o swoich krewnych mieszkających w górze rzeki i o krewnych mieszkających w dole rzeki, i jak im się dobrze powodziło dawniej, i jak nieroztropnie uczynili, przenosząc się do naszego miasteczka, gdzie im się wcale nie powodzi i tak dalej, i dalej. Lecz gdy mówić zaczęła o tatku i o zamordowaniu Hucka, chętnie słuchałem jej paplaniny. Pytam więc:

— Któż go zamordował? Dużo o tym mówiono u nas, w Hookerville, ale do tej pory nie wiemy, kto był zabójcą Hucka Finna.

— E, ja myślę, że tu są tacy, którzy wiedzą, kto zabił Hucka. Podejrzewają starego Finna.

— Czy doprawdy? Nie może to być!

— Prawie wszyscy tak myśleli z początku. Mało brakowało, żeby nie ukarano starego po naszemu: prawem linczu[140]. Potem jednak zaczęto przypuszczać, że zbrodnię mógł popełnić zbiegły stąd Czarny, niejaki Jim.

— Cóż znowu? Jim...

I urwałem nagle, bo przyszło mi na myśl, że lepiej uczynię, milcząc. Kobieta dalej prawiła, nie zwróciwszy nawet uwagi na moje słowa:

— Trzeba ci wiedzieć, że Czarny zbiegł tej samej nocy, w której zamordowano biednego chłopca. Wyznaczono więc nagrodę za schwytanie go: trzysta dolarów. A i ten dostanie nagrodę, dwieście dolarów, kto znajdzie starego Finna. Bo to widzisz, tak było: przychodzi on do miasta rano i opowiada, że syna mu zabito w nocy, czy może przed samą nocą. Zaraz też wyprawiono łódź na poszukiwanie zwłok, a stary zabrał się także z nimi i szukał, ale potem, gdy nic nie znalazłszy, wrócili wszyscy do miasta, stary gdzieś zniknął. Jeszcze przed nocą chciano się wziąć do niego, niechby pokosztował linczu, ale już go nie było, przepadł gdzieś, uważasz? Na drugi dzień okazuje się, że Czarnego nie ma, a nawet że od dziesiątej wieczorem tej nocy, w której spełniono zbrodnię, nikt go nie widział na oczy. Złożyli więc wszystko na niego i już o niczym innym nie mówią. Wtem powraca stary Finn, idzie prosto do sędziego Thatchera, głośno płacząc, że Czarny zabił mu dziecko, prosi, błaga, żeby mu sędzia dał pieniędzy na szukanie Czarnego. Sędzia dał

[140] *lincz* — samosąd; sposób karania przestępców lub domniemanych złoczyńców z pominięciem instytucji prawnych (w tym adwokatów i sądu), wykonywany przez zgromadzony tłum. [przypis edytorski]

mu trochę grosza, a stary, dobrze opity, aż do północy wałęsał się po mieście z jakimiś nieznajomymi, którym niedobrze z oczu patrzyło. Gdy znikli razem, od tej pory już nikt nie widział Finna. Podobno strasznie chytry człek! Gdy wróci po upływie roku, wszystko pójdzie jak z płatka. Nikt mu niczego nie dowiedzie i pieniądze syna wpadną mu w ręce.

— Czy przestali już podejrzewać o zbrodnię Czarnego?

— Nie, są jeszcze tacy, którzy myślą, że nikt inny nie mógł być zabójcą, tylko Czarny. Zapewne go wkrótce schwytają i zmuszą do wyznania prawdy.

— Więc go szukają?

— Ma się rozumieć, gąsko jedna, że go szukają. Czy to co dzień zdarza się ludziom sposobność dostania trzystu dolarów? Ci i owi myślą nawet, że ten Czarny musi się ukrywać gdzieś niedaleko. I ja tak myślę, nie lubię jednak pleść bez potrzeby. Podobno na tę wysepkę, co tu leży na środku rzeki (Jackson's Island, prawda?) nigdy nikt nie zagląda. Nikt tam nie mieszka, a jestem prawie pewna, że dwa dni temu widziałam dym na wyspie, od Missouri. To nie kto inny, tylko ten Czarny się tam ukrywa; warto by zadać sobie trochę trudu i przetrząsnąć wysepkę, jak się należy. Od tamtej pory nie widziałam już dymu, więc jeżeli to był on, to skrył się gdzie indziej. Ale to nic nie szkodzi, pojedzie tam mój mąż i to nie sam, ale z drugim. We dwóch popłyną, i to nie tracąc czasu. Nie było męża w domu, ale gdy dziś powrócił, zaraz mu powiedziałam, żeby przeszukał wyspę.



Ogarnął mnie taki niepokój, że nie mogłem wysiedzieć na miejscu. Koniecznie potrzebowałem mieć coś w ręku, przynajmniej trzymać coś w palcach, wziąłem więc ze stołu

igłę i zaczynam ją nawlekać. Ale ręce mi drżały i czułem, że robię to niezręcznie. Gdy kobieta przestała mówić, widzę, że patrzy na mnie ciekawie i z uśmiechem. Położyłem więc igłę i nitkę i udając, że mnie bardzo zajęła jej opowieść, rzekłem:

— Trzysta dolarów to niemały pieniądz. Jakże bym chciała, żeby mama mogła je dostać. Czy pani mąż popłynie na wyspę jeszcze dziś?

— Tak, dzisiaj. Poszedł do miasta z tym człowiekiem, który ma mu towarzyszyć, po łódź i drugą strzelbę. Po północy wyruszą.

— Czy nie łatwiej by im było szukać w dzień? Niechby poczekali do rana.

— Tak? A Czarnemu nie będzie łatwiej ich spostrzec? Tymczasem po północy on zaśnie twardo, nasi zaś w ciemności łatwiej dostrzegą blask ogniska, jeżeli Czarny je rozpalił.

— Nie zdaje mi się.

Kobieta spojrzała na mnie ciekawie, a ja nie mogłem ukryć zmieszania. Po chwili znów zaczyna:

— Jak mówiłaś, że ci na imię, kochaneczko?

— Ma-Mania Williams.

Powiedziałem „Mania", ale ciągle mi się zdawało, że się omyliłem. Nie śmiałem więc spojrzeć w oczy kobiecie, czując, że się złapałem i że znać to po mnie.

— Zdaje mi się, kochaneczko, że gdy cię pierwszy raz o imię spytałam, odpowiedziałaś mi: Sara?

— Tak, proszę pani, nazywam się Sara Maria Williams. Na pierwsze imię mam Sara. Jedni nazywają mnie Sarą, drudzy Manią.

— Tak? Więc masz dwa imiona?

— Tak, proszę pani.

Jakkolwiek trochę uspokojony, oczu jednak podnieść nie śmiałem. Skoro wszakże kobieta zaczęła narzekać na ciężkie czasy i na szczury, odzyskałem dawną swobodę. O szczurach mówiła świętą prawdę. Co chwila to z tej, to z owej dziury wyglądały na izbę. Mówiąc, że gdy jest sama, zawsze ma pod ręką coś do rzucania na szczury, które jej spokoju nie dawały, pokazała mi ołowianą sztabkę, skręconą w węzeł.

— Tym na nich rzucam — powiada — i zwykle trafiam doskonale, dziś wszakże, mając mocno sforsowane ramię, trafić nie mogę.

I rzeczywiście, gdy szczur wyszedł, cisnąwszy w niego ciężarkiem, chybiła, sykając z bólu.

— A może ty byś spróbowała? — rzecze do mnie.

Choć było mi pilnie uciec przed powrotem jej męża, wziąłem jednak ołów i cisnąłem nim w pierwszego szczura, który wyścibił nos z dziury. Gdyby czekał, to z pewnością nie wyszłoby mu to na zdrowie. Moja gospodyni oświadczyła, że rzucam wybornie i że z pewnością zabiję drugiego szczura. Po czym wstawszy z krzesła, przyniosła z głębi pokoju motek[141] przędzy, prosząc, żebym jej pomógł w robocie. Rozstawiłem wtedy obie ręce, a ona, włożywszy na nie motek, wciąż opowiadała o swoich interesach i o mężu. Nagle, przerywając sobie, mówi:

— Żeby zabić szczura, trzeba mieć ołów w pogotowiu, na kolanach.

I mówiąc to, rzuciła mi ciężarek na kolana, które ścisnąłem szybko, żeby mu nie dać upaść na ziemię. Po chwili kobieta, zabrawszy motek, pyta żartobliwie, patrząc mi w oczy:

— Powiesz mi teraz, jak się nazywasz... naprawdę?

— C... co? Co, pro-oszę pa...?

— Jak ci naprawdę na imię? — przerwała. — Bill, Tom, Bob czy inaczej?

Zdaje mi się, że drżałem cały jak liść na wietrze; nie wiedziałem, co odpowiedzieć, co robić. Mówię jednak:

— Proszę pani, niech pani będzie łaskawa i nie żartuje sobie z biednej dziewczyny. Jeżeli ja pani zawadzam, to ja... ja...

— Nie pójdziesz nigdzie. Siadaj i siedź tam, gdzie siedziałeś. Nie zrobię ci nic złego. Zwierz mi się tylko ze swojej tajemnicy i zaufaj mi. Ja ci tajemnicy dochowam: więcej

[141] *motek* — kłębek włóczki. [przypis edytorski]

nawet uczynię, bo dopomogę ci wraz z mężem, gdybyś tego potrzebował. Ja wiem: uciekłeś od majstra. Jesteś zbiegłym terminatorem[142], ale to nic nie szkodzi, nic w tym złego i nie potrzebujesz się obawiać. Musiał się z tobą źle obchodzić i ty dlatego go porzuciłeś. Bóg z tobą, dziecko, nie powiem tego nikomu, tylko mów prawdę.

— Widzę — rzekłem — że nie można dłużej grać komedii, więc wyznam prawdę, prosząc o dotrzymanie danego mi słowa. Moi rodzice już nie żyją, a opieka oddała mnie na naukę do właściciela folwarku, o trzydzieści mil stąd w głąb kraju, starego skąpca, który tak źle się ze mną obchodził, że nie mogąc dłużej wytrzymać, ściągnąłem córce trochę ubrania i uciekłem w przekonaniu, że mój wój, Abner Moore, zechce się mną zaopiekować. Toteż pilnie mi było dojść do tego miasteczka, do Goshen.

— Co ty mówisz, Goshen? Ależ to nie Goshen. To St. Petersburg[143]. Goshen jest o dziesięć mil dalej, w górę rzeki. Któż ci powiedział, że to Goshen?

— Kto? Jakiś człowiek, którego spotkałem dziś rano o samym świcie. Kazał mi z gościńca zejść na prawo.

— Chyba był pijany. Do Goshen trzeba iść właśnie na lewo.

— Ha, co prawda wyglądał na pijanego, ale teraz mniejsza już o to. Stało się! Trzeba ruszać w drogę, bo powinienem być w Goshen o wschodzie słońca.

— Poczekaj no chwilę. Dam ci przekąskę, przyda się w drodze.

Krzątając się koło przekąski, pyta mnie:

— Powiedz no, gdy krowa chce się podnieść, na które nogi wstaje?

— Na tylne, proszę pani.

— Dobrze, a koń?

— Na przednie.

— Z której strony drzewo porasta mchem?

— Od północy.

— Jeżeli piętnaście krów pasie się na wzgórzu, ile jest obróconych głowami w tym samym kierunku?

— Wszystkie piętnaście, proszę pani.

— Dobrze, dobrze! Widzę teraz, żeś naprawdę na wsi wychowany, a podejrzewałam, że mnie chcesz znów naciągnąć. Powiedzże mi teraz, jak się naprawdę nazywasz?

— Jerzy Peters, proszę pani.

— Starajże się nie zapomnieć już tego nazwiska, Jerzy. Pamiętaj, żebyś mi znów nie powiadał, że ci Aleksander na imię, i nie wykręcał się, że masz dwa imiona: Jerzy i Aleksander. Nie wchodź też między kobiety w tej perkalowej sukienczynie, bo liche udajesz dziewczynę; tylko mężczyzn możesz oszukać. Bóg z tobą, dzieciaku. A kiedy się zabierasz do nawlekania, to nie naprowadzaj igły na nitkę, lecz odwrotnie: zamiast trzymać nieruchomo nitkę, nią właśnie szukaj uszka igły. Tak zawsze nawlekają kobiety, mężczyźni zaś wszystko czynią na odwrót. A kiedy rzucasz czymś ciężkim, to stań na palcach, podnieś rękę nad głową najwyżej i najniezgrabniej, jak możesz, i staraj się chybić celu co najmniej na jakieś sześć stóp. Rzucaj zaś całym ramieniem i z rozmachem, jakbyś miał ramię osadzone na trzpieniu[144], bo tak zawsze rzucają dziewczęta. I to sobie pamiętaj: gdy dziewczyna chce, żeby jej coś upadło na kolana i nie stoczyło się na ziemię, to rozsunie kolana, robiąc ze spódnicy niby fartuszek, nastawiony do przyjęcia czegoś. Dziewczyna nigdy nie ściśnie kolan, jak ty uczyniłeś, łapiąc ołowiany ciężarek. Gdy tylko zobaczyłam, jak igłę nawlekasz, domyśliłam się, żeś chłopiec, a ze szczurami i z ołowiem to już tylko naumyślnie próbowałam, żeby być pewna swego. A teraz ruszaj do swego wuja, Saro Mario Williams, Jerzy Aleksandrze Petersie, a jeśli ci się coś przytrafi, to daj znać pani Judycie Loftus, to znaczy mnie, ja zaś uczynię wszystko, co będę mogła, aby cię wybawić z kłopotu. Trzymaj się drogi nad rzeką, a idąc na taką wędrówkę, bierz ze sobą trzewiki i skarpetki. Droga do Goshen jest usiana ostrymi kamieniam i zanim tam dojdziesz, twe nogi będą porządnie pokaleczone.



Uszedłszy brzegiem z pięćdziesiąt łokci, zawróciłem na miejscu i co tchu biegłem do łódki. Wskoczywszy do niej, wiosłowałem, ile sił starczyło, aby czym prędzej dobić do

[142] *terminator* — rzemieślnik uczący się u majstra. [przypis edytorski]

[143] *St. Petersburg* — nazwa dwóch miejscowości w Stanach Zjednoczonych: w stanie Floryda i w stanie Pensylwania. [przypis edytorski]

[144] *trzpień* — walec, pręt. [przypis edytorski]

wyspy. Wylądowawszy z tej strony, gdzie jest wysoki i spadzisty brzeg, wdrapałem się na urwisko i na tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy rozpaliłem ogień — rozłożyłem teraz wielkie ognisko z suchych gałęzi. Uczyniwszy to, wszedłem do łodzi i z tym samym gorączkowym pośpiechem opłynąwszy połowę wyspy, wysiadłem na brzeg i przebywając w susach spadzistość wału, wpadam do groty.

Jim spał w najlepsze. Budząc go, wołam:

— Zbieraj się, Jim... Prędzej! Nie mamy chwili do stracenia... Szukają nas!



Jim nie pytał o nic, ale ze sposobu, w jaki się uwijał, widać było, że go przeraziły moje słowa. W przeciągu pół godziny zdążyliśmy złożyć na tratwie całe nasze mienie i wyprowadzić z zatoczki, nie zapomniawszy, ma się rozumieć, wygasić ogień do szczętu.

Odepchnąwszy od brzegu tratwę, do której była przymocowana łódź, trzymając się cienia rozpostartego na wodzie przez gałęzie drzew nadbrzeżnych, daliśmy się unieść prądowi i opuściliśmy wyspę.

ROZDZIAŁ XII

Powolna żegluga. — Pożyczanie. — Na pokładzie tonącego parowca. — Zbrodniarze. — To się sprzeciwia moralności. — Nie ma tratwy!

Musiało być już koło pierwszej, gdy wyspa znikła nam z oczu, a jednak gotów byłem przysiąc, że tratwa stoi na miejscu, tak się nam czas długim wydawał. Gdybyśmy byli spotkali kogokolwiek, bylibyśmy natychmiast skoczyli do łodzi i uciekli na brzeg Illinois. Dobrze się jednak stało, że nie zaszła potrzeba ucieczki, gdyż nie włożyliśmy do łodzi ani strzelby, ani wędki, ani czegokolwiek do jedzenia. Strach nie pozwalał myśleć o tylu drobiazgach naraz.

Gdyby nas ktoś naprawdę szukał na wyspie, to byłby najpierw pośpieszył do ognia, który rozniecіłem naprzeciw Missouri, i przez to samo przeoczyłby nas, płynących odnogą od stron Illinois. Jeżeli nikt nas nie szukał i mój ogień nikogo nie wywiódł w pole, to już nie moja wina. Zrobiłem, co mogłem, żeby spłatać figla amatorom trzystu dolarów.

Gdy już zaczynało świtać na niebie, zatrzymaliśmy się w pobliżu piaszczystej ławicy[145], leżącej nieopodal brzegu Illinois, na zakręcie rzeki. Ławica była gęsto porosła krzakami bawełny, narąbawszy więc gałęzi, pokryliśmy nimi całą tratwę.

Było tu zupełnie bezpiecznie. Łożysko rzeki zwężało się w tym miejscu. Po stronie Missouri piętrzyły się wysokie góry, po stronie Illinois stał mur wysokopiennego boru. Całą powierzchnię rzeki od brzegu do brzegu można było wzrokiem ogarnąć bez obawy niespodziewanego spotkania z łodzią lub z parowcem. Leżeliśmy w czółnie schowanym pomiędzy tratwą a zagajnikiem bawełnianego krzewu i przez nikogo niewidziani mogliśmy patrzeć, jak parowce lekko suną z biegiem wody, jak borykają się z prądem łodzie i statki pod prąd płynące. Opowiedziałem teraz Jimowi całą swoją rozmowę z *mistress*[146] Judytą Loftus, a Jim, wysłuchawszy opowiadania, oświadczył, że to sprytna kobieta i że gdyby ona wybrała się na wyspę szukać nas, to nie dałaby się w pole wyprowadzić i nie leciałaby jak ćma na ogień.

— Nie, Huck, zapewniam cię, że ona wzięłaby psa.

— Dlaczegóż więc — pytam — nie mogła powiedzieć mężowi, żeby wziął psa?

A Jim na to:

— Założyłbym się, że przyszło jej to na myśl dopiero w ostatniej chwili, wtedy, gdy mężczyźni wyszli już w drogę. Gdyby nie to, nie siedzielibyśmy teraz pod zagajnikiem. Oho, od dawna byliby już nas odprowadzili do miasta.

— Mało mnie to obchodzi, dlaczego nas nie znaleźli — odpowiedziałem. — Dość mi na tym, że nie znaleźli.

Zmierzch słał się na wodę, gdy wysadziliśmy głowy z zarośli. Patrzymy na lewo, na prawo, przed siebie, nigdzie nikogo, wszędzie pusto i spokojnie. Jim zdjął więc z tratwy kilka desek tworzących wierzchni pomost i sklecił na jej pokładzie porządną budę, żebyśmy mieli schronisko dla siebie i rzeczy na wypadek ulewy. Podłoga w budzie była wzniesiona na przeszło stopę nad poziom pomostu, żeby woda rozbijana kołami parowców nie zalewała pościeli. W samym środku budki warstwa błota, wysoka na kilka cali, a obłożona wkoło deskami, miała służyć w słotne, chłodniejsze dni do rozpalania ognia, żeby go zewnątrz nie było widać. Jim zrobił także zapasowe czółno, na wypadek, gdyby się zepsuło jedno z naszych. Ja zaś wbiłem w ścianę od strony zewnętrznej gwóźdź do latarni, którą musieliśmy zapalać jako sygnał dla parowców płynących z wodą, żeby na nas nie wpadły. Dla parowców idących pod wodę sygnał nie był potrzebny, bo one, szukając głębokiej wody, płynęły zwykle środkiem rzeki.

Tej nocy płynęliśmy siedem do ośmiu godzin, nie wiosłując wcale; prąd nas unosił z szybkością czterech mil na godzinę. Łowiliśmy ryby, rozmawialiśmy, a od czasu do czasu, gdy sen bardzo nas zmorzył, skakaliśmy w wodę na przemian, żeby się trochę orzeźwić. Noc była spokojna i pogodna, więc błogo nam było płynąć po rzece wielkiej a cichej, leżąc na wznak i patrząc w niebo usiane gwiazdami. Było tak cicho i pięknie, że prawie nie śmieliśmy mówić głośno ani się śmiać na całe gardło, tylko rozmawialiśmy stłumionym głosem. Pogoda była przecudowna tak tej nocy, jak i następnych. Nic nam się też nie przytrafiło.

Noc

Co noc mijaliśmy różne miasta, mniejsze i większe, jedne tuż nad brzegiem rozesłane, inne na ciemnych, wysokich wzgórzach, skąd tylko promieniały ku nam sznury świateł, a domów nie było widać. Piątej nocy z rzędu mijaliśmy St. Louis, gdzie tak się jasno świeciło, jakby cały świat stał w ogniu. W naszym miasteczku mówiono, że St. Louis ma do trzydziestu tysięcy mieszkańców! Nigdy temu nie wierzyłem; dopiero gdy o drugiej w nocy zobaczyłem nad miastem taką łunę, pomyślałem, że może to prawda. Było tam zupełnie cicho, zapewne wszyscy już spali.

Każdej nocy, po przybyciu do brzegu, wysiadałem na ląd, żeby w nadbrzeżnych wioseczkach kupić za kilkanaście centów mąkę albo słoninę, lub wreszcie co bądź do jedzenia. Czasami, gdy spotkałem kurczaka, który się wałęsał zamiast spokojnie spać na grzędzie, zabierałem go ze sobą. Tatko mawiał zawsze: bierz kurczaka, gdy ci się nawinie, bo jeżeli tobie niepotrzebny, to łatwo znajdziesz kogoś, komu się przyda, a miło jest spełnić dobry

[145] *ławica* — duże nagromadzenie czegoś. [przypis edytorski]

[146] *mistress* (ang.) — pani. [przypis edytorski]

uczynek. Nie widziałem wprawdzie nigdy, żeby tatko nie potrzebował kurczęcia sam dla siebie, ale wybornie pamiętam, że tak mawiał.



Kradzież

Rano, przed świtem, zaglądałem na pola, gdzie rosły arbuzy, melony, dynie albo jarzyny i pożyczałem od właścicieli to, czego dla siebie potrzebowaliśmy. Tatko mawiał, że w takiem pożyczaniu nie ma nic złego, byle tylko mieć zamiar zwrócenia właścicielowi pożyczonych w ten sposób rzeczy. Wdowa jednak mówiła, że takie „pożyczanie" to po prostu kradzież i że nikt uczciwy nie weźmie takiej pożyczki. A Jim znów twierdził, że według niego i tatko ma słuszność, i wdowa także, toteż najlepiej wybrać kilka rzeczy i dać sobie słowo, że tych nigdy od nikogo nie pożyczymy, a za to z czystym sumieniem pożyczać inne, koniecznie dla nas potrzebne. Rozmawialiśmy raz o tym przez całą noc, nie mogąc postanowić, czego się wyrzec: arbuzów czy melonów, czy jarzyn. Nad ranem jednak daliśmy sobie słowo nie tykać dzikich jabłek i pasternaku! Przedtem sumienie nas trochę gryzło, ale teraz spokój nam wrócił. Ja szczególniej byłem bardzo zadowolony, bo dzikich jabłek nigdy nie jadłem, a pasternak dopiero za parę miesięcy mógł dojrzeć.

Polowanie

Od czasu do czasu zastrzeliliśmy kurkę wodną[147] lub cyrankę. To już ich wina! Padały ofiarą tylko te, które za wcześnie wstały albo za późno kładły się spać. W ogóle żyliśmy sobie aż miło.

[147] *kurka wodna* — średniej wielkości ptak wodny. [przypis edytorski]

Drugiej czy trzeciej nocy po minięciu St. Louis mieliśmy po północy straszliwą burzę z piorunami, błyskawicami i z taką ulewą, że nie strumieniem, lecz całą płachtą woda spadała z nieba. Siedzieliśmy schowani w naszej budzie, zdawszy opiekę nad tratwą jej samej. Przy świetle błyskawicy widzieliśmy przed sobą tylko dużą, prostą rzekę i wysokie, skaliste urwiska po obu stronach. Aż wreszcie powiadam do Jima:

— Patrz no, Jim, spójrz tam, w bok trochę!

Był to parowiec, który się rozbił, wpadłszy na podwodną skałę. Płynęliśmy prościutko na niego i w świetle błyskawic widzieliśmy go jak najwyraźniej. Pochylił się naprzód i zatonął więcej niż do połowy, ale pokład był jeszcze nad wodą i wszystko stało na swoim miejscu, jak być powinno. Nawet gdy błysnęło, to widziałem, że tuż obok sznura od dzwonu stoi krzesło, a na jego poręcz ktoś założył kapelusz z wielkimi skrzydłami.

A choć to była noc i burza i wszystko tak tajemniczo wyglądało, poczułem jednak ochotę, by dostać się na pokład parowca, obejrzeć tam wszystko i pomyszkować troszeczkę. Powiadam więc do Jima:

— Wejdźmy na pokład.

Ale Jim nie chciał o tym słyszeć.

— Nie mam ochoty robić głupstw — powiada. — Nam tu bardzo dobrze, a kiedy nam dobrze, to po co mamy kłaść głowę pod miecz, jak mówi Pismo Święte. A zresztą jest tam pewno wartownik i pilnuje.

— Ty sam wartownik i babka twoja! — odciąłem. — Czego tam wartownik ma pilnować? Chyba kajut i budki sternika. Kto by tam zresztą chciał narażać życie dla głupich kajut i dla budki w taką noc jak dzisiejsza, kiedy statek może lada chwila zatonąć i pójść na dno rzeki?

Jim nie mógł temu zaprzeczyć i nawet nie próbował.

— A przy tym — mówię jeszcze — w kajucie kapitana pożyczymy sobie może coś takiego, co nam się przyda. Cygara, przysiągłbym, że są, i to kosztowne, sztuka przynajmniej po pięć centów gotówką. Każdy kapitan parowca to bogacz, bierze po sześćdziesiąt dolarów miesięcznie, a taki nie dba wcale, ile za co trzeba zapłacić, byle miał, czego mu się zachce. Weź no świecę do kieszeni, Jim. Nie będę miał spokoju, póki tam nie poplądrujemy trochę. Cóż ty sobie myślisz, że Tomek Sawyer przepuściłby taką sposobność? Nigdy, za nic w świecie! Nazwałby to przygodą... tak, przygodą, i wstąpiłby na ten pokład, choćby to już miał być ostatni krok w jego życiu. A jak by on to pięknie zrobił! Jaki byłby pyszny! No, zobaczyłbyś! Wziąłbyś go za Krzysztofa Kolumba[148] odkrywającego ziemię obiecaną! No, chciałbym ja tylko, żeby tu był Tomek!

Jim pomruczał trochę, ale ustąpił. Mówił tylko, że powinniśmy rozmawiać ze sobą jak najmniej i to po cichu. Błysnęło w tej chwili, właśnie w sam czas, bo już staliśmy pod parowcem. Wdrapawszy się na pokład, sterczący jeszcze nad wodą dość wysoko, szliśmy ostrożnie ku przodowi okrętu, po omacku, próbując nogą, gdzie trzeba stąpić, aby nie wpaść w jakiś otwór, którego nie było widać. Natrafiliśmy na schodki wiodące do kajut; pierwsza z brzegu była otwarta, zaglądamy do niej, ciemno, ale gdzieś dalej błyska jakieś światełko i w tejże samej chwili dochodzą nas głosy.

Jim, szepcząc, że robi mu się niedobrze ze strachu, radzi uciekać. Już się więc zabieramy, aby wracać na tratwę, gdy słyszę błagalnie jęczący głos:

— Zmiłujcie się, chłopcy, nade mną. Przysięgam, że nie powiem ani słowa.

Szantaż

— Kłamiesz, Turner. Nie pierwszy raz tak robisz. Zawsze wymagasz, żeby ci dano więcej niż innym, i zawsze dostajesz więcej, niż ci się należy, bo się odgrażasz, że wszystko wyśpiewasz, jeżeli ci nie dadzą tyle, co chcesz. Tym razem jednak przebrałeś już miarę. Jesteś podły, nikczemny i zdrajca, jakiego nie ma na świecie.

Jim poszedł zobaczyć, co się dzieje z tratwą, a ja aż cały drżę z ciekawości i powiadam sam sobie, że Tomek Sawyer nie odszedłby teraz za nic w świecie, a więc i ja nie odejdę, póki nie zobaczę, co się tu będzie dziać. Przykucnąłem więc i czołgając się w wąskim przejściu na czworakach, dopełzłem do kajuty, gdzie na podłodze leżał jakiś rozciągnięty

[148] *Kolumb, Krzysztof* właśc. *Cristoforo Colombo* (1451–1506) — żeglarz i nawigator nieustalonej narodowości, kapitan czterech wypraw pod flagami Katalonii i Hiszpanii, podczas których dotarł do wybrzeży nieznanej wówczas w Europie Ameryki i odkrył m.in. wyspy Bahama, Kubę, Haiti, Gwadelupę oraz Jamajkę. [przypis edytorski]

człowiek! Ręce i nogi miał związane, a przy nim stało dwóch ludzi: jeden z latarką w ręku, drugi z pistoletem. Ten ostatni, mierząc do człowieka leżącego na ziemi, mówił:

— Och! Zabiłbym cię! I powinien bym... Łotra takiego jak ty!



A ten na podłodze dzwoni zębami ze strachu i błaga:

— Nie czyń tego, Bill, nie czyń... Nie powiem... Nic już nie powiem.

Po ostatnim słowie ten z latarnią wybuchnął śmiechem i mówi:

— A prawda, że już nigdy nic nie powiesz! Nigdy w życiu nie wyrzekłeś większej prawdy.

I dodał jeszcze:

— Słyszycie, jak błaga? A gdybyśmy go nie związali, toby był nas zabił obydwu. I za co? Za nic! Tylko za to, że my chcemy swojego. Tylko za to. No, ale teraz nie będziesz się już nikomu odgrażać. Opuść pistolet, Bill.

A Bill na to:

— Żebym tak żyw był, jeśli opuszczę. Trzeba go zabić. Czy on nie uśmiercił w taki sam sposób starego Hatfelda? Czy nie zasłużył na śmierć?

— Ale ja nie chcę, żebyś go zabił, mam swoje powody po temu.

— Niech cię Bóg błogosławi za te słowa, Jakubie Packardzie! Nie zapomnę ci tego, póki żyję! — mówi na wpół z płaczem człowiek leżący na podłodze.

Packard, nie zważając na jego słowa, powiesił latarnię na gwoździu, postąpił parę kroków ku miejscu, gdzie ja siedziałem skulony w ciemności, i skinieniem przyzwał ku sobie Billa. Statek tak się kołysał, że bojąc się, abym na nich nie wpadł, powędrowałem na czworakach trochę dalej i wsunąłem się do kajuty kapitana. W ciemności słyszę, że tuż za mną idzie Packard i także wchodzi do kajuty, a wychylając się przez drzwi, woła:

— Tutaj, Bill, w kajucie jestem. Chodź tutaj...

Nim obaj weszli do kajuty, wskoczyłem na koję, która zastępuje łóżko w kajutach, przycisnąłem się do ściany, wstrzymując dech, pełen rozpaczy, że tu przyszedłem. Oni, stojąc tuż obok mnie, położyli ręce na krawędzi koi i rozmawiają. Nie mogłem ich widzieć, ale wiedziałem, gdzie są, tak było od nich czuć wódkę. Przez cały czas ich rozmowy prawie nie oddychałem, trochę ze strachu, a głównie dlatego, że to, co słyszałem, aż mi zapierało dech w piersiach. Mówili cicho i z przejęciem. Bill chciał zabić Turnera:

— Odgrażał się, że wszystko powie, i dotrzyma słowa! Chociażbyśmy mu teraz oddali swoje części, to już by nic nie pomogło, bo on nam nie daruje tego, co zrobiliśmy. Zemści się na nas i wszystko wyśpiewa, zobaczysz. Najlepiej będzie odprawić go na wieczne odpoczywanie.

— I ja tak myślę — najspokojniej w świecie odpowiada Packard.

— A niech cię licho porwie! Myślałem, żeś ty temu przeciwny. No, kiedy tak, to dobrze. Pójdźmy, niech się to skończy.

Morderstwo

— Poczekaj chwilkę, nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Posłuchaj. Dobrze jest komuś strzelić w łeb, lepiej wszakże pozbyć się wroga bez hałasu, bo nie ma sensu umizgać się[149] do szubienicy, jeżeli można postawić na swoim bez narażenia własnej głowy. Albo nie?

— Pewno, że tak. Ale jakże to zrobić?

— Widzisz, ja myślę tak: zabrawszy z kajut, co się da, schowamy dobrze nasz łup na lądzie. A potem będziemy czekać. Za dwie godziny statek pójdzie na dno... Rozumiesz? Wtedy on utonie razem ze statkiem i nie będzie w tym niczyjej winy, że utonął. Przecież lepiej pozbyć się go takim sposobem, niż zabijać człowieka. Co do mnie, zawsze jestem przeciwny morderstwu, jeżeli bez niego obejść się można; to się sprzeciwia i rozsądkowi, i moralności. Czy nie mam racji?

Morderstwo



[149] *umizgać się do kogoś* — zalecać się do kogoś; ubiegać się o czyjeś względy, sympatię itp.; tu: w znaczeniu żartobliwym. [przypis edytorski]

— Pewno, że masz. A jeżeli okręt nie zatonie?

— Jeżeli chcesz, to możemy poczekać dwie godziny. Dlaczego by nie?

— Dobrze, poczekamy.

Wyszli, a ja, zszedłszy z koi, tak zlany zimnym potem, żem o mało nie utonął, co tchu wydostałem się na pokład. Było ciemno jak w studni, więc grubym[150] szeptem wołam:

— Jim!

A on odzywa się z prawej strony, z bliska, ale tak, jak gdyby jęknął.

— Prędzej, Jim — mówię — nie pora stękać ani plądrować po parowcu. Jest tu na okręcie dwóch zbrodniarzy i jeżeli nie odczepimy ich łódki, żeby nie mogli dosięgnąć lądu, to jeden z nich będzie się miał z pyszna[151]. Ale jeżeli im zabierzemy łódkę, to wszyscy trzej pójdą w ręce szeryfa. Śpieszmy się, Jim! Ja z prawej, ty z lewej strony, szukajmy. A potem na tratwę i...

— O Boże mój! Boże! Nie ma tratwy, nie ma! Odwiązała się i popłynęła z wodą! A my tutaj... bez tratwy!

ROZDZIAŁ XIII

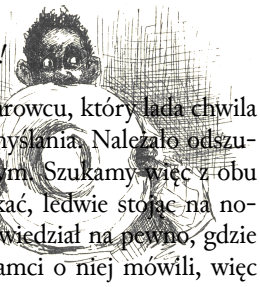

Uciekamy! — Stróż nocny. — Idzie na dno. — Śpimy jak zabici!

Tak mi zaparło dech, że byłem bliski omdlenia. Zostać na parowcu, który lada chwila zatonie, i to jeszcze z takimi ludźmi! Ale nie było czasu na rozmyślania. Należało odszukać łódź ratunkową, która była koniecznie potrzebna nam samym. Szukamy więc z obu stron okrętu, łodzi ani śladu. Jim, bezsilny, już nie chciał szukać, ledwie stojąc na nogach, ja jednak dodałem mu bodźca, i szukamy. Nikt z nas nie wiedział na pewno, gdzie powinna być łódź ratunkowa, wiedzieliśmy tylko, że jest, bo tamci o niej mówili, więc wciąż szukamy po omacku. Znalazłem ją wreszcie obok drzwi prowadzących do bawialni, w ciemności namacałem ją palcami. Jest niewątpliwie! Uradowany biorę ją, przerzucam przez burtę i jedną ręką trzymając się jeszcze galeryjki[152] pokładu, już byłem gotów wejść do łodzi, gdy wtem głowa wysuwa się ze schodków, słyszę kroki zmierzające ku poręczy, ludzka postać przechyla się przez nią, czuję ją prawie tuż przy sobie, a wreszcie jeden ze znanych mi głosów powiada:

— A nie zapomnij zgasić latarni, Bill!

Potem rzuca w łódź jakiś dość ciężki worek, przełazi przez galeryjkę i wchodzi do łódki. To był Packard. Nie upłynęła minuta i nadchodzi Bill, i także pakuje się w łódź. Packard mówi do niego:

— Wszystko gotowe, ruszamy.

Ja zaś słucham, trzymając się jedną ręką poręczy i czuję, że tracę siły. Wtem Bill rzecze:

— Poczekaj. A obszukałeś mu kieszenie?

— Nie. A ty?

— I ja nie. On przecież ma swoją część łupu. Warto zabierać graty, a zostawiać pieniądze?

— No, a jeżeli on się domyśli, co zamierzamy?

— To się domyśli... Cóż z tego? A pieniądz trzeba mu zabrać. Chodźmy.

Wyskoczyli więc z łodzi i poszli. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, już byłem w łodzi, Jim wskoczył także, przeciąłem linę, która się jeszcze ciągnęła za łodzią — i w drogę!

Nie tknęliśmy wioseł, nie rzekliśmy do siebie ani słowa, baliśmy się nawet odetchnąć pełną piersią. Woda sama niesie nas pod ścianą okrętu, mijamy go wreszcie i zostawiamy szybko za sobą. Gdy oddaliliśmy się już z paręset łokci, gdy tonący parowiec wsiąknął w ciemności i zupełnie znikł nam z oczu, byliśmy bezpieczni i przekonani, że tak jest.

---

[150]*gruby* — tu: przytłumiony. [przypis edytorski]

[151]*mieć się z pyszna* — tu: mieć się dobrze. [przypis edytorski]

[152]*galeryjka* — szereg połączonych ze sobą prętów, kolumienek; umieszczona zazwyczaj na krawędzi czegoś. [przypis edytorski]

Z odległości może czterystu łokci widzieliśmy bledziutkie światełko w tej stronie, gdzie był parowiec, i przyszło nam na myśl, że ci łotrzy dopiero teraz spostrzegli utratę łodzi i zapewne już rozumieją swe położenie.

Zbrodniarz, Współczucie

Jim wziął się do wioseł i rozpoczęliśmy pogoń za niewidzialną jeszcze tratwą. Dopiero teraz zacząłem żałować tych ludzi, bo najpierw nie było na to czasu. Zacząłem też rozmyślać, jak to musi być okropnie, zbrodniarzom nawet, znajdować się w takim położeniu. Kto to wie? A nuż i ja kiedyś dokonam zbrodni? Czy byłoby mi przyjemnie wiedzieć, że muszę zatonąć razem ze statkiem?

Mówię więc do Jima:

— Gdy tylko gdzie na brzegu ujrzymy światła, trzeba zaraz przybić do lądu. Miniemy światło albo do niego nie dopłyniemy, byleś ty znalazł miejsce dla ukrycia siebie i łodzi. Ja pójdę do wsi, a wymyśliwszy jaką bajkę, znajdę przecież kogoś, kto im popłynie na ratunek, ocali od śmierci. A jeśli przyjdzie ich godzina, to będą wisieć.

Mój zamiar wszakże spełzł na niczym, gdyż wkrótce zerwała się burza, daleko sroższa od poprzedniej. Straszna ulewa, a tu na obu brzegach nigdzie ani jednego światełka, wszyscy śpią. My zaś płyniemy ciągle, upatrując światła i naszej tratwy. Po paru godzinach deszcz ustał, ale chmury nie ustąpiły, błyskawice latały po niebie, a gdy od czasu do czasu silniej błysnęło, widzieliśmy przed sobą na wodzie coś czarnego.

Była to, ma się rozumieć, tratwa i bardzo byliśmy radzi, przeniósłszy się na nią. Teraz także ujrzeliśmy niewielkie światełko na prawym brzegu, do którego postanowiłem przybić. Tymczasem zaś, wyjąwszy z łódki worek pełen rzeczy skradzionych na tonącym parowcu, przerzuciliśmy go na tratwę, nie wiedząc nawet, co w nim jest. Prosiłem Jima, aby płynął dalej, a przepłynąwszy parę mil, żeby zapalił światło na tratwie i nie gasił go, dopóki ja nie powrócę. Przyrzekł to uczynić, ja zaś wziąwszy się do wioseł, popłynąłem prosto na światło. Gdy już byłem bliżej, ujrzałem więcej świateł rozsianych po wzgórzu, była to bowiem wcale[153] porządna wioseczka. Podpływam do najbliższego światła i widzę, że pochodzi od latarni zawieszonej na głównym maszcie łodzi żaglowej. Zacząłem szukać stróża, dziwiąc się, gdzie by mógł być wśród nocy, aż w końcu znalazłem go, drzemał okryty żaglem, z głową spuszczoną na kolana. Wstrząsnąwszy go parę razy za ramię, zaczynam płakać.

Zbudził się nagle przestraszony, ale zobaczywszy przed sobą niedorostka[154], przeciągnął się, ziewnął i powiada:

— No, cóż się tam stało? Nie płacz, bębnie[155]. Co masz za zmartwienie?

— Tatko, mama i siostra, i...

Tu płacz niby przerywa mi mowę, więc on zniecierpliwiony:

Kondycja ludzka

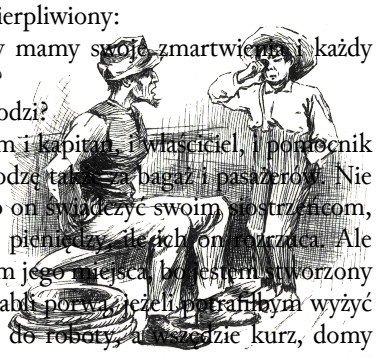

— Tam do licha, po cóż tak beczysz? Wszyscy mamy swoje zmartwienia i każdy znajdzie swój koniec. No, gadaj, cóż się z nimi stało?

— Oni... ich... oni... To pan jesteś stróżem tej łodzi?

— Ja — z zadowoleniem odpowiada. — Ja jestem i kapitan, i właściciel, i pomocnik kapitana, i sternik, i stróż, i robotnik, a czasem uchodzę także za bagaż i pasażerów. Nie taki ja bogaty jak stary Hornback i nie mogę tyle co on świadczyć swoim siostrzeńcom, a Tomek, Dick i Henryk nie dostają ode mnie tyle pieniędzy, ile ich ojciec rozrzuca. Ale mówiłem mu nieraz, że za nic w świecie nie przyjąłbym jego miejsca, bo jestem stworzony do pływania po wodzie, nie do lądu. I niech mnie diabli porwą, jeżeli potrafiłbym wyżyć w mieście przez dwa dni z rzędu, gdzie nic nie ma do roboty, a wszędzie kurz, domy i kamienie. Więc mówię ja staremu...

Przerywam mu piskliwym głosem:

— Nieszczęście ich spotkało... okropne nieszczęście...

— Kogo?

— Tatkę i mamę, i siostrę, i pannę Hooker także i jeżeli nie popłyniecie tam zaraz...

— Gdzie, tam? Gdzież oni są?

— Na pokładzie tonącego parowca.

— Jakiego parowca?

— Jest tylko jeden.

[153] *wcale* — tu: całkiem. [przypis edytorski]

[154] *niedorostek* – nastoletni chłopiec. [przypis edytorski]

[155] *bęben* (daw., pot.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

— Co? Przecież nie „Walter Scott".

— On sam.

— Panie, zmiłuj się! Cóż oni tam robią? Po co tam leźli?

— Że nienaumyślnie, to pewne!

— A pewno! Panie, zlituj się, nie ma dla nich ratunku, jeżeli nie uciekną stamtąd czym prędzej. Jakimże sposobem dostali się w taką pułapkę?

— Bardzo prostym. Miss Hooker pojechała z wizytą do miasta...

— Tak, do Booth Lauding. Cóż dalej?

— Pojechała z wizytą do Booth Lauding i przed samym wieczorem wsiadła ze swoją Czarną służącą na prom, który miał ją zawieźć z miasta do panny, Bóg ją wie, jak się nazywa, bo zapomniałem. Ta panna to jej wielka przyjaciółka i miss Hooker chciała u niej nocować. Na samym środku rzeki przewoźnik zgubił wiosło, prom okręcił się parę razy wokoło, a potem popłynął z wodą wiorstę[156], dwie, wreszcie natknął się na parowiec i zatonął. Przewoźnik także utonął. I Czarna, i powóz z końmi, i wszystko, tylko jedna miss Hooker dostała się na pokład parowca. A potem, na godzinę przed zachodem słońca, tatko, mama, siostra i ja płynęliśmy sobie w naszej łodzi, w tej, w której wozimy jarzyny na targ, ale że było ciemno, więc nie widząc parowca, uderzyliśmy także o niego. Z nas nie utonął nikt, ale za to utonął Bill Whipple, taki dobry, taki dobry! Chłopiec najlepszy w świecie! Tak mi go strasznie żal, że wolałbym był sam utonąć... Słowo daję, wolałbym.

— Co ja słyszę! Co ja słyszę! Jak żyję, nie słyszałem takich awantur[157]! No, a wtedy cóżeście robili?

— Zaczęliśmy krzyczeć i wołać o pomoc, ale rzeka taka w tym miejscu szeroka, a wicher tak huczał i gwizdał, że nikt nas nie mógł usłyszeć. Tatko więc powiada, że trzeba, aby ktoś z nas dostał się na brzeg i powiedział ludziom, co się z nami stało. Tylko ja jeden umiem pływać, więc rzuciłem się w wodę. Dopłynąwszy do lądu, straciłem tylko czas na próżno, bo co kogo spotkam, to mi odpowiada: „Co? Na taką noc i w taką falę? Nie ma głupich... Idź, poszukaj promu parowego". Ale teraz, kiedy pana spotkałem, to może pan zechce...

— Ma się rozumieć, że zechcę, ale niechże wiem, kto mi za to zapłaci? Jak myślisz? Czy twój tatko...

— No, to już wszystko dobrze. Miss Hooker powiedziała wyraźnie, że jej wuj Hornback...

— Wielki Boże! Więc on jest jej wujem! On! Słuchaj, malcze, idź prosto na to światło, które tam widzisz... Doszedłszy do niego, zawróć na lewo i idź jeszcze z ćwierć mili, dopóki nie zobaczysz szynku, wejdź tam i każ się zaprowadzić do Hornbacka, który z pewnością weźmie wszystko na swój rachunek. A nie trać czasu, bo staremu pilnie będzie dowiedzieć się o siostrzenicy. Powiedz mu, że zanim przyjdzie do miasta, będę ją miał żywą i zdrową... Zabieraj nogi, chłopcze, ja śpieszę obudzić pomocnika.

Poszedłem na światło, ale gdy stary zniknął we drzwiach stojącego nad brzegiem domostwa, dobiegłem do swojej łodzi, wyciągnąłem ją na brzeg między szychty drzewa i ukryty w ich cieniu z niepokojem oczekiwałem chwili wyruszenia łodzi na pomoc uwięzionym. Prawdę rzekłszy, czułem pewne zadowolenie, że zadałem sobie tyle trudu dla takich ludzi. Wiem, że nie każdy by to uczynił. Żeby też o tym wdowa wiedziała! Wyobrażam sobie, jak by się mną pysznіła[158], że dopomagam takim łotrom, bo zauważyłem, że i wdowa, i wszyscy cnotliwi ludzie najlepiej lubią łotrów i niegodziwców. Kondycja ludzka

Po kilkunastu minutach ujrzałem swój parowiec, który woda niosła w dół. Spostrzegłem go tylko dlatego, że był jeszcze ciemniejszy od ciemnej nocy... Aż dreszcz po mnie przeszedł, gdy go zobaczyłem, bo wyglądał jak widmo okrętu, prawie po samą galeryjkę zatopiony już w wodzie. Zepchnąwszy swoją łódź na wodę, podpłynąłem do niego, ale na mój krzyk nikt się nie odezwał. Woda zalewała już pokład, tonący parowiec zanurzał się coraz głębiej z każdą chwilą. Zrobiło mi się trochę przykro, gdy pomyślałem o tamtych, których woda zalała najpierw niż pokład, ale tylko trochę, bo pomyślałem, że kiedy oni mogli wytrzymać taką śmierć, to i ja mogę.

---

[156]*wiorsta* — dawna rosyjska miara odległości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

[157]*awantura* (daw.) — przygoda. [przypis edytorski]

[158]*pysznić się* — wywyższać się. [przypis edytorski]

O kilka sążni[159] za parowcem płynęła łódź żaglowa, zacząłem więc z całej siły robić wiosłami, żeby się dobrze odsadzić[160], a gdy już byłem pewny, że mnie nikt nie dojrzy, obejrzałem się, aby zobaczyć, jak też ona będzie uwijać się koło parowca i jak właściciel będzie szukał sposobu wydobycia zwłok miss Hooker w nadziei sutej nagrody od Hornbacka. Widząc jednak, że nic nie wskóra, łódź dała za wygraną i powróciła do przystani, ja zaś nie mając na co czekać, puściłem się w pogoń za tratwą.

Zdawało mi się, że płynę niezmiernie długo, nim ujrzałem nareszcie płonące światełko na tratwie Jima, a gdy je ujrzałem, to i tak wydało mi się oddalone o przynajmniej tysiąc mil. Przez ten czas niebo zaczęło rozjaśniać się trochę na wschodzie, przybiliśmy więc do jakiejś wysepki, ukryliśmy tratwę, czółno wyciągnęliśmy na brzeg, a sami rzuciwszy się na tratwę, zasnęliśmy jak zabici.

ROZDZIAŁ XIV

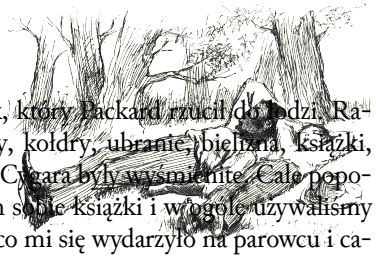

Wczasy. — Harem. — Francuz i język francuski.

Wyspawszy się należycie, przetrząsnęliśmy worek, który Packard rzucił do łodzi. Rabusie dobrze się obłowili: w worku znalazły się buty, kołdry, ubranie, bielizna, książki, cygara. Nigdy w życiu nie byliśmy jeszcze tak bogaci. Cygara były wyśmienite. Całe popołudnie leżeliśmy w lesie, rozmawiając, ja też czytałem sobie książki i w ogóle używaliśmy wypoczynku. Gdy opowiedziałem Jimowi wszystko, co mi się wydarzyło na parowcu i całą moją rozmowę z właścicielem łodzi żaglowej, odpowiedział, że on wcale nie pragnie podobnych przygód.

— Bo — mówił Jim — kiedy ty zszedłeś po schodach, a ja szukałem tratwy, to o mało nie umarłem ze strachu i pewności, że przepadłem na wieki. Bo tak: jeżeli nas nie ocalą, to utoniemy, a jeżeli nas ocalą, to ten zbawca odprowadzi mnie do miss Watson dla nagrody, miss Watson zaś sprzeda mnie do Orleanu, jak Bóg w niebie.

I miał słuszność. Jak na Czarnego, niepospolicie tęgą miał głowę. Pozycja społeczna, Rasizm

Czytywałem też często Jimowi o różnych królach, książętach, hrabiach i innych wielkich panach, jak się wspaniale ubierali, jak się nosili pysznie, jak mówili do siebie: „Wasza Królewska Mość" i „jaśnie oświecony książę", i „Wasza Wysokość", i Bóg wie jak jeszcze, zamiast mówić sobie po prostu „panie", a Jim wytrzeszczał oczy i słuchał z ogromnym zajęciem[161]. Raz mówi do mnie:

— Nie wiedziałem, że ich tylu było. Nie słyszałem o nich i żadnego nie znałem, prócz starodawnego króla Salomona[162], bo nie liczę tych królów, co są w kartach. Ile król dostaje pieniędzy?

— Ile dostaje? Albo ja wiem! Pewno z tysiąc dolarów na miesiąc, jeżeli mu się tak podoba. Może mieć tyle, ile sam zechce, wszystko do niego należy.

— Takiemu to dobrze! A cóż oni mają do roboty?

— Co też tobie do głowy przychodzi, Jim? Król nic nie robi, tylko siedzi na tronie. Król

— Doprawdy?

— Naturalnie. Siedzi na tronie z berłem w ręku, a koroną na głowie. Jak wojna, to co innego, królowie zawsze idą na wojnę, ale w cichą porę to sobie mają używanie: chodzi, przeciąga się, ziewa... Cyt! Słyszałeś szmer?

Wysadziliśmy głowy spomiędzy drzew i patrzymy, lecz nic nie widać i nie słychać, prócz plusku wody, którą rozbija koło parowca, wróciliśmy więc na swoje miejsca.

— Tak — powiadam — a jak to go znudzi, to się kłóci z parlamentem, a jeżeli mu się kto opiera, to ścina głowy nieposłusznym. Najczęściej jednak król przesiaduje w haremie.

— Gdzie?

— W haremie.

— Co to jest harem?

---

[159] *sążeń* — daw. jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny, tj. ok. 1,8–2 m. [przypis edytorski]

[160] *odsadzić się* — oddalić się od kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

[161] *zajęcie* — zainteresowanie. [przypis edytorski]

[162] *Salomon* — biblijny król Izraela, syn Dawida, słynny z mądrości. [przypis edytorski]

— Miejsce, gdzie trzyma swoje żony. Nie słyszałeś o haremie? Salomon miał harem, a w nim około miliona żon.

— A prawda, prawda, zapomniałem! Harem to dom dla żon. To dopiero hałas tam musi być w dziecinnym pokoju! Pewno też i żony kłócą się ciągle między sobą, to harmider! I mówią, że Salomon najmędrszy z ludzi: ja temu nie daję wiary. Bo czy człowiek mądry chciałby żyć ciągle w takim młynie, gdzie kobiety mielą językami bez przerwy? Nie, nie chciałby! Człowiek mądry zbudowałby sobie młyn parowy. Chcę ciszy, to puszczam w ruch maszynę, a chcę spokoju, to ją zatrzymuję.

— Może być, ale w każdym razie Salomon był najmędrszy z ludzi, słyszałem to z ust własnych wdowy.

— Ja tam nie wiem, co mówiła wdowa, ale moim zdaniem on nie był najmędrszy, ani nawet mądry. Bo proszę cię, co też jemu przychodziło do głowy? Słyszałeś o tym dziecku, co je kazał rozciąć na dwoje?

— Słyszałem, opowiadała mi wdowa.

— A widzisz! Jak można wymyślić coś podobnego! Bo proszę cię, zastanów się tylko. Tu stoi jedna kobieta: matka, uważasz? A tu stoi druga. Ja jestem Salomon, a ten dolar to dziecko. Obie matki upominają się o dziecko. Cóż ja więc robię? Czy pójdę pomiędzy sąsiadów i dowiem się, do której z matek dziecko sprawiedliwie należy, i tej oddam zdrowe i całe, jakby to uczynił każdy, co ma choć trochę oleju w głowie? Właśnie że nie! Ja biorę siekierę i rozrąbuję dolara na dwie części i daję jedną połowę jednej matce, a drugą drugiej. Wszak Salomon tak postąpił z dzieckiem? A teraz pytam się ciebie, na co komu zda się przecięty dolar? Na nic się nie przyda. To cóż dopiero dziecko?! Za milion takich nie dałbym centa!

— Bodajeś zdrów był, Jim, nie trafiłeś w sedno. Bodaj cię kaczki zdeptały, nie trafiłeś nawet blisko sedna!

— Kto? Ja? Nie gadałbyś! Proszę cię, daj mi spokój ze swoim sednem, wiem przecież, co to znaczy zdrowy rozsądek, ale tu nie widzę go ani krzty. Sprzeczka nie szła o połowę dziecka, lecz o całe dziecko, a człowiek, któremu się zdaje, że sprzeczkę o całe dziecko załagodzi połową dziecka, nie ma rozsądku za grosz. Już ty mi nie gadaj o Salomonie, Huck, znam go na wylot!...



— A kiedy ja ci mówię, że nie trafiłeś w sedno.

— Niech licho weźmie sedno! Co wiem, to wiem. I pamiętaj to sobie, że prawdziwe sedno jest jeszcze głębiej. Trzeba wiedzieć, kto to był Salomon. Weź ty człowieka, który ma tylko jedno albo dwoje dzieci, czy taki człowiek będzie szafował dziećmi? Nie, nie będzie, nie stać go na to. Taki zna wartość dziecka. A weźże ty drugiego, co ma w domu z pięć milionów hałasujących dzieci, albo i więcej, to zupełnie co innego. Taki ci na poczekaniu przetnie dziecko jak kota. Tak też było z Salomonem, jedno dziecko więcej czy mniej, dla niego to wszystko jedno! Dziecko

Nigdy nie widziałem Czarnego, który by tak napadał na Salomona. Jak sobie coś raz wbił w głowę, już mu tego i toporem nie wybijesz. Zaczęliśmy więc mówić o innych rzeczach, a Salomonowi daliśmy spokój. Opowiadałem mu o Ludwiku XVI[163], któremu już dawno temu Francuzi głowę ścięli, i o jego synku, delfinie[164], co byłby także został królem, ale go zamknęli w więzieniu, gdzie, jak mówią niektórzy, umarł podobno.

— Nieboraczek!

— Ale inni twierdzą, że uciekł stamtąd i schronił się w Ameryce.

— Dobrze zrobił! Ale nudzić się tu będzie sam jeden, przecież tu nie ma królów, prawda, Huck?

— Nie, nie ma.

— To i nie ma dla niego posady. Cóż on tu robi?

— Nie wiem. Czasem taki król zaciągnie się do policji, a są i tacy, którzy uczą, jak trzeba mówić po francusku.

— Co, Huck? A czy to we Francji ludzie nie mówią tak jak my?

— Nie, Jim, inaczej mówią, zupełnie inaczej. Nie zrozumiałbyś ich ani słowa.

— Co ty mówisz? Jakże to może być?

— Ja sam nie wiem jak, ale tak jest, wiem to z pewnością. Widziałem nawet ich gadanie w jednej książce. Przypuść tylko, że przyjdzie ktoś do ciebie i powie: „Polly-voo--franzy". Cóż ty na to?

— A nic! Dałbym mu kułakiem[165] w głowę. To jest, dałbym, gdyby to nie był biały człowiek. Czarnemu nie pozwoliłbym na takie wymyślanie. Pozycja społeczna

— Kiedy to wcale nie wymyślanie. On ani by myślał obrażać ciebie, on by się tylko pytał, czy umiesz mówić po francusku.

— Więc dlaczego nie może powiedzieć wyraźnie?

— Kiedy on mówi to wyraźnie, ale mówi po francusku.

— No to głupio mówi i ja nie mam ochoty słuchać takiego gadania, w którym nie ma żadnego sensu.

— Posłuchajże, Jim: czy kot mówi tak, jak my mówimy?

— Nie, nie mówi tak.

— A krowa?

— Nie, i krowa tak nie mówi.

— No, a teraz mi powiedz: czy krowa mówi tak jak król albo kot tak jak krowa?

— Nie. Każde mówi po swojemu.

— Uważasz więc za rzecz słuszną, żeby kot i krowa mówiły każde po swojemu?

— Ma się rozumieć.

— I za rzecz słuszną, żeby ani kot, ani krowa nie mówiły tak, jak mówią ludzie?

— Naturalnie!

— Powiedzże mi, dlaczego nie ma być rzeczą naturalną i słuszną, żeby Francuzi mówili inaczej od nas? Cóż na to odpowiesz?

— Huck, czy kot jest człowiekiem?

— Nie.

— Więc cóż za racja, żeby kot mówił po ludzku? Czy krowa jest człowiekiem albo czy krowa jest kotem?

— Nie, krowa nie jest człowiekiem ani kotem.

— A skoro tak, to nie ma obowiązku mówić jak kot albo jak człowiek.

— A Francuz, czy jest człowiekiem?

---

[163] *Ludwik XVI* (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

[164] *delfin* — następca tronu, zwł. francuskiego. [przypis edytorski]

[165] *kułak* — mocno zaciśnięta dłoń; pięść. [przypis edytorski]

— Jest.

— A widzisz! Skoro jest, to dlaczego nie mówi jak człowiek? Odpowiedzże na to.

Widziałem, że na próżno tracimy słowa, nikt nie nauczy Czarnego rozumować po naszemu. Dałem więc spokój. Pogarda

ROZDZIAŁ XV

Huck traci tratwę. — Mgła. — Dobrze spał. — Huck znajduje tratwę. — Śmiecie.

Domyśliwszy się, że po trzech nocach żeglugi staniemy w Cairo[166], u przeciwległej granicy Illinois, tam, gdzie wpada rzeka Ohio, czekaliśmy tej chwili z upragnieniem, zdecydowani sprzedać tratwę, wsiąść na parostatek, popłynąć rzeką Ohio w górę, bo w tamtych stanach niewolnictwo było zniesione.

Ponieważ następnej nocy mgła się nad rzeką rozesłała, skierowaliśmy więc tratwę ku najbliższej, zaroślami pokrytej ławicy, aby tam przywiązać ją do drzewiny i mgłę przeczekać. Wziąwszy więc ze sobą linę, wsiadłem w łódkę i popłynąłem do ławicy. Widzę same młode drzewka, wybrałem jednak drzewo, które wydawało mi się grubsze od innych, rosnące tuż nad wodą, na kanciastym występie ławicy, i około niego okręciłem linę. Że jednak prąd był silny, więc i bystro rwał ze sobą tratwę w dół rzeki, drzewko nie wytrzymawszy naporu, wyrwane z korzeniami popłynęło wraz z tratwą. A tu mgła tak mnie otoczyła, że nie tylko nic nie widzę, ale chwilowo nawet nie mogę się ruszyć. Tratwa zniknęła mi z oczu. Co żywo więc do łodzi, chwytam wiosło, odpycham się od brzegu, łódź ani drgnie. Okazało się, że w pośpiechu jej nie odwiązałem. Rozplątuję więc węzeł, ale tak mi drżą ręce, że go zaciskam jeszcze mocniej, ledwo mu dałem radę.

Gdy wreszcie postawiłem na swoim, płynę, trzymając się zawsze brzegu ławicy, ale że miała ona zaledwie jakieś sześćdziesiąt łokci długości, więc gdy ją minąłem, znów otoczony gęstą i białą mgłą, nie wiedziałem ani gdzie jestem, ani gdzie się podziała moja tratwa.

Myślę więc sobie: wiosłować nie trzeba, a nuż natknę się na ławicę albo na coś podobnego? A tak woda sama mnie poniesie! Siedzę więc spokojnie, choć mnie ręce swędzą, bo co to jest siedzieć nieruchomo i czekać, kiedy w tobie aż wre wszystko z niepokoju.

Huknąłem tylko na Jima i słucham. Odzywa mi się w dość znacznej ode mnie odległości, ale zawsze odzywa się, więc we mnie duch wstępuje, biorę się do wioseł i płynę w kierunku, skąd głos mnie doszedł, a słucham, czy nie odezwie się.

Po chwili daje się słyszeć po raz drugi, ale nie z przodu, lecz z prawej strony. Hukam raz jeszcze: odpowiada mi, ale tym razem z lewej strony i zawsze w tym samym niby oddaleniu. Rzuciłem więc wiosło zniechęcony, bo widocznie plączę się tylko w zygzak po rzece, a tratwa wciąż płynie prosto i na cal się do niej nie zbliżyłem.

Jim powinien był mieć rozum i widząc, co się dzieje, uderzać młotkiem w jakąś blachę raz po razie, żeby mnie prowadzić za głosem. Ale nie przyszło mu to na myśl, a takie przerywane hukanie bałamuciło[167] mnie tylko jeszcze gorzej. Nie wiedziałem już, gdzie się obrócić, a gdy je posłyszałem po raz czwarty, z tyłu, za sobą, to już zupełnie straciłem głowę. Do dziś dnia nie wiem, czy hukał to ktoś inny, czy też prąd kręcił łódką wkoło.

Dawszy spokój wiosłowaniu, pilnie nasłuchiwałem; głos znów odzywa się z tyłu, ale w innym miejscu; wołam ciągle, a on odpowiada raz głośniej, to znów ciszej, jakby nas rozdzielała większa odległość. Coraz gęstsza mgła zasłania mi oczy, zatyka uszy, pcha się w gardło, człowiek nie wie, gdzie jest i co robi, bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd mgła wali się na niego i naciera jak nieprzyjaciel na wojnie.

Niesie mnie fala, gdzie sama chce, raz łódź uderzyła o brzeg i zamajaczyły mi nad głową rozpostarte gałęzie drzew, jakby zza dymu przeglądające. Potem gwałtownie rzuca na lewo i wartko rwie naprzód, a ja siedzę z rękami założonymi, cały spowity w białą mgłę, i słucham uderzeń serca, które bije, bije jak młotem, silnie, prędko, że mi trudno odetchnąć.

Teraz już zrozumiałem, co się dzieje. Brzeg, o który się uderzyłem, musiał być krawędzią wyspy, a Jim po drugiej stronie. Nie była to marna ławica, zarosła bawełnianym

[166] *Cairo* — miasto położone w stanie Illinois. W czasach, kiedy dzieje się akcja książki, Illinois był stanem wolnym od niewolnictwa, otoczonym dwoma stanami niewolniczymi: Missouri i Kentucky. [przypis edytorski]

[167] *bałamucić* — wprowadzać w błąd. [przypis edytorski]

krzewem, ale wyspa co się zowie, pokryta lasem, zapewne z sześć mil długa i o szerokości dobrze półmilowej.

Szumiało mi w uszach i drżałem cały, ale nie było rady, musiałem siedzieć spokojnie. Wiedziałem, że się posuwam naprzód, że robię cztery do pięciu mil na godzinę, ale każdy, kto się już znajdował w takiej przygodzie, powie to samo, co ja: płyniesz, a zdaje ci się, że stoisz w miejscu. Więcej nawet, przysiągłbyś, że już nie poruszysz się nigdy, a jeżeli napotkasz sterczącą z wody rafę lub kępę jakichś wodorośli i miniesz ją, to zapominasz zupełnie o tym, że to ciebie woda unosi, a tylko dech powstrzymując, myślisz: „Ach! Jak ona szybko ucieka!". A jeżeli komuś się zdaje, że nocą na wodzie wśród takiej mgły nie strasznie człowiekowi samemu, to radzę mu tylko, niech spróbuje.



Upłynęło tak z pół godziny... Hukam od czasu do czasu, a odpowiedź przychodzi do mnie z bardzo daleka. Rad bym płynąć w stronę głosu, ale nie mogę, bo jestem wśród mnóstwa małych, bawełną zakrzewionych wysepek, które mi się niewyraźnie we mgle ukazują, gdy pomiędzy nimi przepływam. Czasami mgła zgęszcza się raptownie i wtedy, choć wąziutką, do kanału podobną, płynę odnogą, nie widzę krawędzi wysepek, wiem tylko, że są, bo moja łódź płynąc, ociera się o uschłe już krzewy i różne badyle, którymi zarasta brzeg. Tak się tam wśród tych wysepek woda rozlała po odnogach, tak kręto niósł mnie prąd, że płynąć za głosem znaczyłoby to samo, co gonić za błędnym ognikiem. Głos się tam rozbijał i ginął, i znów niespodzianie skądciś[168] powracał, a pożytku nie przynosił żadnego.

Kilka razy musiałem szybko odpychać się wiosłem od brzegu, bo łódź z taką siłą pędziła i tak na brzegi nacierała, że się bałem, aby przypadkiem nie wysadziła wyspy z morza jak oka z głowy. Tratwa, jako szersza, z większą trudnością przeciskała się, więc przypuszczałem, że muszę teraz być bliżej, chociaż Jim prędzej płynął ode mnie.

Sam nie wiem, jak to długo trwało, ale w końcu znalazłem się znów na szerokim korycie rzeki i nie tracąc czasu, huknąłem, by dać znać o sobie. Nikt mi jednak nie odpowiedział. Przyszło mi do głowy, że Jim uderzył gdzieś może o jakąś rafę i rozbił się. Zmęczony straszliwie, wyciągnąłem się w łodzi jak długi, o nic już nie dbając, niech się tam dzieje, co chce. Ma się rozumieć, że nie miałem zamiaru spać, ale że byłem straszliwie senny, postanowiłem więc zdrzemnąć się chwilkę, jak kot, gdy zasypia nad mysią norą.

[168]*skądciś* (pot.) — skądś. [przypis edytorski]

Musiałem jednak spać dłużej niż kot przy norze, bo gdy się przebudziłem, gwiazdy świeciły jasno, mgła znikła bez śladu, a ja płynąłem środkiem rzeki, która tworzyła w tym miejscu szeroki, półkolisty zakręt. Z początku nie wiedziałem, gdzie jestem, zdawało mi się, że śnię, później jednak wszystko mi na myśl przychodziło, lecz tak powoli, jakby z daleka, jakby z przyszłego tygodnia.



Rzeka była w tym miejscu nadzwyczajnie szeroka, a po obu jej brzegach rosła taka gęstwina wysokich, ciemnych drzew, że podobna była nie do boru, lecz do ogromnej ściany, sięgającej pod samo niebo.

Przy świetle gwiazd niewiele można widzieć, dojrzałem jednak w znacznej od siebie odległości coś, co czerniło się wyraźną plamą na ciemnym tle wody. Podpływam i cóż się ukazuje: kilka bali razem związanych. Dalej jeszcze znów coś się czerni: pędzę, ile mam siły, i teraz dobrze już trafiłem, bo była to właśnie nasza tratwa.

Z prawdziwym zadowoleniem przedostałem się z łódki na tratwę, a z jeszcze większym ujrzałem Jima. Spał sobie poczciwiec z głową wsuniętą między kolana i przyciskał ręką wiosło. Drugie leżało strzaskane na pomoście, a cała tratwa była usłana połamanymi gałęziami, liściem i mokrą ziemią.

Nie tracąc czasu, położyłem się na pomoście pod samym nosem Jima i zaczynam ziewać, przeciągać się, niby to niechcący trącając Jima, aż wreszcie mówię:

— Jim, czy ja spałem? Czemu mnie nie obudziłeś?

— Święty Boże, to ty, Huck? Nie umarłeś? Nie utonąłeś? Powróciłeś? To dopiero szczęście! Czy to prawda, kochany? Prawda, że ja cię mam przed sobą? Niechże się na ciebie napatrzę, dzieciaku, niech cię pomacam... Więc ty, złotko moje, powróciłeś? I zdrów, i cały? Ten sam Huck co dawniej, ten sam zupełnie? O, dzięki Tobie, Boże!

— Co się tobie stało, Jim? Czyś ty pijany?

— Ja pijany? Albo ja piłem? Albo ja miałem czym się upić?

— A dlaczegóż mówisz od rzeczy?

— Co mam mówić od rzeczy? Cóż ja powiedziałem?

— Jak to? Nie wykrzykiwałeś, że powróciłem, że nie utonąłem i różne takie facecje[169]? A czy ja się stąd ruszałem?

— Huck, spojrzyj mi w oczy. Patrz mi prosto w oczy, Huck. Powiadasz, że się stąd nie ruszałeś?

— Ja? Wytłumaczże mi, co to ma znaczyć? Nie ruszałem się stąd, to pewne. Gdzież bym ja mógł być?

— No, patrzcież, moi ludzie, coś się tu stało, coś się tu stało niedobrego!... Czy ja jestem ja, czy kto inny jest ja? Czy tu jest tu, czy gdzie indziej?

— Zdaje mi się, że ci się trochę pomieszało w głowie, stary wariacie!

— No, to kiedy ja jestem ja, to mi odpowiedz na pytanie: wziąłeś ze sobą linę czy nie wziąłeś, wsiadłeś z liną w łódkę czy nie wsiadłeś, żeby uwiązać tratwę?

— Nie brałem liny i nie wsiadłem w łódkę. Gdzie miałem uwiązywać tratwę? Do czego?

— Nie miałeś uwiązywać tratwy? Słuchaj: nie wyrwała lina drzewka i nie popłynęła tratwa razem z drzewkiem, a ty nie zostałeś z łódką wśród mgły?

— Jakiej mgły?

— Mgły! Tej, co była prawie przez całą noc. Czy nie hukałeś, czy ja ci się nie odzywałem, dopóki obaj nie przepadliśmy wśród wysepek, tak że jeden nie wiedział, gdzie szukać drugiego? I czy nie uderzyłem o jedną z tych przeklętych wysepek, że mało mi się tratwa nie rozbiła, a ja sam o mało nie utonąłem? Nie było tego wszystkiego, powiedz? Nie było?

— Nie rozumiem cię, Jim. Nie widziałem ani mgły, ani wysp, nie hukałem i nie gubiłem ani drogi, ani ciebie. Siedziałem tu przez całą noc i rozmawiałem ciągle. Dopiero teraz, najwyżej przed dziesięcioma minutami, usnąłeś i zdaje mi się, że ja także usnąłem. Nie mogłeś przecież upić się w tak krótkim przeciągu czasu, więc śniłeś.

— Jakże mogło mi się śnić tyle rzeczy przez tak krótki przeciąg czasu?

— Widocznie musiało ci się śnić, skoro mówisz o tym, co nigdy nie miało miejsca.

— Kiedy ja to wszystko widziałem. Na własne oczy widziałem... jak najwyraźniej.

[169] *facecja* — żart, dowcip. [przypis edytorski]

— Zdaje ci się, że widziałeś, ale tego wszystkiego nie było. Zaręczam ci, że się stąd wcale nie ruszałem.

Jim milczał przez kilka minut, rozmyślając widocznie nad tym, co mówiliśmy. W końcu rzecze:

— No, może być, że mi się to wszystko śniło, ale niech mnie kaczki zdepczą, jeśli miałem kiedyś tak wyraźny i męczący sen.

Sen

— A tak! Bo czasem sen zmęczy gorzej od prawdy. Ależ to sen zabawny, opowiedz no mi go, Jim.

Tu Jim, głos zabrawszy, opowiedział mi wszystko, szczegół po szczególe, wszystko tak, jak było, tylko, ma się rozumieć, znacznie ubarwione. A potem zaczął znów od początku i każdy szczegół „tłumaczył" po swojemu, bo uważał podobny sen za zesłaną z góry przestrogę. Najpierw spotkana ławica oznaczać miała człowieka, który będzie chciał uczynić nam dobrze, ale przeszkodzi mu w tym „prąd", czyli inny człowiek, który oddali nas od pierwszego. „Nawoływania" znaczą, że od czasu do czasu będziemy ostrzegani, ale jeżeli nie będziemy się starali zrozumieć przestrogi, to one nie tylko nie odwrócą od nieszczęścia, ale owszem, przyczynią go jeszcze. „Wysepki" oznaczają przykrości, które mają nas spotkać od różnych kłótliwych, niskiego charakteru i nieżyczliwie dla nas usposobionych osób, ale jeżeli będziemy się pilnować, nie wchodzić im w drogę i niczym ich nie drażnić, to ze spotkania z nimi wyjdziemy bez szwanku i zza „gęstej mgły" wypłyniemy szczęśliwie na jasną, czystą wodę, to znaczy: dostaniemy się bez przeszkody do stanów, gdzie nie istnieje niewolnictwo i gdzie skończą się wszystkie nasze kłopoty.

— Tak, doskonale wytłumaczyłeś wszystko, co było snem — powiadam — ale wytłumacz że mi, jakie ma znaczenie to, co snem przecież nie jest. Patrz...

I wskazałem mu na różne patyki i liście, zaścielające cały pomost tratwy, na wiosło, które w drzazgi poszło w chwili, gdy się nim odpychałem od brzegu w ciasnych odnogach wśród wysepek.

Jim patrzył to na grubą warstwę gałęzi, to na mnie, ale widać sen tak już mocno wbił mu się w głowę, że go z niej nie mógł usunąć. Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

— Jakie to ma znaczenie? Zaraz ci powiem. Gdy zmordowany sterowaniem i wołaniem na ciebie szedłem spać, to czułem, że mi ledwie serce nie pęka z żalu za tobą. Gdy zaś obudziwszy się, zobaczyłem obok siebie Hucka zdrowego i całego, to się mało nie rozpłakałem z radości i gotów byłem przed tobą paść na kolana i twoje nogi całować. Ty zaś przez cały ten czas tylko o tym myślałeś, jak by starego Jima okłamać i wystrychnąć na dudka. Otóż to wszystko, co pokład zaśmieca, jest obrazem twego myślenia, bo śmieciem są ludzie, którzy obrzucają błotem swoich przyjaciół i znajdują zabawę w ich zawstydzaniu.

Kondycja ludzka

To rzekłszy, podniósł się z miejsca i idąc ku budzie powolnym krokiem, wszedł do jej wnętrza. Nic więcej nie rzekł, ale i tego było dosyć. Poczułem się tak podle, że mogłem był nieledwie[170] całować nogi Czarnego.

Z kwadrans upłynął, nim się przemogłem, żeby pójść upokorzyć się i przyznać do winy przed Czarnym, ale to uczyniłem, i co więcej, nigdy tego nie żałowałem. Nigdy też później nie bawiłem się jego kosztem, a i wówczas nie byłbym się bawił, gdybym był przewidział, że Jim tak weźmie żart ten do serca.

ROZDZIAŁ XVI

Oczekiwanie. — Do Cairo! — Grube kłamstwo. — Mijamy Cairo. — Na lądzie.

Przespawszy prawie cały dzień, ruszyliśmy z miejsca dopiero nocą, mając przed sobą olbrzymią tratwę, na której musiało siedzieć ze trzydziestu ludzi, bo naliczyłem na pomoście aż pięć bud, nie tak licho skleconych jak nasza, ale porządnych, niby domeczki stojące w pewnym oddaleniu od siebie. Na środku pomostu było wmurowane ognisko, a z przodu i z tyłu powiewały flagi na wysokich masztach.

Noc była pochmurna i gorąca, rzeka zaś w tym miejscu tak szeroka, że prawie nie widzieliśmy brzegów, tylko dwie wysokie ściany drzew, wśród których nie było najmniejszej

[170] *nieledwie* (daw.) — prawie, niemal. [przypis edytorski]

przerwy ani światełka. Rozmawialiśmy o Cairo, niepewni, czy płynąc mimo, odgadniemy, że to upragnione Cairo, a nie inne miasto. Ja mówiłem, że zapewne nie odgadniemy, bo słyszałem, że jest tam zaledwie kilkanaście domów, których, zwłaszcza wśród nocy, możemy wcale nie dostrzec. Jim zaś utrzymywał, że poznamy Cairo, bo pod samym miastem druga rzeka wpada do Missisipi, co mi się nie bardzo wydawało, gdyż mogłoby się tak zdarzyć, że jeśli rzeka ma tu dwie odnogi, my nie popłyniemy tą, na której wybrzeżach leży miasto. Przypuszczenie to zaniepokoiło Jima, a i mnie także, nie wiedzieliśmy bowiem, co czynić. Stanęło na tym, że jak tylko zobaczymy światło na brzegu, podpłynę łodzią i zasięgnę języka.

Na teraz pozostawało tylko pilnie uważać na brzegi, aby czasem nie prześlepić[171] miasta. Jim był pewny, że je zobaczy, ponieważ na jego widok od razu stanie się wolny; gdyby zaś miasto prześlepił, znalazłby się znów w stanach, gdzie istnieje niewolnictwo, i straciłby wszelką nadzieję zostania wolnym. Co chwila więc zrywał się z miejsca i wołał:

— Cairo! O, Cairo!

Ale Cairo nie było. Światełka, które widział Jim, były to błędne ogniki[172] lub świecące robaczki, więc znów siadał i wytężał wzrok, oczekując chwili, w której nareszcie zobaczy miasto. Jima aż febra trzęsła ze wzruszenia na myśl o bliskiej wolności. Prawdę mówiąc i ja drżałem, patrząc na niego, bo zaczynało mi świtać w głowie pojęcie, że Jim jest już wolny. A za czyją sprawą? Moją! Owa pewność tak mnie dręczyła, że nie mogłem znaleźć spokoju. Przedtem nigdy mnie ta kwestia nie zajmowała, ale teraz coś mnie wewnątrz gryzło i dręczyło. Przekonywałem siebie, że to nie moja wina, że to nie ja skłoniłem Jima do porzucenia swej właścicielki, ale to wszystko nie skutkowało.

„Wiedziałeś przecież — mówiło mi moje sumienie — że Jim uciekł po to, żeby się schronić do wolnych stanów? Trzeba ci było przybić do brzegu i powiedzieć o tym pierwszemu, kogo spotkasz". I prawda! Sumienie miało rację, toteż dokuczało mi, mówiąc dalej: „Cóż ci zrobiła biedna miss Watson, żebyś patrzył obojętnie, jak jej własny Czarny ucieka na twoich oczach, i nie powiedział nic na to? Co ci zrobiła ta biedna, stara kobieta, żebyś tak nieuczciwie z nią postępował? Pomyśl tylko, uczyła cię przecież Pisma Świętego, chciała z ciebie uczynić porządnego człowieka, starała się być dobra dla ciebie pod każdym względem!... A ty co? Tak się odwdzięczasz?".

Poczułem się w końcu tak nisko upadły, tak nieszczęśliwy, że nieledwie pragnąłem śmierci. Snułem się po całej tratwie jak opętany, a że Jim także usiedzieć nie mógł, więc potrącaliśmy się co chwila i pełno nas było w każdym kącie. „O, Cairo!" — mnie już jakby ktoś nożem pchnął w serce i zaraz mi się zdawało, że gdyby to było Cairo, to umarłbym chyba ze wstydu i ze zmartwienia.

Jednocześnie, gdy ja rozmawiałem ze sobą w myśli, Jim ciągle głośno rozprawiał: Niewola

— Niech tylko dostanę się — mówił — do wolnego stanu, to przede wszystkim zacznę oszczędzać i nie wydam na nic ani centa; gdy zaś uzbieram, ile potrzeba, wykupię swą żonę, której właściciel mieszka na folwarku sąsiadującym z posiadłością miss Watson, i wtedy już oboje razem zaczniemy pracować i oszczędzać na wykupienie swych dwojga dzieci. Gdyby zaś pan nie chciał ich sprzedać, to Jim wyszuka sobie jakiegoś abolicjonistę, który mu dzieci wykradnie.

Aż mi się zimno robiło, gdy słuchałem tej mowy. Nigdy Jim nie ośmielił się mówić głośno w ten sposób! I od razu taka w nim zmiana od chwili, w której zaczął mniemać, że prawo uczyni go wolnym. Sprawdzało się stare przysłowie: „Daj Czarnemu cal, a on weźmie łokieć". I to wszystko z mego braku zastanowienia! Czarnemu temu dopomogłem lub prawie dopomogłem do ucieczki, a on teraz w mojej obecności jak najspokojniej powiada, że wykradnie swe dzieci, stanowiące własność człowieka, którego nawet nie znam, człowieka, który nie zrobił mi nigdy nic złego! Pogarda

Martwiłem się, że słowa Jima poniżają go i źle o nim świadczą. A sumienie dopiekało mi ciągle, coraz gorzej, tak że wreszcie wytrzymać dłużej nie mogąc, powiadam mu z cicha:

„Dajże ty mi spokój! Nie za późno jeszcze... Niech tylko mignie na brzegu jakie światło, zaraz tam popłynę i powiem komukolwiek o Jimie".

---

[171] *prześlepić* — nie zauważyć we właściwym momencie kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

[172] *błędny ognik* — bladoniebieski płomyk pojawiający się po zmierzchu na bagnach i torfowiskach. [przypis edytorski]

Od razu mi jakoś ulżyło, czułem się szczęśliwy i lekki jak piórko, pierzchły wszystkie moje zgryzoty. Siadłem spokojnie i upatruję, przyśpiewując coś sobie pod nosem. Po chwili zabłysło gdzieś światełko, a Jim woła na całe gardło:

— Bezpieczni jesteśmy, Huck, bezpieczni! Podskocz raz i drugi, uderz piętami! Cairo! Poczciwe, stare Cairo! Zaraz je poznałem!

A ja na to:

— Popłynę łódką i przekonam się, czy to Cairo. Może to tylko jakaś wioseczka?

Jim zerwał się i w mgnieniu oka przygotował łódkę, położył na dnie swoje stare palto, abym miał na czym siedzieć, dał mi wiosło do ręki, a gdy już się nieco oddaliłem, zawołał za mną na pożegnanie:

— Za chwilę będę krzyczał z radości: „Jestem wolny, wolny!". A jeżelim wolny, to z łaski Hucka. Gdyby nie Huck, nigdy bym nie odzyskał wolności! Jim nigdy ci tego nie zapomni, kochanku. Jim nigdy nie miał lepszego przyjaciela na całym świecie!

Szybko robiłem wiosłami, bo pilnie mi było uciszyć sumienie, ale gdy to usłyszałem, jakby mi kto ręce przetrącił! Zwolniłem więc i rozmyślam, bo nie byłem już pewien, czy mam być rad z powziętego postanowienia. Z daleka słyszałem jeszcze głos Jima:

— Z Bogiem, z Bogiem, kochany i wierny chłopcze. Dobry Huck! Jedyny biały, który staremu Jimowi słowa dotrzymał.

Teraz już mi się naprawdę zrobiło bardzo niedobrze, lecz mówię sobie: „Powinienem tak postąpić, nie mogę zrobić inaczej". Wtem prosto na mnie płynie łódź, a w niej dwóch ludzi ze strzelbami. Zatrzymali się i ja także. Jeden z nich mówi:

— Co to takiego, tam na rzece?

— Ano... tratwa — ja na to.

— Ty stamtąd?

— Stamtąd.

— Ilu na niej mężczyzn?

— Jeden tylko.

— Słuchaj, dziś w nocy zbiegło pięciu Czarnych. Czy ten jeden na tratwie jest biały czy czarny?

Nie odpowiedziałem od razu. Chciałem odpowiedzieć, a nie mogłem, słowa nie wychodziły mi z gardła. Próbowałem zebrać się na odwagę i powiedzieć prawdę, ale nie mogłem. Czułem, żem nie mężczyzna, lecz królik. Widząc, że mi nie starczy sił, dałem za wygraną i rąbię prosto z mostu:

— Biały.

— Ja sądzę, że my jednak zajrzymy na tratwę, żeby przekonać się o tym na własne oczy.

— Ja też bym chciał, i bardzo, żeby panowie zajrzeli, bo tam na tratwie jest tatuś, to może by nam panowie pomogli przyholować tratwę do brzegu. Tatuś jest chory i mama chora, i Maria-Anna...

— Tam do licha! Pilno nam bardzo, chłopcze... No, ale ja sądzę, że pomożemy twemu ojcu. Bywaj tymczasem zdrów.

Wzięli się do wioseł i ja także. Oddaliliśmy się od siebie na kilka łokci, gdy znów powiadam:

— Tatuś strasznie będzie panom wdzięczny, daję słowo. Jak tylko kogoś poproszę, żeby nam dopomógł tratwę przyciągnąć do brzegu, zaraz ode mnie ucieka. Ja przecież sam nie mogę temu poradzić!

— To dziwne! A powiedz no prawdę, chłopcze, na co chory twój ojciec?

— Ojciec chory na... na... To nic wielkiego, tylko chory...

Przestali robić wiosłami, a drugi, który dotąd milczał, odzywa się:

— Kłamiesz, chłopcze. Gadaj mi zaraz, co twemu ojcu? Radzę ci, mów prawdę. Lepiej na tym wyjdziesz.

— Powiem, proszę pana, daję uczciwe słowo, że powiem. Tatuś ma... ma... Proszę panów, niech panowie nie oddalają się od tratwy i dopuszczą mnie do siebie. Linę rzucę... Proszę panów...

— Cofaj się, Janie, cofaj! — woła pierwszy. — A ty, chłopcze, z daleka się trzymaj, pod wiatr. Diabli nadali! Właśnie stamtąd wiatr... Chłopcze, twój ojciec chory na ospę

i ty wiesz o tym doskonale. Czemuś nie powiedział prawdy od razu? Czy chcesz roznieść zarazę po całym kraju?

— Kiedy ja... ja... — rzekłem, szlochając — mówiłem najpierw prawdę każdemu, lecz wszyscy ode mnie uciekali.



— Biednyś ty chłopiec! Żal nam ciebie z całego serca, ale... widzisz... my także nie mamy ochoty dostać ospy. Słuchaj, ja ci powiem, co zrobić. Nie próbuj holować tratwy sam: nie dasz rady albo ją rozbijesz na drzazgi. Popłyńcie jeszcze ze dwadzieścia mil w dół rzeki, zobaczycie po lewej stronie miasto. Będzie już wtedy po zachodzie słońca... ciemnawo... Gdy spotkasz kogoś na wybrzeżu, poproś o pomoc. Powiedz, że wszyscy twoi chorzy na febrę. Nie bądźże znów głupi, nie pozwól się nikomu domyślić, że to nie febra, lecz ospa. Za grzeczność, którą ci świadczymy, zróbże i ty nam grzeczność: niech między tobą a nami rozciągnie się dwadzieścia mil. Nie przybijaj do brzegu tam, gdzie widać światło, nic ci z tego nie przyjdzie, bo to tylko składy drzewa. Słuchaj jeszcze: twój ojciec pewno ubogi? Jakbym widział, że kuso[173] koło was. Patrz, tu na tej desce kładę dwudziestodolarową sztukę złota... Deskę niesie do ciebie woda, weź sobie pieniądze. Mnie samemu wstyd, że tak od ciebie uciekamy, ale doprawdy, z ospą nie ma żartów. Sam przecież wiesz.

— Poczekaj, Parker — odezwał się drugi. — Masz tu drugą sztukę złota, połóż ją także na desce: to ode mnie. Bóg z tobą, chłopaczku, Bóg z tobą. Zrób, jak ci radzi pan Parker, a dobrze wyjdziesz na tym.

— Tak, tak, chłopcze. Bądź zdrów, bądź zdrów! A jeżeli gdzieś zobaczysz zbiegłych Czarnych, to wezwij pomocy i złap ich. Zarobisz przy tym.

— Bywajcie, panowie, zdrowi — odpowiedziałem. — Postaram się nie przepuścić koło siebie Czarnych.

Oddalili się, a ja powróciłem na tratwę, upokorzony i nieswój, wiedząc, że źle postąpiłem. Przekonałem się przy tym, że już się nie nauczę być dobry. Taki, którego nie nauczą chodzić prosto, kiedy jest mały, nigdy nie wyjdzie na człowieka: raz zepchnięty z drogi, nie znajdzie już w sobie siły do panowania nad sobą i naturalnie poślizgnąć się musi. Myśląc nad tym przez chwilkę, rzekłem sobie: „Słuchaj, Huck, przypuśćmy, że postąpiłeś, jak należało, i wydałeś Jima, czy czułbyś się bardziej zadowolony, spokojniejszy, niż się teraz czujesz?". „Nie — odpowiedziałem sobie — nic a nic lepiej". No, skoro tak, to po co ja mam uczyć się czynienia dobrze, kiedy czynić dobrze trudno i przykro, a czynić źle ani trudno, ani przykro, a nagroda zaś jedna i ta sama: czy tak, czy owak nie czujesz zadowolenia. Odpowiedzi na to nie znalazłszy, postanowiłem nie suszyć sobie tym głowy, ale odtąd tak postępować, jak mi w tej chwili będzie wygodniej i łatwiej.

Kondycja ludzka

Poszedłem do naszej budki: nie ma tam Jima. Oglądam się naokoło: nigdzie go nie ma. Wołam więc:

— Jim!

— Tu jestem, Huck. Czy już ich nie widać? Nie mów tak głośno...

Stał w wodzie po samą szyję, nos tylko widać mu było zza krawędzi tratwy.

— Słyszałem wszystko, co mówiliście — powiada. — Zsunąłem się więc do rzeki i gotów już byłem płynąć na brzeg, gdyby tu zajrzeli, a potem znów bym powrócił. Ależ udało ci się z nimi, Huck! Wyprowadziłeś ich w pole aż miło! Złotko ty moje, ocaliłeś starego Jima i stary Jim nigdy ci tego nie zapomni, nigdy...

Potem zaczęliśmy rozmawiać o pieniądzach. Dobrze nam się dostało, po dwadzieścia dolarów na każdego. Jim był zdania, że możemy teraz zakupić sobie miejsce na pokładzie parowca i że tych pieniędzy wystarczy na najdłuższą podróż po wolnych stanach. Dodał wreszcie, że płynąć jeszcze dwadzieścia mil to nic, ale chciałby już mieć je za sobą.

Nad ranem zatrzymaliśmy się, a Jim usiłował ukryć tratwę jak najlepiej i przez cały dzień zajęty był wiązaniem rzeczy.

Następnej nocy, około dziesiątej, ujrzeliśmy światła dużego, jak się zdawało, miasta na lewym wybrzeżu rzeki, tworzącej w tym miejscu zatokę.

Popłynąłem łódką dowiedzieć się od ludzi, jakie to miasto.

[173] *kuso* — biednie. [przypis edytorski]

Niedaleko od brzegu spotykam jakiegoś człowieka w małym czółenku, gdy właśnie więcierz[174] ustawiał. Pytam go więc:

— Proszę pana, czy to Cairo?

— Cairo? Nie. Co to, głupi czy co, że o to pytasz?

— Więc jakie to miasto, proszę pana?

— Jeżeli chcesz wiedzieć, to pójdź tam i spytaj ludzi. A jeżeli pół minuty będziesz się tu koło mnie kręcił, to dostaniesz coś, czego nie chcesz.

— I ja wiedziałem, ale zapomniałem.

Przed świtem, gdy ukryliśmy się pomiędzy lewym brzegiem a gęsto zakrzewioną wysepką, żeby spędzić tam dzień, domyślając się czegoś, rzekłem do Jima:

— A może minęliśmy Cairo podczas owej nocnej mgły?

— E! Nie warto już o tym mówić, Huck — odrzecze Jim. — Czy to biedny Czarny może być szczęśliwy? Wiedziałem, że to nie koniec zgryzot, które nam przyniosła skóra grzechotnika.

— Bodajbym nigdy nie był widział tej skóry!

— To nie twoja wina, Huck, złotko moje, nie twoja. Ty nie wiedziałeś, że ona sprowadza nieszczęście. Niepotrzebnie czynisz sobie wyrzuty.

Gdy się rozwidniło, patrzymy: po lewej stronie czyste, jasne wody Ohio, po prawej nasza stara Missisipi. A zatem Cairo za nami.

Trzeba było coś obmyślić: płynąć tratwą pod prąd nie można, wysiąść na brzeg nie ma po co. Nie było innej rady, tylko doczekać nocy i dopiero wtedy próbować szczęścia łódką. Przespaliśmy więc cały dzień w bawełnianych zaroślach, aby nabrać sił do czekającej nas pracy, ale gdy wróciliśmy o zmroku do naszej tratwy, okazało się, że łódź przepadła.

Przez dość długą chwilę obaj milczeliśmy. Cóż było mówić? Wiedzieliśmy doskonale, że to jeszcze dalszy ciąg skutków działania wężowej skóry, więc na cóż by się zdało gadanie?

Należało zrobić jakieś postanowienie. Okazało się, że nie ma innego sposobu, tylko dalej płynąć tratwą, dopóki nie zdarzy się sposobność kupienia łodzi, aby powrócić do Cairo.

Z nadejściem nocy siedliśmy znów na tratwę.

Każdy, kto do tej pory jeszcze nie uwierzył w przekleństwo skóry węża, uwierzy i przekona się, gdy usłyszy, co dalej zaszło.

Płynęliśmy już ze trzy godziny. Noc z czarnej przechodziła w szarą i tak jakby gęstniała, co jest zawsze bardzo złą rzeczą, prawie równie niebezpieczną jak mgła. Nie widać brzegów rzeki, wszędzie szaro i chmurno.

Wtem słyszymy: płynie parowiec. Zapaliwszy latarnię, słuchamy, jak dyszy, jak rozbija wodę, choć nie widzimy go wcale. Dopiero gdy był już bliziutko, patrzymy: płynie wprost na nas. Robią to parowce niekiedy dla poznania, o ile mogą się zbliżyć bez uderzenia statku, czasami koło parowca zaczepi o łódź lub tratwę, uderzy ją, uszkodzi, a sternik śmieje się, myśląc, że zrobił coś arcymądrego.

Płynie więc, nadpływa, widzimy już, że nam nie daruje, że ani myśli nas minąć. Był to ogromny parowiec i bardzo się śpieszył; wyglądał jak wielka, czarna chmura, wysadzana rzędami świecących robaczków świętojańskich. Zanim się opatrzyliśmy, wisiał już prawie nad nami, wyszczerzając na nas szeroko otwarte drzwi pieców, jakby szereg zębów rozpalonych do czerwoności. Nagle dał się słyszeć krzyk, wołanie mnóstwa głosów naraz, dzwonienie dzwonków sygnałowych, komenda zatrzymania maszyny, syk, szum, gwizd raptownie wypuszczanej pary — i podczas gdy Jim, niespodzianie w górę podrzucony, wpadał do wody z jednej strony, a ja z drugiej, parowiec, zdruzgotawszy tratwę, przepływał środkiem jej szczątków.

Dawszy nurka, umyślnie poszedłem na dno, wiedząc, że trzydziestostopowe koło przejdzie nade mną, chciałem więc, aby nie zabrakło mu miejsca. Zawsze mogę wytrzymać pod wodą minutę, ale tym razem zdaje mi się, że chyba dłużej wysiedziałem. Śpieszno mi jednak było wydostać się na powierzchnię, bo myślałem, że się uduszę. A tymczasem parowiec, zatrzymawszy maszynę na jakieś dziesięć sekund, znów ją puścił w ruch, bo parowce niewiele sobie robią z tratew i z ludzi. Płynąc dalej, znikał mi z oczu w szarym i gęstym powietrzu, choć jeszcze mogłem go słyszeć.

[174] *więcierz* — rodzaj sieci rybackiej. [przypis edytorski]

Przynajmniej ze dwanaście razy wołałem Jima, ale na próżno: nie było odpowiedzi. Schwyciłem się deski i wypłynąwszy na powierzchnię, zacząłem dążyć do brzegu.

Wdrapawszy się na dość wysokie wybrzeże, niewiele mogłem widzieć, ale idąc po omacku z ćwierć mili, trafiłem niespodzianie na staroświecki, wielki dom drewniany, który chciałem wyminąć i pójść dalej. Gdy jednakże wyskoczyła na mnie cała psiarnia i zawzięcie zaczęła ujadać, nie byłem tak głupi, żeby uciekać przed psami.

ROZDZIAŁ XVII

Późna wizyta. — Folwark w Arkansas. — Wewnętrzne przyozdobienia. — Stefan Dowling Bots. — Dusza poetyczna. — Klawikord[175].



Chwilę potem ktoś, nie wychylając się z okna, woła:

— Prędzej, chłopcy! Kto tam?

— Ja — powiadam.

— Co za ja?

— Jerzy Jackson, proszę pana.

— Czego chcesz?

— Ja nic nie chcę, proszę pana... Ja chciałem tylko przejść sobie tędy, ale psy mnie nie chciały puścić.

— A czego się włóczysz o tej porze? Co?

— Ja się nie włóczę, proszę pana, ja tylko spadłem z pokładu parowca.

— Co? Naprawdę spadłeś? Zapalcie no tu światło. Więc jak się zowiesz?

— Jerzy Jackson, proszę pana. Nieduży jeszcze jestem.

— Słuchaj, jeżeli prawdę mówisz, nie potrzebujesz się bać, nikt ci nic złego nie zrobi. Nie próbuj jednak ruszać się z miejsca, stój tam, gdzie stoisz. Ruszcie no się, Bob i Tom, i przynieście fuzje. Jerzy Jacksonie, czy jest jeszcze kto z tobą?

— Nie, proszę pana, sam jestem.

Słyszę ruch w domu i koło domu, widzę światło. Ten sam głos krzyczy:

— Zabierz stąd świecę, głupia stara! Czyś już do reszty rozum straciła? Postaw ją na podłodze. Bob, jeżeliście obaj z Tomem gotowi, to na miejsca!

— Gotowi.

— Odpowiadaj, Jerzy Jacksonie. Czy znasz Shepherdsonów?

— Nie znam, proszę pana. Nigdy nawet o nich nie słyszałem.

— Hm! Może to prawda, a może i nieprawda... Gotowi? Idź naprzód, Jerzy Jacksonie. Pamiętaj, nie śpiesz się, idź powolutku. Jeżeli ktokolwiek jest z tobą, niech się nie pokazuje; jeżeli się pokaże, zastrzelę go. Chodź tu ku nam. Wolno idź. Otwórz sobie drzwi... sam... na tyle tylko, żebyś się nimi mógł wcisnąć... Słyszysz?

Nie śpieszyłem się; nie mogłem, choćbym nawet chciał. Postępowałem powolusieńku, krok za krokiem, prawie słysząc bicie swego serca. Psy zachowywały się równie cicho jak ludzie, szły tylko tuż za mną. Gdy doszedłem do trzech drewnianych schodów wiodących do drzwi, usłyszałem, że ktoś je odmyka, odsuwa rygle i zasuwy. Położyłem rękę na drzwiach i lekkim pchnięciem otwierałem je po trochu, dopóki ktoś nie rzekł:

— Dosyć już, wsadź teraz głowę.

Wsadziłem, ale nie byłem pewny, czy mi jej natychmiast nie zdejmą[176]!

Na podłodze stała świeca, którą wszyscy otaczali, patrząc na mnie z widocznym zaciekawieniem. Było tam trzech dorosłych mężczyzn z wymierzonymi ku mnie strzelbami, co wcale nie jest przyjemne! Najstarszy, siwy, mógł mieć ze sześćdziesiąt lat, dwaj inni po trzydzieści albo i więcej — wszyscy trzej przystojni i okazali — a za nimi siwa, milutka staruszka z dwiema pannami, których nie mogłem widzieć dokładnie. Stary jegomość powiada:

— No, wszystko dobrze. Wejdź.

[175] *klawikord* — instrument klawiszowy strunowy, prototyp fortepianu. [przypis edytorski]

[176] *zdjąć* — tu: trafić strzałem. [przypis edytorski]

Zaledwie wszedłem, natychmiast stary jegomość zamknął drzwi na klucz, pozasuwał rygle, żelazną sztabą założył drzwi, polecając młodym ludziom iść za nim ze strzelbami. Gdy wszyscy weszliśmy do dużego pokoju bawialnego, którego podłoga była zasłana nowiutkim dywanem pozszywanym z gałganków, mężczyźni zaraz się skupili w rogu najbardziej oddalonym od okien, które były tylko w ścianie frontowej. Jeden z nich trzymał w ręku świecę, a wszyscy trzej przyglądali mi się bacznie, mówiąc do siebie nawzajem:

— Nie, to nie żaden Shepherdson... Z pewnością nie Shepherdson... Niepodobny do nich wcale...

Potem stary jegomość w przekonaniu, że mi to zapewne nie zaszkodzi, postanowił zbadać, czy nie mam przy sobie broni. Nie szukając nawet po kieszeniach, obmacał mnie rękami po wierzchu i powiedział, że teraz jest już spokojny. Oświadczył mi też, że mam się rozgościć i czuć się jak u siebie w domu, chciał nawet, żebym zaraz wszystko o sobie opowiedział. Na to milutka staruszka:

— Bóg z tobą, Saulu, biedny chłopak mokrzusieńki, a ty mu każesz opowiadać! Głodny przecież być musi. Tobie to ani w głowie!

— Masz słuszność, Rachelo, zapomniałem!

— Betsy — rzecze wtedy staruszka do Czarnej — biegnij no do spiżarni i przynieś temu biedactwu coś do jedzenia tak szybko, jak to możliwe. A wy, dziewczęta, niech jedna obudzi Bucka i powie mu... A! Otóż i Buck... Buck, weź ze sobą tego chłopaczka, zdejmij z niego mokrą odzież i ubierz w swoją... Przeziębić się gotów, nieborak...

Buck wyglądał na mego rówieśnika, mógł mieć ze trzynaście albo czternaście lat, chociaż był nieco wyższy ode mnie. Nie miał na sobie nic prócz koszuli i okropnie rozczochranej czupryny. Wszedł, ziewając i przecierając sobie oczy kułakiem jednej ręki, w drugiej zaś trzymał strzelbę, którą ciągnął za sobą.

— Więc nie ma Shepherdsonów? — pyta Buck.

— Nie ma — powiadają mu — to tylko fałszywy alarm.

— To dobrze. Gdyby się choć jeden z nich pokazał, miałby do czynienia ze mną.

Zaśmiali się wszyscy, a wielki Bob mówi:

— A tymczasem mogli oskalpować nas wszystkich, tak długo się guzdrałeś.

— Bo nikt po mnie nie przyszedł, a to niesprawiedliwość. Zawsze mnie wysyłają spać... Dla mnie nigdy nie ma roboty.

— Nie martw się, nie martw, chłopcze — rzekł stary jegomość. — Będzie jeszcze i dla ciebie robota. Doczekaj swojej pory, a robota się znajdzie. A teraz ruszaj stąd i zrób tak, jak ci matka kazała.



Gdy poszliśmy na górę do jego pokoju, Buck wyjął grubą koszulę, kurtkę i spodnie, ja zaś włożyłem to wszystko na siebie. Gdy wciągałem ubranie, zapytał mnie, jak się nazywam, lecz zanim zdołałem odpowiedzieć, on sam zaczął już mi mówić o jakimś osobliwym dzięciole i o małym króliku, którego złowił kiedyś w lesie, a potem spytał, gdzie był Mojżesz, gdy zgasła świeca. Odpowiedziałem, że nie wiem, i nie wiedziałem naprawdę. Nikt mi nigdy o tym nie mówił.

— Zgaduj — mówi Buck.

— Jakże mogę zgadnąć, kiedy nigdy o tym nie słyszałem?

— Zawsze przecież możesz zgadywać. Bardzo łatwo zgadnąć.

— Jaka to świeca zgasła?

— No, świeca. Taka sobie zwyczajna.

— Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie się Mojżesz wtedy znajdował!?

— Ach, jakiżeś ty! W ciemności!

— No, to skoro wiesz, gdzie się znajdował, dlaczego pytasz?

— Nie rozumiesz, że to zagadka? Słuchaj, długo ty będziesz u nas? Wiesz, co ci powiem: zostań na zawsze. Będziemy używać, lekcji teraz nie ma, wakacje. Masz ty psa? Ja mam własnego, wskakuje do wody i aportuje kawałki drzewa, które mu rzucam... Czy lubisz czesać się w niedzielę i różne świąteczne ceremonie? Ja ich nie lubię, ale się czeszę: mama każe... Niech licho porwie te spodnie, muszę je kłaść, a tu okropnie gorąco... Jużeś gotów? No, to dobrze... Chodźże teraz za mną, stara szkapo.

Jedzenie

Zimne podpłomyki, zimna pieczeń wołowa, masło i maślanka, wszystko to zastawili dla mnie jednego, a wszystko było wyborne i tak mi smakowało, jak nigdy w życiu. Buck, jego matka i wszyscy palili krótkie fajeczki, oprócz obu panien i Czarnej, która zresztą

zaraz wyszła z pokoju. Palili wszyscy i rozmawiali, a ja także jadłem i rozmawiałem. Panny owinięte były w kołdry, a rozpuszczone włosy sięgały im aż do pasa.

Wszyscy zadawali mi pytania, a ja odpowiadałem, że mój tatko posiadał mały folwarczek w głębi Arkansas, w tym właśnie kącie, który leży najdalej od rzeki, gdzie żyliśmy spokojnie i wygodnie. Moja siostra, Maria-Anna, wykradła się z domu, poszła za mąż i od tej pory nic już o niej nie słyszeliśmy. Starszy brat, Bill, wyprawił się na poszukiwanie zbiegłej i także przepadł gdzieś bez wieści. Mali braciszkowie, Tom i Mort, pomarli, a po ich śmierci zostaliśmy tylko we dwóch: tatko i ja. Tatka jakby nie było wcale, bo udręczony zgryzotą niezadługo umarł, ja zaś po jego śmierci zabrałem wszystko, co było, i zakupiłem sobie miejsce na parostatku płynącym w górę rzeki. Gdy jednak przechyliłem się nieostrożnie, wpadłem w wodę i takim sposobem dostałem się tu. Odpowiedzieli mi na to, że mogę siedzieć u nich dopóki zechcę, jak we własnym domu.

Tymczasem rozedniało[177] już na dobre, wszyscy poszli spać, a i ja, położywszy się razem z Buckiem, zasnąłem jak kamień. Gdy się obudziłem przed południem, przeszło mnie mrowie, bo diabli nadali, że zapomniałem, jak się nazywam. Leżę więc z godzinę i przypominam sobie, a gdy Buck się obudził, pytam go:

— Umiesz czytać?

— Umiem — odpowiada.

— Założyłbym się, że nie potrafisz przeliterować mego nazwiska!

— A ja się założę, o co chcesz, że potrafię!

— No, skoro tak, to zaczynaj.

— J-e-r-z-y J-a-c-k-s-o-n. A co?

— Prawda — powiadam — przeliterowałeś. Myślałem, że nie potrafisz. No, ale nazwisko moje jest łatwe i bez uczenia się można dokazać takiej sztuki.

Dobrze jednak zapamiętałem sobie każdą głoskę, bo a nuż ktoś zażąda ode mnie, abym przeliterował własne nazwisko? Trzeba się mieć na baczności i wyrecytować głoskę po głosce, jakbym to już czynił po raz setny.

Była to rodzina bardzo porządna i dom zamożny co się zowie. Nawet nigdy w życiu nie widziałem tak wytwornego wiejskiego domu.

Na ścianach wisiało pełno obrazów — przeważnie Washingtonowie, Lafayette'owie[178], różne bitwy, a był też i jeden obraz, który się nazywał: *Podpisywanie deklaracji*[179]. Były także i inne obrazy, jak oni mówili, „robione kredką" przez jedną z córek, już nieżyjącą. Robiła je, mając zaledwie piętnaście lat. Różniły się one zupełnie od wszystkich obrazów, jakie dotychczas widziałem, czarnością. Jeden przedstawiał kobietę w wąskiej, czarnej sukni, przepiętej pod pachami wąskim paskiem. Rękawy tej sukni odstawały nad łokciami tak, jakby w nie włożył po głowie kapusty; miała zaś czarny kapelusz, trochę podobny do szaflika[180], a trochę do łopaty, i czarną woalkę; białe i cienkie łydki, przewiązane na krzyż czarną wstążeczką, i malusieńkie, czarne pantofelki, spiczaste jak dłuto. Stała, bardzo czegoś zamyślona, pod brzozą płaczącą, obok nagrobka; prawym łokciem wsparta była na nagrobku, prawą ręką podpierała zwieszoną głowę, ale za to w lewej ręce, spadającej na suknię, trzymała białą chustkę do nosa i woreczek. Pod malowidłem stało napisane drobnymi literami: „Ach! Ach! Niestety! Czy Już Cię Nigdy Nie Zobaczę!". Drugi obraz przedstawiał młodą osobę z włosami podczesanymi wysoko i zebranymi na samym czubku głowy, naokoło grzebienia, który wyglądał jak tylna poręcz krzesła. Płakała rzewnie, kryjąc całą twarz i oczy w chustkę, którą trzymała w jednej ręce. Na drugiej leżał na wznak, z nóżkami wyciągniętymi do góry, nieżywy ptaszek, a pod obrazem napis: „Ach! Ach! Niestety! Nigdy Już Nie Usłyszę Twego Wdzięcznego Świergotu!".

Był jeszcze jeden obraz: młoda osoba stała w oknie i patrzyła na księżyc, po jej twarzy płynęły rzęsiste łzy, w jednej ręce trzymała otwarty list, z przełamaną na pół czarną pieczęcią, drugą zaś przyciskała do ust medalion na łańcuszku. Napis brzmiał: „Ach! Ach!

[177] *rozednieć* — rozwidnić się. [przypis edytorski]

[178] *Lafayette, Marie-Joseph de* (1757–1834) — francuski polityk, liberał i dowódca wojskowy, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Rewolucji Francuskiej i rewolucji lipcowej; podczas Restauracji należał do liberalnych członków Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

[179] *Podpisywanie deklaracji* — obraz autorstwa Johna Trumbulla, namalowany najprawdopodobniej w 1819; umieszczony na odwrotnej stronie banknotu dwudolarowego. [przypis edytorski]

[180] *szaflik* (z niem. *Schaffel*) — wiaderko, okrągłe naczynie. [przypis edytorski]

Niestety! Odszedłeśże? Tak!!! Odszedłeś!!!". Sądzę, że to były śliczne obrazy, ale nie umiałem poznać się na nich, bo gdy byłem nieswój, a spojrzałem na nie, zaraz mnie mdliło. Wszyscy żałowali, że umarła przed ukończeniem wielu innych obrazów takiejże treści, ale i z tego, co już zrobiła, mógł każdy osądzić, jaką stratę poniosła rodzina przez śmierć panienki z takim talentem. Mnie się zdaje, że przy takim usposobieniu powinna być w grobie weselsza. Właśnie podczas pracy nad największym, jak mówili, obrazem, nagle zachorowawszy, co rano i wieczór prosiła Boga „o życie, dopóki nie skończy obrazu". Pan Bóg wszakże nie chciał na to pozwolić. Obraz ów miał wyobrażać młodą osobę w długiej, białej sukni, stojącą na poręczy mostu i gotową do skoku. Rozpuszczone włosy spadają niżej pasa, a ona patrzy na księżyc, łzy jej płyną po twarzy, dwoje ramion skrzyżowała desperacko na piersi, drugie dwoje wyciąga przed siebie, a trzecich dwoje wznosi do księżyca. Dlatego zaś narysowała aż trzy pary, że chciała naprzód zobaczyć, z którą z trzech najwięcej pannie do twarzy, a potem tamte wyskrobać. Ale, jak już mówiłem, umarła, zanim się zdążyła zdecydować, rodzina zaś schowała obraz na pamiątkę. Powiesili go w jej pokoju, w głowach łóżka, i co rok w dzień jej urodzin wieńczyli go kwiatami. W dni powszednie był zasłonięty firanką. Młoda osoba z obrazu wyglądała zupełnie niczego sobie, tylko, według mnie, za wielka liczba ramion czyniła ją trochę podobną do pająka.



Panienka ta, mając ładnie oprawną książkę, na jej stronicach naklejała różne nekrologi, pośmiertne wspomnienia o takich, którzy cierpliwie znosili długą chorobę. Wycinała to wszystko z miejscowej gazety „Presbyterian Observer" i potem do tego pisała wiersze — z własnej głowy.

Buck opowiadał, że mówiła wierszami, jakby jadła chleb z masłem. Nie potrzebowała nawet myśleć. Mówił, że tak: siadła i machnęła wiersz, a jeżeli nie mogła dobrać do niego rymu, to niewiele myśląc, zaraz go przekreśliła i w tej chwili machnąwszy drugi, jechała dalej. Nie wybredzała[181]; pisać mogła o wszystkim, o czym kto chciał, żeby pisała, byle tylko było coś smutnego. Ile razy umarł mężczyzna albo kobieta, albo dziecko, to jeszcze nie ostygli, a ona już była gotowa ze swoją „daniną". Nazywała takie wiersze daniną. W sąsiedztwie mówiono, że najpierwszy wie o umarłym doktor, potem Emelina, a ostatni dopiero przedsiębiorca pogrzebowy. Raz tylko tak się zdarzyło, że wyprzedził Emelinę przedsiębiorca, a to dlatego, że nie mogła dobrać rymu do nazwiska nieboszczyka: Whistler. Nigdy już potem nie doszła do siebie: nie mówiła nic, nie skarżyła się, ale gasła w oczach i niezadługo potem skonała.

Biedne dziewczę! Nieraz pozwalałem sobie iść do tego pokoju, w którym mieszkała za życia, i wydostawszy jej książkę z wycinkami, czytałem wszystko, co tam było — najczęściej wtedy, kiedy mi jej obrazy tak do żywego dopiekły, że się trochę na nią pozłościłem.

Polubiłem całą tę rodzinę, i żywych, i umarłych, nie chciałem więc dopuścić do nieporozumienia pomiędzy nami. Biedna Emelina pisała za życia wiersze o każdym, kto umarł, a teraz, kiedy sama umarła, to nie było nikogo, kto by co o niej napisał. Jakże można! To przecież niesprawiedliwość! Starałem się więc wydusić z siebie jeden albo dwa wiersze, ale ani rusz — nie mogłem.

Matka

Pokój Emeliny utrzymywano bardzo czysto i wszystko było w takim samym porządku, jaki ona u siebie zaprowadziła. Nie sypiał nikt w tym pokoju, a matka staruszka, choć w domu było pełno Czarnych, sama go zawsze sprzątała, żeby tylko całymi godzinami tam siedzieć lub czytać Biblię tuż obok łóżeczka zmarłej córki.

Mówiąc o bawialnym pokoju, zapomniałem dodać, że w oknach były przecudowne białe rolety z malowidłami pałaców, strumyków i bydła. Był także stary klawikordzik, o klawiszach jak gdyby z żółtej blachy. Gdy panienki, przygrywając na nim, śpiewały „Ostatnie pękło ogniwo" albo kiedy zagrały „Bitwę pod Pragą", to mogłem słuchać i słuchać... bez końca!

Dom składał się właściwie z dwóch budynków, zupełnie do siebie podobnych. Odstęp między nimi pokryty był dachem, wyłożony podłogą, a podczas upałów służył za jadalnię. A co to było za jedzenie! I obfite, i dobre!

ROZDZIAŁ XVIII

Imć[182] pan Grangerford. — Arystokracja. — Stara waśń. — Testament. — Cyranki. — Znalazła się tratwa. — Składy drzewa. — Siekanina. — „To ty, złoto moje."



Szlachcic

Imć pan Grangerford był szlachcicem, jak mówią, dobrze urodzonym, a to się ceni i w człowieku, i w koniu. Tak mawiała wdowa Douglas, należąca do najpierwszej w naszym miasteczku arystokracji. I tatko powtarzał to samo, choć wcale nie był dobrze urodzony. Imć pan Grangerford, wysokiego wzrostu, wielce szczupły, miał śniadą cerę, twarz bez rumieńca, chude policzki, co rano jak najstaranniej ogolone, bardzo cienkie usta, jeszcze cieńsze nozdrza, orli nos, gęste brwi i najczarniejsze w świecie oczy, tak głębokie, że jakby przezierały z jaskini. Miał wysokie czoło, czarne i proste włosy, spadające aż na ramiona. Ręce miał długie, niezmiernie szczupłe, a odkąd żył, brał co dzień świeżą koszulę i co dzień świeże ubranie z płótna tak bielutkiego, że aż oczy bolały patrzeć na nie. W niedzielę zawsze przywdziewał szafirowy frak z mosiężnymi guzikami i nosił do niego mahoniową laskę o dużej, srebrnej gałce. Niełatwo z nim było żartować, wcale nawet żartów nie znosił, ale za to nigdy nie wybuchał gniewem. Dobry był niesłychanie

[181] *wybredzać* — grymasić, wybrzydzać. [przypis edytorski]

[182] *imć* — dawne wyrażenie grzecznościowe przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem; skrót od: jego miłość. [przypis edytorski]

i każdy musiał go lubić. Czasami, gdy mu zaigrał uśmiech na ustach, aż przyjemnie było patrzeć na niego, lecz gdy się wyprostował jak słup, z którego w dni świąt narodowych powiewają chorągwie, gdy spod jego czarnych brwi zaczęły latać błyskawice, to brała ochota najpierw się wdrapać na drzewo, a dopiero potem zapytać, o co chodzi. Nigdy nie potrzebował przypominać, żeby się przy nim zachowywano przyzwoicie, bo nikomu nawet nie przyszło na myśl być nieprzyzwoitym w towarzystwie pana Grangerforda. Każdy pragnął być blisko niego; zdawało się, że przy nim i słońce jaśniej świeci. Czasami zachmurzał się jak noc, na pół minuty, a wówczas przez cały tydzień szło wszystko w domu jak w zegarku.

Rodzina, Ojciec, Matka

Gdy oboje z siwiutką staruszką schodzili rano na dół do pokoju, w którym znajdowała się już cała rodzina, wszyscy wstawali, mówiąc rodzicom „dzień dobry", i nie siadali dopóty, dopóki rodzice nie usiedli. Wtedy Tom i Bob szli do kredensu, gdzie stały przygotowane butelki, przyrządzali kieliszek wódki z gorzkimi kroplami i podawali go ojcu, a imć pan Grangerford trzymał go w ręku, dopóki Tom i Bob nie przyrządzili sobie po kieliszku. Składając rodzicom ukłon, mówili: „Nasze uszanowanie panu ojcu i pani matce", rodzice zaś skłoniwszy się z lekka, powiadali: „Dziękujemy wam". Gdy mężczyźni wypili, Bob i Tom, nalawszy na dno swego kieliszka po kropli wybornej, z jabłek pędzonej wódki i po łyżeczce wody, osładzali tę mieszaninę szczyptą cukru, wołając mnie i Bucka, żebyśmy przyszli wypić za zdrowie starych państwa.

Bob był najstarszy, a Tom następny. Obaj wysocy, piękni mężczyźni, ogorzali[183], barczyści, obaj o czarnych włosach i oczach. Od stóp do głów zawsze się odziewali w białe płótno, tak jak stary jegomość, i nosili ogromne kapelusze panama[184].

Po nich była miss Karolina, dwudziestopięcioletnia panna, wysokiego wzrostu, wyniosła, okazała i najlepsza w świecie, dopóki jej co nie rozgniewało. Rozgniewana — zupełnie jak ojciec — patrzyła, że rad byś się schować w mysią norę. Śliczna to była panna!

Nie mniej urodziwa była siostra jej Zofia, ale zupełnie do niej niepodobna. Łagodna i cichutka jak gołąbka[185], miała dopiero dwadzieścia lat.

Każdy z członków rodziny miał własnego Czarnego do usług; miał go i Buck, miałem i ja.

Dawniej była ona liczniejsza: brakło bowiem trzech synów, którzy zostali zabici, i Emeliny, która umarła.

Stary jegomość był właścicielem mnóstwa folwarków i przeszło stu Czarnych. Od czasu do czasu zjeżdżało się tu po kilkanaście osób, wszyscy konno, i siedzieli po pięć, po sześć dni. To dopiero szła zabawa!

Po całych dniach pływanie po rzece, pikniki, tańce w lesie na trawie, a i w domu po całych nocach. Goście — byli to po większej części sami krewni: bliżsi i dalsi, państwo prawdziwe co się zowie. Z mężczyzn każdy miał prześliczną strzelbę!

W sąsiedztwie był jeszcze drugi dom, również pański jak rodziców Bucka. Składał się z kilku rodzin, a prawie wszyscy mieli to samo nazwisko: Shepherdson. Byli tak samo wysoko urodzeni, tak samo bogaci i tacy wielcy panowie jak rodzina Grangerfordów. Oba domy używały tejże samej przystani, znajdującej się o niespełna dwie mile od domu, tak że gdy czasami odprowadzałem tam naszych, wybierających się na jakąś wycieczkę parowcem, to zawsze spotykaliśmy przynajmniej kilku Shepherdsonów na pięknych i rosłych[186] koniach.

Pewnego dnia Buck i ja polujemy sobie w lesie, gdy wtem słyszymy: nadjeżdża ktoś konno. Przechodziliśmy właśnie w poprzek drogi. Buck woła:

— Umykaj! W las, co żywo!

Jednym susem byliśmy już w lesie i ukryci między pniami, patrzymy spoza gałęzi na drogę. Po chwili nadlatuje w pełnym galopie piękny, wyniosły młodzian, koniem toczy jak żołnierz, a siedzi na nim jakby do siodła przyrosły i trzyma przed sobą strzelbę w pogotowiu. Był to jeden z młodych Shepherdsonów, Harney Shepherdson. Raptem tuż nad

[183] *ogorzały* — mocno opalony. [przypis edytorski]

[184] *kapelusz panama* — tradycyjny kapelusz wykonywany z liści łyczkowca dłoniastego, pochodzi z Ekwadoru; jego nazwa przyjęła się w czasie budowy Kanału Panamskiego. [przypis edytorski]

[185] *gołąbka* — czule o kobiecie o miłym usposobieniu. [przypis edytorski]

[186] *rosły* — dobrze zbudowany. [przypis edytorski]

moim uchem rozlega się wystrzał: to Buck dał ognia i strącił Harneyowi kapelusz z głowy. Ten zaś porwał za strzelbę i prosto ku nam, choć zza liści nie mógł nas widzieć. Ale my nie czekaliśmy na niego: nogi za pas i w las! Obejrzawszy się przez ramię, widziałem, że dwukrotnie mierzył Harney, jakby chciał dać ognia do nas, ale nie dał, aż wreszcie zawrócił konia i pojechał. Biegliśmy tak aż do domu. Staremu jegomości zaiskrzyły się oczy, gdy syn opowiedział, co zaszło, ale po chwili twarz mu spoważniała i rzekł do syna łagodnie, ale serio:

— Nie podoba mi się to strzelanie zza krzaka. Dlaczego nie wystąpiłeś na drogę?

— Shepherdsonowie nie czynią tak, ojcze. Zawsze skorzystają ze sposobności i napadają znienacka.

Miss Karolina słuchała opowiadania, podnosząc dumnie głowę jak królowa, a z jej oczu leciały iskry. Starsi bracia spochmurnieli, nie mówiąc ani słowa. Miss Zofia zbladła okropnie, ale rumieniec wrócił na jej twarz, gdy się dowiedziała, że młody człowiek jest zdrów i cały.

Gdy tylko znaleźliśmy się sami, nieopodal spichlerza, pytam Buck:

— Czy ty chciałeś go zabić?

— Ano tak!

— Cóż on ci zrobił?

— On? Nic mi nigdy nie zrobił.

— No... więc dlaczego chciałeś go zabić?

— Dla niczego... Tylko widzisz, jest między nami waśń rodowa.

— Co to jest waśń rodowa?

— Gdzieżeś ty się wychowywał, że nie wiesz, co to waśń rodowa?

— Nigdy o tym nie słyszałem. Opowiedz no, co to takiego.

— Widzisz — rzekł Buck — waśń rodowa to jest taka: jeden człowiek pokłóci się z drugim i zabije go, a potem brat drugiego zabije pierwszego, potem bracia obu pozabijają się nawzajem, a potem zaczną się zabijać bracia stryjeczni, aż wszyscy będą pozabijani i waśń się skończy! Ale to idzie powoli i dużo czasu zabiera.

Konflikt

— A wasza waśń długo się już ciągnie?

— Spodziewam się, że długo! Zaczęła się trzydzieści lat temu, a może i dawniej. Zaszedł jakiś spór, nie wiem już o co, i z niego wynikł proces. Jeden z tych dwóch, co spór wszczęli, proces wygrał, więc ów drugi zastrzelił tego, co zresztą było bardzo naturalne. Na jego miejscu każdy by zrobił to samo.

— O co to poszedł spór? O grunty?

— Pewno, że o grunty... Nie wiem zresztą.

— A kto kogo zastrzelił pierwszy? Grangerford Shepherdsona czy na odwrót?

— Skądże chcesz, żebym ja takie rzeczy wiedział? To już tak dawno!

— I nikt tego nie wie?

— E! Nie! Ojciec musi wiedzieć, a może i kto ze starszych, ale i oni zapewne nie wiedzą już, o co poszło.

— A dużo też pozabijanych?

— Sporo, ale nie wszyscy. Do ojca strzelali raz grubym śrutem i nic mu nie zrobili, choć śrut dotąd w nim siedzi. Boba napoczęli trochę nożem i Tomowi dostało się też parę razy.

— A tego roku jest kto zabity?

— Jest, u nas jeden i u nich także jeden. Będzie temu ze trzy miesiące; mój cioteczny brat, Bud, czternastoletni chłopiec, jechał sobie przez las po tamtej stronie rzeki. Nie miał ze sobą żadnej broni, co było wielkiem głupstwem z jego strony, kiedy nagle w najsamotniejszym miejscu słyszy za sobą tętent konia. Ogląda się: to jedzie stary Baldy Shepherdson. Wiatr mu rozrzuca długie, siwe włosy, a on podnosi strzelbę i na cel bierze chłopca. Zamiast zeskoczyć z konia i zaszyć się w krzakach, Bud myślał, że potrafi mu uciec. Zaczęli się więc ścigać. Bud ucieka, ten goni, aż wreszcie Bud, widząc, że to się na nic nie zda, wstrzymał konia i obrócił się do starego twarzą, tak żeby kula... Rozumiesz? Trafiła go w samo czoło. Stary podjechał, dał ognia i zabił go na miejscu. Ale niedługo cieszył się swoim zwycięstwem, bo w przeciągu tygodnia miał do czynienia z naszymi.

Przemoc, Morderstwo

— Ja myślę, że stary nieszlachetnie postąpił.

— Przeciwnie. Nie było w tym nic nieszlachetnego. Tchórzów i nieszlachetnych nie ma pomiędzy Shepherdsonami. I pomiędzy Grangerfordami nie ma ich także. Ten sam stary stawiał czoło przez pół godziny trzem Grangerfordom i nie dał im się. Oni wszyscy byli konno, on zaś, zszedłszy z rumaka, stanął między sągiem[187] drew a swoim koniem, żeby się od kul zasłonić, tak że Grangerfordowie z boku do niego strzelali, a on się bronił. Zaledwie doszedł do domu wraz z koniem, ale doszedł, gdy Grangerfordów nieść było trzeba: jeden z nich już był nieżywy, a drugi umarł nazajutrz. Nie, mój przyjacielu, kto chce znaleźć podłych albo tchórzów, niech czasu nie traci na szukanie ich pomiędzy Shepherdsonami, bo tam nie rodzi się ten gatunek.

Następnej niedzieli pojechaliśmy wszyscy konno do kościoła, odległego o trzy mile. Mężczyźni wzięli ze sobą fuzje — i Buck wziął także. Przez cały ciąg nabożeństwa trzymali je pomiędzy kolanami, a jeżeli który rozstał się na chwilę ze swoją, to po to jedynie, aby ją tuż za sobą oprzeć o ścianę. To samo czynili i Shepherdsonowie, a tak jedni, jak i drudzy uważnie słuchali nabożeństwa. Bardzo piękne było kazanie, całe o braterskiej miłości i różnych tym podobnych rzeczach, cokolwiek nudnych, wszyscy jednak zgodzili się na to, że kazanie jest bardzo piękne, a wracając do domu, ciągle tylko o nim rozprawiali. Tyle zaś mieli do mówienia o wierze, dobrych uczynkach, łasce i pre... pre-de-stynacji[188]... czy nie wiem już jak, że nie pamiętam, aby mi się kiedy w życiu zdarzyła tak ciężka niedziela jak ta. Niedziela

Po obiedzie wszyscy zaczęli drzemać i zrobiło się porządnie nudno. Buck, objąwszy ramieniem ulubionego psa, spał jak zabity na trawie. Poszedłem więc do naszego pokoju z zamiarem zdrzemnięcia się trochę. Śliczna miss Zosia, stojąc we drzwiach swojej izdebki, widocznie na mnie czekała, bo zaprosiwszy mnie do siebie, zamknęła drzwi cichutko i prosto z mostu zapytała, „czy ja ją lubię". Odpowiedziałem, że bardzo.

— Czy podjąłbyś się oddać mi drobną, ale bardzo ważną przysługę i nikomu o tym nie mówić?

— Wszystko zrobię dla miss Zofii.

— Zapomniałam w kościele swojej Biblii, która została w naszej ławce i leży między dwiema innymi książkami. Otóż wymknij się niepostrzeżenie, pobiegnij do kościoła, przynieś książkę i nie mów o tym nikomu ani słowa.

— Z największą ochotą, zaraz pójdę!

Wziąłem więc nogi za pas i w mig byłem w kościele, gdzie nie zastałem nikogo prócz kilku wieprzków, drzwi bowiem nie były zamknięte, a nierogacizna[189] lubi kłaść się w upał na chłodnej, ceglanej podłodze.

Idąc po książkę, myślałem sobie, że coś tu się święci, bo nie jest naturalną rzeczą, żeby młoda panienka nie mogła się obejść bez swojej Biblii. Potrząsnąłem więc książką, aż tu spomiędzy kart wypada malutka karteczka, na której napisano ołówkiem: „Pół do trzeciej". Niczego nie mogąc dojść z tej karteczki, włożyłem ją z powrotem do książki. Zaledwie wszedłem na schody, patrzę: miss Zosia stoi w drzwiach swego pokoju i czeka na mnie. Wciągnęła mnie do środka czym prędzej, zamknęła drzwi i szuka w Biblii. Przeczytawszy kartkę, tak była uradowana, że nim się opatrzyłem, wyściskała mnie mocno, mówiąc, żem najlepszy chłopiec pod słońcem. I zarumieniła się przy tym jak wiśnia, a oczęta tak jej błyszczały, że była śliczniejsza od malowania[190]. Zadziwiony okrutnie pocałunkami i jej wyglądem spytałem, co tam napisano na papierze.



— Czytałeś? — pyta.

— Nie — odpowiadam.

— A umiesz czytać pisane?

— Umiem, ale tylko bardzo duże litery.

Wtedy powiedziała mi, że na tym papierze nie ma nic, że to tylko znaczek do zakładania stronic i że mogę już odejść.

[187] *sąg* — stos drewna. [przypis edytorski]

[188] *predestynacja* — przeznaczenie, dola; także koncepcja religijna mówiąca o tym, że pośmiertny los człowieka jest już z góry ustalony przez Boga. [przypis edytorski]

[189] *nierogacizna* — trzoda chlewna. [przypis edytorski]

[190] *malowanie* (daw.) — obraz. [przypis edytorski]

Idę więc nad rzekę, a rozmyślając o tym wszystkim, widzę, że mój Czarny wciąż za mną idzie. Gdy dom znikł nam z oczu, on się obejrzał raz i drugi, a potem przybiega do mnie i mówi:

— Paniczu, niech panicz pójdzie ze mną na błota: pokażę całe stado cyranek.

Zaciekawiło mnie to, bo od razu się domyśliłem, że Czarny coś innego ma na myśli. Cyranki nie są przecież taką osobliwością, żeby zbaczać z drogi i umyślnie chodzić na błoto dla ich zobaczenia. Czego on chce ode mnie? Powiadam więc:

— Dobrze, pójdę. Pokaż drogę.

Szedłem za nim z pół mili, a gdy przyszliśmy nad brzeg błota, Czarny wszedł w nie powyżej kostek, z pół mili jeszcze prowadząc mnie za sobą. Doszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie na suchym już gruncie gęsto rosły drzewa i krzaki. Tu Czarny powiada:

— Niech no panicz wejdzie w gąszcz na kilka kroków, one tam są. Sam widziałem na własne oczy.

Zwrócił się na prawo i znikł za drzewami. Ja zaś, idąc wśród gąszczu coraz dalej, znalazłem się jakby w maluteczkiej altance, która była pokryta zupełnie dzikim winem i innymi pnącymi się roślinami. Na murawie, patrzę, śpi ktoś sobie... Co państwo na to powiecie? Tym śpiącym był mój stary, mój poczciwy Jim!

Obudziłem go, myśląc, że mój widok będzie dla niego ogromną niespodzianką. Ale nie! O mało nie płakał z radości, ale nie był zdziwiony. Opowiedział mi też, że owej pamiętnej nocy ciągle za mną płynął i słyszał moje nawoływanie, ale bał się odpowiadać, aby krzykiem nie zwabić ludzi, którzy by go jako Czarnego ujęli i znów uczynili niewolnikiem.

— Uderzyłem się mocno — opowiadał Jim — nie mogłem więc płynąć tak prędko jak ty i ciągle pozostawałem z tyłu. Gdy dopłynąłeś do brzegu, myślałem, że cię dopędzę, nie potrzebując wołać na ciebie, ale zobaczywszy przed sobą ten dom, do którego zmierzałeś, zwolniłem kroku. Za daleko byłem, aby słyszeć, co do ciebie mówiono, a bałem się zbliżyć z obawy przed psami. Gdy wszedłeś do środka, ja poszedłem w las, żeby tam doczekać dnia. Co rano przechodzą tamtędy Czarni na robotę, wzięli mnie więc w opiekę i pokazali to miejsce, gdzie psy nie mogą mnie wyśledzić, bo woda wokoło. Co noc przybiegał tu któryś, przynosił mi trochę strawy i od nich wiedziałem wszystko, co się z tobą dzieje.

— Czemu nie powiedziałeś wcześniej mojemu Czarnemu, żeby mnie tu przyprowadził?

— Po cóż cię miałem sprowadzać, nie wiedząc, co z nami będzie? Ale teraz wszystko już dobrze... Nakupiłem garnków, patelni, wszelakiej strawy i nocami poprzenosiłem to wszystko na tratwę...

— Na jaką tratwę?

— Na naszą, na starą tratwę.

— Jak to? A czy jej nie podruzgotał parowiec?

— Nie. Uszkodził ją porządnie z jednego końca, ale nie zrobił jej wielkiej krzywdy. Potraciliśmy tylko prawie wszystkie rzeczy. Gdybyśmy nie byli musieli dać tak głęboko nurka i płynąć pod wodą, gdyby noc nie była taka czarna, a my głów nie potracili jak zmokłe kury, gdyby...

— Zostawże już te „gdyby". Cóż by się było stało, gdyby nie gdyby?...

— Bylibyśmy zobaczyli naszą tratwę. Ale dobrze się stało, że jej nie zobaczyliśmy, bo ją teraz wyreparowałem i na miejsce tego, co straciliśmy, mamy teraz wszyściutko nowe.

— Jakimże sposobem odzyskałeś tratwę, Jim? Gdzie ją schwytałeś?

— Jakże mogłem ją schwytać, siedząc tu w lesie? Nie ja ją odzyskałem, lecz Czarni, którzy znaleźli ją wciśniętą między dwie rafy stojące nieopodal od brzegu. Wydobyli ją, ukryli w leśnej zatoczce i tak wiele rozprawiali o tym, do kogo należeć będzie, że usłyszałem, o co chodzi. Podnoszę się więc i powiadam: „Dajcie spokój, nie kłóćcie się o tratwę, bo ona ani wasza, ani niczyja, tylko Hucka i moja. Nie macie przecież zamiaru zagrabić własności białego panicza, bo wiecie, że nie uszłoby to wam na sucho". Dałem im po dziesięć centów na każdego, uradowali się okropnie, mówiąc, że chcieliby co dzień znajdować taką tratwę. Strasznie poczciwi są dla mnie ci tutejsi Czarni, zawsze zrobią wszystko, o co ich poproszę. Twój Jack to także bardzo dobry i sprytny chłopiec.

— Tak, sprytny. Nie powiedział mi nawet, że tu jesteś, lecz sprowadził mnie tylko dla cyranek.

Nie chcę za dużo mówić o następnym dniu. Krótko tylko powiem, że się obudziłem przed świtem, a chcąc przewrócić się jeszcze na drugi bok, żeby zasnąć trochę, zauważyłem niezwykłą ciszę, jakby w domu nie było żywej duszy. Co się stało? Potem spostrzegłem nieobecność Bucka. Wstałem więc zaciekawiony i schodzę na dół: nigdzie nikogo nie ma! Wychodzę przed dom, to samo! Co to ma znaczyć? Dopiero w głębi podwórza spotykam swego Czarnego, ukrytego za sągami drzew, i pytam:

— Co się tu dzieje?

— To panicz o niczym nie wie?

— Nie, nie wiem o niczym.

Ucieczka, Panna młoda

— A to, widzi panicz, panienka Zosia wykradła się. Żebym wieczora nie dożył, jeżeli kłamię. Wykradła się w nocy, nikt nie wie, o której godzinie, żeby wziąć ślub z tym młodym Shepherdsonem; tak przynajmniej państwo mówią. Spostrzegli się, że jej nie ma, dopiero teraz, przed półgodziną, a może więcej... No! Nie tracili czasu! W mig pobrali strzelby, wsiedli na koń i nie ma ich! Pani i panienka pojechały zawiadomić całą familię, a stary pan z młodymi panami, wziąwszy broń, udali się nad rzekę czatować na tamtego i zabić go, nim zdąży przepłynąć z panienką na drugi brzeg. No! Ja myślę, że nie ujdzie mu to na sucho, bo ci nie darują swego.

— Buck nie obudził mnie, wyjeżdżając?

— A ma się rozumieć, że nie. Nie chcieli mieszać w tę sprawę obcego. Pan, kiedy strzelbę nabijał, zaklinał się na wszystkie świętości, że nie wróci do domu bez Shepherdsona albo nawet i bez dwóch. A pan słowa dotrzyma i na swoim postawi, ja to wiem.

Po tym opowiadaniu pobiegłem co tchu nad rzekę, tam, gdzie wiodła droga, którą Shepherdson miał przejeżdżać. Już z daleka usłyszałem strzały. Pędzę więc z całych sił, a widząc już szychty[191] leżące nad przystanią, włażę na jakieś drzewo, nad samym brzegiem rosnące, i stamtąd przypatruję się wszystkiemu. Tuż obok mojego drzewa leżał wysoki na cztery stopy stos tarcic[192], wśród których początkowo chciałem się ukryć; szczęście, że tego nie uczyniłem.

Na niewielkim placyku czterech lub pięciu jeźdźców z głośnym krzykiem i przekleństwami usiłowało schwytać dwóch młodych chłopców, ukrytych za szychtą od strony rzeki. Nie mogli jednak dokazać[193] tego. Co się który wysunął nieco nad rzekę, natychmiast strzelano do niego zza szychty, po czym chłopcy kryli się za swój szaniec[194], skąd mogli śledzić każde poruszenie przeciwników.

Po upływie pewnego czasu jeźdźcy zaprzestali przekleństw i krzyków, lecz wprost natarli końmi na szychtę. Wtedy jeden z chłopców wychyliwszy głowę sponad górnej krawędzi szychty, zmierzył do napastnika i wystrzałem zrzucił go z siodła. Jeźdźcy zeskoczyli z koni wszyscy razem, jak na komendę, porwali rannego i unieśli go nieco dalej, a obaj chłopcy zaczęli uciekać. Byli już na pół drogi od drzewa, na którym ja siedziałem, gdy zauważyli ich przeciwnicy i natychmiast, siadłszy na koń, puścili się w pogoń za zbiegami. Doścignąć ich jednak nie mogli, bo tamci dobrze się już byli przedtem odsadzili, a teraz, dopadłszy stosu tarcic leżących w pobliżu mego drzewa, skryli się za nim, odgradzając się od ścigających całą jego objętością. Jednym z tych chłopców był Buck, drugim młodzieniaszek najwyżej dziewiętnastoletni.

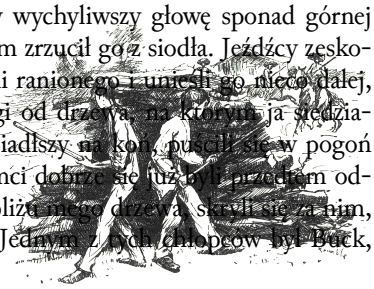

Jeźdźcy pokręcili się trochę wkoło kryjówki chłopców i odjechali. Gdy tylko znikli mi z oczu, natychmiast oznajmiłem to Buckowi. Na razie nie mógł pojąć, skąd dochodzi mój głos, i strasznie się zdziwił, gdy mnie zobaczył na drzewie. Prosił, aby pilne uważać i dać mu znać natychmiast, gdy ich zobaczę wracających, bo ani wątpił, że powrócą, i to niezadługo. Miałem ochotę zleźć już z drzewa, ale trudno było odmówić Buckowi, który cały trząsł się ze wzruszenia i przysięgał, że on i Joe, jego stryjeczny brat, powetują sobie jeszcze dzisiejszy dzień. Dowiedziałem się, że zabito jego ojca i obu braci, że Shepherdsonowie urządzili na nich zasadzkę, ale sami też stracili dwóch ludzi. Buck był zdania, że jego ojciec i bracia powinni byli poczekać na swoich krewnych, bo we trzech stawiając czoło liczniejszym od siebie Shepherdsonom, narażali się na pewną śmierć. Spytałem, co się stało z młodym Harneyem i miss Zofią.

---

[191] *szychta* — tu: warstwa, zwł. cegieł, muru. [przypis edytorski]

[192] *tarcica* — materiał drzewny powstały po pocięciu okrąglaków wzdłuż. [przypis edytorski]

[193] *dokazać* — osiągnąć cel. [przypis edytorski]

[194] *szaniec* — umocnienie obronne, wał, okop. [przypis edytorski]

— Przeprawili się przez rzekę i są w bezpiecznym miejscu.

Bardzo mnie to ucieszyło, tym bardziej, że pamiętając, jak się wyraził Buck o Harneyu — owego dnia, kiedy to strzelał do niego, a nie trafił — nie przypuszczałem, żeby przyjął tak pobłażliwie małżeństwo siostry.

A tu nagle słyszymy: pif! paf! puf! z kilku strzelb od razu... To tamci zakradli się pieszo i znienacka podeszli lasem! Chłopcy, obaj lekko ranieni, rzucili się do rzeki, a gdy płynęli razem z prądem, Shepherdsonowie, biegnąc wybrzeżem, jeszcze do nich strzelali, krzycząc jeden do drugiego: „Bij! Zabijaj!". O mało nie spadłem z drzewa, widząc to... Dziś jeszcze nie mogę opowiedzieć wszystkiego, co wówczas miało miejsce... Na samo wspomnienie robi mi się słabo. Wolałbym był nie przychodzić wówczas na ten przeklęty brzeg i nie widzieć tego, co widziałem... Biedny, biedny Buck!

Siedziałem na drzewie, dopóki się nie ściemniło, bo się bałem zejść. Od czasu do czasu rozlegały się w lesie wystrzały; dwukrotnie widziałem kilku zbrojnych jeźdźców, galopem pędzących wzdłuż rzeki, wiedziałem więc, że to jeszcze nie koniec. Strasznie znękany, dałem sobie słowo, że za nic w świecie nie wrócę do tego nieszczęsnego domu, tym bardziej, że wyrzucałem sobie przyczynienie się do jego nieszczęść. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, co znaczyła owa karteczka: zapewne, że „o wpół do trzeciej" miała się zejść miss Zofia z Harneyem, żeby opuścić rodzicielski dom. Czy nie powinienem był powiedzieć ojcu i o tej karteczce, i o całym postępowaniu, które wydawało mi się tak dziwne? Kto wie? Może gdyby ojciec był ją zamknął, nie byłoby tego nieszczęścia.

Po zejściu z drzewa biegłem ku zakrętowi, gdzie zatrzymywać się zwykło to wszystko, co woda ze sobą unosi. Znalazłem tam zwłoki obu młodych chłopców, zaplątane wśród wodorośli. Wyciągnąwszy zwłoki i zakrywszy im twarze, odszedłem najśpieszniej, jak mogłem. Popłakałem nawet trochę, zakrywając twarz Bucka, gdyż był dla mnie okropnie dobry.

Tymczasem zupełnie się ściemniło. Nie zbliżałem się już wcale do domu, tylko lasem obchodząc, dotarłem do błota.

Jima nie było na suchej wyspie, zawróciłem więc do rzeki i wiedząc, gdzie jest owa zatoczka, biegłem do niej, tak mi już pilno było uciec z tego nieszczęsnego miejsca. Tymczasem patrzę: nie ma tratwy! Aż zdrętwiałem! Przez chwilę tak mi zaparło dech w piersi, że nie mogłem wydobyć głosu, ale gdy oprzytomniałem, krzyknąłem. A tu o kilka sążni ode mnie odzywa się głos:

— To ty, złotko moje? Chwała Bogu! Cicho... Bez hałasu!

To był głos Jima, który nigdy jeszcze nie wydał mi się tak miły.

Gdy się wreszcie dostałem na tratwę, Jim wyściskał mnie i wycałował z wielkiej radości, po czym rzekł:

— Bóg z tobą, dziecko! Ja myślałem, że ciebie znów zabili. Jack był tu i mówił, że już chyba nie żyjesz, kiedy nie pokazałeś się w domu przez cały dzień. Przygotowawszy więc tratwę, przysposobiłem[195] wszystko do odjazdu i czekałem chwili, gdy Jack powróci z wiadomością, że już naprawdę nie żyjesz. Jaki ja też szczęśliwy jestem, że wróciłeś, złotko ty moje!

— I ja także — powiadam. — Nie znajdą mnie, pomyślą więc, żem zabity i że moje zwłoki popłynęły w dół rzeki. Nawet będą mieli powód tak myśleć... Nie trać więc czasu, Jim, ale odpłyńmy stąd szybko i jak najdalej...

Nie miałem spokoju, dopóki nie zobaczyłem, że tratwa znajduje się na środku rzeki, o dwie mile od tego wybrzeża, skąd widziałem jeszcze rodzinny dom Bucka. Wywiesiwszy latarnię sygnałową, poczuliśmy się znów swobodni i bezpieczni. Od wczoraj nie miałem nic w ustach, więc Jim wydobył żytnie placki, maślankę, wieprzowinę z kapustą i różne inne przysmaki, które ochoczo zajadałem, gawędząc z Jimem. Doszliśmy zaraz do przekonania, że wszędzie dobrze, ale na tratwie najlepiej. U ludzi jakoś ciasno i duszno, a na tratwie przestronnie i swobodnie.

Jedzenie, Wolność

ROZDZIAŁ XIX

[195] *przysposobić* — tu: przygotować coś. [przypis edytorski]

Dniówki. — Teoria astronomiczna. — Ucieczka przed pościgiem. — Festiwal wstrzemięźliwości. — Książę Bridgewateru. — Troski majestatu.

Rzeka, Podróż

Przeszło kilka dni i kilka nocy, mógłbym śmiało powiedzieć: upłynęło, tak niepostrzeżenie i przyjemnie zeszły. Rzeka była w tym miejscu niesłychanie szeroka, przynajmniej na półtorej mili, i gładka jak zwierciadło. Płynęliśmy nocami, a dnie spędzaliśmy w ukryciu.

Nigdzie najmniejszego szmeru, zupełna cisza, zdawałoby się, że na całym świecie wszystko spoczywa we śnie, tylko kiedy niekiedy zarechocze gdzieś żaba. Patrząc w dal na wodę, widzisz naprzód coś na kształt niewyraźnej, majaczącej linii. To las rosnący na przeciwległym brzegu. Dopiero potem zjawia się na niebie blada palma, nieduża, a z nią razem blednieje coraz bardziej i czarność, która dotąd pokrywała rzekę. Woda staje się szara, potem perłowa, znów powstają na niej ruchome plamy, małe i większe: małe — to łodzie targowe przewożące żywność, większe — to tratwy do naszej podobne, z różnym towarem. Tak cicho i głos tak płynie po wodzie, że nawet ze znacznej odległości dolatuje plusk wioseł, skrzyp lin i warczenie żagli wzdymanych wiatrem. Jakiś przedmiot nieruchomo sterczy nad wodą: to skała, o którą rozbija się fala i opryskuje ją deszczem drobnych kropelek.

Nieco dalej widzisz, jak zwija się i kłębi mgła, tu i ówdzie zaścielająca rzekę. Na wschodzie niebo rumieni się szkarłatną łuną, którą odbija woda, pozwalając rozróżniać przedmioty. Ot tam, na drugim brzegu widzisz na skraju lasu chatę zbudowaną z nieciosanych pni, zapewne mieszkanie tracza[196], bo zaraz obok wznoszą się całe sterty tarcic układanych w sześcioramienny krzyż dla przewiewu.

Rzeka, Wiatr

Od wody pociąga chłodnawy, rzeźwiący wiatr, niesie ze sobą woń drzew i kwiatów, pozbieraną w borach i na polankach, a czasem też i wyziewy porzuconych na wybrzeżu nieżywych ryb. Wreszcie już dnieje naprawdę, wszystko się w słońcu uśmiecha, a ptaszki aż się zanoszą od śpiewu!

Niewielkiego dymu nikt nie zauważy o tej porze, więc zdjąwszy z haczyków złowione ryby, ugotowaliśmy sobie śniadanie, po którym przyjemnie było spoglądać na ogromną pustynię wodną, dopóki sen nie zmorzy. Zasypialiśmy więc obaj na długo, budzeni zwykle przez parostatek, którego gwizd lub sapanie dochodziło do nas z oddali. Gdy znikał z oczu, znów całymi godzinami rzeka wyglądała jak pustynia, ożywiana chyba jakąś drzewem naładowaną tratwą i pracą drwali zajętych rąbaniem. Ostrza wysoko wznoszonych siekier błyskały w słońcu co chwila, a zaraz potem dochodził, stłumiony nieco oddaleniem, głuchy trzask rąbanej kłody, zmieszany z mimowolnym stęknięciem drwala.

Raz, pamiętam, zaległa rzekę mgła tak gęsta, że na przepływających tratwach i łodziach bito w żelazne blachy, aby hałasem dać znać o sobie parostatkom. Jakaś tratwa otarła się o nas; słyszeliśmy rozmowy i śmiechy na niej, ale nikogo zgoła[197] nie widzieliśmy, jak gdyby jakieś duchy niosły się powietrzem i urągały stamtąd ludziom. Jim utrzymywał nawet, że to duchy, ja jednak zaprzeczyłem temu, pewien, że duchy nie mówią. Bodaj to licho wzięło tę przeklętą mgłę!

O zmierzchu, puszczając się w drogę, pozwalaliśmy tratwie płynąć, gdzie zechce, a raczej, gdzie ją prąd poniesie. Zapaliwszy fajki, spuszczaliśmy nogi do wody, rozmawiając o różnych rzeczach. O ile na to komary pozwalały, byliśmy zupełnie nadzy, dniem i nocą. Nowe ubranie, które mi sprawiono w rodzinie Bucka, zanadto było porządne, żeby mnie nie krępowało, a przy tym nigdy nie lubiłem elegancji.

Gwiazda, Niebo, Księżyc

Zdarzało się, że przez całą noc nie spotkaliśmy żywej duszy. Gdzieś daleko, na jednym lub na drugim brzegu błysnął ogień w jakimś nadbrzeżnym domku, nad głowami świeciły nam gwiazdy i dobrze było, ach, jak dobrze, leżąc na wznak, spierać się o to, czy gwiazdy są czyimś dziełem, czy też po prostu same z siebie powstały. Jim utrzymywał, że ktoś je musiał zrobić, ja zaś przeciwnie twierdziłem, bo komu by się tam chciało taką mnogość gwiazd fabrykować. Jim przypuszczał, że może zostały zniesione przez księżyc. To mi się wydawało na tyle prawdopodobne, że nie przeczyłem, wiedząc, jak mnóstwo jaj znosi żaba. Gdy zaś spostrzegliśmy gwiazdę, która spadając, znaczyła za sobą szlak po niebie, Jim przypuszczał, że wyrzucono ją z gniazda jako zepsutą.

[196] *tracz* — robotnik, którego praca polega na piłowaniu ręczną piłą kłód drewna. [przypis edytorski]
[197] *zgoła* — zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

Parę razy w ciągu nocy widywaliśmy przesuwający się wśród ciemności parowiec, który od czasu do czasu wyrzucał z kominów całe snopy czerwonych iskier, spadających w rzekę ognistym deszczem. Po chwili parowiec znikał i znów było pusto na rzece, tylko fale wzruszone przez parowiec rozbijały się teraz o tratwę i kołysały nią z lekka.

Po północy mieszkańcy nadbrzeżnych domów kładli się zapewne spać, bo wszystkie światełka gasły i na kilka godzin stawało się zupełnie ciemno. Gdy zaś błysnęło pierwsze światełko, przeczuwaliśmy, że ktoś już śpieszy do pracy, że ranek nadchodzi, i szukaliśmy miejsca, żeby w nim spokojnie spędzić dzień, z daleka od ludzkich oczu.

Pewnego dnia, przed świtem, pojmałem czółno bez wioślarza i wsiadłszy w nie, zmierzałem w stronę brzegu w nadziei, że w iglastym lesie znajdę jagody. Mijałem właśnie miejsce, gdzie wychodziła do rzeki wydeptana przez bydło ścieżyna, gdy widzę, że krętą i nierówną ścieżką pędzi galopem dwóch ludzi. Zląkłem się jakoś w pierwszej chwili, bo ile razy ktoś kogoś ścigał, zawsze myślałem, że mnie lub Jima. Już więc podniosłem wiosło, aby się odbić od brzegu, gdy nieznajomi, oddaleni ode mnie zaledwie o kilkanaście kroków, krzycząc rozpaczliwie, błagają o ocalenie im życia.

— Nic złego nie uczyniliśmy, a ścigają nas...

To mówiąc, chcieli skoczyć do łodzi.

— Nie czyńcie tego — zawołałem — nie słychać pogoni. Macie czas zaszyć się pomiędzy krzaki i dobiec do strumyka, który tu niedaleko wpada do rzeki. Wejdźcie w wodę i idźcie łożyskiem strumyka... Ja was tam wezmę do łodzi. W przeciwnym razie psy was zwęszą.

I rzeczywiście tak uczynili. Gdy już byłem z nimi niedaleko od tratwy, usłyszeliśmy krzyki i szczekanie psów. Odgadłem, że jadą brzegiem strumyka, bo z naszego ukrycia nie mogłem ich widzieć. Było też słychać, że się zatrzymali nad strumieniem: widocznie ślad straciwszy, nie wiedzieli już, co dalej czynić. Po niejakim czasie wszystko ucichło — pogoń ustała.



Jeden ze zbiegów był to siedemdziesięcioletni już z górą człowiek, z łysą głową i bielutkimi bokobrodami. Ubrany był w zniszczony filcowy kapelusz o wielkich kresach[198], w niebieską koszulę wełnianą, mocno zatłuszczoną, spodnie miał granatowe, podarte, włożone w buty z kamaszami[199] robionymi na drutach — a raczej tylko z jednym, bo drugi gdzieś zniknął. Ciemnogranatowy frak z błyszczącymi metalowymi guzikami niósł przerzucony przez ramię tak, że jego długie poły o mało nie dotykały ziemi.

Obaj mieli ze sobą duże torby dywanowe, porządnie już wytarte i nie wiadomo czym wypchane. Ten drugi był znacznie młodszy, mógł mieć najwyżej trzydzieści lat, i również elegancko ubrany, a nawet wytworniej może, bo mniej poplamioną miał odzież.

Po śniadaniu, gdy leżąc na pomoście rozpoczęliśmy pogawędkę, okazało się, że nasi niespodziewani goście wcale się nie znają.

— Co ci się przytrafiło? — pyta ten łysy młodszego.

— Ano, sprzedawałem niezawodny środek przeciwko tworzącemu się na zębach osadowi. Środek bardzo skuteczny: nie tylko osad schodził, ale prawie zawsze i emalia razem z nim. Ale cóż! Zasiedziałem się na miejscu dłużej, niż było potrzeba, a kiedy cichaczem wymykałem się z miasta, spotkałem waści[200]. Waść mi powiedziałeś, że jesteś ścigany i prosiłeś, żeby ci dopomóc w ucieczce. Wtedy i ja ci wyznałem, że mnie także mają na oku i przystałem na wspólną podróż. Taka jest moja historia. A waść co mi powiesz?

Handel

— Ze mną inaczej było. Urządziłem festiwal (zebranie pod gołem niebem) wstrzemięźliwości, który ciągnął się prawie przez tydzień. Starsze i młodsze kobiety przepadały za mną, bo wymyślałem na trunki i na pijaków, ile się tylko zmieściło. Przynosiło to niezły dochodzik: pięć do sześciu dolarów co wieczór, licząc po dziesięć centów od osoby, dzieci i Czarni bezpłatnie. Nagle, nie wiem już skąd i jakim sposobem, rozeszła się wczoraj wieczorem plotka, najniegodziwsza z plotek, że lubię sobie cichaczem pociągać z butelki. Dziś przed świtem zbudził mnie znienacka Czarny, ostrzegając, że ściągają przeciwko mnie mężczyźni, konno i z psami, że niebawem nadjadą i każą mi uciekać natychmiast, dając na ucieczkę pół godziny, a po jej upływie będą mnie gonić. Jeżeli dopędzą, zemszczą

[198] *kresy* — tu: rondo kapelusza. [przypis edytorski]
[199] *kamasz* (daw.) — tu: ochraniacz na niski but, getr. [przypis edytorski]
[200] *waść* — daw. forma grzecznościowa: pan, szanowny pan. [przypis edytorski]

się na mnie tutejszym obyczajem, to jest unurzają w smole i w pierzu. Ładna rzecz mieć do czynienia z takimi barbarzyńcami. Nie czekałem już nawet na śniadanie... Straciłem apetyt.

— Słuchaj — odrzekł ten drugi — ja myślę, że z nas dwóch może być para. A tobie jak się zdaje?

— Nie mam nic przeciwko temu. Czym się zajmujesz?

— Z zawodu jestem drukarzem, zajmuję się przy tym sprzedażą nowo wynalezionych środków leczniczych. Aktorem jestem, tragikiem; gdy się zdarzy sposobność, uprawiam mesmeryzm[201] i frenologię[202], czasem dla odmiany nauczam w szkołach geografii i śpiewu, miewam też odczyty publiczne. Wszystkiego podjąć się mogę, byle tylko nie roboty ciężkiej, a sumiennie mogę powiedzieć, że nic mi nie jest obce. A pańska specjalność, staruszku?

— O! Ja swego czasu niemało pracowałem w medycynie. Leczyć umiem przez nakładanie rąk: leczę raka, paraliż i tym podobne choroby. Umiem też przepowiadać i zawsze trafnie przepowiem, jeżeli tylko znajdę kogoś, co mi podszepnie jakiś fakcik. Trudnię się także kaznodziejstwem i urządzam pobożne zgromadzenia, pełniąc pracę misjonarską.

Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy, wreszcie młody wzdycha ciężko i powiada:

— Niestety!

— Czegóż tak biadasz? — pyta łysy.

— Bo mi się serce kraje na myśl, że dożyłem tego, co muszę znosić, wpadając w tak niestosowne dla mnie towarzystwo! — I zaczął ocierać oczy jakimś łachmankiem.

— A cóż ty sobie myślisz? Dlaczegóż towarzystwo nasze jest dla ciebie niestosowne? — szorstko i pogardliwie pyta łysy.

— I owszem... stosowne... Ja nie zasługuję na lepsze. Któż bowiem pchnął mnie tak nisko? Sam siebie z wyżyn strąciłem, sam! Nie przymawiam panom, broń Boże, żadnego do was nie mam żalu... do nikogo. Zasłużone wszystko, co mnie spotyka... Niech zimny i obojętny świat znęca się, jak chce, nade mną, jednej rzeczy jestem pewien: znajdzie się w nim miejsce na grób dla mnie. Świat może sobie kroczyć dalej zwykłą koleją, może mi wszystko odebrać: majątek, serca najbliższych, wszystko... To jedno moim zostanie. Przyjdzie chwila, gdy w grób się położę, o wszystkim zapomnę, moje biedne, znękane serce zażyje wreszcie spokoju...

Mówiąc to, ciągle ocierał oczy.

— Niech czarci porwą twoje biedne, znękane serce! — opryskliwie odpowiada łysy. — Cóż nam wykłuwasz oczy swoim sercem? Nie ma tu przecież naszej winy.

— Wiem, że nie wasza to wina. Nie mam też do was pretensji, panowie. Sam swój upadek zgotowałem. Tak, tylko sobie go zawdzięczam. Słuszne jest, abym dziś ponosił karę... Zupełnie słuszne.

— Gdzieżeś to pan stał przed upadkiem? Rad bym wiedzieć, skąd spadłeś.

— O! Nie dacie mi wiary... Świat nigdy wiary nie daje... ale mniejsza o to, mniejsza... Tajemnica mego urodzenia...

— Tajemnica pańskiego urodzenia? Czy chcesz pan powiedzieć...

— Panowie — uroczyście przemawia młody człowiek — odkryję przed wami tę tajemnicę, czując, że można wam zaufać. Z prawa należy mi się tytuł... księcia!

Jimowi aż oczy na wierzch wyszły, gdy to usłyszał, a zdaje mi się, że i moje uczyniły to samo. A łysy na to:

— Jak to? Prawdę mówisz?

— Tak. Mój pradziad, starszy syn księcia na Bridgewater, w ostatnich latach zeszłego stulecia przybył do tej części świata, gnany potrzebą wolności. Tu się ożenił, tu umarł, w tym samym czasie, co i jego ojciec. Po ojcu jemu należał się tytuł i majątek, a po nim synowi, którego po sobie zostawiał, lecz jego młodszy brat wszystko zagarnął, a malutki dziedzic został wyzuty ze swoich praw. Jam w prostej linii potomek osieroconego dziedzica, jam prawy książę na Bridgewater i oto staję tu przed wami, opuszczony,

[201] *mesmeryzm* — osiemnastowieczna teoria Franza Antona Mesmera, zakładająca wykorzystanie w celu uzdrawiającym działania przekazywanej przez dotyk siły magnetycznej istniejącej w każdym organizmie ludzkim i zwierzęcym. [przypis edytorski]

[202] *frenologia* — pseudonauka, popularna na przełomie XIX i XX wieku, wedle której kształt czaszki odzwierciedlał charakter człowieka. [przypis edytorski]

strącony z wysokiego stanowiska, ścigany przez ludzi, nieuznany przez obojętny świat, odarty, zgnębiony, z rozdartym sercem, upadły tak nisko, że muszę przebywać na tratwie w towarzystwie nędzarzy!

Jim litował się nad nim z całego serca, a i ja także. Staraliśmy się pocieszać go, ale odpowiadał nam, że to wszystko na próżno, że pocieszonym być nie może, że chyba tylko jedno zdoła mu przynieść choć odrobinę pociechy, a mianowicie, jeżeli jego wysokie stanowisko zostanie przez nas uznane. Przyrzekliśmy je uznać, nie wiedząc, jak to uczynić. Więc nauczył nas, że nie powinniśmy przystępować do niego inaczej, jak z ukłonem, a mówiąc z nim, dodawać zawsze: „wasza miłość" albo „mości książę", albo „jaśnie oświecony". Przyrzekł jednak, że nie weźmie nam za złe, jeżeli będziemy nazywać go po prostu „Bridgewater", które to miano, według niego, było tytułem, nie nazwiskiem. Żądał także, ażeby jeden z nas usługiwał mu do obiadu i w ogóle oddawał mu różne drobne usługi. Pycha

Łatwo było zadośćuczynić tym wymaganiom, przystaliśmy więc na nie z ochotą. Przez cały czas obiadu Jim stał za nim i usługiwał mu, przemawiając w taki na przykład sposób: „Co wasza miłość każe sobie podać? Mości książę, spróbujesz może tej potrawy?" I widać było, że obydwóm sprawia to niezmierną przyjemność.

Tymczasem stary milczał: czy to, że nie miał nic do powiedzenia, czy też nie w smak mu szło to całe nadskakiwanie księciu. Zdawało się, że coś waży w myśli. Nareszcie w parę godzin po obiedzie tak mówi:

— Powiem ci coś, Bridgewater. Współczuję twojej niedoli, lecz nie ty jeden znosisz podobne utrapienia.

— Nie ja jeden?

— Nie ty jeden, powiedziałem i powtarzam. Nie ciebie jednego pokrzywdzono, wyzuwając ze wszystkich zaszczytów należnych twemu wysokiemu stanowisku.

— Niestety!

— I nie ty jeden kryjesz w tajemnicy swoje wysokie urodzenie!

I w najlepsze zaczyna płakać.

— Co? Co to ma znaczyć?

— Bridgewater! Czy mogę ci zaufać? — mówi stary, ciągle szlochając.

— Aż do chwili, w której stanę się zimnym trupem! — A wziąwszy dłoń starego, ściska ją silnie i powtarza: — Wyjaw mi tajemnicę swego istnienia! Odkryj ją! Mów!

— Bridgewater! Widzisz we mnie nieboszczyka delfina!

Wyobraźcie sobie, jak oczy wytrzeszczyliśmy, Jim i ja! A książę tylko:

— Kogo? Kogo widzę?

— Tak, przyjacielu mój, delfina! Przed twymi oczyma stoi w tej chwili nieszczęsny, bez wieści zaginiony następca francuskiego tronu, małoletni dauphin, Ludwik XVII[203], syn Ludwika XVI i Marii Antoniny[204].

— Ty? Ty masz być delfinem? W twoich latach? Nie! To nie jest możliwe! Chcesz chyba powiedzieć, że jesteś nieboszczykiem Karolem Wielkim[205], bo musisz mieć z pewnością jakieś siedemset lub sześćset lat!

— Cierpienia temu winne, Bridgewater! W łzach tak postarzałem i w cierpieniu, łzy i cierpienia są przyczyną mojej siwizny i przedwczesnej utraty moich niegdyś kędziorów. Tak, panowie, widzicie przed sobą w nędzy i w granatowych spodniach tułacza, wygnańca, ściganego przez ludzi, prześladowanego przez los, a prawowitego króla Francji.

Tu, ciągle płacząc, tak się własnym płaczem rozrzewnił, że i ja, i Jim nie wiedzieliśmy, co czynić; żal nam go było, czuliśmy się jednak szczęśliwi i dumni, że go mamy pomiędzy sobą. Na słowa pociechy odpowiedział, że wszystko na nic, że jego najgorętszym pragnieniem jest umrzeć. Dodał jednak, że nieraz przynosiło mu to chwilową ulgę, gdy widział, że ludzie traktują go tak, jak mu się to słusznie należy, to jest zbliżają się do Pycha

[203] *Ludwik XVII* (1785–1795) — syn Ludwika XVI i Marii Antoniny, od 1789 delfin Francji, zmarł w więzieniu w Temple; domniemanie o jego śmierci dało powód licznym awanturnikom do pretensji do tronu. [przypis edytorski]

[204] *Maria Antonina* (1755–1793) — żona Ludwika XVI, córka Marii Teresy, cesarzowej austriackiej; ścięta w czasie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

[205] *Karol Wielki* (ok. 742/747–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800 r. [przypis edytorski]

niego z przyklękaniem, mówiąc do niego „najjaśniejszy panie!", jemu pierwszemu podają potrawy i nie siadają w jego obecności, dopóki on nie pozwoli.

Jim i ja zaczęliśmy więc tytułować go „najjaśniejszym", nadskakiwać mu, usługiwać i stać, dopóki nam nie powiedział, że pozwala usiąść. Przynosiło mu to ogromną pociechę i zaraz też znacznie poweselał. Ale za to książę zaczął się kwasić i miał mocno niezadowoloną minę, chociaż król traktował go po przyjacielsku, bo jego ojciec miał w wielkim poważaniu pradziada księcia i całą rodzinę książąt na Bridgewater. Pomimo tego książę wciąż siedział posępny, aż wreszcie król powiada:

— Ze wszystkiego widzę, Bridgewater, że nam tu przyjdzie długo posiedzieć na tej tratwie. Po cóż więc kwasy? Czy nie lepiej żyć w zgodzie? Tak jak nie moją jest winą, że się urodziłem królem, tak nie twoją, żeś się nim nie urodził. Wszak to jasne. Nie martw się więc i idź za moim przykładem: korzystaj z tego, co los nadarzył. Tej zasady zawsze się trzymałem w postępowaniu. Nieźle tu trafiliśmy, jest co jeść i wygoda wszelka. Rozchmurz więc czoło, książę, podaj mi rękę i bądźmy odtąd przyjaciółmi.

Książę uczynił tak, a my z Jimem patrząc na ich pojednanie, czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Zaraz więc było weselej i swobodniej i nas też radość opanowała, bo jak tu na tratwie żyć razem bez zgody i przyjaźni!

Potrzebowałem niewiele czasu, aby się domyślić, że żaden z tych dwóch ludzi nie był księciem ani królem, lecz obaj byli kłamcami i oszustami, którzy zasypują oczy piaskiem. Jednak nigdy się z tym nie zdradziłem, zachowując tę wiadomość tylko dla siebie. To jedyny i najlepszy sposób uniknięcia wszelkich nieprzyjemności. Oni sobie tego życzyli, aby jednego nazywać księciem, drugiego królem, ja zaś nie miałem nic przeciwko temu, pragnąc tylko, żeby był spokój w domu. Jimowi ta wiadomość była niepotrzebna, nic mu też nie powiedziałem. Niewiele się co prawda nauczyłem od swego tatka, ale przynajmniej wpoił we mnie to, że chcąc żyć dobrze z ludźmi takimi jak on, nie należy im się w niczym sprzeciwiać.

ROZDZIAŁ XX

Huck opowiada o sobie. — Trzeba się wziąć do pracy. — Pobo[illegible] — Rozbójnik morski. — Książę drukarzem.



Nasi goście zadawali nam mnóstwo pytań. Koniecznie chcieli wiedzieć, dlaczego przykrywamy pomost tratwy liśćmi i gałęziami, dlaczego zamiast płynąć we dnie, stoimy w zatoce cały dzień.

— Jim musi być zbiegłym Czarnym? — pytają.

— Na miłość boską — powiadam — czyżby zbiegły Czarny uciekał na południe?

Trafiło im to do przekonania. Zmuszony jednak do wyjaśnień, opowiedziałem im taką historię:

— Moja rodzina pochodzi z Pike County[206] w stanie Missouri, gdzie ja się urodziłem i gdzie wszyscy mieszkaliśmy, dopóki wszyscy nie poumierali. Zostaliśmy tylko we trzech: ojciec, ja i mój braciszek. Ojciec postanowił wynieść się z tamtych stron i zamieszkać razem ze stryjem Benjaminem, który posiada niewielki folwarczek nad rzeką o czterdzieści cztery mile poniżej Orleanu. Ojciec był ubogi, a miał przy tym i trochę długów, więc kiedy się wyprzedał, zostało mu tylko szesnaście dolarów i nasz Czarny, Jim. Nie starczyłoby tego na podróż tak odległą; nawet na pokładzie okrętowym przejazd drożej kosztuje. Lecz gdy pewnego dnia podczas wiosennej powodzi poszczęściło się ojcu niespodzianie schwytać tę oto tratwę, postanowiliśmy odbyć na niej drogę do Orleanu. Ale szczęście uśmiechnęło się do ojca na krótko: pewnej nocy uderzył w nas parostatek, oderwał przednią część pomostu i wszyscy wpadliśmy w wodę, pod same koła. Jim i ja wypłynęliśmy na wierzch, ale pijany ojciec i zaledwie czteroletni braciszek poszli na dno i więcej ich nie widziałem. Przez kilka dni miałem kłopot, bo różni ludzie chcieli zabrać Jima, biorąc go za zbiega. Dlatego też płyniemy teraz nocą, żeby mieć spokój.

[206] *Pike County* — hrabstwo na wschodniej granicy stanu Missouri w Stanach Zjednoczonych, ograniczone rzeką Missisipi. [przypis edytorski]

— Daj mi nieco czasu — rzekł na to książę — a wymyślę coś takiego, co nam pozwoli bezpiecznie płynąć i w dzień. Ja to obmyślę, ułożę plan i ręczę, że będzie niezawodny. Dziś nie można tego uczynić, widać stąd wprawdzie jakieś miasto, ale w biały dzień nie jest możliwe pokazać się tam.

Przed wieczorem zaczęło się raptownie ściemniać, niebo ginęło w chmurach, przelatywały po nim błyskawice, nie te nisko pokazujące się na widnokręgu, które są zapowiedzią upału, ale prawdziwe, migające wysoko ponad głowami. Liście zaczęły się trząść i szumieć i ze wszystkiego było widać, że się zanosi na niepogodę. Widząc to, król i książę udali się do naszej budki, żeby zobaczyć, czy łóżka są wygodne. Moje posłanie stanowił wór wypchany słomą; Jim zaś spał na plewach[207], w których zawsze coś kole i drapie, gdy zaś chcesz się przewrócić na drugi bok, to plewy czynią tyle szumu i chrzęstu, że choćbyś spał nie wiem jak twardo, musisz się obudzić. Książę raczył oznajmić, że będzie spać na moim posłaniu, ale król nie zgodził się na to:

— Sądziłem, iż poczucie różnicy naszego stanowiska pozwoli panu zrozumieć, że posłanie z plew nie jest odpowiednie mojej godności. Zechcesz, książę, sam spać na plewach.

Na Jima i na mnie aż poty biły, gdyż baliśmy się, żeby nie doszło do sporu, lecz otucha w nas wstąpiła, gdy książę odparł:

Błoto

— Z dawna jest mi sądzone, że zdeptany stopą ucisku, muszę się pogrążać w błocie. Niedola ugięła niegdyś hardy mój umysł, ucząc mnie uległości i pokory... Ustępuję, taki mój los! Jestem samotny na świecie, więc umiem znieść wszystkie cierpienia.

Ruszyliśmy z miejsca, gdy było już zupełnie ciemno, a król przykazał nam trzymać się środka rzeki i nie zapalać światła, dopóki nie upłyniemy choć parę mil poza miasto. Płyniemy więc w zupełnej ciemności, mijamy garstkę rozrzuconych nad brzegiem świateł i dopiero gdy miasto zostało o milę za nami, wywiesiliśmy latarnię sygnałową. Około dziesiątej spadł deszcz, zaczęło grzmieć i błyskać, więc król kazał nam pilnie uważać na tratwę i nie schodzić z pomostu, dopóki burza się nie uspokoi. Obaj zaś z księciem weszli do naszej budki i ułożyli się wygodnie na noc. Na mnie przyszła kolej stróżowania na pomoście do północy, ale pomimo to byłbym wlazł pod dach, gdybym miał łóżko, bo nie co dzień i nie co miesiąc nawet trafia się człowiekowi widzieć tak straszną burzę. Wiatr gwizdał i huczał, a co parę sekund, traf! — błyskawica białym, oślepiającym światłem tak wszystko zaleje, że na pół mili dookoła widzisz bielejące pianą fale i wyspy, jakby owiane pyłem wodnym, i nadbrzeżne drzewa, gnące się pod wiatrem na wszystkie strony. A potem nagle: bum! bum! i piorun potoczy się z grzmotem. Taka szła fala, że mnie o mało nie zniosła z pomostu, lecz przy nagości zupełnej, nie żałowałem swej skóry. Tak było jasno od błyskawic, że nie potrzebowaliśmy wystrzegać się raf i sterczących z wody skał, widząc je wszystkie jak na dłoni.

Burza, Piorun

Mówiłem już, że do północy ja miałem czuwać, że jednak sen mi dokuczał, poczciwy Jim obiecał zastąpić mnie przez pierwsze parę godzin. Wsunąłem się do naszej budki, ale książę i król tak powyciągali swoje nogi i ręce, że dla mnie nie było miejsca. Położyłem się więc na pomoście, niewiele sobie robiąc z deszczu. Był ciepły, więc nie mógł mi zaszkodzić, a i fala trochę złagodniała. Lecz gdy zasnąłem jak najsmaczniej, fala znów się podniosła i ogromnymi górami szła na pomost. Jim miał z początku zamiar obudzić mnie, ale się potem rozmyślił, nie przypuszczając, żeby bałwany mogły przesadzić tratwę. A tu właśnie tak było: podniósł się olbrzymi wał i cała masa wody buchnąwszy na pomost, zmiotła mnie śpiącego jak źdźbło słomy. Jim trząsł się od śmiechu, bo zawsze był wesół, ale skoczył po mnie do wody. Niepotrzebnie zresztą, bo dałem nurka raz, drugi, otrząsłem się i już byłem znów na tratwie.

Wytrzeźwiony kąpielą, objąłem wartę, a Jim w parę minut potem chrapał, jak się należy. Minęło tak parę godzin, z nimi razem przeszła i burza, a gdy pierwsze światełko zajaśniało w jakimś nadbrzeżnym domu, zbudziłem Jima i posunęliśmy się ku brzegowi, aby ukryć tratwę w zacienionym miejscu.

Po śniadaniu król wydostał paczkę zatłuszczonych kart i przez jakiś czas obaj z księciem grali, stawiając po pięć centów od razu. Gdy zaś gra ich znudziła, oznajmili, że trzeba

[207] *plewy* — resztki powstające przy młóceniu i czyszczeniu dojrzałych roślin, wykorzystywane jako pasza. [przypis edytorski]

wziąć się do pracy. Więc książę, zanurzywszy ramię w podróżną torbę dywanową, wydobył z niej pakiet drukowanych świstków, które zaczął głośno odczytywać. Jeden z nich oznajmiał, że „doktor Armand de Montalban z Paryża będzie miał odczyt o nauce frenologii w tym a w tym miejscu, tego a tego dnia, po dziesięć centów za wejście, przy czym każdy z słuchaczy otrzyma kartkę z określeniem swego charakteru za dodaniem dwudziestu pięciu centów za sztukę". Tym doktorem Armandem był sam książę.

Na drugim znów ogłoszeniu mienił się być „głośnym na cały świat aktorem, specjalistą od ról szekspirowskich, Garrickiem[208] Młodszym, z teatru Drury Lane[209] w Londynie". Na innych ogłoszeniach pod innymi znów występował nazwiskami, a zawsze dokonywał cudownych i nadzwyczajnych rzeczy, „magiczną różdżką" umiał wskazywać miejsce, gdzie pod ziemią znajduje się woda lub złoto, „odczyniał uroki rzucone przez czarownicę" i tym podobne. Chociaż niepomiernie się chełpił tak znaczną ilością talentów, pierwszeństwo dawał jednak „muzie scenicznej", nazywając ją swoją „kochanką".

— Czy wstępowałeś kiedyś na deski teatralne, monarcho? — pyta książę.

— Nigdy — odrzecze król z godnością.

— A zatem uczynisz to, zanim będziesz, upadła wielkości, o trzy dni starszy — mówił książę. — W pierwszym podrzędnym miasteczku, które spotkamy, najmiemy salę i odegramy pojedynek na miecze z *Ryszarda III*[210] oraz scenę balkonową z *Romea i Julii*. Jak uważasz?

Pieniądz

— Uważam, że wspaniałe jest wszystko, co tylko może przynieść dochód. Ale wiesz, co ci powiem, Bridgewater: ja się zupełnie nie znam na aktorstwie, a nawet i niewiele bywałem w teatrze. Za mały byłem, gdy papa król urządzał przedstawienia w swoim pałacu. Czy zdołasz mnie nauczyć?

— Z największą łatwością.

— Wybornie. Usycham z tęsknoty za czymś nowym. Zaczynajmy więc, nie tracąc czasu.

Książę opowiedział mu, kto był Romeo, a kto Julia, dodając, że gdy on sam przywykł grać rolę Romea, król zatem przedstawi Julię.

— Ależ książę, jeżeli Julia jest taka młoda, to z moją łysiną i białymi faworytami[211] może jej nie być do twarzy.

— Nie bój się, królu, niczego. Tutejszym wieśniakom do głowy to nawet nie przyjdzie. A zresztą, będziesz przecież odpowiednio ukostiumowany, co dużo znaczy; Julia na balkonie, rozkoszująca się światłem księżyca przed pójściem na spoczynek, będzie miała na sobie długą koszulę nocną i nocny czepek z falbankami. Tu oto są odpowiednie kostiumy.

I rzeczywiście pokazał nam kilka ubrań z perkalu meblowego w ogromne kraty, a powiedziawszy, że to jest średniowieczna zbroja dla Ryszarda III i dla tamtego drugiego, wydobył także długą koszulę nocną z białego perkalu oraz ogromny czepiec[212] z szerokimi falbankami. Podobało się to królowi, a książę, wydobywszy swą książkę, począł deklamować[213] rolę. Jak on to czytał! Jak czytał! Ani chwili nie postał spokojnie, tylko chodził wkoło jak paw, głowę podnosił, w tył się cały podając[214], nogi stawiał z wysoka, jednym słowem, grał (jak sam mówił) swoją rolę, aby pokazać, jak właśnie ma być przedstawiona, po czym oddał książkę królowi, mówiąc mu, aby się uczył swojej roli na pamięć.

O parę mil od miejsca, gdzie się wówczas znajdowaliśmy, było widać leżące na wybrzeżu małe miasteczko. Wymyśliwszy sposób wejścia do niego w biały dzień bez krzywdy dla Jima, książę oświadczył, że uda się tam i poczyni pewne przygotowania. Król, słysząc

---

[208] *Garrick, David* (1717–1779) — aktor angielski, słynny wykonawca ról szekspirowskich. [przypis edytorski]

[209] *Drury Lane* — teatr w Londynie, w Covent Garden, pierwotny budynek został wzniesiony w 1663; przez pierwsze dwa wieki swojej działalności był jednym z najważniejszych teatrów anglojęzycznych na świecie. [przypis edytorski]

[210] *Ryszard III* — część pierwszej tetralogii autorstwa Williama Szekspira, napisana ok. 1592, druga po *Hamlecie* najdłuższa sztuka autora; opisuje losy ostatniego króla Anglii z dynastii Yorków, Ryszarda III. [przypis edytorski]

[211] *faworyty* (daw.) — baczki, bokobrody. [przypis edytorski]

[212] *czepiec* — w dawnych czasach nakrycie głowy zamężnej kobiety; przylegający lub usztywniany dla uzyskania różnorodnych kształtów, zdobiony falbankami lub koronkami. [przypis edytorski]

[213] *deklamować* — wygłaszać utwór literacki wyraziście i z ekspresją. [przypis edytorski]

[214] *podawać się w tył* — odchylać się do tyłu. [przypis edytorski]

to, również okazał gotowość pójścia do miasta, żeby zobaczyć, czy tam nie znajdzie czegoś dla siebie. Ponieważ zabrakło nam kawy, ułożyliśmy z Jimem, że wraz z nimi i ja popłynę, by kupić kawę... i także przypilnować łódki, aby jej ich monarsze moście nie zaprzepaścili!

Przybywszy do miasta, zastaliśmy zupełnie puste ulice i wszędzie była taka cisza, jakby wszyscy wymarli albo jak gdyby to była niedziela. Spotkaliśmy tylko chorego Czarnego, który się wygrzewał na słońcu i oświadczył nam, że całe miasto wyruszyło na pobożne zebranie pośród lasu, odległego stamtąd o dwie mile, w domu zaś zostały tylko dzieci, chorzy i starcy. Król spytał o drogę i zaraz postanowił pójść na to zebranie, na którym spodziewał się znaleźć zajęcie; mnie także pozwolił iść ze sobą.

Książę zaś zaczął szukać po całym miasteczku drukarni. Znaleźliśmy ją wreszcie, bardzo skromną, nad warsztatem cieśli[215]. I cieśle, i drukarze, wszyscy pognali na owo zebranie, pozostawiwszy otwarte drzwi. Drukarenka była ciasna i brudna, pełna niepotrzebnych papierów, ze stołami poplamionymi atramentem, a na ścianach moc[216] ogłoszeń, wśród których rzucał się w oczy wielki, czarny koń z uciekającym Czarnym. Książę zrzucił surdut, mówiąc, że ma już wszystko, czego mu trzeba, a zatem król i ja ruszyliśmy na owo zebranie.

Droga zabrała nam nie więcej jak pół godziny, ale skropiliśmy ją potem, bo było okropnie gorąco. Wśród lasu, na obszernej polance zastaliśmy ogromne zgromadzenie, może z tysiąc osób, które tu ściągnęły z całej okolicy, w promieniu co najmniej dwudziestu mil. Las był pełen różnych wozów, wózków, bryczek, rozległa się przeróżnie powyprzęganych koni, opędzających się muchom i smacznie zajadających siano, którym wysłane były wozy i bryczki. Tu i ówdzie widać było szałasy naprędce sklecone z żerdzi[217] i pokryte dachem z gałęzi, sprzedawano w nich lemoniadę, pierniki, melony i tym podobne przysmaki.

Kazania odbywały się w podobnych szałasach, tylko znacznie większych, tak aby mogły pomieścić jak największą liczbę osób. Zamiast ławek służyły bale lub kilka tarcic[218] położonych jedna na drugiej, poręczy zaś nie było wcale.

W jednym końcu szałasu znajdowała się wysoka platforma, z której przemawiał kaznodzieja. Wszystkie kobiety były w wielkich kapeluszach od słońca, w prostych sukniach codziennych, tylko kilkanaście młodszych ubrało się nieco odświętniej w jasne, świeżo wyprane perkaliki. Pomiędzy mężczyznami wielu było zupełnie boso, a niektóre dzieci nie miały na sobie nic prócz koszuli z grubego płótna. Starsze kobiety robiły pończochę, ale młodsze strzelały okiem w stronę chłopców, posyłając im ukradkiem słodkie uśmiechy.

W pierwszym szałasie, do którego weszliśmy, kaznodzieja właśnie zaintonował hymn. Śpiew
Prześpiewał pierwsze dwa wiersze, wszyscy powtórzyli je chórem, potem znów prześpiewał dwa, chór za nim i tak dalej, i dalej, aż do skutku. Uczestników otaczało coraz większe wzruszenie, więc coraz silniej śpiewali, aż na koniec niektórzy zaczęli [illegible] krzyczeć na całe gardło.



Potem kaznodzieja rozpoczął naukę z wielkim przejęciem i powagą: [illegible] chodził z jednego końca platformy na drugi, to przechylał korpus ku przodowi, [illegible] całym ciałem i nieustannie poruszając rękami, to znów z całej siły wykrzykiwał [illegible] słowa. Od czasu do czasu podnosił w górę Biblię, którą trzymał w ręku, [illegible] albo otwierał i rozwartą przesuwał przed oczyma publiki, wołając:

— Oto jest wąż miedziany na pustyni! Kto na niego spojrzy, żyć będzie!

A tłum głośnym krzykiem chóralnie odpowiadał:

— Chwała niech będzie Panu! A-a-a-men!

I dalej mówca prawił[219] swoją rzecz, a tłum krzyczał, jęczał, odpowiadał: „A-a-men! A-A-men!”.

— O! Przyjdźcie czynić pokutę! Przyjdźcie, którzyście zmazani grzechem[220]. Modlitwa

— Amen!

---

[215] *cieśla* — rzemieślnik obrabiający drewno. [przypis edytorski]

[216] *moc* — tu: bardzo dużo. [przypis edytorski]

[217] *żerdź* — cienki pień drzewa lub prosta gałąź. [przypis edytorski]

[218] *tarcica* — niewygładzone deski lub belki drewniane. [przypis edytorski]

[219] *prawić* — mówić. [przypis edytorski]

[220] *którzyście zmazani grzechem* — którzy jesteście zmazani grzechem; tj.: którzy jesteście grzeszni. [przypis edytorski]

— Przyjdźcie, którzyście chorzy i osłabieni.

— Amen!

— Przyjdźcie chromi[221], głusi i ślepi.

— Amen!

— Przyjdźcie ubodzy i potrzebujący, i wstydem okryci.

— Amen!

— Przyjdźcie wszyscy, którzyście znużeni, znękani i cierpiący! Przyjdźcie z ukorzoną pychą! Przyjdźcie ze skruszonym sercem! Przyjdźcie, wy, którzyście w łachmanach i w brudzie grzechu, zdrój oczyszczenia wszem[222] dostępny, drzwi niebios wszystkim stoją otworem... Wejdźcie, o! Wejdźcie, przybywajcie i spoczywajcie!

— Amen! A-amen! Chwała niech będzie Panu, Allelu-ja!

I tak dalej, ciągle to samo. W końcu nie można już było rozróżnić, co mówi kaznodzieja, tak ludzie krzyczeli i płakali.

Podnosząc się z ławek, z trudem przechodzili w tłoku, żeby się tylko dostać do „ławki pokutników" i zasiąść na niej, z twarzą zalaną łzami. Gdy zaś tym sposobem pierwsze rzędy ławek zostały zajęte przez czyniących pokutę, wtedy wzmógł się jeszcze hałas, bo pokutnicy coraz głośniej zaczęli jęczeć, a potem, rzucając się na słomę leżącą na ziemi, tarzali się po niej jak obłąkani.

Pomiędzy pokutnikami najgłośniej krzyczał król, który prawie natychmiast po wejściu zaczął się przeciskać do ławki pokutników. Gdy podszedł ku platformie, szepnął parę słów kaznodziei, ten poprosił go, żeby zająwszy jego miejsce, przemówił do ludu. Król uczynił to. Wszedłszy na platformę, publicznie wyznał, że był rozbójnikiem morskim przez trzydzieści lat, że rozbijał na Oceanie Indyjskim, że straciwszy podczas bitwy, na wiosnę, znaczną część załogi, musiał powrócić do kraju, aby sobie zwerbować ludzi. Dzięki Opatrzności Boskiej został okradziony zeszłej nocy i wysadzony z parostatku na ląd bez centa, co go niezmiernie raduje i co uważa za największe dobro, jakie go w życiu spotkało, stał się oto zupełnie innym człowiekiem i po raz pierwszy w życiu czuje się zupełnie szczęśliwy; a jakkolwiek jest nędzarzem, to przecież prosto stąd uda się w drogę, zapracuje na powrót aż do Oceanu Indyjskiego, aby resztę pozostałych dni życia obrócić na nawracanie rozbójników morskich na drogę cnoty. Potrafi zaś dokonać tego lepiej niż kto inny, zna bowiem wszystkich rozbójników na całym Oceanie Indyjskim, a chociaż nieprędko się tam dostanie, nie mając wcale pieniędzy, jednakże musi dopiąć celu.

Po każdym nawróceniu rozbójnika zawsze mu powie: „Nie mnie dziękuj, nie moja to wcale zasługa, cała wdzięczność należy się tym zacnym ludziom z Pokeville, braciom i dobroczyńcom ludzkości, oraz temu wymownemu kaznodziei, najlepszemu przyjacielowi, jakiego kiedykolwiek posiadali rozbójnicy morscy!".

I tu zalał się łzami, co też i wszyscy uczynili. Wtem zawołał ktoś w tłumie:

— Składkę zróbmy na niego! Składkę!

Z pół tuzina ludzi zerwało się z ławek z zamiarem zbierania pieniędzy wśród tłumu, ale jakiś inny głos dał się słyszeć:

— Niechaj sam pójdzie między tłum z kapeluszem!

Na co też zgodzili się wszyscy.

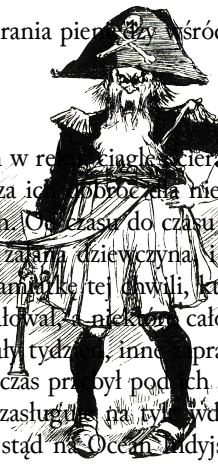

Król zaczął więc chodzić między ławkami z kapeluszem w r[illegible] ciągle ocierając oczy z łez, błogosławiąc ludzi, wychwalając ich i dziękując im za ich dobroć dla nieszczęśliwych rozbójników, tułających się gdzieś daleko na morzach. Od czasu do czasu powstawała z ławki ta lub owa, ale zawsze ładna i zawsze łzami zalana dziewczyna, i rzewnie szlochając, prosiła króla, żeby się pozwolił pocałować na pamiątkę tej chwili, której ona nigdy nie zapomni. Król zawsze na to zezwalał i sam je całował, a niektóre całował nawet po kilka razy. Jedna z nich zaprosiła go do siebie na cały tydzień, inne upraszały go także, mówiąc, iż za zaszczyt uważałyby sobie, gdyby jakiś czas przebył pod ich dachem. Król pięknie dziękował wszystkim, odpowiadając, że nie zasługuje na tyle wdzięczności, a przy tym bardzo się śpieszy, bo chce jechać prosto stąd na Ocean Indyjski, żeby nawracać rozbójników.

Gdy powróciliśmy na tratwę i król przeliczył swoje pieniądze, okazało się, że zebrał

Religia, Pieniądz

[221] *chromy* — kulawy. [przypis edytorski]

[222] *wszem* — wszystkim. [przypis edytorski]

osiemdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Prócz tego przyniósł ze sobą dużą butelkę wódki, którą znalazł pod jednym z wozów. Król mówił też, że nie ma nic lepszego, jak opowiadać chwałę Bożą i że z przyjemnością co dzień by to czynił.

Dopóki król nie powrócił, zdawało się księciu, że jemu wybornie poszły interesy, dlatego że w owej drukarni odbił dla kilku farmerów ogłoszenia i wziął za to cztery dolary. Pobrał też od nich zaliczki i wydrukował przy tym jeden kawałek z własnej głowy. Wierszy tych były tylko trzy strofy, ale były to prawdziwe wiersze, smutne i rzewne, a zaczynały się od tych słów: „Tak, szarp, o zimny świecie, szarp to pękające serce!". Ogółem zebrał dziewięć dolarów i pół i był ze swego zarobku zadowolony.

Pokazał nam także jeszcze jedną rzecz, którą umyślnie dla nas wydrukował. Było to ogłoszenie z ryciną przedstawiającą Czarnego, widocznie zbiegłego, bo niósł przewieszony na kiju węzełek; pod ryciną zaś było napisane: „200 dolarów nagrody". Pogarda, Pozycja społeczna

Następował opis powierzchowności zbiega i kubek w kubek[223] Jim! Ogłoszenie jednak mówiło, iż uciekł zeszłej zimy i prawdopodobnie na północ; kończyło się zaś obietnicą, że ktokolwiek go pojmie i odeśle właścicielowi w okolice Nowego Orleanu, ten otrzyma zwrot kosztów oraz nagrodę.

— Teraz już — rzekł książę — możemy sobie płynąć w biały dzień, jeżeli nam się tak podoba. Gdy ujrzymy nadpływającą łódź czy tratwę, możemy związać Jima powrozami, położyć go na pomoście i pokazując to ogłoszenie, powiedzieć, że go ujęliśmy, a ponieważ jesteśmy zbyt ubodzy, aby podróżować na parostatku, wzięliśmy więc tę tratwę na kredyt od znajomych i płyniemy nią po nagrodę. Żelazne kajdany lepiej by wyglądały na Jimie, ale nie godziłyby się z opowiadaniem o naszym wielkim ubóstwie. Powrozy lepiej odpowiadają celowi, trzeba się starać o zachowanie jedności, jak to my, aktorzy, mawiamy.

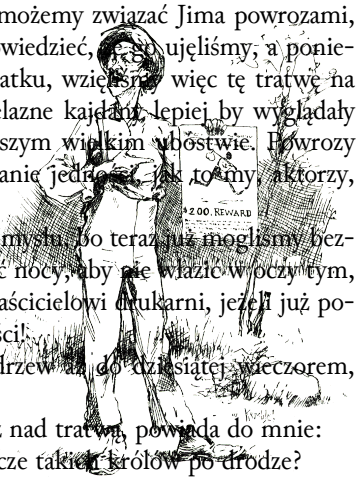

Wszyscy winszowaliśmy księciu tak wybornego pomysłu, bo teraz już mogliśmy bezpiecznie płynąć i we dnie. Trzeba jednak było doczekać nocy, aby nie wlazić w oczy tym, od których książę pobrał zaliczki na ogłoszenia, a i właścicielowi drukarni, jeżeli już powrócił z zebrania, bo moglibyśmy mieć nieprzyjemności!

Więc ukrywszy się pod cieniem przybrzeżnych drzew aż do dziesiątej wieczorem, puściliśmy się w drogę dopiero nocą.

Gdy Jim zbudził mnie o czwartej, abym objął straż nad tratwą, powiada do mnie:

— Huck, jak ci się zdaje, czy spotkamy gdzie jeszcze takich królów po drodze?

— Nie — powiadam — myślę, że nie.

— No, skoro tak, to dobrze. Mniejsza tam o jednego albo dwóch królów, ale tych nam wystarczy. Już i ten jeden pijany jak bela, a książę niewiele mniej.

Okazało się, że Jim próbował skłonić króla, aby ten powiedział coś po francusku, ale król odmówił, tłumacząc się, iż zupełnie zapomniał rodzinnego języka, tak skutkiem doznanych zmartwień, jak i długiego pobytu w naszym kraju.

Jim nie mógł więc przekonać się, do czego podobny jest język francuski!

ROZDZIAŁ XXI

Robienie bronią. — Monolog Hamleta. — W miasteczku. — Stary Boggs. — Śmierć Boggsa.

Słońce już weszło na dobre, a my płyniemy, płyniemy, ani myśląc szukać zatoczki, w której można by ukryć tratwę. Król i książę wstali późno, i to dość chmurni, ale gdy raz i drugi zanurzyli się w wodzie, przybyło im rzeźwości[224] i humoru. Po śniadaniu król usiadł na krawędzi tratwy, zdjął buty, podwinął spodnie, nogi spuścił do wody, fajkę wziął do ust i czując się dobrze usposobiony, zaczął kuć na pamięć *Romea i Julię*. Gdy już trochę umiał, wzięli się obaj z księciem do przepowiadania roli, „do próby", jak to nazywał książę. Król pamiętał już słowa, lecz mimo to książę ciągle musiał go uczyć, jak ma mówić, jak się ruszać; kazał mu chodzić, wzdychać, rękę kłaść na sercu, aż dopiero po niejakim czasie powiedział, że teraz dobrze.

[223] *kubek w kubek* — taki sam. [przypis edytorski]
[224] *rzeźwość* — rześkość. [przypis edytorski]

— Tylko — mówi — nie powinieneś tak ryczeć: „Romeo! Romeo!". Trzeba to wymawiać miękko, słodko, łagodnie... Ro-o-ome-o! Tak jak ja mówię. Julia, widzisz, to jest młode dziewczę, prawie dziecko... Grucha do kochanka jak turkawka[225]. Nie wypada, żeby się darła jak osioł.

Nazajutrz wziął do ręki długie miecze z dębowych deszczułek i zaczęli ćwiczyć się w robieniu bronią. Książę powiedział, że jest Ryszardem III i że bije się na miecze z dzielnym i walecznym rycerzem. Tu dopiero tak przyskakiwali do siebie, tak kroczyli po całej tratwie, że o mało nie wypatrzyłem sobie oczu. W końcu jednak królowi powinęła się noga i wpadł do wody, a gdy znów dostał się na pomost, usiedli obaj dla wytchnienia i zaczęli rozmawiać o różnych przygodach, które im się zdarzyły podczas dawniejszych wędrówek.

Po obiedzie książę rzekł:

— Wiesz co, Kapet, skoro chcemy, żeby przedstawienie było co się zowie, to trzeba jeszcze coś dodać do niego. Powinniśmy mieć coś w zapasie, żeby odpowiedzieć na bisowanie.

— Cóż to za „bisowanie[226]"?

Książę wytłumaczył mu to i dodał:

— Ja dam od siebie sztuki gimnastyczne szkockich górali albo piosenki marynarskie przy akompaniamencie[227] kobzy[228], ty zaś, monarcho, powiesz... powiesz... Aha! Już wiem: powiesz monolog Hamleta.

— Hamleta... co?

— Monolog Hamleta, najwspanialszy ustęp w całym Szekspirze. Ach! Co to za wspaniały i cudowny kawałek! Zawsze porywa cały teatr! Nie mam go w książce... bo posiadam tylko jeden tom Szekspira, ale liczę na to, że potrafię wyrecytować cały z pamięci. Pochodzę tylko trochę i pomyślę, a pewien jestem, że wyłowię z otchłani pamięci cały ów ustęp.

Zaczął więc chodzić po tratwie tam i z powrotem, myśląc i od czasu do czasu okropnie się marszcząc. Chwilami podnosił do góry brwi, to znów tarł czoło i naciskał ręką, przy czym cofał się, wydając z piersi coś w rodzaju jęku, potem znów wzdychał z głębi piersi, a raz nawet uronił parę łez. Prawdziwa rozkosz była patrzeć na niego. Tym sposobem powoli wszystko sobie przypomniał i zawołał na nas, żebyśmy pilnie uważali. Przybrawszy szlachetną postawę, jedną nogę wysunął naprzód, wyciągnął przed siebie [illegible] tak przechylił w tył, że mógł patrzeć prosto w niebo, a [illegible] zaczął [illegible] deklamować, zgrzytać i od czasu do czasu wyrzucać jęki podobne do wycia, jak [illegible] podskakiwać, zataczać się i wydymać piersi! Każde słowo wyrzucał z siebie jak z procy, a ciskał się przy tym jak w gorączce. Ach! Grał cudownie! Nigdy jeszcze nie widziałem takiej gry.



Królowi niezmiernie się podobała ta piękna przemowa i prędko się [illegible] wyuczył. Zdawało się, doprawdy, że już przyszedł na świat z tym talentem, tak się uniósł i zapalał, tak krzyczał, tak miotał słowami i tyle wykonywał ruchów. Ja bym tak nie potrafił i z prawdziwym podziwem patrzyłem, że takiemu starcowi sił starczy.

Książę skorzystał z pierwszej sposobności, żeby wydrukować potrzebną ilość afiszów, w których mające nastąpić przedstawienie ukazał jako jeszcze nigdy nieoglądane cuda. Przez parę dni płynęliśmy, nie przybijając nigdzie do brzegu. Przez cały ten czas na pomoście naszej tratwy panowało niezwykłe ożywienie, ciągle bowiem odbywały się próby to z dramatami, to z bronią. Pewnego dnia nareszcie, płynąc wzdłuż wybrzeży stanu Arkansas, ujrzeliśmy przed sobą małe miasteczko, zbudowane nad zatoką wrzynającą się głęboko w ląd.

O pół mili od miasta, zostawiwszy Jima na tratwie ukrytej wśród rozłożystych gałęzi modrzewiowych, siedliśmy we trzech do łódki i popłynęliśmy do miasteczka, żeby zbadać, czy tam przedstawienie będzie możliwe.

---

[225] *turkawka* — ptak podobny do gołębia. [przypis edytorski]

[226] *bisowanie* — dodatkowy występ po przedstawieniu, koncercie itp., wykonywany przez artystów, jeśli sztuka się podobała i publiczność oklaskami wywołuje ich ponownie na scenie. [przypis edytorski]

[227] *akompaniament* — muzyka towarzysząca śpiewowi, tańcom lub innym występom. [przypis edytorski]

[228] *kobza* — ludowy instrument muzyczny, przypominający dudy. [przypis edytorski]

Trafiliśmy bardzo szczęśliwie, bo tego samego dnia po południu miało się odbyć przedstawienie w cyrku, z całej okolicy zjeżdżali się już ludzie wózkami lub konno, jak komu wypadło.

Miało to być przedstawienie pożegnalne, bo cyrk dziś jeszcze odjeżdżał, należało więc korzystać ze zjazdu i wystąpić w całej okazałości. Książę zrozumiał to i nie tracąc czasu, najął tę samą salę, a potem rozlepiliśmy afisze po całym mieście. Nie upłynęło i parę godzin, gdy cała publiczność mogła czytać, co następuje:

!!!SZEKSPIROWSKA BIESIADA!!!
Niesłychanie interesująca.
JEDNO JEDYNE PRZEDSTAWIENIE.
Słynni na cały świat tragicy.
David Garrick Młodszy z teatru Drury Lane w Londynie
oraz Edmund Kean[229] Starszy z królewskich teatrów Haymarket[230], Whitechapel[231], Piccadilly[232] w Londynie, tudzież wielu królewskich teatrów na stałym lądzie, zamierzają uraczyć publiczność wspaniale pięknym przedstawieniem *sceny na balkonie*
Z *ROMEA I JULII*.
Romeo..... pan Garrick
Julia ..... pan Kean

z pomocą trupy nieporównanej!

Nowe kostiumy! Nowe dekoracje! Wszystko nowe!
Po czym nastąpi
do głębi serca wzruszająca, krew ścinająca w żyłach, mistrzowsko prowadzona
WALKA NA MIECZE
Z *RYSZARDA III*
Ryszard III ..... pan Garrick
Richmond ..... pan Kean
a także

(na specjalne żądanie Publiczności)

Nieśmiertelny Monolog Hamleta
wypowie znakomity i słynny na cały świat Kean, który powyższym monologiem zachwycał *przez 300 wieczorów z rzędu* wyborową publiczność wielkiej stolicy Paryża.

W ten sposób, zaciekawiwszy miasteczko, puściliśmy się w wędrówkę po nim. Prawie wszystkie domy i składy towarów zbudowane były ze starych desek, wcale nawet niemalowanych, i stały na palach wysokich na trzy lub cztery stopy, tak, żeby podczas wezbrania rzeki nie stały się pastwą powodzi. Prawie każdy dom posiadał niewielki ogródek, w którym wszakże nie hodowano nic oprócz kilku słoneczników i znacznej ilości różnego chwastu rosnącego wśród kup popiołu, starego obuwia, potłuczonych butelek, brudnych gałganów i pogiętych puszek blaszanych. Również parkany były ze starych desek rozmaitej długości, poprzybijanych do słupków, z których żaden nie stał prosto, a każdy chylił się w inną stronę; furtki zaś wisiały na tylko jednym zawiasie, i to skórzanym. Na niektórych parkanach było widać, że je kiedyś przed laty pomalowano białą farbą; książę jednak zapewniał, że musiało to być chyba za czasów nieboszczyka Kolumba. Prawie w każdym ogródku zauważyłem ryjącą świnię i kogoś, kto ją wypędzał, równie usilnie, jak bezskutecznie.

Składy towarów oraz magazyny ciągnęły się wszystkie wzdłuż tylko jednej ulicy. Drzwi każdego sklepu ocieniała płócienna markiza[233], wsparta na słupkach, do których przyjezdni przywiązywali swoje konie. Pod markizami stały wypróżnione paki od towarów, przeznaczone do siedzenia różnym próżniakom, którzy żując tytoń, ziewając i przeciągając się, krajali je kieszonkowymi nożykami lub wyrzynali na nich napisy. Siedziała ich tam cała kupa, każdy miał na głowie słomiany kapelusz, nie mniejszy od średniej

[229] *Kean, Edmund* (1787–1833) — angielski aktor teatralny, popularny także w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]
[230] *Haymarket* — teatr w Londynie, zbudowany w 1720. [przypis edytorski]
[231] *Whitechapel* — dzielnica w Londynie, w której znajdowały się XIX-wieczne teatry: Effingham i The Pavilion. [przypis edytorski]
[232] *Piccadilly* — ulica w Londynie, na terenie gminy City of Westminster. [przypis edytorski]
[233] *markiza* — ruchomy daszek z płótna chroniący przed słońcem. [przypis edytorski]

wielkości parasola, ale mało który miał surdut lub kamizelkę. Nazywali jeden drugiego: Bill, Buck, Hank, Joe, Andy. Mówili przeciągle i powoli, często też używali wymyślań i przekleństw, których mieli niewyczerpany zasób. Pod każdym słupem stał sobie jeden, trzymając w kieszeniach ręce, które wyjmował tylko do podrapania się lub wydobycia szczypty tytoniu.

Błoto

Na wszystkich ulicach i zaułkach było pełno błota; właściwie nic tam nie widziałem prócz błota, i to czarnego jak smoła. Wszędzie było pełno świń nurzających się w błocie i wesoło pochrząkujących. Idziesz sobie ulicą i spotykasz zabłoconą po same uszy maciorę z całą gromadą prosiąt; chcesz ją minąć i myślisz, że ci się to uda. Nieprawda! Akurat w poprzek twojej drogi leży jak długa, przymyka oczy, strzyże uszami, pochrząkuje półgłosem, swoje prosięta karmi niby w swym chlewie i ma minę tak zadowoloną, jakby jej kto płacił za zmuszanie ludzi do brnięcia w błoto po kolana. Ile czasami daje się słyszeć: „Na tu! Na! Weź ją! Huź-ha!" i maciora ucieka z głośnym kwikiem, bo jeden pies trzyma ją zębami za jedno ucho, drugi za drugie, a czasem i dwoje za każde. Kwik, szczekanie, hałas, a wszyscy gapie i próżniacy w śmiech, radzi, że mają zabawę. Potem znów kładą się lub siadają na pakach i ziewają, czekając na jeszcze przyjemniejszą rozrywkę: na walkę psów. Jednak największa wesołość i największy zachwyt, gdy uda im się złapać psa włóczęgę, oblać go terpentyną[234] i zapalić albo przywiązać mu rozgoną blaszaną patelnię i patrzeć, jak biedne zwierzę, oszalałe ze strachu, pędzi przez siebie na ślepo.

Zabawa, Okrucieństwo

Niektóre z domów stojących tuż nad brzegiem tak się pochyliły, jakby miały zamiar złożyć ukłon wodzie albo też wpaść w nią z desperacji. W takich domach nikt już nie mieszkał, bo groziły katastrofą. Zdarza się czasami, że rzeka podmyje brzeg na przestrzeni dwóch lub trzech mil długości (angielskich), a prawie na pół mili szerokości; podmywa go powoli, a ciągle, aż wreszcie pewnego pięknego dnia... Szast! Prast! Poleciało wszystko do wody.

Im bliżej było wieczora, tym więcej pojawiało się na ulicach wozów i koni, a coraz to nowe przybywały. Ludzie zjeżdżali się całymi rodzinami, przywożąc ze sobą ze wsi kosze zapasów, żeby je spożyć na wózkach. Napitków nie brakło też wcale, a ci i owi, trunkiem zagrzani, brali się za bary i nie na żarty szła walka. Wtem ktoś krzyknął:

— Patrzcie, jedzie stary Boggs! Objechał wszystkie szynki w okolicy i wraca! Boggs jedzie! Boggs!

Wśród ludzi na pakach powstała radość, bo, jak odgadłem, przywykli drwić ze starego. Jeden z nich krzyczy:

— Ciekaw jestem, kogo też stary Boggs dziś posieka? Gdyby był posiekał tych wszystkich, którym groził w przeciągu ostatnich dwudziestu lat, to słynąłby jako zabijaka pierwszego rzędu.

A drugi mu przerywa:

— Chciałbym, żeby stary Boggs mnie zagroził, miałbym pewność, że z jego ręki nie zginę.

Pijaństwo

Wtem nadjeżdża Boggs, koń pod nim idzie dobrego kłusa, a on krzycząc i wyjąc jak czerwonoskóry, woła:

— Z drogi! Rozstąpcie się! Z drogi, mówię... Na wojnę jadę... Cena trumien w górę pójdzie, w górę!

Był pijany i chwiał się na siodle, miał twarz czerwoną jak ogień, nie bardzo starą, bo też liczono mu niewiele więcej nad pięćdziesiąt lat. Wszyscy go zaczepiali, śmiali się z niego, wymyślali mu, a on wymyślał także, wołając, że nauczyłby wszystkich rozumu, gdyby miał czas. Przyjechał jedynie dla zabicia starego pułkownika Sherburna i za dewizę wziął sobie: „Najpierw mięso, a na wierzch to, co się jada łyżką". Gdy mnie spostrzegł, podjechał i woła:

— A tyś skąd, chłopcze? Czyś gotów na śmierć?

I pojechał dalej. Zmieszałem się trochę, a ktoś z obecnych mówi:

— Nie zważaj na to, to jego zwykłe gadanie. Gdy pijany, wszystkich na śmierć wyprawia, a po trzeźwemu to człowiek najlepszy w świecie.

[234] *terpentyna* — bezbarwna lub żółtawa ciecz uzyskiwana z żywicy drzew iglastych, stosowana m.in. do produkcji farb, lakierów i rozpuszczalników. [przypis edytorski]

Boggs zatrzymał konia przed największym magazynem w mieście, schylił się tak, żeby mógł głowę wsadzić pod markizę, i krzyczy na cały głos:

— Wyjdź zaraz do mnie, Sherburn! Wyjdź i spójrz w oczy człowiekowi, którego niegodnie oszukałeś. Psem jesteś podłym, psem, który nie ujdzie rąk moich!

Wymyślał tak w dalszym ciągu, wykrzykując, co tylko mu ślina na język przyniosła, a cała ulica pełna była ludzi, którzy słuchali i śmiali się. Na koniec otworzyły się drzwi magazynu i wyjrzał mężczyzna w sile wieku, pańskiej postawy, ubrany bardzo porządnie. Na jego widok rozstąpili się wszyscy, on zaś wolnym krokiem idąc do Boggsa, mówi mu jak najspokojniej:

— Znudziło mnie już twoje wykrzykiwanie, ale będę jeszcze cierpliwy do pierwszej. Punkt do pierwszej, słyszysz? Ani minuty dłużej! Jeżeli po pierwszej powiesz choć jeszcze jedno słowo przeciwko mnie, pamiętaj, że ci to nie ujdzie na sucho.

Odwrócił się i poszedł. Tłum przycichł, przestano śmiać się i krzyczeć. Boggs, wymyślając Sherburnowi, pojechał dalej, lecz dojechawszy do końca ulicy, zawrócił znów konia, zatrzymał przed magazynem i nuż[235] wymyśla jak przedtem. Zebrało się kilku ludzi koło niego i namawiają, żeby dał spokój. Ani myśli! Tłumaczą mu, że do pierwszej brakuje tylko dziesięciu minut, że powinien wracać do domu. Ani o tym chce słyszeć! Krzyczy coraz głośniej, zrywa sobie kapelusz z głowy, rzuca go w błoto, tratuje końskimi kopytami i znów dalej jedzie ulicą, a wiatr mu rozwiewa siwe włosy. Idą za nim, proszą, namawiają, aby zsiadł z konia, wszystko na nic! Znów wraca, znów się zatrzymuje przed magazynem, nie przestając wymyślać Sherburnowi. Wreszcie ktoś powiada:

— Niech kto pójdzie po jego córkę! Prędko! Jeżeli kogo usłucha, to córki.

Pobiegł więc ktoś po córkę, a ja odszedłem trochę na bok i czekam. Nie upłynęło i pięć minut, gdy widzę, że Boggs idzie w mą stronę, ale już nie na koniu — idzie pieszo, z gołą głową, zatacza się, a dwóch przyjaciół trzyma go pod ręce i uprowadza pośpiesznie. Był spokojny i wyglądał, jakby się trochę lękał, zauważyłem nawet, że wcale nie stawiał oporu, lecz jakby właśnie przyśpieszał kroku. Wtem ktoś woła:

Morderstwo

— Boggs!

Spojrzałem, chcąc zobaczyć, kto zawołał. Patrzę, pułkownik Sherburn. Stoi na samym środku ulicy i w prawej ręce trzyma wysoko podniesiony pistolet, ale nie mierzy do nikogo, tylko zwraca go do góry lufą. W tej samej chwili widzę pędem biegnącą młodą dziewczynę w towarzystwie dwóch mężczyzn. Boggs obrócił się, żeby zobaczyć, kto go woła, obrócili się także prowadzący go, ale ujrzawszy pistolet, odskoczyli obaj, a Sherburn spuszczając powoli pistolet, bierze na cel Boggsa. Boggs, widząc to, podnosi obie ręce do góry i woła:

— O Boże! Nie strzelaj!

Wtem... bum! Rozlega się pierwszy strzał...

Boggs chwieje się, przechyla w tył i rękoma bije powietrze. Bum! Drugi strzał... I Boggs pada na wznak jak długi, rozkrzyżowawszy ramiona... Dziewczyna z krzykiem rzuca się ku ojcu i płacząc, woła:

— Zabił go! Zabił!

Ludzie cisną się i popychają, zaglądając jeden drugiemu przez ramię, a ci, co stoją bliżej zabitego, odsuwają tamtych:

— Cofnijcie się! Cofnijcie! Nie pchajcie się! Powietrza mu trzeba!

Pułkownik Sherburn, rzuciwszy pistolet na ziemię, wykręcił się na obcasie i poszedł do sklepu.

Gdy nieśli Boggsa do jakiejś apteki, całe miasto tłumem biegło za nim. Idąc za innymi, docisnąłem się do samego okna, przez które wybornie mogłem widzieć wszystko w aptece. Położono go na podłodze, podsunięto mu pod głowę jedną ogromną Biblię, a drugą, mniejszą, roztwartą, położono na piersiach, rozpiąwszy mu najpierw koszulę, tak, że mogłem widzieć, którędy weszła kula. Kilka razy chwycił jeszcze powietrze piersiami tak głęboko, że aż poruszyła się książka, a potem leżał już cicho — umarł. Wtedy oderwano od niego córkę, coraz to głośniej płaczącą, i wyprowadzono ją. Mogła mieć ze szesnaście lat, była bardzo ładna i miła, ale okropnie blada i wystraszona.

Śmierć

[235] *nuż* (daw.) — szybko i gwałtownie (wykrzyknienie). [przypis edytorski]

Niebawem wyległo całe miasto; pchali się wszyscy do okna, aby zobaczyć umarłego, ale ci, którzy najpierw zajęli dobre miejsce, nie chcieli teraz ustąpić, chociaż tamci im dogadywali:

— Napatrzyliście się już chyba? Gdzie tu sprawiedliwość, żeby jedni cały czas stali i patrzyli, a drugim to nawet nie można rzucić okiem! Człowiek przecież jeden drugiemu równy!



Cała ludność tak była tym wypadkiem wzburzona, jak się odgrażała Sherburnowi, iż myślałem, że mu to nie ujdzie na sucho. Na ulicach [illegible] tłumy, ci, co byli naocznymi świadkami zdarzenia, opowiadali je po raz setny [illegible], a nigdy nie brakło słuchaczów. Jakiś człowiek, wysoki, chudy, o długich włosach [illegible], białym kapeluszu pilśniowym[236] na tyle głowy, zakreślał na błocie koła sękatą [illegible] mówiąc:

— Tu stał Boggs, a tu Sherburn.

Ludzie śledzili każdy jego ruch i pilnie wpatrywali się w koła, kiwając [illegible] głowami na znak, że rozumieją! On zaś stał wyprostowany i sztywny na tym miejscu, z którym wypadało stać Sherbunowi, marszczył brwi, nasuwał kapelusz na oczy, krzyczał: „Boggs!”, mierzył z laski do celu, a zawoławszy „bum!”, przechylał się w tył i chwiał się na nogach, jakby trafiony. Nie upadał jednak, ale drugi raz wołał: „bum!”, i wtedy dopiero padał na ziemię. Ci, którym udało się to widzieć, mówili, że doskonale przedstawiał całe zajście, kubek w kubek tak, jak było. Gdy skończył, ze dwanaście osób wyjęło butelki z wódką i rozpoczął się teraz poczęstunek.

Obyczaje, Kara, Tłum

Po niejakim czasie ktoś się odezwał, że warto by zastosować do Sherburna prawo linczu. Zgodzili się wszyscy, więc tłum popędził, wrzeszcząc, wyjąc i ściągając po drodze rozwieszoną tu i ówdzie bieliznę, aby ją podrzeć na sznur dla powieszenia Sherburna.

ROZDZIAŁ XXII

Sherburn. — Przejmująca do głębi serca tragedia.

Tłum

Skierowali się całą gromadą ku domowi Sherburna, z dzikim wrzaskiem, z wymyślaniem, zupełnie jak napadający na przeciwnika czerwonoskórzy, a tak pędzili, tak się pchali, że wszystko musiało im z drogi ustępować.

Ile tylko było dzieci w mieście, wszystkie biegły za nimi, nie mniej od nich krzycząc, również jak oni groźnie wymachując pięściami. W oknie każdego domu było pełno kobiecych twarzy, na każdym drzewie siedział Czarny, a zza każdego płota wyglądały dziewczęta; ale gdy tłum się ku nim zbliżał, natychmiast znikały Bóg wie gdzie. Zauważyłem przy tym, że większość kobiet i dziewcząt płakała i miała wylękłe miny.

Zatrzymali się wreszcie przed sztachetami domu Sherburna, za którymi było widać niewielkie, kwadratowe podwórko. Hałas wzmógł się tak, że nie można było rozróżnić ani jednego słowa; krzyczeli wszyscy jeden przez drugiego. Na koniec udało się komuś przekrzyczeć innych:

— Znieść sztachety! Znieść sztachety! — a tłum, podchwyciwszy słowa, powtórzył je chórem. Zaraz też dał się słyszeć trzask drzewa, sztachety runęły na ziemię, a przednie szeregi tłumu wdarły się, jak powódź, w podwórze.

W tej samej chwili Sherburn ukazał się na balkonie od frontu, z dubeltówką[237] w ręku, i ani słowa nie mówiąc, spokojny, z miną człowieka, który ustąpić nie myśli, stanął tuż przy poręczy balkonu i patrzy. Odwiódł kurki[238] i wycelował dubeltówkę w sam środek tłumu. Tłum zakołysał się i odstąpił parę kroków.

Sherburn nie przemówił ani słowa, stał tylko i z góry patrzył na ludzi. Zrobiła się taka cisza, że aż mi mrówki zaczęły chodzić po grzbiecie, a włosy stawały dębem. Sherburn powiódł oczyma po tłumie, a gdziekolwiek upadł jego wzrok, nikt nie mógł wytrzymać spojrzenia tych oczu. Każdy tylko spuszczał głowę i wyglądał na durnia. Wytrzymał ich tak przez parę minut, a potem... zaśmiał się niby. Ale jaki to był śmiech! Nie ten wesoły

[236] *pilśniowy* — zrobiony z pilśni: gęstego, zbitego materiału otrzymywanego z wełny lub sierści króliczej, zającej itp. [przypis edytorski]

[237] *dubeltówka* — dwururka; popularna śrutowa broń myśliwska o dwóch lufach gładkich, ułożonych wobec siebie poziomo lub pionowo. [przypis edytorski]

[238] *kurek* — tu: część zamka broni palnej. [przypis edytorski]

i szczery, którego miło słuchać, nie! Słuchając go, miałeś zupełnie takie wrażenie, jak gdybyś jadł chleb, w którym więcej piasku niż mąki.

Zaśmiał się, a potem wolno, wzgardliwie powiada:

— Przyszliście sprawiedliwość wymierzać? Wy! A to zabawne! A czy wy macie dosyć odwagi, żebyście się zdobyli na wymierzenie sprawiedliwości mnie, mężczyźnie? Dlatego, że umiecie wykąpać w smole i wytarzać w pierzu jedną i drugą bezbronną kobietę, która się włóczy po ulicach, to sądzicie, że wam starczy śmiałości, żeby choć jednym palcem dotknąć mnie, mężczyznę? Cóż znów! Ja, mężczyzna, bezpieczny jestem w ręku dziesięciu tysięcy takich jak wy, dopóki biały dzień, dopóki mam was przed oczyma, nie za plecami. Znam was i znam ludzi na wylot. Urodziłem się i wychowałem na południu, a żyłem na północy, znam więc przeciętnego człowieka. Człowiek przeciętny to tchórz lub łotr. Na północy pozwala każdemu przewodzić nad sobą, a potem idzie do domu i modli się o pokorę, o uległe znoszenie przeciwności, a na południu jeden człowiek napadł w biały dzień na gromadę paruset ludzi zebranych w teatrze i wszystkim zabrał co do grosza! Wasze gazety tak tam ciągle prawią o waszej odwadze, że się poczytujecie za najodważniejszy naród na kuli ziemskiej. A to nieprawda! Ani nie jesteście najodważniejsi, ani odważniejsi, ani nawet odważni! Dlaczego wasi przysięgli nie skazują zabójców na powieszenie? Z obawy, żeby przyjaciele zabójcy nie napadli ich w nocy z nożem w ręku, bo wy to umiecie, o, umiecie! Więc uniewinniają mordercę, który chodzi swobodnie, ale w nocy skrada się za nim stu zamaskowanych tchórzów i czyhając na jego życie, morduje go, jeśli zdoła to zrobić bezkarnie. Przyszliście tu tłumnie, a wśród was nie ma ani jednego mężczyzny! Widzę tylko kawałek, a jest nim ten, który was namówił do napadu, Buck Harness. Tak, on jeden jest kawałkiem mężczyzny, może nawet połową. I dlatego, gdy on krzyknął: „Hejże! Na Sherburna!", poszliście za nim jak barany. A wiecie dlaczego? Boście tchórze, nie ludzie, nikczemne kundle, nie ludzie. A kiedyście kundle, to wiecie, co wam należy czynić? Pospuszczać ogony i zmykać, a potem powłazić do swoich bud. Precz! Słyszycie? A swoją połowę człowieka także ze sobą zabierzcie! — Po tych słowach, przerzuciwszy dubeltówkę przez lewę ramię, obrócił się do nich plecami i poszedł.

Mężczyzna, Kobieta, Tłum, Wzrok

Kondycja ludzka

Tłum stał jak wryty, a potem rozsypał się na gromadki, które jedna za drugą zaczęły znikać z dosyć rzadkimi minami. Co do mnie, mógłbym był zostać, gdybym chciał, ale nie chciałem.

Tego samego wieczoru odbyło się nasze przedstawienie, ale przyszło na nie tylko dwunastu ludzi, tyle zaledwie, aby się koszty zwróciły. I co najgorsze, śmiali się ciągle, czym księcia doprowadzali do wściekłości, w końcu wynieśli się, nie doczekawszy końca; został tylko jeden widz, jakiś chłopiec, który spał jak zabity. Zobaczywszy to, książę powiedział, że takim głupim gburom nie opłaci się dawać Szekspira, że on już wie, czego im potrzeba.

Zaraz też nazajutrz rano, kupiwszy kilka arkuszy papieru tego formatu jak na ogłoszenia i nieco czarnej farby, napisał afisze, dopełnił je odpowiednimi rysunkami i porozlepiał po wszystkich ulicach.

Afisz głosił:

W miejscowej sali
przez tylko trzy wieczory
występować będą słynni w całym świecie tragicy
Dawid Garrick Młodszy
i
Edmund Kean Starszy
(artyści londyńskich i wielu innych teatrów)
w przejmującej do głębi serca tragedii,
przez nich samych ułożonej,
pod tytułem
KRÓLEWSKA ŻYRAFA
czyli
KRÓL JAKI TAKI.
Wejście 50 centów.

Zaś na samym końcu dopisano wielkimi literami:
DZIECIOM I KOBIETOM
WSTĘP
WZBRONIONY.

— No! — rzekł książę. — Jeżeli się na to nie złapią, to ja nie znam Arkansas!

ROZDZIAŁ XXIII

Przygotowania. — Jim dowiaduje się o obyczajach królów. — Jim zaczyna tęsknić.

Przez cały dzień książę z królem pracowali zawzięcie, urządzając scenę: zawiesili kurtynę, przygotowali oświetlenie, a gdy wieczór nadszedł, sala napełniła się w jednej chwili mnóstwem ludzi. Gdy już napłynęło tyle, że nie było gdzie szpilki wetknąć, książę, który stał u wejścia dla odbierania pieniędzy, okrążył dom, wszedł na scenę, stanął przed kurtyną i miał przemowę do publiczności. Zaczął od wychwalania tragedii, którą miano przedstawiać, mówiąc, że aż włosy stają na głowie, aż się serce kraje, tyle w niej nadzwyczajnych rzeczy. A potem prawił jeszcze o wielkości Keana Starszego, który podjął się odegrania głównej roli, i dopiero doprowadziwszy publiczność do stanu zniecierpliwienia, kazał podnieść kurtynę.

W tejże chwili ukazał się na scenie... król na czworakach, całkiem nagi, ale cały pomalowany w pręgi i koła, na wszystkie kolory, jakie są, co go czyniło podobnym do ruszającej się tęczy. Wtoczył się i... było to mocno nieprzyzwoite, ale okropnie zabawne. Ludziska aż się pokładali ze śmiechu, a gdy król przestał brykać i wierzgać, wyjechawszy na czworakach za kulisy, zaczęli tak tupać i klaskać z okrzykami: „Powtórzyć! Powtórzyć!", że powrócił i znów wyprawiał te same sztuki. I co tu dziwić się ludziom, kiedy, przekonany jestem, krowa pękałaby ze śmiechu, widząc, jak ten stary idiota kozły fika i dziwowisko z siebie wyprawia.

Gdy już naprawdę skończył, książę spuścił kurtynę, wyszedłszy do publiczności, złożył jej głęboki ukłon, po czym oznajmił, że z powodu niecierpiących zwłoki zobowiązań, które zaciągnął w Londynie, gdzie w teatrze Drury Lane wszystkie miejsca są już rozkupione, jeszcze tylko dwa razy odbędzie się przedstawienie „wielkiej" tragedii. Jeżeli zaś udało mu się zabawić szanowną publiczność i przynieść jej pożytek moralny, to prosi, aby mu tego dowiodła, polecając go swoim znajomym.

Tu składa ukłon po raz drugi i chce odchodzić, ale zewsząd słychać pytania:

— Jak to? Już po wszystkim? Na tym koniec?

Książę z miłym uśmiechem odpowiada „tak". Tu dopiero zaczęła się awantura! Wszyscy krzyczą jak jeden: „Okpił nas! Oszust! Łotr!". Wszyscy, powstawszy z miejsc, cisną się na scenę, żeby „słynnych" aktorów w ręce dostać. Wtem jakiś wysoki, postawny mężczyzna wskazuje na ławkę i woła:

— Panowie! Posłuchajcie! Słówko tylko!

Zatrzymali się i słuchają.

— Nie ma co mówić: okpili nas, grubo okpili! Ale nie widzę racji, żebyśmy się oddawali całemu miastu na pośmiewisko i żeby wszyscy wiedzieli, jak daliśmy się okpić dwu przybłędom. Mam rację? Co? Moim zdaniem najlepiej będzie wyjść stąd spokojnie, chwalić widowisko i okpić naszych współobywateli tak, jak nas okpiono. Będziemy przynajmniej w towarzystwie. Czy mam rację?

— Ma się rozumieć! Ma się rozumieć! — wołają wszyscy. — Sędzia mówi rozsądnie!

— No, więc skoro tak, ani słowa nikomu! Rozejdźmy się i namawiajmy każdego na tragedię.

Nazajutrz w całym mieście tylko o tym mówiono, jak zajmujące, jak wspaniałe było wczorajsze przedstawienie. Sala zapełniła się szczelnie i tak samo zakpiono z publiczności. Po przedstawieniu król i książę wrócili razem ze mną i zasiedliśmy do kolacji, ale około północy powiedzieli nam, żebyśmy tratwę skierowali na środek rzeki, a odpłynąwszy o parę mil od miasta, ukryli ją.

Na trzeci wieczór sala znów była nabita ciekawymi, przyszli zaś ci sami, których już tu widziałem. Stojąc razem z księciem u wejścia, zauważyłem, że każdy z wchodzących ma

czymś wypchaną kieszeń albo pod surdutem coś kryje, domyśliłem się więc natychmiast, że to nie perfumy ani cukierki. Węch mam dobry, pewien też byłem, że to koszyki ze zginłymi jajami, z takąż kapustą i tym podobnymi łakociami. Odczuwałem też węchem zdechłego kota, będąc pewny, że nawet sporo jest tej zwierzyny. Wszedłszy na chwilę na widownię, poczułem tak ciężkie powietrze, że trudno było wytrzymać. Gdy sala była już pełna, książę dał jakiemuś oberwańcowi ćwierć dolara z rozkazem zastąpienia go przy wejściu przez kilka minut, sam zaś obszedł dom wokoło, chcąc niby wejść na scenę tylnymi drzwiami. Ja za nim, ale w tej chwili, gdy się znaleźliśmy w ciemności pod boczną ścianą domu, książę powiada mi na ucho:

— Przyśpiesz kroku, a gdy przerzedzą się domy, bierz nogi za pas i pędź w stronę tratwy, jakby cię sto diabłów goniło.

Prawie jednocześnie dopadłszy do tratwy, natychmiast ruszyliśmy z miejsca, zmierzając wśród ciemności ku środkowi rzeki, której prąd miał unieść tratwę jak można najdalej od „tragedii". Milczeliśmy wszyscy, ja zaś nie mogłem pojąć, jak sobie pocznie stary, nieszczęsny król z salą pełną tak wrogo usposobionych słuchaczy. To mu się tam dopiero dostanie! Tymczasem nasz król wysuwa się z budki i mówi:

— Cóż, książę, bardzo tam było gorąco?

Okazało się, że wcale nie chodził do miasta.

Siedzieliśmy po ciemku, dopóki woda nie odniosła nas o jakieś dziesięć mil od miasteczka. Wtedy dopiero, zapaliwszy światło, zjedliśmy kolację, a król i książę aż się za boki brali ze śmiechu na myśl o „szanownej publiczności".

— Osły! Kapuściane głowy! Od razu wiedziałem, że pierwsi sprowadzą drugich, żeby sobie nic nie mieć do wyrzucenia. Byłem też pewny, że na trzeci wieczór nie będzie nowych, lecz przyjdą wczorajsi i przedwczorajsi skwitować się[239] z nami. Ciekaw tylko jestem, co teraz czynią; kolacja składkowa byłaby najwłaściwsza, bo dosyć mieli ze sobą zapasów.

Przez trzy wieczory „słynni aktorzy" zdobyli czterysta sześćdziesiąt pięć dolarów.

Poszedłem spać, ale gdy na mnie przyszła kolej czuwania, Jim nie obudził mnie wcale. Zdarzało się to bardzo często. Wstawszy przed samym świtem, ujrzałem go z głową wspartą na kolanach, jęczał i żalił się na coś półgłosem. Nie zwracałem na to uwagi, nie odzywałem się wcale, pewny, że coś mu dobrze dokucza. Myślał [illegible] o dzieciach, tęskniąc za nimi, bo po raz pierwszy był z dala od nich. [illegible] i dzieci kochał tak samo jak biały. Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak mam pewność, że tak było. Nieraz w nocy Jim przekonany, że śpię, wyrzekał, łącząc zawsze: „O, moja maleńka Elżusiu! O, mój mały Janeczku! Gdybyście wiedzieli, jak mi żal, że już was nigdy nie zobaczę!".



Dziecko, Ojciec, Choroba

Ten Czarny miał strasznie dobre serce! Gdy raz wszczęłem z [illegible] rozmowę o jego żonie i o dzieciach, rozgadał się biedak i mówi:

— A to dlatego, widzisz, taki żal ścisnął mi serce, żem usłyszał [illegible] tam na brzegu jakiś silny plusk, który przypomniał mi moją biedną Elżunię. Maleństwo miało zaledwie cztery lata, gdy dostała szkarlatyny[240]. Była bliska śmierci, lecz wyzdrowiała. Jednego dnia, gdy stała przy mnie, rzekłem: „Zamknij drzwi". Ona nie rusza się z miejsca, stoi tylko i patrzy na mnie. Złość mnie wzięła, więc podnosząc głos, mówię: „Czy nie słyszysz, zamknij drzwi". A ta wciąż stoi, wdzięcznie się do mnie uśmiechając. „Nauczę cię słuchać", wołam wściekły, tak uderzając dziecinę, że upadła. Poszedłszy do drugiej izby, siedziałem tam przez kilka minut, a gdy wróciłem, w otwartych drzwiach dziecko jeszcze stoi, patrzy w ziemię i płacze. Kipiałem z gniewu! Rzucam się na nią, gdy wtem... wpada wiatr i drzwi, otwierające się na zewnątrz, zamyka z trzaskiem, tuż za plecami dziecka... Ta ani drgnie! Zdrętwiałem... Sam nie wiem, co się we mnie działo... Choć nogi drżały pode mną, obszedłem naokoło po cichutku, otworzyłem drzwi i tuż nad uchem Elżuni, jak nie krzyknę na całe gardło: „Paf!". A ona ani drgnie! O, Huck! Wtedy, ryknąwszy płaczem, schwyciłem nieszczęśliwą na ręce i szlocham: „Biedactwo ty moje! Kochanie ty moje maleńkie! Niechaj Bóg Wszechmogący ulituje się nad biednym Jimem, bo on sam

[239] *skwitować się* (daw.) — wyrównać rachunki. [przypis edytorski]

[240] *szkarlatyna* — płonica, ostra choroba zakaźna wieku dziecięcego, której towarzyszy czerwona, drobna wysypka na całym ciele. [przypis edytorski]

sobie nie przebaczy, póki życia!". O, Huck! Ona była głucha jak pień, jak pień... i niema przy tym.

ROZDZIAŁ XXIV

Jim w szatach królewskich. — Trafia się pasażer. — Parę słów wiadomości. — Śmierć w rodzinie.

Na drugi dzień, pod wieczór, staliśmy w cieniu brzóz porastających wysepkę wsuniętą prawie w sam środek rzeki. Na obu brzegach było widać porządnie zabudowane wioski czy miasteczka, a król i książę naradzali się, jakim sposobem można by w nich zarobić trochę grosza. Jim wyraził królowi nadzieję rychłego ujrzenia nas, bo było mu ciężko i nudno leżeć związanemu w budce podczas naszej nieobecności. W rzeczy samej, za każdym naszym odjazdem zostawał związany, bo gdyby się ktoś trafił pod naszą nieobecność i zobaczył Czarnego samego, zaraz by wziął go za zbiega i pojmał. Uznawszy słuszność narzekań Jima, książę postanowił wymyślić coś innego.

Przebranie

I rzeczywiście, ustroił Jima w ubranie króla Leara[241]: w długi szlafrok z perkalu w wielkie kwiaty, w perukę z białego włosia i takież same bokobrody, potem zaś, wziąwszy farbę, której używał do malowania dekoracji, pomalował twarz, uszy, szyję i ręce Jima na piękny, sinawoniebieski kolor, tak że Jim wyglądał jak topielec po dziesięciu dniach leżenia w wodzie. Niech mnie kaczki zdepczą, jeżeli widziałem kiedyś w życiu podobne dziwadło! Nie dość na tym: wziąwszy deseczkę, książę wielkimi literami napisał na niej:

„Arab chory — ale póki ma przytomność, nieszkodliwy".

Przybiwszy deseczkę do żerdzi wysokiej na kilka stóp, postawił ją tuż u wejścia do budki. Jim czuł się niezmiernie zadowolony, zwłaszcza że książę wmówił w niego zupełne bezpieczeństwo. Gdyby jednak zawitał na tratwę ktoś nieproszony, Jim powinien był wyskoczyć z budki i ryknąć jak dzikie zwierzę dla odstraszenia napastników.

Nasi monarchowie znów chcieli próbować „wielkiej tragedii", która przyniosła im taki dochód, ale nie byli pewni, czy mogą to uczynić bezpiecznie, bowiem wiadomość o przedstawieniu miała czas rozejść się po wybrzeżu. Książę oznajmił, że położy się na parę godzin i zapędzi mózg do roboty, aby wymyślić coś, co będzie miało powodzenie w tak lichej, prowincjonalnej mieścinie. Król zaś postanowił bez żadnego planu zajrzeć do drugiej, mniejszej z dwóch wiosek, które mieliśmy przed oczyma, ufając, że „Opatrzność" (a ja myślę, że diabeł) obdarzy go niespodziewanym zyskiem.

Przebranie

Na ostatnim przystanku pokupowaliśmy wszyscy zapasowe ubranie, król ubrał się w swoje, radząc mi włożyć nową odzież. Usłuchałem go, ma się rozumieć. Wówczas to zobaczyłem po raz pierwszy na własne oczy, jak suknie zmieniają człowieka. Król, cały na czarno ubrany, wyglądał na prawdziwego dżentelmena. W codziennych łachmanach podobny był do włóczęgi i szachraja, ale teraz, gdy zdjąwszy z głowy biały kapelusz o szerokich kresach[242], schylił w ukłonie siwą głowę, łagodnie się przy tym uśmiechając, to miał minę tak wspaniałą, a tak przy tym świątobliwą i poważną, że każdy uznałby w nim wychodzącego wprost z arki[243] starego lewitę[244].

O jakieś trzy mile od miasteczka stał w przystani już od kilku godzin parowiec, gotów do odpłynięcia z towarem. Rzecze więc król:

— Ubrany jestem tak porządnie, że śmiało uchodzić mogę za kogoś przybywającego z St. Louis, z Cincinnati albo też z innego wielkiego miasta. Podpłyń więc, Huck, do parowca: przybędziemy na nim do miasteczka.

Nie potrzeba mi było mówić dwa razy, gdy szło o przejechanie się na parowcu. Najpierw jednak należało dopłynąć do brzegu i stamtąd dopiero powędrować na przystań.

[241] *Lear* — bohater tragedii Shakespeare'a *Król Lear*, legendarny król Brytanii, popadł w obłęd, kiedy przekonał się, że dwie schlebiające mu córki, którym przekazał swoje królestwo, chcą go ubezwłasnowolnić, podczas kiedy trzecią, odmawiającą gorących zapewnień o swojej miłości do niego, uprzednio wydziedziczył i wygnał. [przypis edytorski]

[242] *kresy* — tu: rondo kapelusza. [przypis edytorski]

[243] *arka* (rel.) — według Biblii statek, na którym Noe wraz z rodziną został uratowany przez Boga z potopu; na pokładzie arki znalazły się także zwierzęta wszystkich gatunków. [przypis edytorski]

[244] *lewita* (rel.) — w judaizmie: niższy kapłan. [przypis edytorski]

Po wyjściu na ląd spostrzegliśmy siedzącego na kłodzie młodego chłopca o poczciwej twarzy głuptasa, który z powodu silnego upału ocierał pot z czoła. Obok niego leżało parę dobrze wypchanych toreb podróżnych.

— Dokąd zmierzasz, młodzieńcze? — zagadnął król.

— Czekam na parowiec, gdyż jadę do Orleanu.

— Siadaj do naszej łódki. Mój służący dopomoże ci przenieść torby. Pomóż no temu panu, Adolfie — (Adolfem byłem ja).

Pomogłem i wsiedliśmy we trzech do łodzi. Młodzieniec wyraził swoją wdzięczność, gdyż ciężko mu było z pakunkami na taki upał. Na pytanie, dokąd jedziemy, król odpowiedział, że przybywa z daleka, że całą podróż odbył wodą, że dziś rano wylądował w nadbrzeżnej wiosce, a teraz śpieszy dla zobaczenia się ze starym, dawno niewidzianym przyjacielem.

Na to rzecze młodzieniec:

— Zobaczywszy pana, powiedziałem sobie: „Pewien jestem, że to nie kto inny, tylko pan Wilks, a jeśli to on, to w samą porę przybywa". Potem znów myślę: „Nie! To nie on. Skądże by pan Wilks łodzią płynął?". Pan pewno nie pan Wilks, co?

— Nie. Nazywam się Blodgett, Aleksander Blodgett, dodać nawet muszę: wielebny Aleksander Blodgett, gdyż jestem niegodnym sługą Pańskich ołtarzy. Ale pomimo to szczerze mi żal pana Wilksa, że nie przybył w porę, zwłaszcza, jeśli mu coś na tym zależało. Mam jednak w Bogu nadzieję, że nie poniósł żadnej straty.

— Majątkowej nie poniósł, bo czy tak, czy owak, wszystko odbierze, ale stracił wiele, bo nie był przy śmierci swego brata, Piotra. Może on o to nie dba, kto go tam wie? Ale brat byłby dał wiele, żeby go tylko ujrzeć przed śmiercią. W ostatnich tygodniach o niczym innym nie mówił! Nie widzieli się od młodzieńczych lat, zaś drugiego brata, Williama, Piotr nie widział nigdy w życiu. William jest głuchoniemy i ma zaledwie trzydzieści kilka lat. Piotr i Jerzy, najstarsi, przyjechali tu, Jerzy ożenił się, ale umarł w przeszłym roku i żona także umarła. Teraz, gdy i Piotr umarł, zostało tylko dwóch braci, Harvey i William. Nie zdążyli oni przybyć w porę.

— Czy nie dano im znać o chorobie brata?

— Jakżeżby nie! Miesiąc temu czy dwa, gdy Piotr zachorował po raz pierwszy, zaraz ich powiadomiono, bo Piotr ciągle mówił, że już nie powróci do zdrowia. Widzi pan, Piotr był bardzo słaby, a córki Jerzego są za młode, aby miał z nich towarzystwo. Chyba tylko z jednej Marii Joanny, tej rudej... Ale i z tej, widać, nie miał pociechy, bo po śmierci Jerzego i jego żony czuł się okropnie osamotniony, niewiele dbając o życie. Gwałtownie pragnął widzieć Harveya... no i Williama także, ma się rozumieć... A głównie dlatego, że należał do tych ludzi, którzy nie mogą znieść myśli o napisaniu testamentu. Zostawił też list do Harveya z wyrażeniem swej woli co do podziału gotówki i majątku nieruchomego, bez krzywdy córek po Jerzym. Ledwie go namówili, żeby ten list napisał!

— Kiedy się spodziewają przyjazdu Harveya? Gdzie on mieszka?

— O! Aż w Anglii, w Sheffield[245]! Jest kaznodzieją, a tu nigdy w życiu nie był. Może nie ma czasu przyjechać, a może też i listu nie otrzymał... Kto go wie?

— Smutne to, bardzo smutne, że nie dożył nieborak widzenia się z bratem! A pan do Orleanu jedzie, młodzieńcze? Wszak tak?

— Tak, ale na tym nie koniec mojej podróży, w przyszłą środę siadam na okręt i płynę do Rio de Janeiro[246], gdzie mieszka mój wuj.

— O! To długa podróż! Ale piękna, bardzo piękna. Zazdroszczę ci jej, młodzieńcze. Więc najstarsza jest Maria Joanna? A młodsze w jakim wieku?

— Maria Joanna ma dziewiętnaście, Zuzia piętnaście, a Janka nie ma jeszcze czternastu. Ta ostatnia oddaje się dobrym uczynkom i ma zajęczą wargę[247].

— Biedne dziewczęta! Same jedne na świecie wśród tylu obojętnych serc!

[245] *Sheffield* — miasto w północnej Anglii. [przypis edytorski]
[246] *Rio de Janeiro* — jedno z największych miast Brazylii, do 1960 stolica tego kraju. [przypis edytorski]
[247] *zajęcza warga* — rozszczep górnej wargi. [przypis edytorski]

— No! Mogłoby być im gorzej. Stary Piotr miał przyjaciół, ci nie pozwolą, żeby dziewczętom stała się krzywda. Jest Hobson, kaznodzieja baptystów[248], jest dziekan Lot Hovey i Levi Bell, adwokat, i doktor Robinson, i ich żony, i wdowa Bartley, i jeszcze inni. O! Jest sporo. Z tymi, których wymieniłem, Piotr żył najściślej i nieraz o nich wspominał w listach do krewnych, będzie więc łatwo Harveyowi szukać przyjaciół.

Król wciąż pytał i wypytywał, aż wszystko wycisnął z młodzieńca. Niech mnie kaczki zdepczą, jeżeli cokolwiek pominął.

— Dlaczego chciałeś, młodzieńcze, iść pieszo do przystani?

— Miałem obawę, czy taki wielki parowiec zechce się zatrzymać dla zabrania jednego pasażera, parostatki nie zawsze to czynią.



— Czy Piotrowi Wilksowi dobrze się powodziło?

— Oho, i jak jeszcze! Posiadał domy i grunt. Mówią, że zostawił kilka tysięcy gotówki, dobrze ukrytej.

— Kiedy umarł?

— Wczorajszej nocy.

— Więc pogrzeb zapewne jutro?

— Tak, około południa.

— Ach, tak! To bardzo smutne rzeczy, ale prędzej czy później wszyscy musimy umierać. Najważniejsza rzecz: być na śmierć przygotowanym. Śmierć

— Tak, proszę pana, tak. I mama to samo zawsze mówiła.

Gdy się zbliżyliśmy do parostatku, ładowanie miało się już ku końcowi i niebawem też odpłynął. Król ani wspomniał o wejściu na pokład, daremnie się więc cieszyłem nadzieją przejażdżki. Gdy już okręt odpłynął, król kazał wiosłować jeszcze z pół mili, a potem, wysiadłszy na ląd w samotnym i cienistym miejscu, powiada:

— Ruszaj teraz czym prędzej, sprowadź tu księcia i niech weźmie ze sobą torbę podróżną, tę nową, a gdybyś go nie zastał na tratwie, to go odszukaj w miasteczku. Powiedz mu, że ma tu przyjść natychmiast!

Domyśliłem się, o co mu chodzi, ale nie powiedziałem ani słowa. Gdy nareszcie powróciłem, przyprowadzając ze sobą księcia, kazali mi ukryć czółno, a sami usiedli na kłodzie. Król opowiedział księciu wszystko, czego się od tego głuptasa dowiedział, a starał się mówić nie po naszemu, lecz po angielsku, i udawało mu się to wcale nieźle. Nie potrafię go naśladować, ale przekonany jestem, że mówił dobrze.

— Książę, a jakże będzie z głuchoniemotą[249]? Potrafisz? — pyta w końcu.

— Nie troszcz się o to — odpowiedział. — Na scenie grywałem już role głuchych i niemych.

Po długim oczekiwaniu ujrzeliśmy wielki parowiec pasażerski z Cincinnati. Na dany znak zatrzymał się i przyjął nas na pokład, ale gdy kapitan zawiadomiony został, że mamy wysiadać o cztery mile dalej, mało nie oszalał ze złości i zaklął się, że nas nie wysadzi. Król jednak, nie tracąc zimnej krwi, powiada:

— Jeżeli pasażer może zapłacić po dolarze za milę, byle tylko przybyć w porę na miejsce, to parowiec chyba może go zabrać. Jak panu się zdaje?

Kapitan złagodniał i gdy się zrównaliśmy z miasteczkiem, wysadzono nas na ląd. Widząc nadpływający parowiec, kilkunastu ludzi zebrało się na wybrzeżu i czeka...

Na zapytanie króla, gdzie mieszka pan Piotr Wilks, jeden z nich odpowiedział cicho i łagodnie:

— Bardzo nam przykro, ale co najwięcej możemy panu powiedzieć, gdzie jeszcze wczoraj mieszkał Piotr Wilks.

Wtem, jakby podrzucony sprężyną, stary oszust zatacza się, chwieje, potem upada na mówiącego i oparłszy brodę na jego ramieniu, polewa mu plecy łzami, jęcząc:

— Ach, nieszczęście, nieszczęście! Nie ma już naszego brata! Porzucił nas, a my nie zdążyliśmy pożegnać go. Ach! Co za straszna niespodzianka!

---

[248] *baptyści* — protestancka grupa wyznaniowa powstała na pocz. XVII w., akcentująca indywidualizm w relacji do Boga, uznająca Biblię za jedyny autorytet w sprawach wiary i ograniczająca praktykę chrztu (gr. *baptismos*) do osób świadomych tego aktu. [przypis edytorski]

[249] *głuchoniemota* — brak umiejętności mówienia wynikający z utraty słuchu. [przypis edytorski]

Po czym, szlochając ciągle, dawał palcami jakieś znaki księciu, który, niech mi głowę zetną, jeżeli kłamię, wypuściwszy z rąk torbę, na poczekaniu wybuchnął płaczem. Jeżeli widział kto kiedy na świecie takich oszustów, to ja nie wiem, czym jestem!

Zaraz też wszyscy zebrani, okazując współczucie, łagodzili ich rozpacz. Ten wziął jedną torbę, ów drugą, trzeci podał królowi ramię, czwarty podtrzymywał szlochającego księcia, jeszcze inny opowiadał królowi o ostatnich chwilach zmarłego. Król powtórzył to zaraz na palcach księciu i znów obaj uderzyli w taki płacz [illegible] garbarzu[250], jak gdyby stracili dwunastu apostołów. Niech na całe życie zmienię [illegible] Czarnego, jeżeli widziałem kiedyś coś podobnego! Aż się wstyd robi człowiekowi, że należy do tego samego rodu ludzkiego!



ROZDZIAŁ XXV

„Czy to oni?" — Śpiewy żałobne. — „Możemy się bez nich obejść" — [illegible] ny moment.

Wiadomość o przybyciu „braci" zmarłego rozbiegła się w lot po miasteczku. Nie upłynęło dziesięć minut, gdy ze wszystkich ulic i uliczek ściągali ciekawi z takim pośpiechem, że niektórzy po drodze dopiero kładli surduty. Niebawem otoczył nas tłum, który z każdą chwilą wzrastał: wszystkie okna, wszystkie drzwi pełne były ciekawych, a co chwila dawało się słyszeć pytanie:

— Czy to oni?

Ktoś z tłumu czuł się w obowiązku odpowiadać:

— A któż by, jak nie oni?

Przecisnąwszy się wreszcie do domu, ujrzeliśmy na ganku trzy bratanice zmarłego, które wyszły na nasze spotkanie. Maria Joanna była naprawdę ruda, ale taka śliczna, że aż strach, i tak uradowana z przyjazdu stryjów, że z oczu jej i z twarzy biła jasność.

Król roztworzył ramiona, w które Maria Joanna rzuciła się bez wahania, ta zaś z zajęczą wargą objęła za szyję księcia. Powitania i uściski trwały tak długo, że wszyscy patrzący, głównie zaś kobiety, płakali ze wzruszenia na widok tak potężnej miłości rodzinnej.

Trup

Po chwili król ukradkiem szturchnął księcia (widziałem na własne oczy), obejrzał się wokoło i zobaczył trumnę stojącą na dwóch krzesłach w rogu pokoju. Wtedy jeden drugiemu położył rękę na ramieniu, a drugą, wolną, podnieśli do oczu i tak trzymając się, uroczystym krokiem szli ku trumnie. Rozstępowali się wszyscy, czyniąc im miejsce, umilkły rozmowy i szepty, mężczyźni pozdejmowali kapelusze i pochylili głowy, zewsząd było słychać „cyt! cyt!" i zrobiło się raptem tak cicho, że mogłeś słyszeć upadającą szpilkę. Stanąwszy przy trumnie, pochylili się nad nią i długo patrzyli na nieboszczyka, a potem wybuchli takim płaczem, że słyszano go zapewne o dziesięć mil naokoło. W tym płaczu objęli się obaj za szyję, król wsparł podbródek na ramieniu księcia, książę na ramieniu króla i obaj zalewali się potokami łez. Nie tylko oni płakali: wszystkim obecnym płynęły z oczu łzy tak rzęsiste, że aż wilgotno było w pokoju. Potem obaj bracia uklękli przy trumnie i wsparłszy czoło o jej krawędzie, pogrążyli się w cichej modlitwie. Trzeba było widzieć, jakie to wywarło wrażenie. Wszyscy zaczęli głośno łkać, a już te biedne dziewczęta aż się zanosiły od płaczu. Ile było kobiet, każda podeszła do dziewcząt i uroczyście całowała je w czoło, potem zaś spoglądała w niebo i szlochając, z widocznym żalem ustępowała miejsca następnej. Zbliżała się druga, trzecia, i znów ta sama historia — aż fe!

Po dość długiej chwili niemego pogrążenia się w modlitwie król powstał, postąpił kilka kroków naprzód i mocując się ze wzruszeniem, które głos mu łzami przerywało, miał krótką mowę o strasznym ciosie zarówno dla niego, jak i dla dotkniętego kalectwem brata, który to cios osładza im tylko współczucie drogich sąsiadów i ich łzy płynące z serca... Prawił dalej, że swojej wdzięczności nie jest w stanie wyrazić wszystkim obecnym, gdyż zimne słowa nie wystarczają do stwierdzenia jego uczuć. Jednym słowem plótł trzy po trzy tak długo, że aż się niedobrze robiło. Wreszcie, wykrztusiwszy „amen", odwrócił się jeszcze do trumny i znów ryknął płaczem.

Zaledwie rozbrzmiało „amen", ktoś z obecnych zaintonował psalm żałobny, z którym wszyscy zespolili swe głosy, jak w kościele. Muzyka dobrą jest rzeczą, zwłaszcza gdy czło-

Muzyka

[250] *garbarz* — człowiek zajmujący się obrabianiem skór zwierzęcych. [przypis edytorski]

wieka aż mdli pod sercem od pomyj i bzdur życia. Taki uczciwy a potężny śpiew przywraca zdrowie.

Po skończonym śpiewie król znów zaczął mleć językiem:

— Ja i moi synowie — wołał — będziemy szczęśliwi, jeżeli bliżsi przyjaciele rodziny zechcą pozostać na wieczerzy ku uczczeniu pamięci nieboszczyka.

Ponieważ śmierć zamknęła jego usta na wieki, więc on, Harvey, znając z listów przyjaciół brata, w jego imieniu zaprasza: wielebnego Hobsona, dzi[illegible]a Lo[illegible]a, Bena Buckera, Abnera Shackleforda, pana Leviego Bella, doktor[illegible]nsona, [illegible]y oraz wdowę Bartley.



Wielebny Hobson razem z doktorem Robinsonem znajd[illegible] tedy na przeciwnym końcu miasta, obaj na jednym polowaniu; doktor wypr[illegible]ego na tamten świat, a kaznodzieja przysposabiał go do tej podróży. Adwokat [illegible] w Louisville[251], ale wszyscy inni byli obecni, każdy więc podszedł do króla, z[illegible] nim uścisk ręki i dziękował za pamięć.

Król przedłużał rozmowę tak zręcznie, że się o wszystkim d[illegible]

Testament

Podczas rozmowy Maria Joanna przyniosła list pozostawiony [illegible]a, a król czytał go głośno i znów łzy nad nim wylewał. W liście tym było [illegible]e nieboszczyk zapisuje dom mieszkalny oraz trzy tysiące dolarów w złocie b[illegible]nico[illegible]garbarnię zaś razem z kilkoma innymi domami i gruntami oraz trzy tysiące d[illegible]w w złocie zostawia braciom swoim, Harveyowi i Williamowi. Gdy zaś list wskazał, że całe sześć tysięcy jest w piwnicy, oświadczyli zaraz panowie „bracia" gotowość zejścia po pieniądze dla prędszego ukończenia interesów, mnie zaś kazali towarzyszyć ze świecą.

Zamknęliśmy za sobą drzwi od piwnicy, a gdy po niedługim szukaniu oszuści znaleźli worek ze złotem, rozsypali je na podłodze, żeby nacieszyć się ponętnym dla nich widokiem. Jak też się królowi oczy iskrzyły! Uderza księcia po ramieniu i powiada:

— Ładny widok, co? Ładniejszy od „wielkiej tragedii", co?

Książę zgodził się na to.

Wiara

— Jak ci się zdaje, książę, czy to nie są skutki naszej wiary w Opatrzność? Okazuje się, że na niej człowiek wychodzi doskonale. Różnych innych sposobów próbowałem, ale przekonuję się, że ten najlepszy.

Każdy inny byłby się zadowolił samym widokiem sporego worka, ale im tego było za mało, musieli przerachować wszystko, co do sztuki. Gdy okazał się brak czterystu piętnastu dolarów, król rzekł:

— A niechże go licho porwie! Gdzie on podział resztę?

— Ha! Cóż robić! — rzekł książę. — Chory był człowiek, straciwszy pamięć, pomylić się musiał w rachunku. Według mnie nie trzeba rozpowiadać o tym, że brakuje tych pieniędzy, bez których przecież możemy się obejść.

— Zapewne, możemy się obejść. Nie idzie o te kilkaset dolarów, ale o ścisłość w rachunkach, które koniecznie muszą być czyste! Trzeba te pieniądze zanieść na górę i przeliczyć je wobec wszystkich, żeby nikt nie śmiał nas podejrzewać. Skoro nieboszczyk pisze w liście, że zostawia sześć tysięcy dolarów, to rozumiesz chyba, że...

— Rozumiem — przerywa książę — rozumiem. Sami pokryjemy deficyt. — I z własnej kieszeni wyciągnął złote dolary.

— A to wyborny pomysł, książę. Wyborny! Nie dla kształtu masz głowę. No, niechże i ja stary dopomogę do utrzymania naszej dobrej sławy! — I to mówiąc, wydobywał z kieszeni sztuki złota.

Mało nie pękli ze złości, ale dołożyli tyle, ile brakowało do sześciu tysięcy.

— Słuchaj — powiada książę — przyszła mi jeszcze jedna myśl. Idźmy na górę, zliczmy pieniądze, a potem oddajmy wszystko dziewczętom.

— A wiesz, książę, żeś do pomysłów jedyny! Świetny pomysł, najświetniejszy, jaki komu kiedykolwiek przyszedł do głowy!

Gdy wróciliśmy na górę, król wobec zgromadzonych wyliczył pieniądze, układając je w dwadzieścia rulonów, po trzysta w każdym. Wszyscy oblizywali się na nie, jak nie

[251] *Louisville* — miasto we wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Kentucky; leży na południowym brzegu rzeki Ohio. [przypis edytorski]

przymierzając kot na mleko, a oczy gorzały[252] im niby świece. Gdy złożono wszystkie dolary do worka, król przemówił:

— Mili przyjaciele! Mój biedny brat, którego śmiertelne szczątki spoczywają w tej oto trumnie, okazał się wspaniałomyślny dla tych biednych sierotek bez ojca i matki, które ukochał i przytulił do swego łona. Tak, lecz my, którzy go znaliśmy, wiemy, że byłby się okazał stokroć wspaniałomyślniejszy, gdyby nie obawa skrzywdzenia braci. Tak byłby się nim okazał! Jestem pewny, że zgaduję jego zamiary. Jakimiż więc bylibyśmy braćmi, gdybyśmy niweczyli jego zamiary? Jakimiż bylibyśmy stryjami, pozbawiając mienia te słodkie, biedne owieczki, tak gorąco przez niego ukochane, i to kiedy? Teraz, gdy on spoczywa w trumnie! Jeśli znam Williama, a znam go dobrze, to jestem pewien, że i on... Lecz po cóż mówić za niego? Niech sam za siebie odpowie.

Tu zaczął robić palcami znaki księciu, który patrząc na niego przez chwilę osłupiałym wzrokiem, rzucił się w końcu na szyję brata z wielką radością, bełkotał: „gu! gu! a-gu!” i całował zapamiętale.

Wtedy król powiada:

— Wiedziałem, że tak będzie, i mniemam, że wszyscy tu obecni nie wątpią teraz o zdaniu mego brata w tej sprawie. Chodźcie tu, Mario Joanno i Zuzanno, chodź i ty, młodociana Janeczko, bierzcie te pieniądze, bierzcie wszystko, jako dar tego, który spoczywa w trumnie, zimny wprawdzie, lecz z sercem pełnym radości.

Trup

Tu Maria Joanna rzuca mu się na szyję, a Zuzanna i ta z zajęczą wargą obejmują księcia, który je ściska i całuje. Obecni cisną się do nich ze łzami w oczach, a ściskając oszustów, powtarzają:

— Zacne, poczciwe dusze! Jacy szlachetni! Ach! Kto by się spodziewał!

Na chwilę przedtem jakiś wysoki mężczyzna z kościstymi szczękami wszedłszy do pokoju, przysłuchiwał się i przypatrywał wszystkiemu z wielką uwagą, nie mówiąc ani słowa. Do niego także nikt się nie odezwał, bo właśnie wtedy miał król mowę, której wszyscy słuchali. Król prawił między innymi:

— Najbliższych przyjaciół nieboszczyka na dziś prosiłem, na jutro zaś wszystkich zapraszam, wszystkich, bo nieboszczyk wszystkich poważał, wszystkich kochał i dlatego przystojną jest rzeczą, aby wszyscy uczestniczyli w pogrzebowej orgii.

Pogrzeb

Tu książę, nie mogąc dłużej wytrzymać, pisze na kawałeczku papieru: „Nie orgia, ale stypa, stary głupcze!” i coś bełkocząc, podaje zwitek królowi ponad głowami zebranych. Ten przeczytał, schował do kieszeni i powiada:

— Biedny William, kaleką jest, ale serce ma zdrowe, pisze mi oto, żebym wszystkich zaprosił na pogrzeb. Ale może być spokojny... Wszak tego pragnę!

I najspokojniej prawi jeszcze dwukrotnie o tej orgii, kończąc z powagą:

— Mówię „orgia” nie dlatego, żeby to było wyrażenie ogólnie przyjęte, bo jest nim „stypa”, ale dlatego, że jest to wyraz najwłaściwszy. „Stypa” w Anglii wyszła już z mody, mówimy teraz „orgia”, a to dlatego, że wyraz ten rzecz samą lepiej maluje. Ma on dwoiste pochodzenie: od greckiego *orgo*, „na otwartym miejscu, na swobodzie, pod gołym niebem”, i od hebrajskiego *jeesum*, „wkopywać, grzebać, chować”. Tak więc wyrażenie „orgia pogrzebowa” znaczy dosłownie: pogrzeb publiczny, pogrzeb, w którym wszyscy uczestniczą.

Tego już było za wiele. Człowiek z kościstymi szczękami parsknął mu śmiechem w same oczy, reszta nie była pewna, co o tym myśleć. Ten i ów się odzywa: „Czy tak, doktorze?”, a Abner Shackleford mówi:

— Doktorze Robinson, słyszałeś? Wiesz? Przyjechali bracia nieboszczyka! To jest właśnie Harvey Wilks.

Król uśmiecha się przymilająco i skwapliwie wyciągając rękę, woła:

— Więc to jest doktor i przyjaciel mego najukochańszego brata? Ja... ja...

— Precz z ręką! — odpowiada doktor. — To niby pan masz mówić po angielsku? Pan nawet nie umiesz naśladować czystej wymowy angielskiej! Pan masz być bratem Piotra Wilksa? Jesteś oszustem, niczym więcej!

Trzeba było widzieć, jak te słowa zostały przyjęte! Otoczyli wszyscy doktora, starając się go uspokoić i przekonać, że Harvey naprawdę jest Harveyem, że zna nazwiska

[252] *gorzeć* — palić się. [przypis edytorski]

wszystkich i wie nawet, jak się nazywają miejscowe psy. Prosili doktora, błagali, zaklinali, żeby nie czynił przykrości Harveyowi i biednym dziewczętom, ale wszystko na próżno, bo doktor ciągle powtarzał, że człowiek, który chce uchodzić za Anglika, a nie umie naśladować angielskiego akcentu, jest oszustem i kłamcą. Biedne dziewczęta garnęły się do króla i płakały, aż tu raptem doktor napada na nie:

— Byłem przyjacielem waszego ojca i waszym, więc ostrzegam jako przyjaciel i jako uczciwy człowiek, który pragnie ustrzec was od krzywdy i od kłopotów, żebyście się odwróciły od tego łotra i nie miały żadnych stosunków z włóczęgą, z oszustem tumaniącym ludzi swoją greczyzną i hebrajszczyzną. Ten oszust nie wiadomo skąd pozbierał nazwiska i podowiadywał się faktów, a wy to bierzecie za dowody i dajecie się oszukiwać, do czego dopomagają wam jeszcze ci wszyscy, którzy powinni mieć oko za was i za siebie. Mario Joanno Wilks, znasz mnie jako bezinteresownego [illegible]. Posłuchaj mojej rady: wypędź z domu tego przybłędę i wydrwigrosza[253], [illegible] to! Czy mnie posłuchasz?

Maria Joanna wyprostowała się i podniósłszy głowę niby [illegible]

— Oto moja odpowiedź. — I przy tych słowach złożyła w [illegible] ze złotem.

— Weź, drogi stryju, te pieniądze — dodała. — Umieść [illegible], jak uważasz uważał za najkorzystniejsze dla nas, i nie dawaj nam żadnego pokwitowania.

Obecni zaczęli bić oklaski i tupać nogami na znak zadowolenia, a [illegible] podniósłszy głowę, uśmiechał się dumnie.

— Dobrze — rzecze na to doktor — ja umywam ręce od tej sprawy, ale ostrzegam was, że przyjdzie chwila, w której gorzko będziecie opłakiwały dzień dzisiejszy. — Po tych słowach wyszedł z pokoju.

— Gdy to nastąpi, doktorze — zawołał król szyderczo — poślemy po pana, żebyś je leczył. — Na co wszyscy parsknęli śmiechem, mówiąc, że doskonale odpłacił się doktorowi.

ROZDZIAŁ XXVI

Huck opowiada. — Panienka prosi o przebaczenie. — Za firanką. — Trzeba schować pieniądze.

Gdy się wszyscy rozeszli, król zapytał Marię Joannę, czy może mu dać osobny pokój, na co dziewczyna odpowiedziała, że ma tylko jeden gościnny, i to niewielki, który odda stryjowi Williamowi. Dla stryja Harveya przeznacza swój własny, który jest większy, sama zaś przeniesie się do pokoju sióstr i prześpi na kanapce, a mnie pomieści w pokoiku na górze, maleńkim wprawdzie, ale czystym. Król przyjął ofiarowany sobie pokój, mówiąc, że chłopak służący (to niby ja) może sypiać na pięterku. Gość

Poszliśmy więc za Marią Joanną, która pokazała nam nasze pokoje, skromnie urządzone, ale czyściutkie i miłe. Obiecała też, że wyniesie ze swego pokoju suknie i różne drobiazgi, które zapewne zawadzać będą stryjowi, król jednak nie pozwolił na to. Suknie wisiały na ścianie, a osłaniała je perkalowa firanka, zwieszająca się aż do ziemi. W jednym rogu pokoju stał stary kufer, w drugim pudełko z gitarą, a wszędzie mnóstwo cacek i drobiazgów, którymi panienki lubią ozdabiać swoje mieszkania. Król, zapewniając, że takie fatałaszki czynią pokój przyjemniejszym, nie kazał ich uprzątać. Pokój oddany księciu był znacznie mniejszy, moja zaś górka okazała się prawdziwą ciupką, ale wygodną i schludną.

Późnym już wieczorem podano doskonałą kolację, na którą zeszli się wszyscy zaproszeni. Ja stałem za krzesłami księcia i króla, innym usługiwali Czarni. Maria Joanna częstowała wszystkich, przepraszając za nieudane ciasteczka, za niesmaczne konserwy, za chude i nie dość kruche kurczęta, jednym słowem powtarzała to wszystko, co mówi każda pani domu przeświadczona o dobroci potraw, a polująca na komplementy. Ciągle też ktoś się odzywał: Gospodyni

— Co pani robi, żeby ciasteczka były tak rumiane?

Albo:

— Skąd pani bierze tak przewyborne pikle[254]?

[253] *wydrwigrosz* — osoba wyłudzająca pieniądze od innych. [przypis edytorski]

[254] *pikle* — pikantna marynata warzywna. [przypis edytorski]

Albo:

— Takich kompotów nikt nie podaje!

I różne inne rzeczy w tym rodzaju.

Gdy wszyscy wstali, ja i ta dla swej wargi „Zajączkiem" zwana poszliśmy jeść do kuchni, podczas gdy starsze pomagały Czarnym sprzątać ze stołu. Zajączek zaczął mnie wypytywać o Anglię i o mały włos nie złapałem się porządnie kilka razy. Pyta na przykład:



— Widziałeś kiedy króla?

— Którego? Wilhelma IV[255]? Spodziewam się, że widziałem, i to nie raz. Bywa w naszym kościele.

Wiedziałem, że Wilhelm IV już nie żyje, ale nie dałem poznać tego po sobie.

— Jak to? Bywa w kościele regularnie?

— Co niedziela! Jego ławka stoi naprzeciwko naszej, po drugiej stronie ambony.

— A ja myślałam, że król mieszka stale w Londynie.

— Naturalnie. Gdzież by miał mieszkać?

— A wy mieszkacie w Sheffield?

Złapałem się! Dla wybrnięcia z kłopotu musiałem udać, że się zadławiłem kosteczką kurczęcia. Dopiero po chwili odpowiadam:

— Bywa regularnie, gdy bawi w Sheffield, to jest w lecie, podczas kąpieli morskich.

— Co ty mówisz? Sheffield przecież nie nad morzem.

— A któż mówił, że nad morzem?

— Ty mówisz.

— Nie.

— Nie mówiłeś?

— Nie mówiłem.

— Mówiłeś!

— Nie mówiłem.

— Mówiłem o kąpielach morskich.

— A widzisz! Przecież Sheffield nie leży nad morzem.

— Słuchaj, panienko, piłaś kiedy wodę mineralną „Congrets"?

— Piłam!

— Czy jeździłaś do Congrets pić ją?

— Ależ tu ją piłam.

— No, to tak samo i Wilhelm IV! Nie potrzebuje jeździć nad morze, żeby wziąć kąpiel.

— Skądże więc bierze wodę morską?

— Stąd, skąd ty brałaś mineralną: z beczułki. W pałacu królewskim w Sheffield jest ogromny kocioł, bo król chce mieć gorącą wodę. Nie mogą mu przecież grzać tej wody w samym morzu! Jakżeby ją przywieźli gorącą?

— A! Teraz rozumiem. Dlaczegóż nie mówiłeś tak od razu? Nie bylibyśmy stracili tyle czasu na sprzeczkę.

Gdy tak rzekła, widzę, że wybrnąłem cało, i rad jestem z siebie. Ale za chwilę znów pyta:

— I ty także bywasz w kościele?

— Bywam... regularnie.

— Gdzie siadasz?

— Gdzież by, jak nie w naszej ławce?

— W czyjej ławce?

— W naszej... W ławce twego stryja Harveya.

— A na cóż stryjowi ławka?

— Jak to, na co? Gdzież będzie siedział?

— Ja myślałam, że stryj nie siedzi w kościele, tylko stoi na ambonie?

A niech to! Zapomniałem, że stryj jest kaznodzieją!

Dławiąc się więc kosteczką kurczęcia, myślę nad tym, jak wybrnąć. Wreszcie powiadam:

[255] *Wilhelm IV* (1765–1837) — król Wielkiej Brytanii i król Hanoweru; nazywany królem żeglarzy. [przypis edytorski]

— Niechże cię nie znam! Więc tobie się zdaje, że jeden jest tylko kaznodzieja w kościele?

— A na cóż by ich miało być więcej?

— A któż by kazanie miał dla króla? Jakaś ty zabawna! Tam jest kaznodziejów... nie mniej, nie więcej, tylko... siedemnastu!

— Siedemnastu! Chryste Panie! Oj, nie chciałabym słuchać ich wszystkich, choćbym zaraz potem miała pójść prosto do nieba! Siedemnastu! To chyba w jeden dzień nie skończą? Tygodnia na to potrzeba!

— Dziecko jesteś. Co dzień mówi inny.

— A cóż reszta robi?

— Nic. Kręcą się po kościele, czasem który do ołtarza się zbliży, zaśpiewa... Ale po większej części nic nie robią.

— To po cóż jest ich tylu?

— Po co? Dla parady. Nie rozumiesz tego?

— Nic nie rozumiem. U nas parada nazywa się głupstwem... Powiedz mi, jak się w Anglii obchodzą ze służącymi? Czy lepiej niż my z Czarnymi? Pogarda, Pozycja społeczna

— Nie. Służących mają tam za nic. Z psami się lepiej obchodzą.

— A nie dają im, tak jak u nas, dni wolnych: po tygodniu na Wielkanoc i na Boże Narodzenie, i w rocznicę czwartego lipca[256]?

— Nigdy w życiu! Jak to zaraz widać, że nigdy nie byłaś w Anglii! Wiesz, co ci powiem, Janko — (poprawiłem się czym prędzej) — jak rok długi, nie mają ani jednego dnia wolnego. Nigdy nie chodzą ani do cyrku, ani do teatru, ani na targ Czarnych, ani nigdzie.

— Ani do kościoła?

— Ani do kościoła!

— A ty przecież zawsze bywasz w kościele?

Masz tobie! Znów się złapałem, zapomniawszy, żem w służbie u stryja. Dalejże więc tłumaczyć, że nie jestem zwyczajnym sługą, tylko chłopcem służącym, a to zupełnie co innego, że chcąc nie chcąc, muszę chodzić z państwem do kościoła i siadać z nimi w ławce, bo takie jest prawo. Ale jakoś mi to nie szło i chociaż dużo naplotłem, widać było, że Janki nie zadowoliłem.

— Słuchaj — rzecze w końcu — słowo uczciwe dajesz, żeś mi kłamstwa nie nagadał?

— Słowo uczciwe.

— Ani jednego kłamstwa?

— Ani jednego. Sama prawda.

— Połóż rękę na tej książce i powtórz, żeś prawdę mówił. Przysięga, Książka



Spojrzałem na książkę i widzę: słownik! Położyłem więc na nim rękę i powtarzam: „prawdę mówiłem". Łaskawiej jakoś na mnie spojrzała, się pomyślawszy trochę, znów mówi:

— No, teraz wierzę, ale nie wszystkiemu. Głupia byłabym, gdybym ci we wszystkim wierzyła.

— W co nie możesz wierzyć, Janko? — zapytała nagle Maria Joanna, wchodząc do kuchni razem z Zuzanną. — Nie masz prawa zarzucać mu kłamstwa. Niedelikatnością jest tak się odzywać do obcego, który przybył z daleka, nie mając tu nikogo ze swoich. A gdyby ktoś tak mówił do ciebie?!

— Ty zawsze, Mario Joanno, śpieszysz na ratunek tym, których nikt nie uczepia. Ja mu tylko powiedziałam, że mnie nie można okłamywać. Tyle tylko... Ani słowa więcej! Zdaje mi się, że to mu nie zaszkodzi!

— Tobie nic do tego, czy mu zaszkodzi, czy nie zaszkodzi. Jest obcym i gości w naszym domu, a zatem nie masz prawa narażać go na przykrości. Gość

— Ale, Mario Joanno, on mówił...

— Mniejsza o to, co mówił, to jego rzecz. A twoją rzeczą być dla niego uprzejmą i obchodzić się z nim tak, aby nie poczuł, że jest w obcym kraju i między obcymi ludźmi.

Słuchając, mówię do siebie: „I ja pozwalam, żeby stary nicpoń okradał taką dobrą panienkę!".

[256]*czwarty lipca* — Dzień Niepodległości Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

Zaraz potem i Zuzanna zgromiła Jankę! No, miała się z pyszna[257] dziewczynina!

Więc mimo woli znów mówię sobie: „I tę także pozwalam okradać! To już dwie".

Wreszcie Maria Joanna raz jeszcze wzięła się do Janki, słodko, łagodnie... Po jej przemowie Janka stajała jak wosk na słońcu i... w płacz.

— Dobrze już, dobrze — mówią starsze. — A teraz przeproś go.

Przeprosiła! I jak ładnie przeprosiła! Jak prawdziwa panienka. Aż miło było słuchać, jak przepraszała, i gotów byłem popełnić jeszcze tysiące kłamstw, żeby mnie tak samo przeprosiła.

Znów też powiedziałem sobie: „I tę okradać pozwalam! To już trzy, a wszystkich trzech razem i każdej z osobna szkoda!".

Gdy już było po przeprosinach, panienki usiłowały rozweselić mnie, żebym czuł się jak u siebie w domu. A mnie tak było smutno, taki mnie wstyd ogarniał, że ciągle sobie powtarzałem: „Nie dam ich okraść! Zwrócę im te pieniądze albo pęknę".

Wyniosłem się więc — niby to spać — i zostawszy sam, tak myślę: czy wymknąć się po cichutku do tego doktora i wyznać mu prawdę? Nie, to na nic. Doktor powoła się na mnie, a w takim razie król i książę nie darują mi. Czy może wyznać wszystko Marii Joannie? Nie! I to na nic. Nie potrafi ukryć tego, co wie, twarz ją zdradzi, spojrzenie... Oszuści drapną z pieniędzmi i po wszystkim. Jeśli zaś Maria Joanna uda się pod czyjąś opiekę i cała sprawa na jaw wyjdzie, to mnie w nią wmieszają... Nie, tego nie chcę. Jeden tylko jest sposób. Trzeba, żebym ja ukradł te pieniądze i żeby nikt mnie nie podejrzewał. Po ukryciu ich, gdy już będę stąd daleko, na rzece, napiszę do Marii Joanny, gdzie są schowane. Najlepiej będzie ściągnąć je tej nocy, bo... kto wie? Ten doktor może udaje tylko, że z placu ustąpił[258]? Może ich dziś jeszcze stąd wykurzy, a jak nie dziś, to jutro?

Dlatego też trafiwszy po ciemku do pokoju księcia, obmacałem w nim wszystkie sprzęty i wszystkie kąty, następnie zaś przeszedłem do pokoju króla. Ale szukanie po ciemku nie przydało się na nic, a świecy nie mogłem zapalić. Postanowiłem więc zaczaić się i podsłuchiwać. Na odgłos kroków chciałem wpaść pod łóżko, ale nie mogąc w pośpiechu trafić do niego, schowałem się za firanką, między sukniami Marii Joanny, i czekam.

Weszli obaj i zamknąwszy drzwi za sobą, zaglądają pod łóżko. Dobrze się stało, że tam nie trafiłem. Każdemu, kto się chce ukryć, najpierw przychodzi na myśl wleźć pod łóżko, dlatego też książę od razu tam zajrzał. Gdy siedli obok siebie, król szepce:



— Po cóżeś mnie tu wołał? Mów, czego chcesz, a prędko. Trzeba było raczej zostać na dole i mamrotać psalmy żałobne, niż schodzić im z oczu i ułatwiać rozmowę o nas.

— Słuchaj, królu, powiem ci tak: nie jestem spokojny, niedobrze się tu świeci. Doktora ciągle mam w głowie. Powiedz mi, co zamyślasz? Ja mam już plan i zdaje mi się, że dobry.

— Masz plan? Jaki?

— Żebyśmy stąd drapnęli, nie czekając jutra. Zabrać to, co mamy w ręku, i na tratwę. Tym bardziej, że to, co mamy, dostało się nam bez trudu! Prawie gwałtem wciśnięto nam w ręce te pieniądze, które bylibyśmy musieli wykraść, by do nich powrócić. Głosuję więc za natychmiastową ucieczką.

To mi się nie podobało. Przed godziną byłoby mi to obojętne, ale teraz czułem się mocno niezadowolony z takiego pokrzyżowania mych planów. Na szczęście królowi nie podobał się projekt księcia.

— Co? — powiada. — Wynosić się, nie sprzedawszy tego, co nam zapisane? Wynosić się po wariacku, a majątek wartości ośmiu lub dziesięciu tysięcy dolarów niech sobie leży i czeka? I to majątek, który sprzedać można za... gotówkę.

Książę bronił swego zdania, dowodząc, że mu ta zdobycz wystarcza i że nie chce okradać sierot ze wszystkiego, co posiadają.

— Sam nie wiesz, co mówisz! — żywo zawołał król. — Sieroty stracą tylko te sześć tysięcy, a ofiarą padnie nabywca nieruchomości, bo gdy wyjdzie na jaw nasze oszustwo, licytacja będzie unieważniona, a sprzedane nieruchomości wrócą do masy[259]. Sieroty więc zostaną właścicielkami swego domu. Czy to dla nich nie dosyć? Młode i zdrowe, mogą

[257] *mieć się z pyszna* — tu: znaleźć się z własnej winy w kłopotliwej sytuacji. [przypis edytorski]
[258] *ustąpić z placu* — zrezygnować z walki. [przypis edytorski]
[259] *masa* — tu: spadek. [przypis edytorski]

pracować na życie. Nie stanie im się zresztą żadna krzywda. Ile to jest na świecie prawdziwie biednych dziewcząt, nad którymi nikt się nie rozczula!

Dopóty gadał, aż przekonał księcia, który jednak radził prędszą ucieczkę, ze względu na doktora. Ale król na to:

— Niech go diabli wezmą! Co on nam zrobi? Wszystkich osłów, co do jednego, mamy za sobą, to przecież znaczy całe miasto! Głupiec

Po chwili książę rzekł:

— Mniemam, że te pieniądze są źle schowane.

Duch wstąpił we mnie. Teraz to już na pewno uroni jakieś słówko!

— Dlaczego?

— Bo Maria Joanna jutro zabierze suknie lub przyśle po nie Czarnego, który zobaczy worek. Czy myślisz, że Czarny, widząc złoto, nie wsunie łapy do worka? Pogarda

— Jaką ty masz głowę! — Dziwił się król i zaraz podszedłszy do firanki, zaczął szukać pod nią, tuż przy mnie.

Przyciśnięty do ściany jak deska, prawie nie oddychałem, chociaż febra mnie trzęsła ze strachu na myśl, co ze mną zrobią, gdy mnie przyłapią. Na szczęście król znalazł worek, nie podejrzewając nawet mej obecności. Wziąwszy skarb, włożyli go w słomę siennika, pod piernatem[260], w przekonaniu, że tam jest najbezpieczniejszy, bowiem Czarny, który przyjdzie słać łóżko, wzruszy tylko pierzynę, nie dotykając siennika.

Jednak byli zaledwie na połowie schodów, a już miałem worek i przemknąwszy się z nim do swej izdebki, schowałem go tam tymczasowo. Miałem zamiar wynieść go poza dom, bo byłem pewien, że wszystko przewrócą do góry nogami, gdy spostrzegą stratę pieniędzy. Potem położyłem się nierozebrany i, rzecz prosta, nie mogłem zasnąć. Po niejakim czasie słyszę: król z księciem wracają na górę. Zsunąwszy się [illegible] leżę na podłodze, tuż przy drabinie. Oczy i słuch wytężam, czekając. Ale cicho... Nic!

Przeczekawszy, dopóki się wszystko w całym domu nie uciszyło, zszedłem po cichu z drabiny.



ROZDZIAŁ XXVII

Pogrzeb. — Król bierze się do interesów. — Huck w strachu.

Skradając się na palcach, podsłuchiwałem pode drzwiami obu kompanów, ale chrapali obaj na wyścigi, więc uspokojony zszedłem na dół. Cisza była zupełna. Przez szparę w drzwiach zajrzałem do jadalni, gdzie czuwający przy trumnie spali najsmaczniej, kiwając się na krzesełkach. Z jadalnego pokoju wchodziło się do saloniku, gdzie leżał nieboszczyk, drzwi zaś, łączące oba pokoje, były otwarte; świeciło się i tu, i tam. Salon miał jeszcze drugie drzwi, wychodzące na korytarz, którym zszedłem; i te były otwarte. Zajrzałem, nie ma nikogo prócz nieboszczyka. Zapuszczam się głębiej w korytarz z zamiarem dojścia do głównych drzwi wejściowych. Zamknięte! Klucza nawet nie ma w zamku... Powracam więc niepewny, co czynić, wtem słyszę... Schodzi ktoś ze schodów. Nie mając gdzie się podziać, wpadam do salonu przekonany, że jedynym miejscem dla ukrycia pieniędzy jest trumna... Wieko na niej do połowy zsunięte odkrywało twarz umarłego, przysłoniętą całunem, i górną część korpusu. Zbliżywszy się do trumny, wsunąłem worek pod wieko, poniżej złożonych na krzyż rąk nieboszczyka, których niechcący dotknąłem. Aż mnie dreszcz przeszedł, takie były zimne! Odskoczywszy od trumny, skryłem się za drzwiami. Trup

Osobą schodzącą z góry była Maria Joanna. Powolnym, lekkim krokiem zbliżywszy się do trumny, uklękła przy niej i długo patrzyła na rysujące się przez całun kształty głowy i ramion, a potem cichutko zapłakała, nie wydając żadnego jęku. Wysunąwszy się ze swej kryjówki i mijając drzwi jadalnego pokoju, zajrzałem przez szparę, żeby się upewnić, czy mnie ktoś stamtąd nie widział. Nie! Wszystko było w porządku, śpiący kiwali się na krzesłach jak poprzednio.

Położyłem się nareszcie, ale było mi nijako, miałem tyle zachodu, tyle ryzyka i nie tak się stało, jak potrzeba. Leżę i rozmyślam: jeżeli pieniądze zostaną, gdzie są, to wszystko dobrze, bo jak tylko oddalę się stąd o jakieś sto mil, Maria Joanna, odebrawszy mój list,

[260] *piernat* — pikowany materac wypełniony pierzem. [przypis edytorski]

każe wykopać trumnę, otworzy ją i znajdzie pieniądze. A nuż stanie się całkiem inaczej? A jeśli pieniądze zostaną znalezione przez ludzi, którzy przyjdą zaśrubowywać wieko? Wtedy co? Król je zabierze jak swoje i dużo wody upłynie, zanim ktoś je zdoła odebrać. Brała mnie ochota zejść jeszcze na dół i wyjąć z trumny worek, ale już mi odwagi nie starczyło. Z każdą chwilą ranek był bliższy, mógł więc ktoś obudzić się i schwytać mnie na gorącym uczynku. Cóż wtedy będzie, gdy mnie złapią z sześcioma tysiącami dolarów, których nikt mi przecież nie oddawał do pilnowania?

Gdy zszedłem rano na dół, pokój bawialny był zamknięty i nie było w nim nikogo z obcych, oprócz wdowy Bartley i nas. Uważnie patrzyłem na wszystkich, starając się domyślić z ich twarzy, czy coś nie zaszło, ale twarze nic mi nie powiedziały.

Około południa zjawił się przedsiębiorca pogrzebowy z pomocnikami, ustawił na środku pokoju parę krzeseł, inne zaś porozstawiał w salonie i jadalni. Patrzę, wieko od trumny leży tak samo jak w nocy, ale w obecności tylu osób nie śmiałem zajrzeć pod nie.

Tymczasem ludzie napływali. Panny oraz panowie stryjowie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie krzeseł, w głowach trumny, a goście za nimi. Było poważnie i uroczyście, tylko panienki i stryjowie płakali z cicha, pochyliwszy głowy i trzymając przy oczach chustki. Nie było słychać nic prócz cichego łkania, szurania nóg po podłodze i ucierania nosów, zauważyłem bowiem, że nigdy ludzie nie ucierają tak często nosa, jak na pogrzebie, a czasem także i w kościele podczas pięknego kazania.

Gdy już wszystkie miejsca zajęto, przedsiębiorca, ubrany czarno, stąpając ostrożnie jak kot, zaczął szykować i ustawiać zebranych. Nie wymówiwszy ani słowa, jednych wysuwał naprzód, drugich cofał, innych zbliżał lub oddalał od sąsiadów, najpóźniej przybyłym wskazywał miejsca lub torował im drogę, a wszystko to czynił w milczeniu, na migi, bez prawie żadnego szelestu. Ustawiwszy zebranych, czuwał pod ścianą. Nie widziałem człowieka, który by tak zręcznie jak on skradał się, prześlizgiwał, przeciskał, i pewien jestem, że wędzonej szynce łatwiej się uśmiechnąć niż jemu.

Przy pożyczonym melodykonie[261], skrzypiącym jakoś, usiadła jedna z pań i zaczęła grać. Wszyscy zawtórowali muzyce śpiewem i zrobił się taki hałas, że, moim zdaniem, najprzyjemniej było nieboszczykowi, który nic nie słyszał. Wreszcie śpiew ucichł. Przed trumną stanął wielebny Hobson, lecz gdy uroczyście rozpoczął mowę, podniósł się nagle, jakby spod ziemi, taki wrzask i lament, że aż trzeszczało w uszach. Był to pies, który wył tak zapamiętale, że ksiądz zamilkł, chcąc przeczekać to wycie. A pies wciąż i wyje! Była to bardzo nieprzyjemna rzecz, ale jak jej zaradzić?

Wreszcie długonogi przedsiębiorca, skinąwszy na kaznodzieję, dał mu powiedzieć: „Bądź pan spokojny, ja to biorę na siebie", wyszedł [illegible] zmagało się z każdą chwilą, tak, że nawet własnej myśli człowiek nie m[illegible] minut po zniknięciu przedsiębiorcy w otworze prowadzącym do p[illegible] dało się słyszeć potężne uderzenie. Pies zakończył przeraźliwe wycie j[illegible]m skowytem i umilkł, a wielebny Hobson rozpoczął swoje kazanie od t[illegible] na którym je urwał. I znów za chwilę było widać ramiona przedsiębiorcy p[illegible]ące się pod ścianami prędko, cicho, jakby się ślizgał lub płynął. Wróciwszy, zasł[illegible] rękami i ponad ludzkimi głowami rzucił kaznodziei dwa wyrazy wymówione g[illegible]m szeptem: „Złapał szczura!". Trzeba było widzieć zadowolenie, jakie się odmalowało na wszystkich twarzach, bo naturalnie wszyscy chcieli wiedzieć przyczynę psiego lamentu. Taka drobnostka, niby nic nie znacząca, zyskuje człowiekowi życzliwość i poważanie otoru. Nie dziwi mnie też wcale popularność, którą cieszył się w miasteczku przedsiębior[illegible] — zasługiwał na nią zupełnie.

Po mowie pastora, bardzo dobrej, lecz trochę zbyt rozwlekłej i nudnej, zabrał się do głosu król, plotąc trzy po trzy. Gdy na koniec przebrzmiały jego słowa, zbliżył się przedsiębiorca do trumny i zaczął wieko przyśrubowywać. Aż poty na mnie uderzyły! Na szczęście obyło się bez niespodzianki. Wieko dociągnął, dopasował, zaśrubował cicho, zręcznie, prędko. Już po wszystkim! A ja nie wiem, czy pieniądze są w trumnie, czy nie... A nuż, myślę sobie, wyciągnął ktoś worek ukradkiem? A jeśli po moim liście Maria Joanna każe wykopać trumnę i nic nie znajdzie... Co wtedy będzie? Co ona o mnie pomyśli?

[261] *melodykon* (muz.) — fisharmonia, klawiszowy dęty instrument muzyczny, używany w kaplicach i niewielkich kościołach zamiast organów. [przypis edytorski]

Mogą mnie jeszcze wsadzić do więzienia. Niech tam! Myślę sobie... Niech pieniądze przepadną! Będę siedział cicho, nie napiszę ani słowa, niech się dzieje, co chce... Chciałem wszystko dobrze urządzić, a jest gorzej, niż było, sto razy gorzej, niechaj więc wszystko diabli wezmą!...

Wreszcie pochowano nieboszczyka. Wieczorem król ruszył w odwiedziny do przyjaciół, którym wśród różnych czułości napomknął, że parafianie wyglądają go z upragnieniem, że śpieszyć się musi z interesami, ze sprzedażą majątku, żeby czym prędzej wracać do domu, gdzie nikt nie może go zastąpić. Przy czym nadmienił, że obaj z Williamem postanowili zabrać do Anglii dziewczęta.

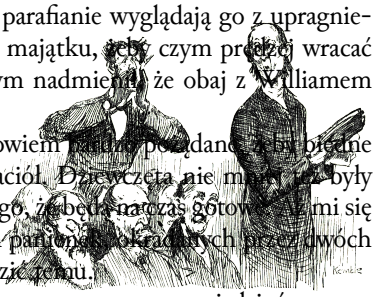

Wiadomość ta pozyskała ogólne uznanie, było bowiem [illegible] pożądane, aby biedne sieroty powróciły do ojczyzny, do krewnych i przyjaciół. Dziewczęta nie mogły [illegible] były zadowolone i nagliły stryja do sprzedaży, zapewniając go, że będą naczas gotowe. [illegible] mi się serce krajało, gdy patrzyłem na radość tych biednych panienek, okradanych przez dwóch niegodziwców, ale nie w mojej mocy było przeszkodzić temu.

Handel, Pozycja społeczna

Licytacja Czarnych, gruntów i domów została wyznaczona na trzeci dzień po pogrzebie, „kto by zaś chciał kupić z wolnej ręki przed tym terminem, może to uczynić bez przeszkody".

Nazajutrz przyjechali dwaj kupcy, którym król sprzedał troje Czarnych po bardzo przystępnej cenie, dwóch synów do Memphis[262], a matkę do Orleanu. Myślałem, że i Czarnym, i panienkom serce pęknie przy pożegnaniu, tak rzewnie wszyscy płakali; mnie samemu aż łzy stały w oczach. Nigdy, choćbym miał żyć sto lat, nie zapomnę, jak Czarni rzucali się na szyje panienkom, jak całowali je po rękach, jak one same płakały, oddając im pocałunki i uściski! Byłbym chyba nie wytrzymał i do wszystkiego się przyznał, gdybym nie był wiedział, że taka podstępna sprzedaż jest nieważna i że za jakiś tydzień lub dwa Czarni powrócą do domu.

Sprzedaż ta narobiła w mieście hałasu i nie podobała się ludziom. Gorszono się takim rozłączeniem matki z dziećmi, mówiono, że stary Piotr nigdy by tego nie uczynił, że brat i spadkobierca powinien by postępować według przekonań nieboszczyka. Opinia zwróciła się przeciw królowi, ale stary osioł z uporem szedł na przebój, nie zważając na perswazje księcia, który doradzał ostrożność i ganił postępowanie swego towarzysza.

Następny dzień miał być dniem licytacji. O świcie ktoś mnie budzi. Patrzę: król i książę stoją przy mnie mocno zgnębieni.

— Byłeś przedwczoraj w moim pokoju? — pyta król.

— Nie, najjaśniejszy panie. — Bo tak zawsze kazał mówić do siebie nie przy obcych.

— A wczoraj rano albo wieczorem?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Daj słowo, że mówisz prawdę.



— Daję słowo, najjaśniejszy panie, że mówię prawdę. Nie byłem w pobliżu twojego pokoju, odkąd panna Maria Joanna przekazała go tobie i księciu.

— A nie widziałeś, żeby tam kto wchodził? — pyta znów książę.

— Nie, jaśnie oświecony książę, nie pamiętam, żebym kogo [illegible]

— Przypomnij sobie.

Udałem, że sobie przypominam, i korzystając z myśli [illegible]

— Widziałem, że wchodzili tam parę razy Czarni.

Aż ich podrzuciło obydwóch. Z początku niby zdziwieni, zrobili potem taką minę, jakby się tego właśnie spodziewali.

— Jak to! Wszyscy razem?

— Nie, nie wszyscy, a przynajmniej nie wszyscy od razu. Zdaje mi się nawet, że raz tylko widziałem, jak kilku razem wychodziło z pokoju.

— Kiedyż to było?

— W sam dzień pogrzebu, rano. Dość późnym nawet rankiem, bo zaspałem tego dnia. Schodziłem właśnie po drabinie, gdy ich zobaczyłem.

— No, mówże dalej, mów... Cóż oni robili?

— Nic nie robili. Wyszli z pokoju na palcach i na palcach odeszli.

[262] *Memphis* — miasto i ważny port rzeczny w środkowej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Tennessee, nad rzeką Missisipi; nazwa pochodzi od miasta Memfis w starożytnym Egipcie. [przypis edytorski]

— To oni! Niewątpliwie oni! — zawołał król z wielce zafrasowaną miną. Stali przez chwilę zakłopotani, aż wreszcie książę śmiejąc się, jakby ktoś pociągał piłą po szkle, rzecze:

— Nikt tak nie umie udawać jak Czarni. Kto by to pomyślał! Na całe gardło szlochali, wyjeżdżając! Gdybym miał kapitał na założenie teatru, zaraz bym ich wziął na aktorów, a tanio ich sprzedałem... Za tanio!

Pogarda

— Książę, a gdzie jest przekaz wystawiony przez ich nabywcę?

— Gdzież ma być? W banku. Jutro dopiero płatny.

— Chwała Bogu! Nic nie stracone.

Wtedy ja, udając nieśmiałego, wtrącam:

— A czy się stało co złego?

— A tobie co do tego? — wrzasnął król. — Pilnuj własnego nosa i własnych interesów, jeśli masz jakieś. Rozumiesz?!

— Trzeba trzymać język za zębami — rzekł do księcia — i nikomu nie mówić słowa. Na wekslu jest podpis nabywcy, przez niego trafimy do Czarnych. Tymczasem ani mru-mru... Nikomu!

Schodzą z drabiny, a książę znów, niby z uśmiechem, rzecze:

— Prędko się sprzedało i niewiele zarobiło. Zawsze tak bywa!...

— Chciałem zrobić jak najlepiej — odciął się król ze złością. — Wiedziałaś przecież, że nam pilno. Jeżeli grozi nam strata... której zresztą może zapobiegnę, czyja w tym wina? Tak samo twoja, jak i moja!

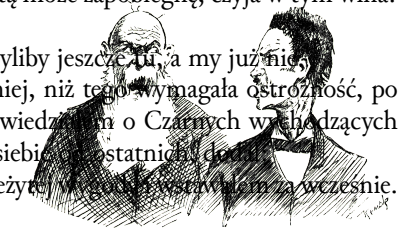

— Gdybyś był słuchał mojej rady, to Czarni byliby jeszcze tu, a my już nie.

Król znów coś na to odburknął, i nawet głośniej, niż tego wymagała ostrożność, po czym złajał mnie za to, że mu natychmiast nie powiedziałem o Czarnych wychodzących z jego pokoju, i na końcu zwymyślawszy samego siebie za ostatnich [illegible] dodał:

— Wszystko dlatego, że odmówiłem sobie należytej wypoczynku i wstałem za wcześnie. Diabła zjem, jeżeli to kiedyś uczynię.

Gdy odeszli, byłem wielce rad, zwaliwszy wszystko na Czarnych, którym przecież nie zaszkodziłem.

ROZDZIAŁ XXVIII

W drogę! — „A, niegodziwiec!" — Król Jaki Taki. — Maria Joanna wychodzi z domu. — Pożegnanie Hucka z Marią Joanną. — Skrupuły. — Nowi bracia.

Gdy przyszła pora wstawania, odziałem się i zszedłem na dół. Przechodząc koło pokoju panienek, przez otwarte drzwi spostrzegłem Marię Joannę klęczącą przy swoim kufrze przygotowanym do drogi do Anglii! Jednak zamiast pakować rzeczy, przysiadła przed kufrem i zakrywszy twarz rękoma, tak płakała, jakby jej serce miało pęknąć. Silnie wzruszony, wchodzę i mówię:

— Panienka nie może patrzeć, jak ludzie płaczą, i ja nie mogę. To jest... Czasem nie mogę... Jak kiedy... Niech mi panienka powie, dlaczego płacze?

Powiedziała. Jak pomyślałem, tak było! Płakała z żalu nad Czarnymi. Całą przyjemność podróży do Anglii psuła jej myśl o ich niedoli. Nigdy, nigdy nie potrafi czuć się szczęśliwa, wiedząc, że ta biedna matka został na zawsze rozłączona z dziećmi, że już ich nigdy nie zobaczy... Łkając coraz rzewniej, łamała ręce z rozpaczy:

— Ach! Nie mogę... Nie mogę myśleć o tym, że oni się już nigdy nie zobaczą.

— Nie! — powiadam. — Zobaczą się, i to nie dalej jak za dwa tygodnie. Z pewnością się zobaczą!

Masz tobie! Ani wiedziałem, kiedy mi się wyrwały te słowa... Jeszcze ust zamknąć nie zdołałem, a ona, ramionami otaczając mi szyję, woła:

— Z pewnością, mówisz? Powtórz to jeszcze!

Widzę więc, że się wygadałem za wcześnie, powiedziałem za wiele i że ze mną krucho. Gdy się zamyśliłem, ona nic nie mówiąc, w oczy mi patrzyła z niecierpliwością, śliczna jak malowanie i taka zadowolona, jak po wyrwaniu chorego zęba. A ja milczę i rozmyślam. Nie wiem, nigdy tego bowiem nie doświadczyłem... ale podobno naraża się człowiek, gdy mówi prawdę... Tak mi mawiano. Tu zaś inaczej: niech na poczekaniu wyłysieję, jeżeli w tym wypadku nie jest lepiej, a nawet bezpieczniej, powiedzieć prawdę niż kłamstwo!

Prawda

Muszę sobie ten wypadek zachować w pamięci i w wolnej chwili o nim pomyśleć, bo nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłem. „Ha! Cóż robić! — powiadam sobie na koniec. — Spróbuję tym razem prawdy, niech mnie to kosztuje". Powiem, jak jest... Pomimo że to będzie dotknięcie świecą beczułki z prochem... Niechaj się dzieje, co chce, a powiem!

— Czy panienka ma tu w mieście kogoś takiego, co by mieszkał trochę na uboczu, a był dobrym znajomym?

— Mam.

— Nie mogłaby panienka pójść tam i zabawić ze trzy, ze cztery dni?

— Mogłabym... do państwa Lothrop... Dlaczego?

— Jeżeli ja panience powiem, skąd wiem, że Czarni zobaczą się znów ze swoją matką najdalej za dwa tygodnie i to tu... w tym samym domu... Jeżeli dowiodę, skąd to wiem... czy panienka pójdzie do państwa Lothrop?

— Choćby na cały rok!

— Skoro panienka daje słowo, to już dobrze... Słowu panienki więcej wierzę, niż gdyby kto drugi przysięgał na Biblię.

Maria Joanna zarumieniła się bardzo ładnie, ja zaś, postanawiając prowadzić naszą rozmowę przy zamkniętych drzwiach, pytam, czy pozwoli je zamknąć. Gdy przystała, zamknąwszy drzwi, mówię:

— Niechże panienka nie podniesie krzyku, usłyszawszy to, co jej powiem. Proszę siedzieć cichutko i przyjąć odważnie, po męsku, moje słowa, gdyż prawda, którą wyjawię, jest brzydka i ciężka do zniesienia, ale... Prawda!

Czytając pytanie w oczach wystraszonej Marii Joanny, mówię:

— Ci stryjowie panienek nie są wcale stryjami. To para włóczęgów, oszustów, obieżyświatów. Uf! Najgorsze już powiedziałem! Reszta jest niczym w porównaniu z tym.

Aż się mieniła, słuchając, ale już przebrnąłem przez najgorsze, więc jadąc dalej, opowiedziałem jej wszystko od początku, to jest od spotkania owego gapia oczekującego na parowiec, aż do chwili, gdy ona, stojąc we drzwiach, rzuciła się królowi na szyję. Ale gdy doszedłem do tego, skoczyła z miejsca jak oparzona, wołając z purpurową twarzą:

— A niegodziwiec! Ani minuty nie traćmy, ani sekundy. Zaraz się tu z nimi rozprawią: w smole wykąpią, w pierzu utarzają i do rzeki wrzucą obydwóch!

— I owszem — odpowiadam — ale kiedy? Zanim panienka pójdzie do państwa Lothrop czy też...

— Ach! Prawda. Co też ja mówię! — I znów siada spokojnie. — Zapomniałam się... Zapomniałam o swej obietnicy. Przepraszam cię. — I aksamitną rączką [illegible] mojej tak pieszczotliwie, że w ogień bym za nią pośpieszył.

— Mów dalej, mów... Będę słuchała spokojnie... Pierwsze wrażenie już minęło. Powiedz mi, co mam czynić, a zrobię wszystko, co powiesz...

— To nie byle jakie łotry, panienko, i trzeba z nimi ostrożnie [illegible] Złożyło, że czy chcę, czy nie chcę, muszę z nimi odbywać podróż. Wolałbym [illegible] Dlaczego. Gdyby się całe miasto dowiedziało, co to za ptaszki, byłoby mi [illegible] ale ucierpiałby na tym ktoś drugi, kogo panienka nie zna, ale ja zn[illegible] Tego drugiego nie można narażać, prawda, panienko? A kiedy tak, t[illegible] w czasie trzeba oszczędzać.



Właśnie w tej chwili przyszła mi do głowy szczęśliwa myśl, [illegible] mogę siebie i Jima uwolnić od niepożądanych towarzyszów: zostawić ich tu w więzieniu, a samemu drapnąć. Że jednak nie miałem ochoty pędzić na [illegible] dzień, kiedy co krok można kogoś spotkać i co chwila trzeba by odpowiadać na pytania, więc też odłożyłem wykonanie planu do nocy, i to nawet do późnej nocy. Tymczasem zaś mówię:

— Ja panience powiem, jak trzeba zrobić, żeby uniknąć drugiego pobytu u państwa Lothrop. Czy to daleko?

— Prawie cztery mile.

— To w sam raz. Niechże panienka tam posiedzi u nich do dziewiątej wieczorem i powróci, ale nie sama. Koniecznie trzeba, żeby ktoś panienkę odprowadził przed jedenastą. Po powrocie proszę postawić tu, w tym oknie, zapaloną świecę i czekać do jedenastej. Gdy wybije ta godzina, a ja się wcale nie pokażę, to będzie znaczyło, że mnie tu nie ma, żem już daleko i bezpieczny. Wtedy może panienka postarać się o to, aby obu niegodziwców wsadzono do więzienia.

— Dobrze — odpowiada — uczynię to.

— Gdybym zaś nie uciekł, lecz był razem z nimi uwięziony, to panienka ujmie się za mną, opowiedziawszy o wszystkim. Czy będzie mnie panienka broniła z całej siły?

— Ma się rozumieć, że będę. Włos ci z głowy nie spadnie — odrzekła i widzę, że jej się nozdrza rozszerzają, a oczy iskrzą.

— Jeśli ucieknę — mówiłem dalej — to nie będzie mnie tu, aby dowieść, że ci dwaj urwipołcie nie są stryjami panienki, a mógłbym dowieść, gdybym został. Pod przysięgą bym zeznał, co to za ptaszki... Opowiedziałbym wszystko, a to coś znaczy. Są wszakże inni... Tacy, którzy lepiej to zrobią ode mnie... Tacy, o których nikt nie będzie powątpiewał, że mówią prawdę, którym prędzej niż mnie uwierzą. I zaraz panience powiem, gdzie ich znaleźć. Proszę tylko o ołówek i papier. O... jest! „Bricksville. Król Jaki Taki". Niech panienka dobrze to schowa. Jeżeli sąd zechce mieć pewne wiadomości o stryjach, pośle tylko do Bricksville z zawiadomieniem, że znaleziono ludzi, którzy przedstawiali „wielką tragedię", i zawezwie świadków; całe miasto zleci się tu, zanim panienka zdąży kiwnąć palcem. A gdy świadkowie się stawią, nie ma obawy o resztę!

Zdawało mi się, że powiedziałem wszystko, co trzeba, żeby ułatwić Marii Joannie pozbycie się z domu wydrwigroszów.

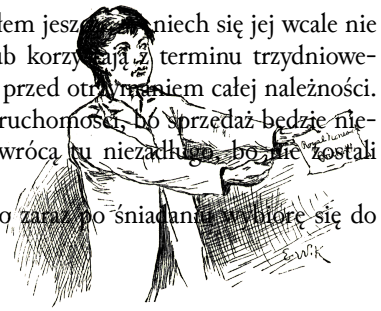

— Niech panienka dopuści do licytacji — dodałem jeszcze — niech się jej wcale nie obawia. Nabywcy dają przekazy płatne nazajutrz lub korzystają z terminu trzydniowego. Stryjowie mają więc związane ręce i nie wyruszą przed otrzymaniem całej należności. Mniejsza więc o to, za jaką cenę sprzedadzą domy i ruchomości, bo sprzedaż będzie nieprawna[263]. Tak samo rzecz ma się z Czarnymi: powrócą tu niezadługo, bo nie zostali sprzedani.

— No, skoro tak — rzecze Maria Joanna — to zaraz po śniadaniu wybiorę się do państwa Lothrop.

— Tak nie można! Trzeba iść przed śniadaniem.

— Dlaczego?

— Dlaczegóż ja namawiam, żeby panienka poszła?

— Co prawda, nie pomyślałam o tym.

— A to dlatego, że panienka nie ma twarzy obszytej w grubą skórę. Twarz panienki to jak książka. Można na niej czytać najdoskonalej. Czyż panienka potrafi spojrzeć w oczy stryjom i mówić z nimi jak wczoraj, uśmiechać się, nie mrugnąć okiem, gdy zechcą panienkę pocałować na dzień dobry?

— Nie! Nie! Przestań... Przestań! Tak! Pójdę przed śniadaniem... Nie zniosłabym tego. Ale jakże z nimi zostawię siostry?

— Próżna obawa!... Nic im się tu nie stanie, a stryjowie mogliby coś podejrzewać, gdyby panienki wszystkie z domu wyszły. Radziłbym nawet, żeby panienka już się z siostrami nie widziała, ani z kimkolwiek, bo gdyby kto spytał znienacka o zdrowie stryjów, panienka zdradziłaby się z pewnością. Niech już panienka idzie jak najprędzej, a ja tu ze wszystkimi dam sobie radę. Powiem panience Zuzi, żeby pocałowała stryjów od starszej siostry, która musiała wyjść z domu na kilka godzin, żeby trochę wypocząć i odwiedzić dobrych przyjaciół.

— Że poszłam odwiedzić dobrych przyjaciół, to powiedz, bo prawda, ale nie chcę, żebyś mówił Zuzi o całowaniu stryjów, bo to nieprawda.

— No, to nie powiem, skoro panienka nie chce.

Co mi szkodziło przyrzec jej, że nie powiem, gdy tego chciała? Swoją drogą wiedziałem, że powiem. Mała to rzecz, drobiazg... ale z takich drobiazgów nieraz największe ułatwienie.

— A co do tego worka z pieniędzmi... — dodałem wreszcie...

— Cóż robić? Już go mają! Muszę się wstydzić własnej głupoty, gdy pomyślę, jak wpadł w ich ręce.

— Myli się panienka. Oni nie mają worka.

— Któż go ma?

— Ba! Żebym ja to wiedział... Ale nie wiem. Ja go miałem, bo wykradłem go po to, żeby go oddać panienkom... Wiem nawet, gdzie być powinien... Sam go schowałem...

[263] *nieprawny* — niezgodny z prawem. [przypis edytorski]

Ale boję się, czy go stamtąd nie wykradziono. Gdy niosłem worek, usłyszałem, że ktoś idzie... Bojąc się, żeby mnie nie posądzono o kradzież, schowałem go w miejsce, które mi się pierwsze nawinęło. Czy to jednak bezpieczne schowanie, tego nie wiem.

— Nie rób sobie wymówek! Wiem, że chciałeś zrobić jak najlepiej... Jeżeli pieniądze przepadły, to nie twoja wina. Gdzie je ukryłeś?

Nie chcąc jej znów przywodzić na myśl bolesnych wrażeń ostatnich dni, nie mogłem wykrztusić prawdy.

— Wolałbym nie mówić tego panience i jeżeli można, niech panienka na to pozwoli. Napiszę jednak, wyraźnie napiszę... i panienka, idąc już do państwa Lothrop, będzie wiedziała o wszystkim. Dobrze? Pozwoli panienka?

— I owszem.

Napisałem więc: „Włożyłem worek do trumny tej nocy, kiedy to panienka uklękła i płakała. Stałem wówczas za drzwiami, serdecznie współczując z panienką".

Łzy mi nabiegły do oczu, gdy sobie przypomniałem, jak ta biedaczka płakała w późną noc, sama jedna przy trumnie, oddana w moc dwu nędzników, którzy pod jej własnym dachem zmówili się na nią i na jej siostry.



Złożywszy kartkę, oddałem jej, a ona ze łzami w oczach ścisnęła mnie silnie za rękę, jak kolega, i mówi:

— Bywaj zdrów, Huck. Słowo w słowo zrobię wszystko, jak zaleciłeś, a gdybym cię już nawet nie zobaczyła, nigdy o tobie nie zapomnę... Będę często myślała o Hucku, o dobrym, uczciwym chłopcu, o swoim szczerym przyjacielu, i będę się modlić za ciebie. Bądź zdrów!

Dobro

Gdyby wiedziała, jaki jestem, nie podejmowałaby się trudu nad siły... Choć nie! Nawet wiedząc wszystko, modliłaby się za mnie — bo taką już miała naturę! Gotowa była modlić się nawet za Judasza, bo była do dna szczera i dobra.

Nie widziałem jej na oczy od chwili, gdy pożegnawszy się ze mną, wyszła ze swego domu... Ale zdaje mi się, że myślałem o niej milion razy... I o jej obietnicy modlenia się za mnie! A gdybym wierzył, że modlitwa za nią lepszym mnie uczyni, to słowo daję, że i ja także bym się modlił.

Maria Joanna wyszła z domu zapewne tylnymi drzwiami, bo nikt jej nie widział wychodzącej. Ja zaś, spotkawszy Zuzannę i Zajączka, pytam je:

— Jak się nazywają ci państwo z tamtego brzegu rzeki, co to są w przyjaźni z panienkami?

— Dużo tam mamy znajomych — odpowiadają — ale najczęściej bywamy u państwa Proctor.

— Otóż to! — powiadam. — Ci sami! A ja zapomniałem nazwiska. Właśnie starsza panienka tam poszła, śpiesząc się bardzo, bo ktoś chory.

— Kto?

— Nie wiem kto... Wprawdzie panienka mówiła, lecz zapomniałem. Zdaje mi się jednak...

— Ach, Boże! Czy aby nie Hanna?

— Przykro mi martwić panienki, ale... Hanna.

— Co za nieszczęście! Przed tygodniem była jeszcze zupełnie zdrowa. Czy niebezpiecznie chora?

— E! Nie ma o co pytać... Starsza panienka mówiła, że całą noc wszyscy przy niej siedzieli i że już nie przeżyje kilku godzin.

— No! Patrzcie państwo! Cóż jej jest?

Nie mogąc wymyśleć czegoś lepszego, rzekłem:

— Skrofuły[264].

— Pleciesz! Przy chorych na skrofuły nikt nie siaduje w nocy.

— Dlaczego nie? A ja panience powiadam, że przy Hannie siedzieli wszyscy. To zupełnie inne skrofuły. Jakiś nowy gatunek, mówiła starsza panienka.

[264] *skrofuły* (daw.) — skrofuloza, gruźlica węzłów chłonnych szyi; choroba objawiająca się obrzękiem i ropieniem węzłów chłonnych występujących na szyi, uaktywniająca się u osób żyjących w złych warunkach higienicznych; obecnie rzadko spotykana. [przypis edytorski]

— Jak to, nowy gatunek?

— A tak, połączony z innymi chorobami!

— Z jakimi?

— Spamiętać trudno: z odrą, z kokluszem[265], z różą, z trawiącą gorączką, z żółtą febrą[266], z zapaleniem mózgu i już sam nie wiem z czym więcej.

— O mój Boże! I to wszystko skrofuły?

— Tak przynajmniej mówiła starsza panienka.

— No, więc dlaczegóż nazywają to skrofułami?

— Dlatego, że to są skrofuły. Od nich się wszystko zaczęło.

— To nie ma sensu. To tak samo, jak gdyby ktoś na zapytanie, co się stało temu człowiekowi, który stłukłszy sobie palec u nogi, zażył potem truciznę, wpadł w studnię, kark skręcił, roztrzaskał czaszkę, otrzymał niedorzeczną odpowiedź: stłukł sobie palec u nogi! Gdzież tu sens w tej odpowiedzi? Tak samo go nie ma w [illegible] gadaniu. Czy choroba Hanny zaraźliwa?

— Czy zaraźliwa? Jak można pytać o to?! Czy brona[267] jest zaraźliwa? Nie. Nie, jeżeli po ciemku idąc, upadnie na nią panienka, to się z pewnością zaczepi, jeżeli nie o jeden ząb, to o drugi. Zaczepiona o jeden ząb, pociągnie panienka za sobą całą bronę. Czy nie tak? Otóż ten gatunek skrofułów podobny jest do brony i to nie byle jakiej, wyszczerbionej, ale porządnej, całej. Kto się o nią zaczepi, ten przepadł.



Choroba

— Okropność! — rzecze Zajączek. — Zaraz pójdę do stryja Harveya i...

— Proszę się minutkę zastanowić. Czy stryjowie nie są zmuszeni wracać do Anglii, i to jak najśpieszniej? Czy panienka przypuszcza, że odjadą sami jak ludzie bez serca, zmuszając panienki do odbycia takiej podróży bez opieki? Będą czekali, to wiadomo! No, dobrze... A teraz dalej. Stryj Harvey jest kaznodzieją, prawda? Dobrze! Czy kaznodzieja jest zdolny wprowadzić w błąd kapitana okrętu? Czy może zezwolić, żeby starsza panienka weszła na okręt? Nie! I panienka wie o tym, że nie. Cóż więc stryj zrobi? Pójdzie do kapitana albo do urzędnika, który sprzedaje bilety, i powie: „Bardzo mi przykro, ale moi pobożni słuchacze będą musieli obywać się beze mnie. Niechaj sobie radzą, jak mogą, ale moja bratanica była wystawiona na zetknięcie ze strasznymi skrofułami *e pluribus unum*[268], uważam więc za święty obowiązek zostać tu i czekać całe trzy miesiące, dopóki się nie przekonam, czy nie uległa zarazie". Tak stryj postąpi z pewnością. Ale mniejsza o to, jeżeli panienka uważa, że trzeba zaraz iść do stryja i wszystko mu powiedzieć...

— Tak! I siedzieć tu trzy miesiące, zamiast być w Anglii, gdzie nas czeka tyle przyjemności. Zamiast się bawić, wyczekiwać, czy Maria Joanna dostanie skrofułów, czy nie? Dziękuję! Ani myślę...

— Kto wie, panienko! Może lepiej będzie powiedzieć komu z sąsiadów?

— Słuchaj, Huck, nie bądź głupi, jeżeli możesz. Jak to? Nie rozumiesz, że każdy z nich natychmiast wypaple? Nie, jedyny sposób to nic nikomu nie mówić.

— Może to i racja... Tak, zdaje mi się, że panienka ma rację.

— Ale ja myślę, że powinniśmy uprzedzić stryja o nieobecności Marii Joanny, bo będzie o nią niespokojny.

— Tak, panienka o to prosiła, mówiąc: „Powiedz moim siostrom, niech pocałują ode mnie stryjów i oznajmią im o mojej wycieczce do państwa...". Jakże się nazywają ci państwo... tacy bogaci... co to nieboszczyk stryj tak ich poważał i lubił? Ci, co to...

— Państwo Apthorp, chcesz pewno powiedzieć. Tak?

— Ci sami! Niech licho weźmie tutejsze nazwiska, człowiek nie może spamiętać. Tak, ci sami! Mówiła panienka, że do nich pobiegnie i poprosi, żeby koniecznie przyszli na licytację i zgodnie z życzeniem stryja Piotra kupili ten dom. Potem, jeżeli panienka nie będzie bardzo zmęczona, powróci do domu na noc, w przeciwnym zaś razie przenocuje i powróci dopiero jutro. Panienka dodała jeszcze: „Nie wspominajcie ani słowa

[265] *koklusz* — krztusiec; ciężka i długotrwała infekcja górnych dróg oddechowych. [przypis edytorski]

[266] *żółta febra* — tropikalna choroba przenoszona przez komary, w postaci ciężkiej objawiająca się nawracającą gorączką oraz uszkodzeniami wątroby powodującymi żółtaczkę (żółte zabarwienie skóry i białkówek oczu). [przypis edytorski]

[267] *brona* — narzędzie do spulchniania i wyrównywania zoranej ziemi. [przypis edytorski]

[268] *e pluribus unum* (łac.) — jedno uczynione z wielu; motto na pieczęci USA. [przypis edytorski]

o Proctorach, tylko powiedzcie, że poszłam do państwa Apthorp". Co zresztą i prawda, bo panienka poszła do nich namawiać na kupno tego domu. Sama mi to mówiła!

— Dobrze, dobrze — odpowiedziały obie i pobiegły do jadalnego pokoju przygotować wszystko do śniadania, ucałować stryjów od Marii Joanny i powtórzyć im wszystkie wiadomości.

Stało się więc po mojej myśli. Dziewczęta nic nie powiedzą stryjom, bo gwałtem chcą jechać do Anglii, a król i książę będą woleli dowiedzieć się, że Maria Joanna poszła w sprawie sprzedaży domu, niż gdyby siedziała tu, gdzie w każdej chwili spotkać się może z doktorem Robinsonem. Byłem więc bardzo rad z siebie w przekonaniu, że nawet sam Tomek Sawyer nie mógłby sprytniej się znaleźć[269]. Ma się rozumieć, że wziąłby się do rzeczy i zręczniej, i z większą elegancją, odebrawszy odpowiednie wykształcenie.

Licytacja odbywała się na placu miejskim i trwała dość długo, a stary król nie odstępował od boku kasjera, który zgarniając pieniądze od nabywców z poważną i godności pełną miną, przytaczał od czasu do czasu jakieś zdanie z Pisma Świętego. Książę kręcił się pomiędzy ludźmi, wzbudzając swoim „agu-gu-gu-u..." powszechne politowanie.

Sprzedaż przeciągnęła się do wieczora, ale na koniec wszystko sprzedano. Pozostał tylko kawałek gruntu na cmentarzu.

Król koniecznie nalegał, żeby i z tym skończyć, gdyż był chciwy. Targowano się właśnie o ten ostatni kawałeczek, gdy jakiś parowiec wyrzucił na ląd mnóstwo ludzi, którzy krzyczą, śmieją się, wymyślają, a wśród zamętu słychać te słowa:

— Opozycja przyjechała! Opozycja! Nowi spadkobiercy starego Piotra Wilksa! Jest w czym wybierać.



ROZDZIAŁ XXIX

Wątpliwości. — Król daje objaśnienia. — Próba pisma. — Tatuowanie. — Otwierają trumnę. — Huck się wymyka.

Przyczyną całego hałasu i zbiegowiska był niemłody pan o bardzo przyzwoitej powierzchowności, obok którego szedł drugi, znacznie młodszy, przystojny, z ręką na temblaku. Ludzie na pół ze śmiechem, a na pół z gniewem krzyczeli wszyscy na całe gardło.

Nie mogłem tego brać za żarty i zdawało mi się, że tak król, jak i książę zrozumieli dobrze, o co chodzi. Myślałem, że choć pobledną. Ale gdzie tam! Książę potrafił nawet udać, że się niczego nie domyśla, tylko ciągle po swojemu gugał, wesoły i uśmiechnięty, zupełnie jak butelka z ciasną szyjką, z której bulgocząc, wylewa się gęsta maślanka. Król zaś spoglądał na nowo przybywających z takim smutkiem, jakby rozpaczał, że mogą się znajdować na świecie podobni szalbierze i oszuści. A udawał tak znakomicie, że najprzedniejsi ludzie zaraz się zebrali koło niego, jakby chcąc mu okazać swoją życzliwość. Stary pan, nowo przybyły, patrzył tylko ze zdziwieniem i zdawał się nie rozumieć, o co idzie. Prędko jednak opamiętał się, oprzytomniał i zaczął mówić. Zaledwie powiedział kilka słów, zaraz poznałem, że nie król, lecz on wymawia po angielsku. Król naśladował wprawdzie i język, i wymowę angielską nienajgorzej, ale od razu poznałem, że naśladował. Nie mogę powtórzyć ściśle słów starego pana, bo i niedobrze pamiętam, i wymówić bym nie potrafił. Mniej więcej jednakże tak prawił:

— To, co tu zastałem, jest niespodzianką, na którą, szczerze mówiąc, nie byłem przygotowany. Obaj z bratem doznaliśmy niefortunnych przygód w ciągu podróży. On złamał prawą rękę, a obaj pozostaliśmy chwilowo bez bagażu, który skutkiem fatalnej dla nas pomyłki złożono wczoraj wieczorem w przystani miasteczka odległego stąd o kilka mil. Jestem Harvey Wilks, brat Piotra, a to nasz młodszy brat William, głuchoniemy, który teraz skutkiem wypadku nawet palcami nie może się ze mną porozumiewać. Tożsamość naszych osób stwierdzą dowody, które za parę dni, po otrzymaniu bagaży, przedstawimy. Do tego czasu nic więcej nie powiem, tylko będę czekał w hotelu.

Co opowiedziawszy, odszedł z niemową, a król śmiejąc się głośno, zawołał:

[269] *znaleźć się* — tu: zachować się. [przypis edytorski]

— Złamał rękę! Jakie to podobne do prawdy! Jak się w porę trafiło dla oszusta, który powinien rozmawiać na migi, a nie umie! Pomyłka z bagażem! I to dobre! Dobre, a nawet, ze względu na okoliczności, bardzo dowcipne!

Tu znów zaczął się śmiać, a razem z nim wszyscy obecni, z wyjątkiem najwyżej kilku. Jednym z nich był doktor, drugim jakiś pan o przenikliwym spojrzeniu, ze staroświecką torbą krzyżowej roboty w ręku, świeżo przybyły na parowcu. Rozmawiał on półgłosem z nowym bratem, od czasu do czasu potakując mu głową i zerkając w stronę króla. Był to Levi Bell, adwokat, który jakoby miał pojechać do Louisville. Nie śmiał się także barczysty, z prosta odziany mężczyzna, który uważnie wysłuchawszy nowego brata, pochłaniał teraz mowę króla.

Gdy król skończył, nieznajomy podszedł do niego i rzecze:

— Słuchaj no, jeżeliś Harvey Wilks, to powiedz, kiedyś przyjechał?

— W przeddzień pogrzebu, drogi panie.

— O której godzinie?

— Wieczorem, na godzinę lub dwie przed zachodem.

— Czym przyjechałeś? Jak?

— Statkiem „Zuzanna Powell", idącym z Cincinnati.

— Jakimże więc sposobem mogłeś być rano w Pint, gdzie cię widziano na łodzi?

— Nie byłem rano w Pint.

— To kłamstwo!

Kilku mężczyzn rzuciło się ku niemu z prośbą, żeby nie przemawiał w ten sposób do człowieka starego i kaznodziei.

— Co tam za kaznodzieja, oszust i kłamca. Tego właśnie ranka był w Pint. Przecież tam mieszkam, sami wiecie. Otóż mówię wam, że ja tam byłem i on tam był. Widziałem go na własne oczy. Przybył w łodzi w towarzystwie młodego chłopca.

— Czy poznalibyście tego chłopca, Hines?

— Zdaje mi się, że tak, ale nie ręczę. Ale ot... Ot: on! On tu stoi... Poznaję go jak najwyborniej.

Gdy wskazał na mnie, doktor rzekł:

— Sąsiedzi, nie wiem, czy ci, którzy teraz przyjechali, są oszustami lub nie, jeżeli jednak nimi nie są, to jestem idiotą. Uważam też za nasz obowiązek pilnować, żeby się stąd nie oddalali, dopóki nie wejrzymy w całą tę sprawę. Chodź ze mną, Hines, chodźcie i wy wszyscy. Zaprowadzimy tych ludzi do szynkowni[270] i postawimy ich twarzą w twarz z tamtymi dwoma, a mniemam, że się czegoś dowiemy.

Tłumowi tylko w to graj, zwłaszcza że przyjaciele króla spuścili nieco nos na kwintę. Ruszyliśmy więc wszyscy. Słońce miało się już ku zachodowi. Doktor wiódł mnie za rękę. Chociaż nic mi złego nie robił, ale mojej ręki nie puszczał.

Wszyscy weszliśmy do ogromnej sali miejscowego hotelu, zapalono kilka świec i posłano po nowo przybyłych. Doktor zagaił rzecz słowami:

— Nie chciałbym okazywać się zbyt surowy względem tych ludzi, ale pewien jestem, że są oszustami, a w takim razie mogą mieć wspólników, o których nic nie wiemy. Jeżeli zaś tak jest, to czy owi wspólnicy nie umknęli z owym workiem złota zostawionym przez Piotra Wilksa? Prawdopodobnie tak. Jeżeli więc ci ludzie nie są oszustami, to nie powinni mieć nic przeciwko temu, żebyśmy posłali po te pieniądze i zatrzymali je [illegible] dopóki nie zostanie dowiedzione, kto jest ich prawowitym właścicielem, a kto słuszne roszczenia ma, czy nie?

Jednogłośnie przyznano mu słuszność. Pomyślałem więc sobie, że przyciśnie nas do muru nie na żarty, i to na samym początku. Ale król, przybierając wyraz [illegible] zmartwienia, odpowiada spokojnie:



Pieniądz, Kradzież, Pogarda

— Panowie, z całej duszy pragnąłbym, żeby owe nieszczęsne pieniądze były, bo nie mam najmniejszego zamiaru stawiać jakichkolwiek przeszkód do uczciwego rozjaśnienia tak ważnej sprawy. Ale niestety pieniądze, o których mówię, już [illegible]. Możecie pójść i naocznie przekonać się o tym.

— Gdzież są zatem?

— A czy ja wiem? Moja siostrzenica dała mi je do schowania, wziąwszy je, ukryłem w słomie swego siennika, nie chcąc odnosić ich do banku na te kilka dni, które mieliśmy

[270] *szynkownia* — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

tu zabawić. Nieprzyzwyczajony do służby Czarnych, przypuszczając, że jest ona równie uczciwa jak angielska, uważałem schowanie w sienniku za bezpieczne. Czarni skradli jednak pieniądze zaraz nazajutrz, gdy zszedłem na dół, a ponieważ sprzedawałem ich, nic jeszcze nie wiedząc o popełnionej kradzieży, unieśli więc swój łup ze sobą. Obecny tu mój służący może potwierdzić te słowa.

Doktor oraz kilku innych mruknęło: „Kłamstwo" i widoczną było rzeczą, że nikt nie wierzył królowi. Jeden z obecnych zapytał mnie, czy przyłapałem Czarnych na kradzieży. Odpowiedziałem, że widziałem tylko, jak się rano z pokoju wymykali i byłem pewny, że to czynili z obawy przed moim panem, który mógł się na nich gniewać za przebudzenie.

Wtem zwraca się ku mnie doktor i pyta:

— A ty także jesteś Anglikiem?

Odpowiadam, że tak, ale doktor i inni parsknęli śmiechem.

Nastąpiło badanie, godzina za godziną: „A gdzie byliście?", „A co robiliście?" i tak dalej, i dalej, w kółko, w kółko, aż mi się w głowie zaczęło mieszać. Kazali królowi oświadczyć, co miał do powiedzenia, a potem zwrócili się do nowo przybyłego pana i trzeba było chyba być osłem, żeby w jego słowach nie odczuć prawdy. Gdy skończyli, zawezwano mnie, abym powiedział wszystko, co wiem.

Król rzucił na mnie spojrzenie skośne, ale znaczące, więc zacząłem opowiadać, jak to jest u nas w Sheffield, jak tam żyliśmy, jak żyje rodzina mojego pana, angielscy Wilksowie, i tak dalej plotłem, co mi ślina na język przyniosła. Wśród tej gadaniny doktor zaczął się śmiać, a Levi Bell rzekł:

— Daj sobie spokój, mój chłopcze. Gdybym był tobą, nie zadawałbym sobie trudu na próżno. Widzę, że nie jesteś do kłamstwa przyzwyczajony, niezręcznie zmyślasz. Kłamstwo

Nie bardzo ucieszył mnie ten komplement, ale, bądź co bądź, byłem rad, że nareszcie dano mi spokój.

Doktor znów coś chce powiedzieć, ale nagle, zwracając się do sąsiada, mówi:

— Gdybyś nie był pojechał do miasta, Levi Bell...

A król mu przerywa, i z wyciągniętą ręką podchodząc do adwokata:

— Więc to pan jesteś tym starym, wiernym przyjacielem, o którym mój drogi brat tak często mi pisał?

Uścisnęli się za ręce, uśmiechnięty adwokat rozmawiał z królem jakiś czas, potem szeptał z doktorem, a nareszcie rzekł głośno:

— Mam już sposób dojścia prawdy. Panów pismo przekona mnie, który z was jest prawdziwym Wilksem.

Przyniesiono więc papier i pióra, po czym król usiadł, przechylił głowę na jedną stronę, przygryzł język, coś nagryzmolił i z kolei oddał pióro księciu. Wtedy po raz pierwszy książę głowę stracił, wziął jednak pióro i nakreślił swój podpis. Następnie, zwróciwszy się do nowego brata, adwokat uprzejmie prosił:

— Pan i pański brat zechcecie także napisać po parę wierszy i położyć pod nimi swój podpis.

Stary pan coś napisał, ale nikt nie mógł tego przeczytać. Levi Bell zrobił niezmiernie zdziwioną minę i wyjmując z kieszeni paczkę listów, rzecze:

— Tego to już i ja nie rozumiem.

Po czym zaczął przypatrywać się to listom, to pismu starego pana, aż w końcu rzekł:

— Te stare listy kreślone są ręką Harveya Wilksa, zaś pismo obu tych panów — tu wskazał na króla i księcia, którzy mieli okropnie głupie miny, — jest zupełnie inne. Z drugiej wszakże strony, pismo nowo przybyłego pana, który [illegible] się być bratem nieboszczyka, jest również zupełnie niepodobne do charakteru tych. Pismo brata jest równe i czytelne, pan zaś kreślisz jakieś hieroglify, których nazwać nie można.

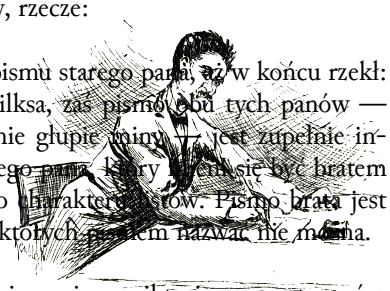

Tu stary pan przerywa:

— Proszę, pozwól mi pan to wytłumaczyć. Mojego pisma nikt nie przeczyta, prócz mego brata, on też przepisuje moje listy. Te, które pan pokazujesz, on pisał.

— A to dziwny zbieg okoliczności — rzekł na to adwokat. — Ale skoro tak, to niechże pana brat napisze parę wierszy.

— Nie jest możliwe mu pisać lewą ręką — przerwał znów stary pan. — Gdyby mógł posługiwać się prawą, każdy by poznał, że wszystkie listy on pisał. Spójrz pan, proszę:

na jednych podpis „Harvey", na drugich „William", ale jedne i drugie kreślone tymże charakterem.

Adwokat przyjrzał się listom uważnie i powiada:

— Zdaje mi się, że tak jest w istocie, a jeśli nie, to podobieństwo charakterów zdumiewające. No, no. Myślałem już, że jesteśmy na drodze do odkrycia prawdy, tymczasem, jak widzę, droga nagle trawą zarosła. Przynajmniej jednej rzeczy jesteśmy zupełnie pewni: że żaden z tych dwóch nie jest bratem nieboszczyka Piotra Wilksa.

I to mówiąc, rzucił głową w stronę księcia i króla.

I cóż państwo powiecie! Ten stary, uparty osioł i teraz jeszcze nie chciał ustąpić. Nie i nie! „To nie dowód" — utrzymywał. Jego brat, William, to kpiarz jakich mało. Chciał zażartować sobie ze wszystkich i wniwecz obrócić całe badanie, dlatego też nie napisał, jak należy. Ledwo pióro do papieru przyłożył, on, Harvey, zaraz spostrzegł, że William chce zażartować po swojemu. I tak utrzymując, zapalał się coraz więcej i sypał coraz liczniejszymi słowami, aż wreszcie już sam zaczął wierzyć w to, co mówił, choć nie powiedział słowa prawdy. Przerwał mu jednak nowy brat, mówiąc:

— Przyszło mi coś na myśl. Czy pomiędzy tu obecnymi nie ma kogoś, kto pomagał ubierać na śmierć mojego br..., chciałem powiedzieć, Piotra Wilksa?

— Ja! Ja! — zawołały dwa głosy, z których jeden dodał:

— Ja i Ab Turner ubieraliśmy nieboszczyka. Jesteśmy tu.

Wtedy stary pan zwraca się do króla i pyta:

— Może pan będziesz łaskaw powiedzieć mi, co było wytatuowane na piersiach brata?

Było to tak niespodziewane, że król, znienacka zaskoczony, musiał trzymać się gruntu rękami i nogami, jak drzewo rosnące na stromym urwisku, któremu woda podmywa korzenie. Był on też bardzo podmyty, tylko patrzeć, jak runie w wodę, bo skądże mógł wiedzieć, co było wytatuowane na piersiach człowieka, którego nie znał. Zbladł więc nieco, zapewne wbrew woli, ale zbladł, bo i jakże nie miał zblednąć, kiedy naraz zrobiła się w sali taka cisza, jak gdyby makiem siał, i wszyscy zebrani wlepili w niego oczy, podając się naprzód całym ciałem.

Więc ja mówię do siebie: „No, już teraz da za wygraną". I myślicie państwo, że dał? Doprawdy, trudno temu uwierzyć, ale nie dał. Choć zbladł, nadrabia miną i uśmiechając się, rzecze:

— Hm! Co było wytatuowane, pytasz pan? Mnie pytasz? Więc ci odpowiem. A cóż by innego, jeśli nie maleńka, cieniutka, błękitna strzałka? Co? Może nie? Nic innego, tylko strzałka, i to tak maleńka, że chcąc ją dojrzeć, trzeba patrzeć z bliska. No i cóż pan na to?

Aż się zdumiałem, co to za spryt u tego człowieka. Jaka przytomność umysłu!

Ale stary pan zwraca się żywo w stronę Aba Turnera i jego towarzysza, w oku zaś tak mu błysnęło, jakby mówił: „Aha, mam cię, ptaszku!".

— Wszak słyszeliście panowie, co powiedział mój przeciwnik? Wy teraz powiedzcie: czy taki znak widzieliście na piersiach nieboszczyka?

Obaj jednogłośnie odpowiadają:

— Nie, nie widzieliśmy takiego znaku.

— Dobrze — podejmuje stary pan. — Teraz ja powiem swoje. Widzieliście, panowie, nie co innego, jak małe, niewyraźne P, za nim B (początkowa głoska imienia, którego dawno przestał używać), a na samym końcu W, oddzielone jedno od drugiego kreskami w ten sposób: *P — B — W*. — I to mówiąc, napisał na skrawku papieru głoski z kreskami, a pokazując je zebranym, raz jeszcze zapytał:

— Wszak taki znak panowie widzieliście?

— Nie. Żadnego znaku nie widzieliśmy.

Proszę sobie wyobrazić, co się działo z obecnymi. Jak jeden mąż huknęli:

— Warci jedni drugich! I ci, i tamci oszuści. Skąpać ich! Utopić ich! Smołą wysmarować i utarzać w pierzu!

Darli się wszyscy co sił, chcąc przekrzyczeć jedni drugich: wrzask, wycie, gwizdanie, mało uszy nie pękły. Ale adwokat wskakuje na stół i krzyczy na całe gardło:

— Panowie! Pa-no-wie! Pozwólcie powiedzieć słowo! Jedno słowo! Jest sposób: wykopać ciało i zobaczyć!



To im trafiło do przekonania.

— Hura! — krzyknęli znów wszyscy i natychmiast zbierali się do odejścia, ale doktor i adwokat powstrzymali ich, wołając:

— Czekajcie! Czekajcie! Weźcie za kołnierz tych czterech ludzi oraz chłopca i poprowadźcie ich ze sobą!

— Weźmiemy! — zawołali. — A jeżeli nie będzie znaków, to zlinczujemy wszystkich pięciu!

O, przestraszyłem się nie na żarty! Ale niepodobieństwem było uciec. Trzymali nas mocno i prowadzili pomiędzy sobą prosto na cmentarz, który znajdował się o półtorej wiorsty, a za nami szło widać całe miasto, bo hałas uczynił się ogromny, a była dopiero dziewiąta wieczorem.

Gdy mijaliśmy nasz dom, z żalem wspomniałem o Marii Joannie, sam wyprawiłem z miasta. Gdyby tu była, dałbym jej znak, a już by mnie wybawiła z tej matni[271].

Idziemy więc drogą wzdłuż rzeki, z wrzaskiem, z hałasem, istna kocia muzyka[272]. Ściemnia się, a w dodatku na niebie chmury, tu i ówdzie migają po nim błyskawice, zrywa się wiatr, drzewa szumią, liście szeleszczą, czasami z suchym trzaskiem odłamie się sucha gałązka. Nigdy nie czułem takiego strachu, nie byłem w podobnym niebezpieczeństwie. Zupełnie głowę straciłem. Wszystko poszło nie tak, jak myślałem, lecz na opak: zamiast być panem położenia, przypatrywać się spokojnie widowisku i mieć za plecami Marię Joannę, która by mnie wybawiła z niebezpieczeństwa, byłem zupełnie sam, pomiędzy mną a śmiercią nie było nic prócz owych znaków, których nie widzieli nawet ci, co powinni byli je dostrzec. A jeżeli nie ma ich wcale?

Aż mi się niedobrze zrobiło, gdy pomyślałem o tym, a nie mogłem myśleć o czym innym. Z każdą chwilą robiło się ciemniej i ucieczka spośród tłumu była możliwa, ale Hines, pleczysty[273] i ogorzały, silnie mnie trzymał za rękę. Kto by się tam mógł wyrwać takiemu goliatowi[274]! Szedł ogromnymi krokami, ciągnąc mnie za sobą tak, że musiałem biec, żeby mu dotrzymać kroku.

Cmentarz, Grób, Burza

Gdy doszli nareszcie do cmentarza, sypnęli się całym rojem za ogrodzenie i jak powódź zalali sobą całą przestrzeń wewnątrz parkanu. Okazało się, że mają sto razy więcej łopat, niż potrzeba, ale za to nikomu nie przyszło na myśl przynieść latarni, bez której nie sposób się obejść. Zaczęli jednak kopać przy blasku błyskawic, w braku latarni, po którą posłali do najbliższego domu, odległego o małe pół mili. Kopali więc i kopali coraz zamaszyściej, a tu coraz to ciemniej i czarniej, deszcz leje jak z cebra, wiatr gwiżdże i jęczy, błyska się, grzmi, pioruny biją. Przy świetle błyskawic w tym ogromnym tłumie można było chwilami rozróżnić każdą twarz i widzieć żółtawe bryły rozmiękłej gliny, łopatami w górę wyrzucane, po czym znów wszystko nikło wśród ciemności.

Dostali się wreszcie do trumny, zaczynają odśrubowywać wieko, straszny ścisk, przepychanie łokciami i ramionami, żeby tylko cokolwiek zobaczyć, a że to wszystko działo się po ciemku, więc strach podnosił mi włosy na głowie. Hines mało mi ręki nie zgruchotał, tak ją cisnął w swej ogromnej dłoni i z całej siły pchał się naprzód, zapomniawszy zupełnie, że mnie ciągnie.

Nagle błysnęło tak, że powódź oślepiającej jasności zalał cały cmentarz, a w tym blasku podniósł się krzyk:

— Na piersiach nieboszczyka leży worek ze złotem! Bodajem tak żył, jak to prawda jest!

Hines odpowiedział okrzykiem jak inni, z wielkiego wzruszenia wypuścił mą rękę i piersiami jak taranem tłum rozpierając, torował sobie drogę do grobu. Jak nie dam nura!

Burza

Po ciemku dopadłem gościńca i naprzód. Mając drogę tylko dla siebie, pędziłem po niej jak strzała, wśród ciemności przerzynanej od czasu do czasu bladosinym światłem błyskawic. Deszcz lał jak z cebra, wiatr gwizdał i wstrząsał drzewami, a pioruny biły bez przerwy. Aż strach, co się działo na świecie, a tu ja sam jeden, jak palec, pędzę na oślep wśród nawałnicy.

---

[271] *matnia* — sytuacja bez wyjścia. [przypis edytorski]
[272] *kocia muzyka* — jazgot. [przypis edytorski]
[273] *pleczysty* — mający szerokie plecy. [przypis edytorski]
[274] *goliat* — siłacz. [przypis edytorski]

Gdy zdyszany dopadłem wreszcie do miasta, na ulicy było puściuteńko tak z powodu burzy, jak i wędrówki wszystkich mieszkańców na cmentarz. Nie wyszukiwałem więc bocznych uliczek, ale biegłem główną, prosto przed siebie ku naszemu domowi, ze wzrokiem wlepionym w okna. Wszystkie jednak były ciemne, nigdzie ani światełka. Smutno mi się czegoś zrobiło, jak gdybym doznał zawodu. Dopiero gdy już minąłem dom i obejrzałem się jeszcze za siebie, patrzę: aż tu w oknie Marii Joanny jest światło! Tak mi serce zabiło, tak się podniosło, jakby mi miało pierś rozsadzić... Ale trzeba było biec dalej, a za chwilę dom i okienko, i wszystko, co tam było, znikło mi z oczu, żeby zostać za mną w ciemnościach na zawsze... Tak, najlepszą dziewczyną, jaką widziałem na świecie, była Maria Joanna. Miała charakter i potrafiła dotrzymać słowa!

Kradzież

Będąc już za miastem, począłem zaraz rozglądać się, czy nie można by gdzieś nad rzeką „pożyczyć" łódki, jak to mawiał tatko, gdy brał cudze bez pytania. Pierwsza silniejsza błyskawica pokazała mi nieprzytwierdzoną łódź, rzuciłem się do niej, odwiązałem sznur i nie tracąc czasu, zacząłem wiosłować, zmierzając ku niewielkiej, gąszczem zarosłej mieliźnie, wynurzającej się z wody w dość znacznym oddaleniu od brzegu. Wiosłowałem zawzięcie, a gdy nareszcie łódka osiadła na piaszczystym podłożu, byłem tak śmiertelnie zmęczony, że miałem ochotę wyciągnąć się na piasku jak długi, bo nawet tchu nie mogłem złapać. Ale nie było na to czasu. Wyskoczywszy na wilgotny piasek, zawołałem:

— Jim, prędzej, prędzej! Odpływajmy! Chwała Bogu, jesteśmy sami! Uciekajmy!

Jim wyszedł z zarośli uradowany z mego powrotu, ale gdy ujrzałem jego postać w świetle błyskawicy, tak się przestraszyłem, że odskoczywszy parę kroków w tył, upadłem na wznak w wodę. Zapomniawszy, że Jim jest królem Learem i Arabem topielcem w jednej osobie, straciłem przytomność na jego widok. Ale Jim podskoczył ku mnie, podniósł jak dzieciaka i tak był uszczęśliwiony z mego powrotu, że chciał mnie ucałować, ściskać i winszować pozbycia się nieproszonych gości.

— Nie teraz, nie teraz — zawołałem. — Schowaj czułości na śniadanie. Odwiązuj tratwę i płyńmy! Płyńmy!

Po paru sekundach byliśmy już na rzece. Ach, jak szczęśliwi się czuliśmy, że znów jesteśmy sami, że nikt nam nie rozkazuje. Z radości nie mogąc wytrzymać, podskoczyłem sobie parę razy, wywróciłem trzy kozły, ale gdy się zabierałem do czwartego, słyszę w dali aż nadto dobrze znany mi odgłos. Wstrzymuję oddech... Słucham... Czekam... I cóż. Błysnęło porządnie, patrzę: oni. Znów oni! Wiosłują w naszą stronę obydwaj: król i książę!

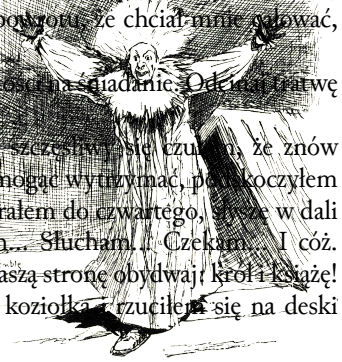

Dałem więc spokój figlom, zaniechałem czwartego koziołka i rzuciłem się na deski jak długi, ledwo mogąc powściągnąć łkanie.

ROZDZIAŁ XXX

Król „wziął się". — Kłótnia. — Kochanie.

Ledwie wstąpiwszy na tratwę, król zaraz wziął mnie za kołnierz i trzęsąc jak gruszą, zawołał:

— Zachciało ci się uciec od nas? Co, szczeniaku? Znudziło ci się nasze towarzystwo, co?

A ja mu na to:

— Nie, wasza królewska mość, nie znudziło!

— Skoro nie, to się tłumacz, dlaczego drapnąłeś bez nas? Mów, a prędko, bo z ciebie wszystkie wnętrzności wytrzęsę.

— No, to już powiem wszystko, uczciwie, jak się patrzy, powiem wszystko, jak było. Ten człowiek, który mnie trzymał, mówił mi, że miał takiego samego chłopca, który mu umarł w przeszłym roku i dlatego przykro mu bardzo, że ja, rówieśnik tamtego, znajduję się w wielkim niebezpieczeństwie. Otóż kiedy się tak wszyscy zdumieli, znalazłszy worek ze złotem, i zaczęli śpieszyć do trumny, on puszcza moją rękę i szepcze do ucha: „W nogi, zmykaj, co masz siły, bo jak jesteś żywy, tak cię powieszą". Domyśliłem się więc, że nie ma po co zostawać tam dłużej, że już nie jestem na nic potrzebny; a po cóż iść na szubienicę, jeżeli się można obejść bez tego? Biegłem więc, dopóki nie ujrzałem łódki, a dopłynąwszy tu, zacząłem wołać na Jima, żeby się śpieszył z tratwą, bo złapią mnie jeszcze i powieszą. Powiedziałem, że nie wiedząc, czy wasza królewska mość żyje i co się stało z księciem

panem, jestem okropnie zmartwiony. Jim zmartwił się także i teraz dopiero, zobaczywszy waszą królewska mość i księcia pana, ucieszyliśmy się okrutnie. Jim niech powie, że mówię prawdę.

Jim przyświadczył, ale król kazał mu zamknąć gębę i warknął:

— Znam ja waszą prawdę, znam!

I raz jeszcze wstrząsnął mną porządnie, oświadczając, że ma wielką ochotę wrzucić mnie w wodę i utopić jak szczenię. Lecz wdał się w to książę:

— Dajże spokój chłopcu, ty stary idioto! Czy ty byś inaczej był zrobił? Co? Szukałeś może chłopca, dopytywałeś się o niego, gdy zmykałeś?

Więc król puścił mnie i zaraz zaczął kląć miasto ze wszystkimi jego mieszkańcami. I znów przerwał mu książę:

— Lepiej byś zrobił, gdybyś siebie przeklinał, bo ci się to słusznie należy. Od samego początku wszystko, co robisz, nie ma i nie miało w sobie ani krzty sensu. Tylko to jedno ci się udało, gdy tak zuchwale zacząłeś w nich wmawiać, że nieboszczyk ma na piersiach błękitną strzałę. To ci się udało i to nas ocaliło! Bo gdyby nie twoja pewność siebie, byliby nas zamknęli do kozy i trzymali dopóty, dopóki by nie nadszedł bagaż tych przeklętych Anglików, a wtedy więzienie, bratku, lub dom kary! Ale ty ich zwabiłeś na cmentarz, dzięki czemu znalazło się złoto, które nam wyświadczyło jeszcze większą przysługę, bo gdyby ci narwańcy nie byli rzucili się do trumny jak wariaci, to my przespalibyśmy dzisiejszą noc w krawatach... I to powiadam ci, w krawatach tak trwałych i mocnych, że już byśmy drugich w życiu nie potrzebowali.

Umilkli obaj na chwilę, zamyślili się jakoś. Aż wreszcie odzywa się król jakby do siebie.

— Hm! A my myśleliśmy, że złoto ukradli Czarni...

Zdrętwiałem cały, aż ciarki po mnie przeszły!

— A tak — odpowiada książę, cedząc przez zęby wyrazy — „my myśleliśmy".

Po chwili król bąka:

— Przynajmniej ja tak myślałem.

A książę odpowiada tym samym tonem:

— Nie, to ja tak myślałem.

Więc król się niby nasrożył i woła:

— Słuchaj no ty, Bridgewater, co to ma znaczyć?

A książę ostro mu odpowie:

— Kiedy już do tego przyszło, to ja bym chciał zapytać, co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Chciałbyś! — Przedrwiwa z niego król. — No, proszę! Chciałbyś, ale nie wiesz... I ja nie wiem... Może spałeś wówczas i nie wiedziałeś, co przez sen robisz.

Teraz już książę zaperzył się nie na żarty:

— Przestań pleść głupstwa! — krzyknął. — Cóż to, za błazna mnie bierzesz? Dlaczegóż ja mam wiedzieć, kto schował te pieniądze do trumny?

— Dlaczego? Bo ja wiem, że ty wiesz. A wiesz dlatego, że je sam schowałeś.

— Kłamiesz!

I książę rzucił się na króla, który krzyknął:

— Precz z rękami! Puść moje gardło! Cofam, co rzekłem!

Książę popuścił nieco, ale wciąż trzyma go w rękach.

— Słuchaj — mówi — masz się przyznać do prawdy, że to ty schowałeś te pieniądze z zamiarem porwania ich kiedyś ukradkiem.

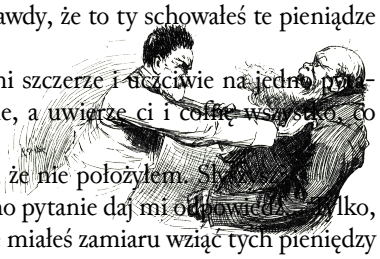

— Puść, książę, kiedy ci mówię... Odpowiedz mi szczerze i uczciwie na jedno pytanie: czy ty położyłeś tam pieniądze? Powiedz, że nie, a uwierzę ci i cofnę wszystko, co powiedziałem.

— Nie położyłem, stary łotrze. Ty wiesz dobrze, że nie położyłem. Słyszysz?

— No dobrze, dobrze, wierzę ci... Jeszcze na jedno pytanie daj mi odpowiedź — tylko, proszę cię, spokojnie, bez żadnych głupstw... Czy nie miałeś zamiaru wziąć tych pieniędzy i ukryć?

Pomilczawszy chwilę, książę odparł:

— Mniejsza o to, czy miałem, czy nie miałem, dość, że tego nie uczyniłem. Ty zaś nie tylko miałeś zamiar, lecz i spełniłeś go.

— Niech żywy z tego miejsca nie zejdę, jeżeli to prawda. Uczciwie mówię, że ich nie tknąłem. Nie powiadam, że ich wziąć nie chciałem, bo chciałem. Lecz wyprzedziłeś... chcę powiedzieć, wyprzedzono mnie.

— Kłamstwo. To twoja sprawka i przyznaj się, bo...

I znów ścisnął króla za gardło, a ten zaczyna się dławić i bełkocze:

— Przyznaję się. To... to ja.

Byłem bardzo rad z tego przyznania, zrobiło mi się lekko na sercu. Książę puścił gardło króla i mówi:

— Jeżeli kiedyś temu zaprzeczysz, to cię utopię. A teraz siedź tu i becz jak dziecko. To akurat dla ciebie, z takim jak twoje postępowaniem. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego chciwca. Jak ten stary struś, wszystko by łykał, co mu w oczy wpadnie. A ja mu ufałem jak ojcu. Wstydzić byś się powinien, że stałeś i słuchałeś spokojnie, jak wszystko zwalają na biednych Czarnych. I żeby choć słówko pisnął, ani mru-mru... I ja, głupiec, wierzyłem tej gadaninie... Teraz już rozumiem, dlaczego tak ci chodziło o pokrycie deficytu. Chciałeś wyciągnąć ze mnie wszystko, co do grosza, i wtedy dopiero dać drapaka.

Król, jeszcze trochę zasapany, odzywa się nieśmiało:

— Ale to ty, książę, powiedziałeś, że trzeba pokryć deficyt.

— Cicho bądź. Uszy mnie już bolą od słuchania twoich kłamstw... Dużo na nich zarobiłeś. Tamci odebrali wszystko swoje i jeszcze nasze w dodatku... Na-sze wła-sne. Ruszaj spać i nie zawracaj mi głowy deficytami, bo tak się z tobą rozprawię, że mnie na całe życie popamiętasz!

Alkohol

Król wsunął się więc do budki i na pociechę wziął się do butelki. I książę też wziął się do swojej, tak że za pół godziny mieli już obaj dobrze w głowie. W miarę jak tracili przytomność, coraz czulsi byli dla siebie, aż wreszcie zasnęli w swoich objęciach. Okropnie się pokochali przy butelce, ale zauważyłem, że pomimo całej miłości król pamięta o groźbie z powodu ukrycia worka w trumnie. I to było dla mnie prawdziwą pociechą. Ma się rozumieć, że gdy zaczęli dobrze chrapać, opowiedziałem Jimowi wszyściuteńko.

ROZDZIAŁ XXXI

Próby i narady. — Nie ma Jima. — Wieści o Jimie. — Stare wspomnienia. — Huck walczy z sumieniem.

Płynąc przez wiele dni ciągle w dół rzeki, byliśmy już teraz na południu, bardzo daleko od domu, i zaczynaliśmy spotykać coraz częściej drzewa obrosłe właściwym południowi mchem „hiszpańskim", którego długie zwoje spadają z gałęzi na kształt siwych bród. Po raz pierwszy widziałem ten mech, okryte nim drzewa wyglądały jakoś uroczyście i posępnie. Król i książę, spokojni już o swoją skórę, zaczęli korzystać z oddalenia od miejsca, w którym zdemaskowano ich oszustwo, i od czasu do czasu, gdy przepływaliśmy obok wioski, próbowali, czy nie uda im się złupić z mieszkańców nieco grosza.

Rozpoczęli od odczytu o wstrzemięźliwości, ale nie zebrali nawet tylu pieniędzy, żeby mogli się za nie upić. W innej znów wiosce otworzyli szkołę tańca, ale umieli tańczyć akurat tyle, co kangur, więc za pierwszym popisem cała publiczność w podskokach rzuciła się na nich, a oni w podskokach także — nie nader wdzięcznych — musieli się wynosić, nie tracąc czasu. Dalej znów chcieli dawać lekcje deklamacji, ale po bardzo krótkiej próbie publiczność zerwała się z miejsc, deklamując im, żeby się wynosili.

Próbowali wszystkiego: i kazań misjonarskich, i magnetyzowania, i leczenia, i przepowiadania, i różnych innych rzeczy, ale do niczego nie mieli szczęścia. Nareszcie, dawszy wszystkiemu za wygraną, leżeli po całych dniach na tratwie, nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się z miejsca po całych godzinach, chmurni i zrozpaczeni.

Po kilku dniach widać z innej strony powiał na nich wiatr, bo coraz częściej wsuwali się do budki i szeptali coś ze sobą po kilka godzin, naradzając się w wielkim sekrecie. Jim i ja zaczynaliśmy odczuwać coś na kształt niepokoju; nie podobały nam się te narady. Baliśmy się tych szeptów, przypuszczając, że przy tak tajemniczej zmowie na pewno zamyślają uczynić coś gorszego niż wszystko, co dotąd czynili. Po długich domysłach doszliśmy do przekonania, że układają, jak by się włamać do cudzego domu czy spichlerza, sfałszować pieniądze lub coś w tym rodzaju. Lękaliśmy się też bardzo, zdecydowani za nic w świecie

nie mieć nic wspólnego z ich łajdactwami, a pozbyć ich się przy lada jakiej sposobności; niech tylko gdziekolwiek wysiądą, my w drogę i... bądźcie zdrowi! Tak też zrobiliśmy.

Pewnego dnia, raniutko, po ukryciu tratwy w zaroślach o dwie mile od maleńkiej wioseczki zwanej Pikesville[275], król wysiadł na brzeg i poszedł do wsi, zapowiadając nam, żebyśmy nie pokazywali się wcale, dopóki on nie powróci.

— Idę — rzekł — przewąchać, czy nie doszły tu słuchy o naszych przedstawieniach teatralnych.

A ja sobie myślę: „Aha! Idziesz przepatrzyć, gdzie by kogo okraść, a gdy wrócisz, to będziesz zachodził w głowę, gdzie jesteśmy: Jim, ja i tratwa". Odchodząc, dodał, że jeżeli nie wróci przed południem, to znak dla księcia i dla mnie, że wszystko idzie dobrze, że mamy natychmiast iść do niego.

Zostaliśmy więc na tratwie. Książę był czegoś kwaśny i niespokojny, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. „Oho — myślę sobie — coś się gotuje". Byłem więc rad, że południe nadchodzi, a króla nie ma, przynajmniej będzie jakaś zmiana, a może i ta najbardziej pożądana. Poszliśmy więc we dwóch z księciem na wieś i zaczęliśmy szukać naszego króla. Znajdujemy go wreszcie w jakimś mizernym szyneczku. Pijany, około niego gromada próżniaków, którzy drażnią go dla zabawy, a on im wymyśla, co ma siły, a ma jej niewiele, bo tak pijany, że się już nie może utrzymać na nogach. Pijaństwo

Książę, zobaczywszy to, zaczyna mu wymyślać od starych durniów, a tamten odcina się. Podczas zażartej kłótni wziąłem nogi za pas i co żywiej, jak ścigany zając, pędzę ku rzece, aby skorzystać ze sposobności i uwolnić się raz na zawsze od tych oszustów. „No — mówię sobie — niemało wody upłynie, nim oni się z nami zobaczą". Dopadam wreszcie tratwy, zdyszany, uszczęśliwiony i krzyczę na całe gardło:

— Odwiązuj tratwę, Jim! Pozbyłem się ich nareszcie!

Ale nikt mi nie odpowiada, nikt nie wychodzi. Cóż by to miało znaczyć? Gdzie Jim? Jima nie ma! Wołam na niego raz, drugi, trzeci, biegam po lesie tam i z powrotem, krzycząc zawzięcie, wszystko na próżno... Nie ma Jima, nie ma! Rzuciłem się więc na ziemię i zacząłem płakać, nie wiedząc, co począć. Nie mogłem jednak siedzieć bezczynnie. Zerwawszy się, biegnę drogą, a wciąż myśląc, gdzie szukać Jima.

Wtem spotykam jakiegoś chłopca. Zapytuję go więc, czy nie spotkał Czarnego, nietutejszego, w zabawnym ubraniu...

— Spotkałem.

— Gdzie? Gadaj zaraz: gdzie?

— O dwie mile stąd, nieopodal domu Silasa Phelpsa. To zbiegły Czarny. Złapano go i zabrano. Szukasz go?

— Ani myślę. Parę godzin temu spotkałem go w lesie, groził mi, że wnętrzności ze mnie wypruje, jeśli będę go śledzić. Kazał mi położyć się i leżeć na miejscu nieruchomo. Musiałem go usłuchać, bo się bałem.

— No, skoro tak, to nie masz się czego obawiać, bo Czarny złapany. Z dalekich stron musiał tu przyjść.

— Dobrze się stało, że go ujęto!

— Ma się rozumieć. Dwieście dolarów nagrody weźmie ten, kto go odda w ręce władzy. To tak, jak gdyby na drodze znalazł pieniądze.

— A jakże! Gdybym był większy, to wziąłbym nagrodę, bo ja go pierwszy zobaczyłem. Kto złapał Czarnego?

— Jakiś stary, nietutejszy. I odstąpił swoje prawo do nagrody za czterdzieści dolarów, bo powiada, że śpieszno mu odpłynąć jeszcze dziś i nie ma czasu czekać. Jak ci się to podoba? Żeby tak na mnie, tobym czekał choć siedem lat.

— O! I ja także. Ale kiedy tak tanio sprzedał swoje prawo, to może sam czuje, że ono niewarte więcej. Może on tam coś pokręcił, ten stary?

— Ale gdzież tam, wszystko jasne jak na dłoni. Sam widziałem ogłoszenie. Opisany tam Czarny jak żywy, powiedziano nawet, z jakiej pochodzi plantacji, gdzieś z daleka, poza Nowym Orleanem. Nie, możesz być spokojny, wszystko w porządku. Nie masz ty czasem szczypty tytoniu?

[275] *Pikesville* — jednostka osadnicza w Stanach Zjednoczonych, w stanie Maryland. [przypis edytorski]

Nie miałem ani źdźbła, rozstaliśmy się więc niebawem. Wróciwszy na tratwę, schowałem się do budki, żeby wszystko dobrze obmyślić. Ale myśli nie przychodziły, pomimo że mi głowa pękała od wysiłku. Po tak długiej podróży, po wszystkim, co uczyniliśmy dla tych niegodziwców, wszystko się wniwecz obróciło, dlatego że miałem za głupie czterdzieści dolarów zaprzedać serce Jima obcym ludziom na całe życie.

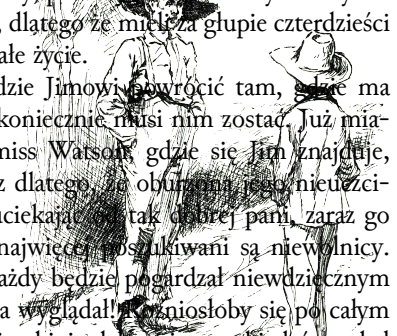

Niewola

Przyszło mi na myśl, że tysiąc razy lepiej będzie Jimowi powrócić tam, gdzie ma rodzinę, i wśród swoich być niewolnikiem, skoro koniecznie musi nim zostać. Już miałem napisać do Tomka Sawyera, żeby oznajmił miss Watson, gdzie się Jim znajduje, ale odrzuciłem ten projekt z dwóch przyczyn. Raz dlatego, że oburzona jego nieuczciwością i niewdzięcznością, której złożył dowody, uciekając od tak dobrej pani, zaraz go natychmiast odsprzeda, i to na południe, bo tu najwięcej poszukiwani są niewolnicy. A po drugie, choćby go nawet nie sprzedała, to każdy będzie pogardzał niewdzięcznym Czarnym i da mu to odczuć. Wreszcie, jakżebym ja wyglądał! Rozniosłoby się po całym świecie, że Huck Finn dopomagał Czarnemu do ucieczki, i gdybym jeszcze kiedyś spotkał kogoś z rodzinnych stron, to spaliłbym się ze wstydu. Im dłużej zastanawiałem się nad tym, a sumienie dokuczało mi silniej, tym gorszy i bardziej nikczemny się czułem. A gdy nareszcie zrozumiałem, że dłoń Opatrzności otwiera mi oczy na moje zdrożne postępki, na które spoglądał ktoś z nieba, to zamierałem ze strachu, czując, że to oko patrzy na mnie ciągle i od dawna i że widziało, jak wykradałem Czarnego biednej kobiecie, która mi nigdy nic złego nie uczyniła. Usiłowałem więc, o ile mogłem, przebłagać Opatrzność, tłumacząc się swym zaniedbanym wychowaniem i nieszczęsnymi przeszkodami, lecz jakiś głos wewnątrz uparcie mi szeptał: „Nieprawda, miałeś szkołę niedzielną, mogłeś do niej chodzić, a gdybyś był chodził, to byłbyś wiedział, że kto postępuje tak jak ty z Czarnym należącym do miss Watson, ten zasługuje na ogień wieczny".

Dreszcze chodziły po mnie i postanowiłem odtąd modlić się. Może też będę choć trochę lepszy.

Modlitwa, Sumienie

Ukląkłem więc do pacierza, ale nie mogłem sobie przypomnieć ani słowa. Dlaczego? Albo ja wiem... Nie mogłem i już! Na nic się nie zdało udawać, że pacierz mówię, bo nie było możliwe ukryć przed Nim, że go zapomniałem. Siebie również oszukać nie mogłem, bo wiedziałem przecież, dlaczego ani jedno słowo nie przychodzi ma myśl. Oto dlatego, że moje sumienie nie było czyste, że nieprawość ciążyła na moim sercu, że okłamywałem samego siebie. Bo udawałem wprawdzie, że zrywam z dawną niegodziwością, ale w najciemniejszej kryjówce duszy trzymałem się grzechu oburącz, i to największego ze wszystkich. Niby to chciałem powiedzieć ustami, że postąpię, jak się patrzy, uczciwie, że napiszę do obecnego właściciela Jima i doniosę, czyim jest niewolnikiem, ale głos wewnętrzny mówił mi jasno, że usta kłamią — a On wiedział też o tym. Nie można kłamać w pacierzu, przekonałem się o tym osobiście.

Byłem więc pogrążony w strapieniu po uszy i sam nie wiedziałem, co dalej czynić. Przyszła mi wreszcie dobra myśl, żeby po napisaniu do miss Watson spróbować pacierza. Po tym postanowieniu od razu poczułem się lekki jak piórko, wszystkie moje utrapienia znikły bez śladu. Wziąłem więc kawałek papieru, ołówek i napisałem, co następuje:

> „Miss Watson! Jim, Czarny, który uciekł od pani, jest tu o dwie mile od Pikesville, kupił go pan Phelps i odda go, jeżeli mu pani zwróci koszty i przyśle po niego.
>
> Huck Finn".

Po napisaniu tego listu po raz pierwszy w życiu miałem to przekonanie, że zupełnie uczciwy ze mnie chłopiec, że nic nie cięży mi na sumieniu. Czułem też, że teraz potrafię się modlić. Ale nie zaraz to uczyniłem. Położywszy ćwiartkę przed sobą, zacząłem rozmyślać nad tym, jak to dobrze, że tak się wszystko złożyło i że ujdę wiekuistego zatracenia. Po chwili jednak stanął mi Jim, jak żywy, przed oczyma i przypomniał mi się ów cały czas razem z nim spędzony na wodzie: dnie, noce, księżycowe wieczory, ulewy i burze. To pogoda, to nawałnica, to ciemność choć oko wykol, to blask taki, że potrzeba mrużyć oczy, a my sobie płyniemy wśród rozmowy, śmiechu, śpiewów i żartów na swobodzie! I jakoś nie mogłem natrafić na tę rację, z powodu której miałbym okazać się nieżyczliwy dla Jima. Przeciwnie, wszystkie, które mi przychodziły do głowy, jedynie za nim przemawiały.

Przypominało mi się, jak odbywszy swoje godziny warty, zamiast mnie na zmianę zawołać, sam pozostawał, by mnie oszczędzić; jak się ucieszył, gdy rozłączeni podczas mgły, odzyskaliśmy siebie nawzajem; jak mnie witał serdecznie po owym powrocie, gdy on się ukrywał w trzęsawisku, a ja używałem wczasu[276] i zabawy; jak mnie [illegible] nazywał „kochaniem", „gołąbkiem"; jak mi zawsze usługiwał, dogadzał, jak dobry był dla mnie. A na samym końcu przypomniało mi się, że go ocaliłem, wymyślając [illegible] na posadzie. Jak on mnie ściskał, nazywając swoim najlepszym i jedynym przyjacielem, bo wszak nikogo nie miał na świecie. I właśnie myśląc o tym, spojrzałem na [illegible] do miss Watson.

Przyjaźń

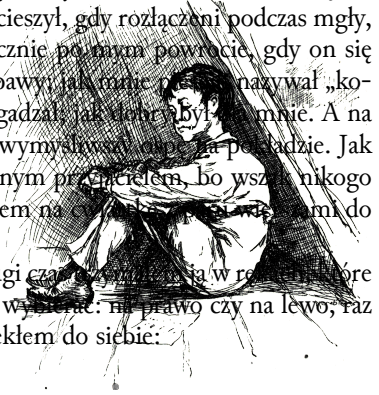

Była to ciężka chwila. Wziąłem ową ćwiartkę i długi czas [illegible] w ręku, które drżały mi jak liść, bo teraz trzeba było nieodwołalnie wybierać: na prawo czy na lewo, raz na zawsze. Po kilku minutach wewnętrznej walki rzekłem do siebie:

— No, stało się! Niech tam już idę do piekła!

I podarłem list na kawałki.

Strasznie mi pomyśleć o tym, a cóż dopiero wymówić takie słowa, a jednak wyrzekłem je, wiedząc, że ich nie cofnę, że nawet nie będę myśleć o cofnięciu postanowienia. Wszystko, co już przemyślałem, wyrzuciłem z głowy, powiedziałem sobie, że gdy nie ma na to rady, muszę powrócić do złego. Nie mogę być uczciwy, bo nie chowano mnie na uczciwego, lecz na nicponia, i takim też widać pozostanę. A skoro tak już musi być, to się zabiorę do roboty i wykradnę Jima z niewoli.

Kondycja ludzka

Zacząłem więc szukać sposobów dopięcia celu. Spośród różnych myśli jedna przypadła mi wreszcie do smaku. Upatrzywszy wśród wysepek jedną na uboczu, bardziej od innych zadrzewioną, o zmroku prześlizgnąłem się do niej, tratwę ukryłem wśród gęstwiny, a sam poszedłem spać w krzaki. Spałem całą noc jak zabity, a świt już mnie zastał na nogach. Posiliwszy się, włożyłem najporządniejsze ubranie i z zawiniątkiem różnych drobiazgów popłynąłem łódką ku lądowi. Wysiadłszy niedaleko miejsca, w którym, według mnie, powinien był znajdować się dom Phelpsa, ukryłem zawiniątko w krzakach, w łódkę zaś, obciążoną kamieniami, nalałem wody. Miejsce dobrze sobie zapamiętałem; łódka została pod wodą, może o ćwierć mili od niewielkiego tartaku parowego, nad samym brzegiem.

Uczyniwszy to wszystko, wyszedłem na drogę. Przechodząc koło tartaku, widzę napis: „Tartak parowy Szymona Phelpsa".

Zadowolony z siebie, maszeruję dalej, zmierzając ku folwarkowi odległemu o paręset sążni. Mało oczu sobie nie wypatrzyłem, rozglądając się pilnie dokoła siebie, ale chociaż dzień już był jasny, nie dostrzegłem żywej duszy. Nic mi na tym jednak nie zależało, chciałem tylko przypatrzyć się dobrze miejscowości. Miałem bowiem zamiar powrócić tutaj, nie od strony rzeki, lecz od miasteczka, które widać było nieopodal. Dobrze zapamiętawszy więc sobie szczegóły położenia, idę do miasta. Pierwsza osoba, którą spotykam na ulicy, to — książę! Oczom własnym nie wierzę, a jednak to on, we własnej swojej osobie, rozlepia afisze na widowisko, „jakiego jeszcze nie widziano", zupełnie jak wtedy, kiedy to ledwo z życiem uciekli... Że też tacy nicponie wschodzą tam, gdzie ich nie posiano! Tak wpadłem na niego niespodzianie, że na ukrycie się nie było czasu. Książę, zdziwiony wielce, pyta:

— A ty skąd się tu wziąłeś? Gdzie tratwa? Czy w dobrym miejscu schowana?

— O to właśnie miałem pytać waszą książęcą mość — odpowiadam.

Przeciągnęła mu się mina, gdy to usłyszał, i rzecze:

— Skądże ci przyszło do głowy mnie o to pytać?

— Ano — mówię — wczoraj, gdy znaleźliśmy króla w szynkowni, nie przypuszczając, żeby powrócił tak prędko, poszedłem wałęsać się po mieście dla zabicia czasu, w oczekiwaniu hasła powrotu. Tymczasem nadszedł jakiś człowiek i przyrzeka mi dziesięć centów, jeśli mu pomogę przeprawić barana na drugą stronę rzeki. Ja na to jak na lato. Poszedłem, ciągniemy barana z całych sił, ten się opiera, więc ów człowiek daje mi sznur, mówiąc: „Trzymaj mocno, a ja go będę próbował popychać z tyłu". Dobrze! Więc ciągnę za sznur, ale przeklęte bydlę jest silniejsze ode mnie. Wyrwał mi się i w nogi, a my za nim... Nie mieliśmy psa, więc trzeba było uganiać się za nim po polach, nie wiem, jak długo. Schwytawszy go wreszcie, gdy już było porządnie ciemno, dobiliśmy szczęśliwie

[276] *wczas* — wypoczynek. [przypis edytorski]

do miejsca. Wracam z dziesięcioma centami w kieszeni i ruszam prosto do tratwy. Ale gdy zobaczyłem, że jej nie ma, byłem zgnębiony. Nic innego, myślę sobie, tylko nawarzyli tam piwa i zmuszeni do ucieczki, zabrali ze sobą mojego Czarnego, jedynego Czarnego, jakiego miałem... Co ja tu zrobię nieszczęśliwy! Usiadłszy, zacząłem płakać, a potem całą noc przespałem w lesie... Ale cóż się mogło stać z tratwą? I z Jimem, z moim biednym Jimem?

— Bodajbym skisł, jeżeli wiem, co się stało z tratwą. Ten stary dureń zrobił jakiś interes, za który dostał czterdzieści dolarów, ale kiedy go znaleźliśmy w szynkowni, już większą część przegrał w zakłady, a resztę przepił do ostatniego centa. Po powrocie wieczorem nad rzekę, nie zastawszy tratwy, powiedzieliśmy sobie: „Ten mały nicpoń skradł naszą tratwę, porzucił nas tutaj, a sam uciekł".

— Czyżbym ja porzucił swego Czarnego, jedynego Czarnego, jaki mi został? Nic więcej nie posiadam na świecie!

— O tym nie myśleliśmy jakoś. Co prawda, przywykliśmy uważać go za swego. Tak... za swojego... Bóg jeden wie, ile on nam przyczynił ambarasu... Ale widząc, że tratwy nie ma, żeśmy osadzeni na koszu, musieliśmy ogłosić trzy przedstawienia... Co ja się nakręciłem i nalatałem, aż mi w gębie wyschło od gadania. Gdzie masz owe dziesięć centów?

Grosza mi nie brakło, daję mu więc dziesięć centów, lecz proszę, żeby kupił za nie coś do jedzenia i podzielił się ze mną, bo to są jedyne pieniądze, jakie posiadam, a od wczoraj nic w ustach nie miałem.

Nie odrzekł na to ani słowa, tylko, pomilczawszy chwilkę, pyta:

— Jak ci się zdaje? Nie nagada na nas ten Czarny? Obdarłbym go żywcem ze skóry!

— Jakże może nagadać? Uciekł przecież!

— Nie uciekł! Ten stary dureń sprzedał go, nie podzielił się ze mną i utrzymuje, że stracił co do grosza.

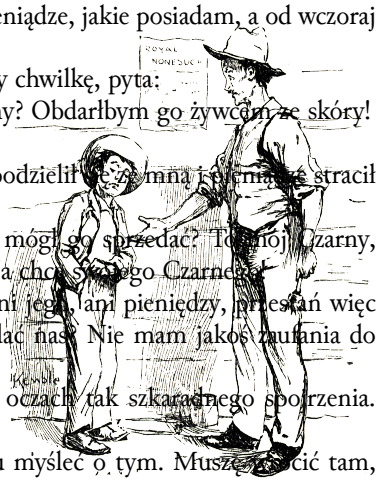

— Sprzedał! — powiadam i w płacz. — Jakże mógł go sprzedać? To mój Czarny, pieniądze są moją własnością... Gdzie mój Czarny? Ja chcę swego Czarnego!

— Nie ma twojego Czarnego i nie dostaniesz ani jego, ani pieniędzy, przestań więc beczeć. Słuchaj, może tobie przyszło do głowy wydać nas? Nie mam jakoś zaufania do ciebie... Powiadam ci, gdybyś to zrobił...

Urwał, ale nigdy jeszcze nie widziałem w jego oczach tak szkaradnego spojrzenia. Szlocham więc w dalszym ciągu i mówię:

— Nikogo nie będę wydawać... Nie mam czasu myśleć o tym. Muszę jechać tam, gdzie byliśmy wczoraj, i szukać swojego Czarnego.

Moje łzy musiały go rozrzewnić, bo stojąc z całym stosem afiszów, które rozwiewał mu wiatr, myślał, marszczył czoło, aż wreszcie rzekł:

— Powiem ci coś. Chcemy tu zabawić trzy dni. Jeżeli dasz słowo, że będziesz trzymał język za zębami i że nie pozwolisz Czarnemu gadać, to ci powiem, gdzie możesz go znaleźć.

Dałem słowo, na co on znów:

— Właściciel folwarku nazwiskiem Silas Ph... — I nagle zamilkł. Miał widocznie zamiar powiedzieć prawdę, ale się wstrzymał, znów zaczął myśleć i już pewien byłem, że zamiar zmieni.

I rzeczywiście tak było. Nie dowierzał mi i chciał się upewnić, że nie będę mu stawał na drodze przez trzy dni. Niebawem więc rzecze:

— Nabył go właściciel folwarku nazwiskiem Abraham Foster, uważaj: Abraham G. Foster. Mieszka o czterdzieści mil stąd, w głąb kraju, na drodze do Lafayette.

— Doskonale! — powiadam uradowany. — Za trzy dni już tam będę. Dziś wieczorem puszczam się w drogę.

— Nie nad wieczorem, ale natychmiast. Nie trać czasu, nie zwlekaj, nie bałamuć się w drodze, idź prosto przed siebie, a język trzymaj za zębami, bo inaczej będziesz miał ze mną do czynienia. Słyszysz, co mówię?

Tylko tego było mi potrzeba. Chciałem mieć rozwiązane ręce i swobodę wykonania swych planów.

Poszedłem więc we wskazanym kierunku. Nie oglądając się, czułem, że książę mnie śledzi. „Wywiodę ja cię w pole" — myślałem w duchu. Nie zatrzymując się przez jakąś milę, zawróciłem w końcu i okrążając lasem, poszedłem w stronę Phelpsa. Nie miałem

bynajmniej zamiaru łamać danego słowa i wydawać oszustów w ręce władzy, ani też nie pozwoliłbym na to Jimowi. O jedno mi tylko chodziło: raz na zawsze zejść im z drogi i nigdy już nie oglądać ich królewsko-książęcych mości.

ROZDZIAŁ XXXII



Folwark Phelpsa. — „To ty?" — Ciotka Tomka Sawyera

Gdy stanąłem wreszcie na folwarku Phelpsa, zastałem tam taką ciszę, jakby to była niedziela, nie dzień powszedni.

Wszyscy robotnicy byli w polu, słońce piekło jak ogniem, a w powietrzu unosiło się to leciutkie brzęczenie owadów i muszek, które gdy gdziekolwiek je słyszę, to zdaje mi się, że tam już nie ma żywej duszy, że albo wszyscy gdzieś poszli, albo wymarli. A wtedy nawet, gdy się wiatr podniesie i zaszeleści listkami, to jeszcze mi smutniej, bo mniemam, że to dawno umarłe duchy coś o mnie szepczą. Taki mnie smutek wówczas ogarnął, że wolałbym nie być na świecie.

Folwark Phelpsa był jedną z tych małych plantacji bawełny, którą może obrobić jeden koń. Wszystkie one są do siebie podobne: duże podwórze otoczone rowem, a nad nim coś na kształt ogrodzenia z pni przepiłowanych i zaostrzonych na końcu, ale nierównej długości, tak że wyglądają jakby ustawione rzędem beczułki niejednakowego wymiaru. Podobne ogrodzenie służy głównie do tego, aby stanąwszy na pniaku, łatwiej rów przeskoczyć albo, kobiecie na przykład, siąść na konia bez żadnej pomocy.

Na rozległym dziedzińcu widać było tu i ówdzie niewielkie, pożółkłe od skwaru trawniki, lecz przeważnie był pusty i ogołocony z wszelkich ozdób. W głębi dziedzińca stał wielki, porządny dom właścicieli, zbudowany z bierwion, to jest grubych pni, ociosanych z kory i przepiłowanych na pół. Szpary pomiędzy nimi zatyka się gliną albo mieszaniną wapna, gliny i piasku. Domy takie, od czasu do czasu bielone wapnem, mają na ścianach ładne, białe pasy. Nieco dalej kuchnia, cała z okrąglaków[277], połączona z domem szeroką galerią krytą dachem; za kuchnią wędzarnia, jeszcze dalej trzy małe chaty z okrąglaków, przeznaczone dla Czarnych, w głębi zaś, nad samym rowem, stojąca na uboczu chatka tak mała, że można ją nazwać budką, a tuż obok ocembrowany[278] dół do zsypywania popiołu oraz ogromny kocioł do warzenia mydła. Pod ścianą kuchni długa, wkopana w ziemię ławka, na niej wiadro wody i tykwa zastępująca kubek; pod ławką śpiący pies, a opodal kilka innych psów, również śpiących. W jednym z rogów dziedzińca trochę drzew, nad rowem rząd porzeczek i agrestu, za nim ogród i grzędy kawonów[279], a dalej pole bawełny. Za polem nie ma nic prócz puszczy, w której zwartym szeregiem stoją drzewa.

Obszedłszy wokoło całą zagrodę, dostałem się do wnętrza przez ogrodzenie, tuż obok dołu na popiół. Idę w stronę kuchni, a im bardziej się zbliżam, tym wyraźniej słyszę skrzypiący turkot kołowrotka. Coś zepsutego musiało w nim być, bo jęczał, skrzypiał, zgrzytał, aż uszy bolały!

Idę prosto do kuchni, bez żadnego wyraźnego zamiaru, ufając tylko Opatrzności, która, jak zauważyłem, pozostawiona sama sobie, zawsze mi dobrze podpowiada.

Pies

Gdy byłem zaledwie o kilkanaście kroków od kuchni, jeden z psów, zbudzony mymi krokami, podniósł się, przeciągnął i wpada na mnie, a za nim drugi, trzeci i cała zgraja.

Wkrótce byłem podobny do sztorcem[280] stojącej osi, wokoło której kręcą się ruchome, kosmate szprychy. A zbiegało się ich coraz więcej: zza ogrodzenia, z rowu, spod ścian, ze wszystkich kątów powyłaziło tego co niemiara, rozmaitego wzrostu, gatunku i sierści, lecz wszystkie jednakowo wściekłe, jakbym im Bóg wie co uczynił.

Usłyszawszy to ujadanie, wybiegła z kuchni Czarna z wałkiem od ciasta w ręku:

— A poszły! Poszedł, Tygrys! Leżeć, Plama! Poszły, psiska! Dam ja wam!

Jednego psa wałkiem po grzbiecie, drugiego ręką za kark, trzeciego nogą, gdzie popadło, aż odskoczyły wszystkie, skomląc żałośnie. Po chwili połowa napastników powróciła,

[277] *okrąglak* — okorowany pień drzewa. [przypis edytorski]
[278] *ocembrowany* — umocniony, obudowany cegłami lub betonem. [przypis edytorski]
[279] *kawon* — arbuz. [przypis edytorski]
[280] *stać sztorcem* — stać tak, aby utworzyć kąt prosty z płaszczyzną. [przypis edytorski]

machając przyjacielsko ogonami i łasząc się do mnie. Zaraz też na poczekaniu nastąpiło przyjazne zbliżenie, bo tak w psie, jak i we mnie nie ma ani krzty złości.

Za Czarną wybiegła z kuchni mała Czarnulka i dwóch mniejszych od niej chłopaczków, wszyscy goli, ręcznikami tylko przepasani, przyczepili się do matczynej spódnicy i zza niej wychylając główki, przypatrują mi się ciekawie, jak to zwykle czynią Murzyniątka. Wreszcie wybiega z dworu pani (biała, ma się rozumieć), czterdziestokilkuletnia kobieta, z gołą głową, z wrzecionem w ręku, w towarzystwie dwojga czy trojga białych dzieci, które przypatrują mi się, tak samo jak i czarne. Pani biegnie do mnie, zdyszana a uśmiechnięta, i woła: Matka, Dziecko

— To ty! Nareszcie! To ty!

— To ja, pani! — wyrwało mi się, zanim zdążyłem zebrać myśli.

A pani bierze mnie za szyję, ściska, pożera wzrokiem, leje łzy, jakby się nie mogła mną nacieszyć, i wciąż powtarza:

— Nie jesteś tak podobny do matki, jak przypuszczałam, ale mniejsza o to! Jestem taka szczęśliwa, że cię nareszcie widzę! Mój drogi chłopcze, nie mogę się na ciebie napatrzeć! Dzieci, patrzcie, to wasz braciszek Tom! Przywitajcie go czym prędzej!

Ale dzieci pospuszczały głowy, powkładały palce do ust i wciąż [illegible] za matkę. Więc ona:

— Elżuniu, pobiegnij no i każ przygotować śniadanie. Tylko prędko! A może ty już jadłeś na statku?

Gdy potwierdziłem, wzięła mnie za rękę i prowadzi do domu w towarzystwie podskakujących dzieci. W pokoju sadza mnie na wyścielanym krześle, a sama siadając na niskiej ławeczce i biorąc obie moje ręce, mówi:

— No, teraz to już ci się napatrzę do woli. Mój Boże, jestem [illegible] wyglądałam ciebie, jak spragniona byłam twego widoku! Tyle lat, tyle lat [illegible] nareszcie! A czy wiesz, że od trzech dni spodziewaliśmy się ciebie lada chwila? Dlaczego się spóźniłeś? Może okręt...?

— Ta-ak, pro-oszę pani...

— Nie mów: proszę pani, mów: proszę cioci. Ciocia. Tak, ciocia Salcia. Więc rozbił się statek? Czy na mieliźnie osiadł?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, nie mając pojęcia, skąd miał przybyć oczekiwany okręt, z góry rzeki czy z dołu.

— E, mielizna to nic — odpowiedziałem po namyśle. — Nie przez nią straciliśmy tyle czasu. Gorszy był wypadek: kocioł nam pękł. Pogarda, Pozycja społeczna

— Boże miłosierny! Pozabijał ludzi?

— Nie, nikogo. Czarnego tylko zabił.

— Chwała Bogu. Wujaszek Silas co dzień jeździł do miasta po ciebie. I teraz pojechał, godzinę temu, dwie może, lada chwila powróci. Może go nawet spotkałeś na drodze? Musiałeś spotkać: niemłody już człowiek, z długą...

— Nie, nie spotkałem nikogo, ciociu Salciu. Ponieważ parostatek przypłynął o świcie, więc ja, zostawiwszy rzeczy na przystani, poszedłem przejść się trochę, nie chcąc tu przybyć za wcześnie.

— A komu kazałeś pilnować rzeczy?

— Nikomu.

— Co ty zrobiłeś! Ukradną!

— Nie, ciociu, są w dobrym miejscu.

— Jakże się więc stało, że jadłeś tak rano gorące śniadanie?

Widząc, że lód pode mną zaczyna trzeszczeć, brnę dalej:

— Kapitan wziął mnie ze sobą do oficerskiej jadalni i miałem doskonałe śniadanie.

Taki się czułem nieswój, że nie mogłem usiedzieć. Ciągle zerkałem na dzieci, myśląc, że jeżeli mi się uda pomówić z nimi na stronie, to wyciągnę z nich, gdzie jestem i jak się nazywam. Ale nie było sposobu; pani Phelps mówiła i mówiła bez ustanku. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach, gdy usłyszałem:

— Ale my tu gawędzimy i gawędzimy, a nie powiedziałeś mi jeszcze ani słowa o swoich. Musisz powiedzieć o każdym z osobna wszystkie szczegóły, jak się mają, jak wyglądają, co robią, co ci kazali nam powiedzieć?... Wszystko mów, co ci na myśl przyjdzie!

Widzę, że ugrzązłem bez ratunku, że Opatrzność odstąpiła mnie już najzupełniej. Nie mając żadnego wyjścia, już otwierałem usta, by wyznać prawdę, gdy „ciotka" wpycha mnie gwałtem za łóżko i mówi:

— Idzie! Idzie! Schyl głowę... niżej... jeszcze... ot, tak! Teraz cię nie zobaczy... Nie odzywajże się i nie ruszaj... Zwiodę go... Dzieci, żebyście mi ani słowa nie mówiły.

„Masz tobie! — myślę. — Nowa bieda!". Ale cóż miałem robić? Trzeba się było schować i stać cicho w oczekiwaniu na piorun, który w końcu musiał uderzyć.

Tylko raz zerknąłem okiem w stronę drzwi i ujrzałem niemłodego już pana. „Ciocia" zrywa się z miejsca, biegnie ku niemu i pyta:

— Cóż, przyjechał?

— Nie — odpowiada małżonek.

— Wielki Boże! Cóż się z nim mogło stać?

— Nie mam pojęcia — odpowiada niemłody pan — i muszę przyznać, że zaczynam być bardzo niespokojny.

— Niespokojny! — podchwyciła ciocia. — Ja też głowę tracę... Musiał przyjechać... Minąłeś się z nim na drodze... Pewna jestem, że tak... Coś mi powiada, że przyjechał.

— Ależ, Salciu, nie mogłem się z nim minąć. Sama wiesz, że nie mogłem.

— Boże mój, Boże! Co na to powie moja siostra? Przyjechał, ręczę, że przyjechał. Minąłeś się z nim... Nie zauważyłeś...

— Nie męcz mnie, Salciu, i tak już jestem zmęczony niepokojem. Sam nie wiem, co mam o tym myśleć, co mam czynić... Jestem więcej niż niespokojny, jestem zmartwiony... Tak, zmartwiony... Nie ma wątpliwości, że nie przyjechał... Salciu... Ciężko mi to powiedzieć... ale chyba z okrętem zdarzyło się jakieś nieszczęście! Ach! To okropne!

— Silas! Silas! — przerwała mu „ciotka". — Spójrz no w okno! Kto to tam idzie drogą?

Pan domu podskoczył do okna znajdującego się w głowach łóżka, z czego natychmiast skorzystała jego małżonka. Zbliżywszy się do mnie, ukrytego za kotarą w nogach łóżka, szybko szturchnęła mnie w ramię i pociągnęła za rękaw. Zrozumiałem, co to ma znaczyć, toteż gdy „wujaszek Silas", nic na drodze nie ujrzawszy, odwrócił się od okna, zobaczył przed sobą żonę tak rozjaśnioną jak dom, z którego okien bucha płomień pożaru, a obok ciotki — mnie, stojącego z potulną miną i kroplami potu na czole. Wytrzeszczył więc oczy i pyta:

— A to kto?

— Jak ci się zdaje?

— Pojęcia nie mam. Kto jest ten chłopaczek?

— Tomek Sawyer!



Usłyszawszy to, osłupiałem ze zdumienia. Zdawało mi się, że i podłoga drgnęła pode mną. Nie było jednak czasu dziwować się, bo stary Silas złapał mnie za rękę i trząsł nią jak gruszą z radości, żona zaś dreptała w kółko, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, i oboje zasypywali mnie pytaniami: „Co porabia ten?", „Jak się ma tamta?" i tak dalej.

Radość ich, jakkolwiek silna, była niczym w porównaniu z moją, gdy w końcu dowiedziałem swego nazwiska. Jak sople dachu, tak oni mnie się trzymali co najmniej ze dwie godziny, a w końcu, gdy już nie mogłem ruszać szczękami, wiedzieli o mojej rodzinie — a raczej o rodzinie Sawyerów — daleko więcej, niż się mogło przytrafić sześciu rodzinom. Wytłumaczyłem im także przyczynę mego opóźnienia, opowiedziawszy o pęknięciu kotła i jego trzydniowej naprawie. Poszło to gładko jak chleb z masłem.

Teraz więc czułem się zupełnie spokojny i zadowolony; dolegała mi tylko jedna myśl, że przestanę być Tomkiem Sawyerem, gdy tylko zagwiżdże pierwszy parowiec. Ale wówczas co będzie? Tomek wpadłszy do pokoju, zawoła do mnie: „Huck! Ty tu?", zanim ja zdążę mrugnąć na niego. Co wtedy będzie? Ponieważ jednak na to nie byłoby rady, więc postanowiłem nadrabiać miną i wyjść na spotkanie Tomka.

Dlatego też, otrzymawszy pozwolenie na wyjazd po rzeczy, które zostały na przystani, siadłem do lekkiego wózka i pojechałem.

ROZDZIAŁ XXXIII

Nie konio-, ale Murzynokrady. — Gościnność południowców. — „Ty niegodziwy smarkaczu!" — W smole i w pierzu.

Ruszam więc do miasta i w połowie drogi widzę nadjeżdżający wózek, a na nim... któż by inny, jak nie Tomek? Tomek Sawyer! On sam, we własnej osobie. Przystanąłem, czekam, aż się zrównamy, i wołam:

— Stój!

Wózek staje, Tomek spostrzega mnie, rozwiera usta na oścież jak wjazdową bramę i już ich potem nie zamyka. Parę razy z trudem przełyka ślinę, jak ktoś, komu w gardle zaschło, po czym odzywa się:

— Ja... ja ci nigdy nie zrobiłem nic złego... Sam wiesz, że nie! Więc czemu... czemu powracasz z... tamtego... z tamtego świata i do mnie przychodzisz?

A ja mu na to:

— Nie powracam wcale, bo tam nie chodziłem.

Usłyszawszy mój głos, ochłonął nieco z przerażenia, lecz choć niezupełnie doszedł do siebie, mówi:

— Nie żartuj ze mnie, bo ja bym z ciebie nie żartował. Powiedz, jesteś porządny chłopak, nie jesteś duchem?

— Jestem porządny chłopak, nie jestem duchem.

— No... skoro tak... to wierzę ci... Wierzę, nie mogę jednak zrozumieć... Więc nie byłeś zabity? Nigdy? Ani trochę?

— Nigdy, ani trochę, daję ci na to słowo. Tak tylko wszystko urządziłem, żeby myślano, żem zabity. Zejdź z wózka i pomacaj mnie, przekonasz się, żem żywy.

Usłuchał wezwania i to go zupełnie zadowoliło. Wtedy dopiero sam już nie wiedział, co ma czynić z radości. Od razu też chciał się wszystkiego dowiedzieć: jakim sposobem zdołałem uciec, skąd się tu wziąłem i tak dalej. Ale że to była długa historia i wielki sekret, nie mogłem więc opowiedzieć mu wszystkiego w dwóch słowach i na gościńcu. Odłożywszy na później opowiadanie, wziąłem tylko Tomka na stronę, żeby mu wyznać swój kłopot.

— Jak ci się zdaje, Tomku, co teraz robić?

— Daj mi pomyśleć chwilkę i nie przeszkadzaj — odrzekł.

Milczeliśmy obaj przez kilka minut, po czym Tomek zawołał:

— Już wiem, co zrobić. Weź mój kuferek na swój wózek i zawróć do domu, jadąc noga za nogą, żebyś tak przyjechał, jakbyś naprawdę był w mieście. Ja zaś wrócę w stronę miasta, pomarudzę trochę i przyjadę na folwark w pół godziny po tobie. Z początku będziesz udawał, że mnie nie znasz.

— Dobrze — mówię — ale poczekaj no chwilę. Jeszcze ci coś powiem, czego nikt nie wie prócz mnie. Widzisz, Tomku, jest tu Czarny, którego chcę wykraść. Jim mu na imię, Jim starej miss Watson, pamiętasz?!...

— Co? — przerywa Tomek — Jim! Ależ on jest...

Tu przerwawszy sobie, zamyślił się.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — mówię. — Że to niegodziwość i podłość kraść Czarnego. Ale cóż z tego? Czując ohydę swojego czynu, wykradnę Jima, a ty siedź cicho i ani mru-mru. Dobrze?

Jemu aż oczy błysnęły.

— Dobrze! — powiada. — Ja ci pomogę.

Aż mi się w głowie zakręciło, gdy to usłyszałem. Nie spodziewałem się czegoś podobnego i — jeżeli mam prawdę powiedzieć — to Tomek Sawyer znacznie stracił w mojej opinii. Tylko że nie bardzo temu wierzyłem. Niech tam już ja — ale Tomek Sawyer Murzynokradem!

— Et! — powiadam. — Żartujesz!

— Nie żartuję.

— Żartujesz czy nie, proszę cię, jeżeli usłyszysz cokolwiek o Czarnym, którego poszukują jako zbiegłego z plantacji, to nie zapomnij pamiętać, że ty nic a nic o nim nie wiesz, tak samo zresztą jak i ja.

Wzięliśmy więc kuferek i przełożyliśmy go na mój wózek, po czym rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę. Taki byłem uradowany i tyle myśli cisnęło mi się do głowy, że na

śmierć zapomniawszy jechać wolno, przybyłem do domu za wcześnie. Wujaszek, stojąc we drzwiach, powiada:

— No, no! Prawdziwy cud! Kto by się był spodziewał, że ta klacz dokaże takiej sztuki. Na wyścigach biegać by mogła! Żeby choć jeden włosek miała mokry, a to nic, ani kropli potu! Nigdy nie myślałem, żeby tak znakomicie chodziła! O! Teraz, daję słowo, nie sprzedałbym jej za sto dolarów, podczas gdy wcześniej byłbym ją oddał za piętnaście, przekonany, że i tego niewarta.

I na tym się skończyło. Poczciwy to był z kościami[281] człowiek, dobroduszny, łagodny, nigdy nikogo o złe nie podejrzewał. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, bo wujaszek Silas nie tylko był dzierżawcą, ale jeszcze pełnił obowiązki duszpasterza. Na granicy jego folwarku stał mały, drewniany kościołek, jego własnym kosztem zbudowany, a obok szkoła, również z jego ofiary wzniesiona, w której nauczał religii, nie biorąc za naukę i za posługi religijne ani grosza, chociaż dobrze uczył i dobre miewał kazania. Na całym południu pełno jest podobnych jemu dzierżawców, którzy z jednakową gorliwością oddają się gospodarstwu i służbie Bożej.

W dobre pół godziny po moim przybyciu zajeżdża przed bramę frontową wózek Tomka. Ciocia Salcia spojrzała przez okno i powiada:

— Ktoś przyjechał! Ciekawe, kto to taki... Hm! Ktoś nieznajomy... Jimmy (jedno z dzieci), powiedz Lizie, żeby dodała nakrycie i niech przyśpieszą obiad.

Rzucili się wszyscy do głównych drzwi, bo przecież nie co roku przybywa ktoś nieznajomy w gościnę, musi więc wzbudzać zajęcie — daleko żywsze od żółtej febry, która tam dziś wybucha, gdzie wczoraj jeszcze wszyscy byli zdrowi. Tomek, przeszedłszy bramę, kroczył dziedzińcem ku domowi, gdy wózek, którym przyjechał, potoczył się z powrotem drogą ku wiosce. Tomek miał na sobie odświętne ubranie, a przed sobą nas wszystkich jako widzów: czyli to właśnie, za czym przepadał. Umiejąc sobie nadać ton, kroczył spokojny i pewny siebie jak kozioł, a stanąwszy przed nami, uchylił kapelusza tak wytwornie i zręcznie, jakby to było wieko pudełka z motylami, których lękał się spłoszyć.

— Wszak mam przed sobą pana Archibalda Nicholsa? — zapytuje.

— Nie, mój chłopcze — odpowiada gospodarz domu. — Przykro mi bardzo, ale twój woźnica oszukał cię. Pan Nichols mieszka o trzy mile dalej. Prosimy cię jednak, prosimy.

Tomek, spoglądając przez ramię poza siebie, na widok oddalającego się wózka, powiada:

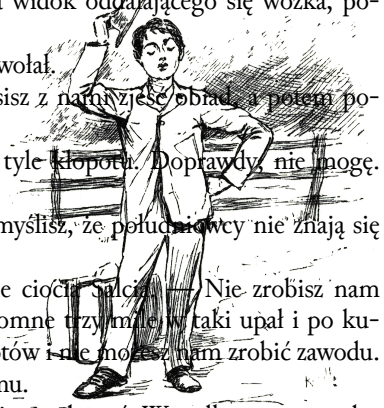

— Za daleko odjechał. Nie usłyszy, choćbym i wołał.

— Odjechał, synu, odjechał. Nie ma rady, musisz z nami zjeść obiad, a potem pomyślimy, jak by cię odwieźć do Nicholsa.

— O, nie, dziękuję. Nie mogę robić państwu tyle kłopotu. Doprawdy, nie mogę. Pójdę pieszo. Trzy mile to niedaleko.

— Ale my ci iść nie pozwolimy. Cóż ty sobie myślisz, że południowcy nie znają się na gościnności? Nie puścimy cię przed obiadem.

— Ma się rozumieć, że nie puścimy — dodaje ciocia Salcia. — Nie zrobisz nam najmniejszego kłopotu. Jakże można iść pieszo ogromne trzy mile w taki upał i po kurzawie. Zresztą kazałam już dodać nakrycie, obiad gotów i nie możesz nam zrobić zawodu. Chodźże z nami do stołu i bądź sobie rad jak w domu.

Podziękowawszy bardzo uprzejmie, Tomek dał się przekonać. Wszedłszy za gospodarzami, złożył ukłon wszystkim obecnym i przedstawił się jako podróżny ze stanu Ohio, z miasteczka Hicksville, nazwiskiem William Thompson.

Tak zacząwszy, snuł już dalej jak nitkę z kłębka opowiadanie o Hicksville, o jego mieszkańcach, o tym i o tamtym, bez końca. Gadał, co mu ślina na język przyniosła, a mnie strach zaczynał brać, bo nie mogłem domyślić się, jak się Tomek weźmie do rzeczy, żeby mnie wybawić z kłopotu. Aż wreszcie, na chwilę ust nie zamykając, podnosi się mój Tomek z krzesła, całuje ciocię Salcię w same usta i uczyniwszy to, znów wygodnie zasiada w krześle, żeby dalej mówić. Ale ciocia Salcia, zerwawszy się jak oparzona, ociera usta ręką i krzyczy z widocznym oburzeniem:

— A ty smarkaczu! Cóż to za poufałość?

Tomek stroi obrażoną minę i odpowiada:

[281] *poczciwy z kościami* (fraz.) — zacny, dobry, uczciwy. [przypis edytorski]

— Nie spodziewałem się tego po pani.

— Nie spodziewał... Za kogoż ty mnie masz? Doprawdy, warto by cię... Zaraz mi gadaj, co to znaczy, żeś mnie pocałował?

— Nic nie znaczy, proszę pani — potulnie już odpowiada Tomek. — Nie myślałem, że się pani obrazi... Mnie się zdawało, że pani... że pani zrobię przyjemność.

— Patrzcie go, oto głupiec!

I ciocia Salcia zamierzyła się na Tomka drutem, jakby pragnęła go kolnąć[282]...

— Skąd ci przyszło do głowy, że mi zrobisz przyjemność?

— Ja... ja... nie wiem... Wszyscy tak mówili... wszyscy...

— Wszyscy?! Wszyscy są wariaci, a ty... głupiec! Co też mu do głowy przychodzi! Kto są ci wszyscy?

— Wszyscy, proszę pani... Każdy mi to mówił, proszę pani...

Ciocia Salcia była u szczytu oburzenia, z jej oczu sypały się iskry, a palcami czyniła takie ruchy, jakby chciała wydrapać oczy Tomkowi. W końcu powiada:

— Jak się ci „wszyscy" nazywają? Jak ma każdy na imię? Odpowiadaj natychmiast albo cię zwymyślam... od idiotów.

Tomek zrobił desperacką minę, wstał z krzesła, wziął za kapelusz i żałosnym głosem powiada:

— Bardzo mi przykro... Nie spodziewałem się, że tak panią rozgniewam. Wszyscy mi mówili: „pocałuj". Każdy powtarzał: „pocałuj", a wszyscy dodawali: „zobaczysz, jak się ucieszy". Każdy, proszę pani, tak mówił, wszyscy, co do jednego... Ale skoro się pani gniewa, to przepraszam, bardzo przepraszam. Już nigdy nie będę... Nigdy... słowo daję... nie zrobię już tego.

— Nie będę! Nie zrobię! Spodziewam się, że nie zrobisz!

— Przysięgam na uczciwość, że nie zrobię... Nigdy w życiu... Chyba że pani sama poprosi...

— Chyba ja ciebie poproszę! Nie, chłopcze, ty uciekłeś z domu wariatów. Możesz być pewien, że matuzalowych lat[283] doczekasz, zanim poproszę o pocałunek ciebie albo i drugiego takiego jak ty gołowąsa[284]...

— Ha! Trudno... Ale dziwi mnie to... Dziwi, smuci... I ani rusz nie mogę zrozumieć, za co się pani tak gniewa. Wszyscy mówili: „ucieszy się" i ja myślałem, że pani się ucieszy... Czy...

Tu zatrzymał się i z wolna powiódł okiem wokoło, jakby szukał życzliwego spojrzenia. Spotkawszy wlepione w siebie oczy wujaszka, pełne dobrodusznego zdziwienia, zwrócił się wręcz z pytaniem do niego:

— A pan? Czy się panu nie zdawało, że jego szanowna małżonka ucieszy się, gdy ją pocałuję?

— Ja? Mnie? Nie... nie sądzę... żeby mi się to zdawało.

Tomek znów powiódł spojrzeniem wokoło i zatrzymując go tym razem na mnie, powiada:

— Tomku, czy i tobie się nie zdawało, że ciocia Salcia roztworzy mi ramiona i powie: „Sid Sawyer, mój siostrzeniec!".

— O nieba! — woła ciocia Salcia i zrywając się z miejsca, biegnie do Tomka. — Ach! Ty... niegodziwy chłopcze... Żeby też tak zwieść rodzoną ciotkę... — I chce go okryć pocałunkami, a Tomek usuwa się i oświadcza:

— Nie, nie, nie! Aż mnie pani sama poprosi.

Nie zwlekając dłużej, poprosiła go, żeby pozwolił jej się pocałować, wycałowała go też i wyściskała raz, drugi, dziesiąty i dopiero wtedy oddała go swemu mężowi, żeby się zadowolnił resztkami. A gdy się wszyscy nieco uspokoili, ciocia Salcia mówi:

— Ależ to niespodzianka! Oczekiwaliśmy Tomka, ale żebyś ty także miał przyjechać?... Siostra nigdy nawet nie wspomniała o tym, pisząc do mnie.

— Dlatego — tłumaczy Tomek — że z początku miano zamiar tylko Tomka wyprawić do wujostwa, ale ja tak prosiłem, że w ostatniej chwili mama i mnie pozwoliła

[282] *kolnąć* (pot.) — ukłuć. [przypis edytorski]

[283] *matuzalowe lata* — określenie nawiązuje do postaci Matuzala (a. Matuzalema), biblijnego patriarchy, dziada Noego, który wg Księgi Rodzaju miał żyć 969 lat. [przypis edytorski]

[284] *gołowąs* — młody chłopak (nieposiadający jeszcze zarostu). [przypis edytorski]

pojechać! Wtedy, na statku już, przyszło nam do głowy urządzić taką niespodziankę, że Tomek pokaże się tu i nic o mnie nie powie, a ja zaczekam parę godzin i przyjadę później, udając obcego. Ale nam się nie udał figiel, ciociu. Nie bardzo tu radzi obcym...

— Takim jak wy, nicponie — dokończyła ciocia — warto by was za uszy wytargać! Do tej pory jeszcze nie mogę do siebie dojść, tak się zirytowałam na ciebie. Ale mniejsza już o to, mniejsza... Dziesięć razy pozwolę wam tak zażartować z siebie, byle tylko mieć was tutaj, chłopaki. No, nie ma co mówić, udała ci się komedia! Oj, psotniku, psotniku! Przychodzi sobie i całuje mnie bez ceremonii, jakby chleb z masłem połykał.

Uczta

Siedliśmy do stołu w szerokim, otwartym przejściu, łączącym kuchnię z domem. Stół zastawiony był tak obficie, że siedem razy tyle osób mogło się najeść do syta, a wszystkie potrawy gorące. Nie było ani jednego z tych zimnych, łykowatych mięs, co to leżały na półce w wilgotnej spiżarni całą noc, żeby nazajutrz rano przypominać smakiem potrawkę ze starego ludożercy. Wujaszek Silas odmówił przed jedzeniem długą modlitwę, wzywając przy zastawionych potrawach błogosławieństwa Bożego; myślałem, że miał Pan Bóg co błogosławić.

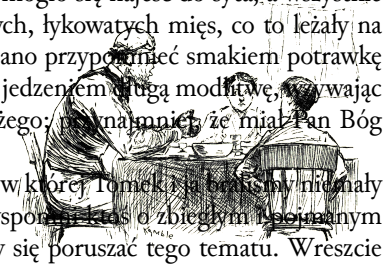

Całe popołudnie toczyła się ożywiona rozmowa, w której Tomek i ja bardzo mało mieliśmy udział. Nastawialiśmy pilnie ucha, czy czasem nie wspomną kiedy o zbiegłym i nieznanym Czarnym, ale nadzieja nas zawiodła, my zaś baliśmy się poruszać tego tematu. Wreszcie wieczorem, przy kolacji, odzywa się jedno z dzieci:

— Tato, czy Tomek, Sid i ja możemy pójść na przedstawienie?

— Nie — odpowiada wujaszek. — Przypuszczam, że go nie będzie, a choćby i było, tobym wam nie pozwolił pójść. Ten zbiegły Czarny, niedawno do mnie przyprowadzony, opowiadał o strasznej niesławie tych przedstawień, więc Buston, nasz sąsiad, postanowił podburzyć miasto i okolicę do wyświęcenia tych bezczelnych gorszycieli. Sądzę, że to się już stało.

„Aha! — powiadam sobie. — Złapali się, ale ja temu nie jestem winien".

Tomek i ja mieliśmy spać w jednym pokoju i w jednym łóżku, więc pod pozorem zmęczenia powiedzieliśmy „dobranoc" i poszliśmy położyć się zaraz po kolacji. Ale wszedłszy drzwiami, natychmiast wyszliśmy z pokoju oknem, a spuściwszy się po piorunochronie, dalejże do miasta, bo głowę gotów byłem dać za to, że nikt nie ostrzeże króla i księcia i że powinienem uczynić to jak najśpieszniej, jeżeli chcę ich ocalić od niebezpieczeństwa nie na żarty.

W drodze Tomek opowiedział mi, jakim sposobem zostałem zamordowany, jak niezadługo potem zniknął gdzieś mój tatko i już się więcej nie pokazał, jakiego hałasu narobiła ucieczka Jima. Ja zaś opowiedziałem Tomkowi, jakie to król i książę dawali przedstawienia i o naszej podróży tratwą, ale nie wszystko, bo nie zdążyłem. Przybyliśmy do miasta o wpół do dziewiątej. W miarę jak się zbliżamy do środka, coraz wyraźniej słyszymy wrzawę: krzyki, wycia, gwizdanie, jedni dmą w rogi, drudzy bębnią w żelazne patelnie, inni gwoździem skrobią po glinianych naczyniach, a jeszcze inni trąbią z całej siły w puste tykwy.

Usunęliśmy się nieco na bok, żeby przepuścić cały ten tłum, wśród którego spostrzegłem księcia i króla. To jest, właściwie domyśliłem się, że to są oni, bo z twarzy ani z postaci niepodobni byli do ludzi. Wyglądali raczej na dwa chodzące pióropusze wojskowe, znacznie tylko większe od prawdziwych, tak najeżeni byli piórami, które przylgnęły do ich wymazanej smołą skóry. Taka mnie litość ogarnęła, że już chyba nigdy w życiu nie będę czuł do nich żalu za wyrządzane mi różne przykrości. Straszny to był widok!... Jak to jednak ludzie potrafią być okrutni dla swych bliźnich!

Kondycja ludzka

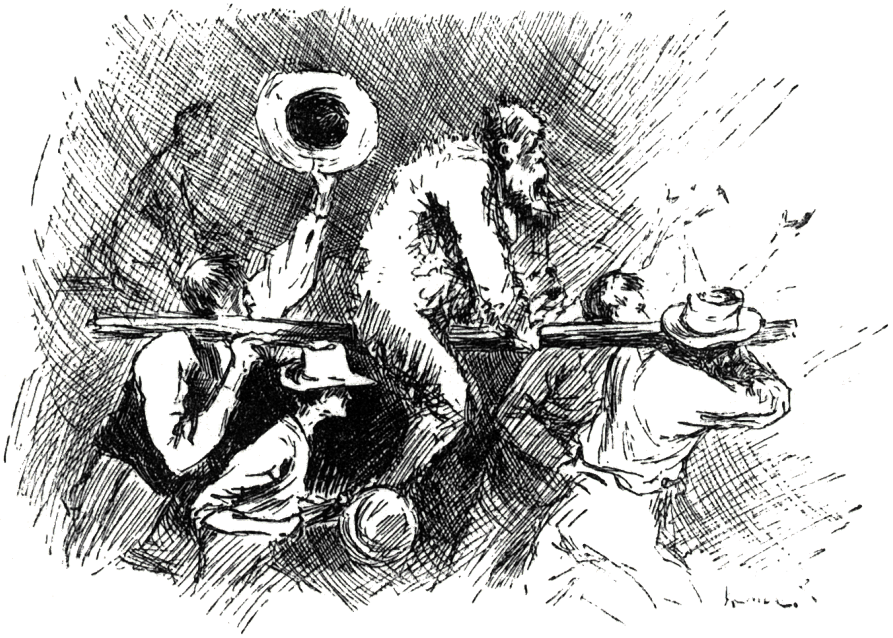

Przekonawszy się, że za późno przybyliśmy i że już nic nie możemy pomóc, zapytujemy jednego z przechodzących, co to się dzieje. Otóż poszli wszyscy na przedstawienie, uprzedzeni o tym, że zobaczą gorszące widowisko, ale zachowywali się spokojnie, dopóki biedny, stary król nie zaczął przewracać koziołków i wyprawiać łamańców na scenie. Gdy już rzeczy zaszły za daleko, dał ktoś sygnał, tłum cały rzucił się na nieszczęsnych aktorów i po smołowej kąpieli utarzał ich w pierzu.

Wróciliśmy więc, nic nie wskórawszy, do domu, lecz ja byłem jakoś nieswój, markotny, a tak mi coś ciążyło na sercu, jakbym popełnił grzech ciężki, choć przecież w niczym nie zawiniłem. Ale to tak jest: czy zrobisz źle, czy dobrze, sumienie zawsze cię gnębi, jakby po to tylko istniało, żeby gryźć człowieka, nie zaś rozważać i zgłębiać. Przyznaję, że gdybym miał psa tak pozbawionego zastanowienia jak sumienie, tobym go otruł. Bo sami państwo powiedzcie: i zabiera w człowieku więcej miejsca niż wszystkie inne wnętrzności razem wzięte, i swojemu gospodarzowi ciągle robi na złość.

Tomek Sawyer jest tego samego zdania.

ROZDZIAŁ XXXIV

Buda przy dole na popiół. — Wstyd i hańba! — Do roboty! — W mocy czarów.

Zaprzestawszy rozmowy, zaczęliśmy się namyślać. Po niejakiej chwili odzywa się Tomek:

— A wiesz, Huck, głupcy jesteśmy, że nam to najpierw na myśl nie przyszło. Założyłbym się, że wiem, gdzie jest Jim!

— Nie! Gdzie?

— A w tej budzie, tuż obok dołu na popiół. Czy nie zauważyłeś podczas obiadu Czarnego idącego w tamtą stronę z misą pełną różnego jedzenia?

— Tak, zauważyłem.

— Jak ci się zdaje, dla kogo było to jedzenie?

— Albo ja wiem! Dla psa zapewne.

— Aha! Dla psa. A ja ci powiadam, że nie dla psa.

— Dlaczego?

— Bo między innymi rzeczami był tam i kawałek kawona.

— Był, był! Sam widziałem. Prawda, nie przyszło mi do głowy, że psy kawona nie jadają! Jak to człowiek czasem patrzy i nie widzi...

Kondycja ludzka

— I tego nie widziałeś, że wchodząc do budki, Czarny otworzył kłódkę, a wyszedłszy, znów zamknął drzwi. I kiedy wstawaliśmy od stołu, to oddał wujaszkowi do rąk własnych jakiś klucz... Pewien jestem, że od tej kłódki. Kawon to dowód, że tam jest człowiek; kłódka, że ten człowiek jest więźniem, a nieprawdopodobne jest, aby mogło być dwóch więźniów na takiej małej plantacji, gdzie wszyscy zresztą są tacy dobrzy i serdeczni. Więźniem tym jest nie kto inny, tylko Jim! Doskonale! Bardzo się cieszę, że to wyśledziliśmy tak dowcipnie, za nic bym nie chciał dowiedzieć się prawdy inną drogą. Teraz łam sobie głowę i wymyśl plan wykradzenia Jima, a ja wymyślę drugi; po porównaniu wykonamy ten, który okaże się lepszy.

Jaka to głowa u tego chłopca! Gdybym ja miał taką, to już bym nie chciał być żadnym księciem ani kapitanem wielkiego parowca, ani klaunem w cyrku, ani niczym. Zacząłem więc układać plan, ale jedynie dlatego, żeby nie tracić czasu. Wiedziałem doskonale, skąd wyjdzie plan lepszy od mojego. Niebawem też Tomek pyta:

— Masz plan?

— Mam.

— Dawaj go tu.

— Mój plan jest taki: łatwo nam będzie przekonać się, czy w owej budzie znajduje się Jim, czy kto inny; i łódź moja, i tratwa są dobrze ukryte, mam pod ręką na zawołanie. Czekać tylko pierwszej ciemnej nocy i gdy wujaszek spać się położy, wykraść mu klucz z kieszeni: wtedy w nogi, w stronę rzeki. Dopadniemy łódki, łódką do tratwy, z Jimem, ma się rozumieć, i popłyniemy w dół rzeki, ukrywając się we dnie, a płynąc w nocy, jak to najpierw z Jimem czyniliśmy. Cóż, zły plan? Nie uda się może?

— Udać się, uda, dlaczego nie? Całe zło w tym, że za prosty, za łatwy. Co mi to za plan, który da się wykonać bez kłopotu. Ani tu zabiegów, ani ryzyka. Uda się, ale nikogo nie zadziwi, będzie to tak proste, jak złapanie myszy przez kota albo przekrajanie mydła ostrym nożem. Dobry plan, ani słowa, ale ja mam co innego w głowie...

Nic na to nie odrzekłem, pewny, że jego plan będzie bez zarzutu.

I tak też było. Gdy mi opowiedział swój plan, od razu poznałem, że jest wart moich piętnastu, bo daleko trudniejszy był do wykonania i niezwyczajny. Jim zostanie wolny, jak by nim został, gdybyśmy się trzymali mego planu, ale przy tym wszyscy trzej możemy przypłacić tryumf życiem. Nie mam potrzeby opowiadać tu wszystkich szczegółów tego planu, bo wiedziałem, że przy wprowadzeniu go w wykonanie zajdą zmiany, które uczynią go zupełnie innym i wprowadzą do niego tyle zawiłości, na ile tylko znajdzie się miejsca. No i nie omyliłem się, jak się państwo o tym przekonacie.

Tymczasem tego tylko byłem pewien, że Tomek naprawdę zamierza wziąć udział w wykradzeniu zbiegłego niewolnika. Tego żadną miarą nie mogłem zrozumieć. Jakże to? Chłopiec z porządnej rodziny, wychowywany jak się należy, mający dobre imię do stracenia, chłopiec z dobrą głową, nie ciemny, jak tylu innych, ale uczony na książce, nie żaden nikczemnik i ladaco[285], ale szlachetny i dobry... I oto taki chłopiec pozbywa się ambicji, wstydu i uczciwości, żeby przyłożyć rękę do takiej sprawy, która go wobec wszystkich okryje hańbą! Już otwierałem usta, żeby mu to powiedzieć, gdy Tomek, jakby odgadując moje myśli, uprzedził mnie:

— A może ci się zdaje, że ja nie wiem, co czynię? Gadaj zaraz: wiesz czy nie wiesz, że ja zawsze wiem, co robię?

— Wiem.

— Czy nie powiedziałem, że wraz z tobą wykradnę Jima?

— Powiedziałeś.

— A widzisz! Powiedziałem.

I na tym koniec, bo gdy Tomek raz powie, że coś zrobi, już się nie cofnie.

Po powrocie, gdy w całym domu było już cicho i ciemno, pobiegliśmy do budki obok dołu z popiołem, żeby jej się dobrze przypatrzeć. Szliśmy przez cały dziedziniec, trochę niespokojni, jak się z nami obejdą psy podwórzowe, ale te, znając nas, poszczekiwały tylko z lekka, żeby dać dowód swej czujności. Obejrzawszy budkę dokładnie, ujrzeliśmy w ścianie północnej, która przypierała do ogrodzenia, niewielkie, kwadratowe okienko,

[285] *ladaco* — ktoś niewiele wart, nicpoń. [przypis edytorski]

dość wysoko umieszczone i zabite w poprzek położoną grubą deszczułką, przymocowaną do futryny bretnalami[286].

Powiadam więc:

— Doskonale! Przez ten otwór Jim wyjdzie, trzeba tylko oderwać deskę...

Tomek zaś na to:

— I zjeść chleba z masłem, i popić ciepłym mlekiem, i pójść z nianią na spacer, i tak dalej. Moim zdaniem potrafimy znaleźć nieco trudniejszy sposób wydobycia więźnia z niewoli.

— No, to może wypiłować deskę, jak to ja uczyniłem, zanim mnie zamordowano?

— To już bardziej uchodzi. Ale ja bym chciał coś jeszcze lepszego... Żeby to nie tak prędko i nie tak łatwo... Zresztą pośpiech zbyteczny, można się rozejrzeć, namyślić...

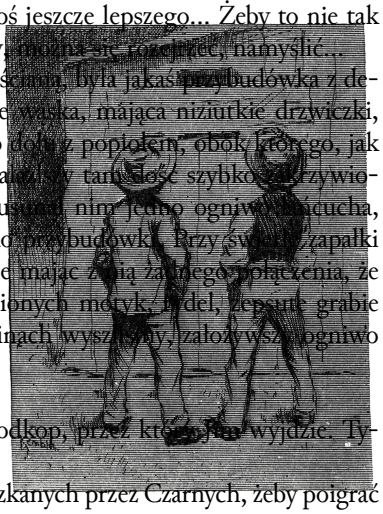

Zabobony

Pomiędzy tą budą a ogrodzeniem, pod jej tylną ścianą, była jakaś przybudówka z desek, niezbyt wysoka, tak prawie długa jak buda, ale wąska, mająca niziutkie drzwiczki, zamknięte na kłódkę łańcuchem. Tomek poszedł do dołu z popiołem, obok którego, jak to zwykle bywa, stał kocioł do warzenia mydła. Znalazł tam dość szybko zardzewiony pręt żelazny, którym unosi się pokrywę kotła, usunął nim jedno ogniwo łańcucha, który też się rozpadł, umożliwiając nam przejście do przybudówki. Przy świetle zapałki przekonaliśmy się, że przybudówka dotyka budy, nie mając z nią żadnego połączenia, że jest bez podłogi i pusta. Na ziemi leżało kilka stępionych motyk, łopat, zepsute grabie i tym podobne nieużyteczne graty. Po tych oględzinach wyszliśmy, założywszy ogniwo nie najgorzej.

Okrutnie uradowany Tomek mówi do mnie:

— No, teraz wszystko w porządku! Zrobimy podkop, przez który Jim wyjdzie. Tydzień na to wystarczy!

Nazajutrz o świcie pobiegliśmy do chatek zamieszkanych przez Czarnych, żeby poigrać z psami i wejść w zażyłość z przydzielonym do Jima Czarnym, który właśnie napełniwszy blaszankę mięsem, jarzynami i chlebem, szedł do budy.

Miał on bardzo poczciwą twarz, o wyszczerzonych w uśmiechu zębach, zaś jego wełniste włosy powiązane były w pęczki nićmi i sznureczkami. To go miało chronić od czarów. Opowiedział nam zaraz, że jest prześladowany przez czarownice, że po nocach straszą go różne widziadła, słyszy głosy i nadzwyczajne hałasy.

— Dla kogo to jadło? — pyta go Tomek. — Idziesz karmić psy?

Twarz Czarnego tak się spłaszczyła w uśmiechu, jak grudka zgęstniałego błota pod uciskiem dłoni.

— Tak, paniczu, psa, ale nie takiego jak inne. A może panicze ciekawi go zobaczyć?

— I owszem — rzekł Tomek.

— Jakże to? W biały dzień tam pójdziemy? Inny plan miałeś — szepnąłem z cicha Tomkowi.

— Teraz mam taki.

Cóż było robić? Ustąpiłem, chociaż niechętnie, i poszliśmy. Wszedłszy do środka, początkowo nic nie widzieliśmy, tak było ciemno, ale Jim — bo to był naprawdę Jim, zobaczywszy nas, zawołał:

— Co? Huck i panicz Tomek! Wiedziałem, że tak będzie!

Zdumiony Czarny wytrzeszczył oczy i mówi:

— Co? To on zna paniczów?

Myślałem, że wszystko przepadnie. Ale Tomek spogląda na Czarnego obojętnie i zdziwiony pyta:

— Kto? Skądże ci przyszło do głowy, że on nas zna?

— Skąd przyszło? A przecież on wykrzyknął, że zna paniczów.

Wtedy Tomek, jeszcze więcej zdziwiony, rzecze, jakby do siebie:

— A to rzecz ciekawa! Kto wykrzyknął i kiedy?

Potem, zwróciwszy się do mnie, z zimną krwią pyta:

— A ty, czy słyszałeś cokolwiek?

Ma się rozumieć, że na takie pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź:

— Nie, nic nie słyszałem.

[286] *bretnal* — długi gwóźdź z dużym i płaskim łebkiem. [przypis edytorski]

Zwraca się więc Tomek do Jima i patrząc na niego tak, jakby go nigdy w życiu nie widział, zapytuje:

— A może to ty się odzywałeś?

— Nie, paniczu — odpowiada Jim — to nie ja. Głosu nie wydałem.

— Ani jednego słowa nie mówiłeś?

— Ani jednego.

— Widziałeś nas kiedy przedtem?

— Nie, paniczu.

Wówczas Tomek, zwracając się do Czarnego, który patrzył na to wszystko przerażony, surowym głosem zawołał:

— Wytłumacz mi, co ci strzeliło do głowy? Dlaczego powiedziałeś, że Czarny, który nas nigdy nie widział, mówi do nas po imieniu?

— Ech, proszę panicza — odrzecze Czarny z desperacją — to z pewnością znów czary... Już bym wolał nie żyć! I to tak zawsze! Wciąż dokuczają człowiekowi, że mi już życie obrzydło! Niech panicz nikomu o tym nie mówi, bo pani znów mnie wyłaje... Pani nie wierzy... twierdząc, że nie ma czarów... A ja bym chciał, żeby pani teraz tu była... Ciekaw jestem, co by powiedziała. Gadaj, co chcesz, a wszyscy swoje: nieprawda i nieprawda!

Tomek przyrzekł mu, że nic nie powie, i dał mu drobną monetę, żeby miał za co kupić sobie nici do związania włosów w pęczki. Potem, patrząc na Jima, rzekł ostro:

— Ciekawy też jestem, czy wuj Silas powiesi tego Czarnego? Bo gdybym ja schwytał takiego niewdzięcznika, co od swoich państwa ucieka, zaraz bym go powiesił.

Gdy zaś Czarny podszedł do drzwi, żeby obejrzeć pieniądze i sprawdzić, czy dobry, szepnął Jimowi do ucha:

— Udawaj, że nas nie znasz. A jeżeli w nocy usłyszysz, że ktoś kopie, siedź cicho, bo to my. Zrobimy podkop i będziesz wolny.

Po tych słowach wyszliśmy z budy.

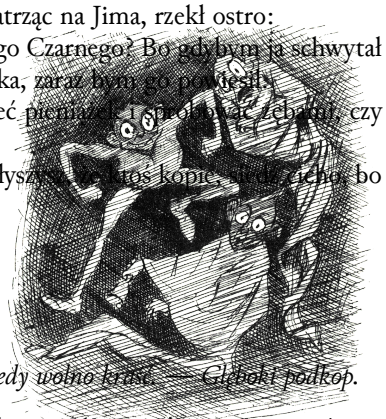

ROZDZIAŁ XXXV

Zgryzoty Tomka. — Tomek łamie sobie głowę. — Kiedy wolno kraść. — Głęboki podkop.

Na rannej pogawędce pośród lasu Tomek mówił, że trzeba nam koniecznie mieć trochę światła, gdyż kopać po ciemku nie można. Radziłem dostać latarnię, ale on się na to nie zgodził, twierdząc, że latarnia daje za wiele światła, które może nas zdradzić. Mieliśmy więc poszukać pewnego gatunku drzewa, którego próchno, położone w zupełnie ciemnym miejscu, wydaje blask żywy, lecz nie rażący.

Zrobiwszy zapas tego drzewa i ukrywszy je w chwastach rosnących pod ogrodzeniem, usiedliśmy dla odpoczynku i pogawędki.

— E! Co to za robota! — rzecze Tomek wielce markotny. — Wszystko idzie łatwo, jak z płatka... Aż wstyd! Nie ma ani trudności, ani przeszkody. Dozorca więzienny? Nie istnieje. Kogóż więc uśpić napojem? A przecież w każdym przyzwoitym więzieniu powinien być. Nie ma nawet psa, którego można by otruć! Niby to trzymają Jima na łańcuchu! Ależ łańcuch na dziesięć stóp długości z obręczą na jednym końcu założoną na nogę więźnia i zamkniętą na kłódkę, drugim końcem przytwierdzony niby do nogi łóżka... Cóż z tego, kiedy dość unieść łóżko, żeby ogniwo zsunęło się z nogi! A wuj Silas? Każdemu wierzy, wszystkim daje klucz, nie pilnując tego Czarnego z głową podobną do jarmużu. Jim mógłby wprawdzie wyjść przez okno, ale jakże będzie uciekał z długim łańcuchem? Czysta zgryzota! Bo ten łańcuch to jedna jedyna trudność, wszystkie inne sam muszę wymyślać! Ha! Cóż robić, trzeba brać to, co jest, kiedy nie ma tego, co być powinno. W tym tylko jedna pociecha, że sami musimy stwarzać przeszkody ku większemu dla nas zaszczytowi! Bo powiedz, proszę. Odrzucamy latarnię, wiedząc, że jej światło może nas zdradzić. Gdybyśmy jednak nie pamiętali o tej niezbędnej dla wszystkich spiskowców ostrożności, to moglibyśmy pracować przy pochodni, taka to czujność!... Aha... Dobrze, że mi to na myśl przyszło... Musimy jak najprędzej zdobyć coś takiego, z czego można zrobić piłę...

Więzienie

— A na cóż nam piła?

— Jak to, na co? Trzeba przecież odpiłować nogę łóżka, o którą łańcuch zaczepiony.

— Po co? Sam dopiero mówiłeś, że wystarczy podnieść łóżko, żeby łańcuch sam opadł.

— Ach, Huck, z tobą prawdziwa zgryzota! Jakie ty masz dziecinne pomysły! Ty chyba nigdy w życiu nie czytałeś porządnej książki: ani pamiętników barona Trencka[287], ani Casanovy[288], ani Benvenuta Celliniego[289], ani Henryka IV[290], ani w ogóle żadnej pouczającej? Któż słyszał uwalniać więźnia tak pospolitym sposobem? To dobre dla starych panien, lecz nas niegodne. Nie, nigdy! Prawdziwe w tej kwestii powagi uczą tak: przepiłować nogę od łóżka, trociny połknąć, żeby nie zostało ani źdźbełka, miejsce, gdzie noga przepiłowana, pomazać błotem albo tłustością, a wtedy najwprawniejsze oko nie spostrzeże przepiłowania. W chwili stanowczej wyciągniemy spod łóżka odpiłowaną nogę, łańcuch opadnie, no... i po wszystkim. Wtedy dopiero spuszczasz się po sznurowej drabinie do fosy, łamiesz nogę... bo taka drabina powinna nie dostawać na co najmniej dziewiętnaście łokci... A tam już czekają z końmi wierni wasale, podnoszą cię omdlałego, rzucają na siodło i lecisz z wiatrem w zawody do ojczyzny, do Langwedocji[291], Nawarry[292] albo gdzie indziej. To się nazywa uciekać z więzienia! Chciałbym, żeby wokoło tej budki była fosa. Jeżeli nam wystarczy czasu, wykopiemy ją jeszcze.

Ucieczka, Książka

— Po cóż fosa — mówię — kiedy wykopiemy przejście podziemne?

Ale Tomek nawet nie słuchał, zapomniał o mnie i o świecie. Brodę podparłszy ręką, myślał, myślał nad czymś długo, nareszcie westchnął, wstrząsnął głową, znów westchnął i mówi:

— Nie, nie można. Nie ma naglącej konieczności. Nie można...

— Czego nie można? — pytam.

— Odpiłować nogi Jimowi.

— Ma się rozumieć, że nie można. A po cóż byś ty miał mu nogę odpiłowywać?

— Widzisz... bywało, że tak czyniły największe powagi! Nie mogąc, na przykład, pozbyć się kajdan, ucinają sobie rękę, żeby móc uciec. Ucięcie nogi byłoby więc jeszcze wspanialsze. Ale trzeba dać temu spokój. Nie ma dość naglącej konieczności, a w dodatku Jim jest Czarnym, nie zrozumiałby więc powodów, dla których taki zwyczaj przyjął się w Europie... Trzeba dać spokój! Ale, oto! Nietrudno mieć sznurową drabinę, możemy przecież podrzeć nasze koszule i ukręcić sznury, a z nich drabinę... To nawet bardzo łatwo. Taką drabinę poślemy Jimowi upieczoną w chlebie... Zawsze się tak robi. Można by i w pierogu upiec... W takim dużym, pulchnym...

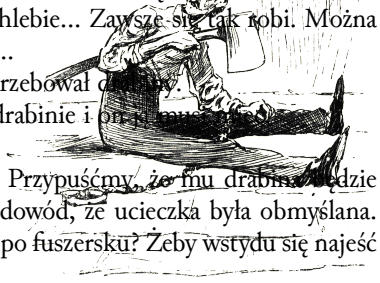

— Co też ty gadasz, Tomku! Jim nie będzie potrzebował drabiny.

— Powinien jej potrzebować. Każdy ucieka po drabinie i on [illegible]

— Ale cóż on z nią będzie robił?

— Co będzie robił? Niech ją w łóżko schowa! Przypuśćmy, że mu drabina będzie niepotrzebna, to schowa ją do łóżka i zostawi jako dowód, że ucieczka była obmyślana. Dlaczego nie wieść sprawy porządnie, tylko byle jak, po fuszersku? Żeby wstydu się najeść czy co?

— Ha — powiadam — kiedy tak jest napisane w prawidłach, to niechże już ma drabinę, jednak w takim razie musisz zezwolić, żebym z pościeli w swoim pokoju „pożyczył" jedno prześcieradło.

Odpowiedział, że zezwala. A przy tym wpadł widać jeszcze na nową myśl, bo mówi:

— A pożycz także i koszulę.

— Na cóż nam koszula?

— Potrzeba, żeby Jim miał na czym pisać dziennik.

— Dziennik? Jim nie umie pisać!

---

[287] *Trenck, Friedrich von der* (1726–1794) — pruski oficer i awanturnik, autor pamiętników; jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci XVIII-wiecznej Europy; po wybuchu rewolucji we Francji wyjechał do Paryża, gdzie został uznany za szpiega, aresztowany i stracony na gilotynie. [przypis edytorski]

[288] *Casanova, Giacomo* (1725–1798) — włoski pamiętnikarz słynący z miłosnych podbojów i awanturniczego życiorysu, który opisał w *Historii mojego życia*. [przypis edytorski]

[289] *Cellini, Benvenuto* (1500–1571) — włoski rzeźbiarz, złotnik, medalier i pisarz; znany z burzliwego życia; autor autobiografii *Żywot Benvenuta Celliniego własnoręcznie spisany*. [przypis edytorski]

[290] *Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

[291] *Langwedocja* — kraina hist. w płd. Francji. [przypis edytorski]

[292] *Nawarra* — kraina hist. w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji. [przypis edytorski]

— To może przecież nakreślić na koszuli jakieś znaki! Zrobimy mu pióro z trzonka od łyżeczki albo z kawałka starej obręczy żelaznej.

— Ale, Tomku, czy nie lepiej wyrwać pióro z gęsi?

— Ach, ty tępa głowo! Czyż więźniowie mają na zawołanie gęsi? Oni sobie pióra muszą robić, i to zawsze z najtwardszego materiału: z lichtarza, ćwieka, jednym słowem z tego, co im się nawinie pod rękę! Całymi tygodniami, ba, miesiącami pracują nad zrobieniem takiego pióra, nad zaostrzeniem go o mur, bo inaczej ostrzyć nie można. Nawet gdyby się znalazło gęsie pióro, to ci go żaden porządny więzień nie użyje. Nie uchodzi!

— Dobrze już, dobrze. A z czegóż mu zrobimy atrament?

— Niektórzy przyrządzają go z łez i ze rdzy żelaza, ale czynią to tylko kobiety i byle jacy więźniowie; porządni używają zwykle własnej krwi. I Jim musi tak uczynić, a jeśli będzie potrzebował przesłać wiadomość o sobie, żeby ludzie wiedzieli, gdzie więziony, to ową wieść może wyryć widelcem na cynowym talerzu, który wyrzuci przez okno. Tak postępował więzień zwany Żelazną Maską[293], a to był więzień co się zowie, porządny.

— Jim nie ma talerza cynowego. Noszą mu jeść w misce.

— To nic nie znaczy. Postaramy się o taki talerz.

— A jeżeli nikt nie przeczyta tego, co on napisze?

— A tobie co do tego, Huck, przeczyta czy nie przeczyta? Jego rzecz napisać, co trzeba, i wyrzucić talerz przez okno. Ty nie jesteś obowiązany umieć tego przeczytać, ani ty, ani drugi, ani trzeci. Niech sobie! Niech na całym folwarku nikt czytać nie umie... Prawie zawsze tak się zdarza, że to, co więzień napisze na talerzu albo na czym innym, pozostaje nieodczytane.

Dalszą rozmowę przerwał nam odgłos rogu wzywającego na śniadanie. Pobiegliśmy więc czym prędzej do domu.

Kradzież, Ucieczka

Tego samego rana zajrzałem do szafy z bielizną i „pożyczyłem" z niej duże prześcieradło oraz białą koszulę. Znalazłem także jakiś stary worek, w który schowałem bieliznę, po czym poszliśmy do lasu, przynieśliśmy próchna, zwanego [illegible] „lisim ogniem", i włożyliśmy je w tenże sam worek. Gdy powiedziałem Tomkowi o pożyczeniu bielizny, on nazywał to nie pożyczką, tylko kradzieżą, dodając jednak, że przedstawiciele więźnia muszą być obojętni na sposób zdobycia potrzebnych im przedmiotów i nikt im tego nie ma za złe. I więzień, i jego przedstawiciele mają zupełne prawo kraść wszystko, co tylko może ułatwić ucieczkę. Gdybyśmy nie byli więźniami, a [illegible] zupełnie co innego. Tylko nieuczciwy człowiek może kraść, nie będąc więźniem.

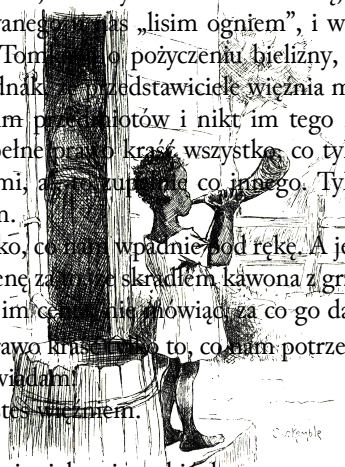

Postanowiliśmy zatem, że będziemy kraść wszystko, co nam wpadnie pod rękę. A jednak w kilka dni potem Tomek zrobił mi formalną scenę za to, że skradłem kawona z grzędy Czarnych po to, żeby go zjeść; kazał mi zaraz dać im coś [illegible] za co go daję.

— Źle mnie zrozumiałeś — mówił. — Mamy prawo kraść [illegible] to, co nam potrzeba.

— A właśnie kawon był mi potrzebny — odpowiadam.

— Nie, nie był ci potrzebny do ucieczki. Nie jesteś więźniem.

— Aha! Więc to w tym różnica?

— Naturalnie, że w tym. Jeżeli Jim potrzebuje noża, żeby nim zabić dozorcę, a ty mu ukradniesz i potajemnie go prześlesz, to nie kradzież, jeżeli zaś ukradniesz nóż dla siebie, to kradzież. Rozumiesz?

— Niechże tak będzie — odpowiedziałem.

Po tej rozmowie siedzieliśmy parę godzin spokojnie, czekając, aż każdy pójdzie do swej roboty i nikogo nie będzie na dziedzińcu. Wtedy Tomek zaniósł worek do owej przybudówki sąsiadującej z więzieniem Jima, ja zaś stałem na straży. Niedługo zabawiwszy, wrócił z próżnymi rękami, po czym usiedliśmy na stosie desek, żeby swobodnie porozmawiać. Ja milczałem, bo w takich razach zwykle zaczyna Tomek.

— Już wszystko mamy — powiada — oprócz narzędzi.

— Narzędzi? — pytam.

— Tak.

— Do czego?

[293] *Żelazna Maska* (zm. 1703) — tajemniczy więzień z czasów króla Ludwika XIV, przetrzymywany aż do śmierci w różnych więzieniach Francji, łącznie z Bastylią, zawsze pod nadzorem tego samego strażnika; nikt nie widział jego twarzy, gdyż więzień miał założoną na twarz maskę; wg Woltera (*Questions sur l'Encyclopédie*, 1771) maska była z żelaza, zaś więźniem był nieślubny starszy brat Ludwika XIV. [przypis edytorski]

— Do kopania. Nie będziesz przecież wygrzebywał dołu paznokciami.

— A te połamane szpadle i motyki? Czy ich nie starczy na wykopanie przejścia dla jednego człowieka, i to Czarnego?

Ale Tomek zwrócił na mnie spojrzenie tak pełne litości, że o mało nie rozpłakałem się z rozrzewnienia nad samym sobą.

— Hucku Finnie! Powiedz mi, proszę, czy ty słyszałeś kiedykolwiek, żeby więzień miał motyki i szpadle, i w ogóle wszystkie narzędzia nowoczesnego wynalazku, którymi by mógł wykopać dla siebie przejście podziemne? I pytam się ciebie, odpowiedz, jeżeli w ogóle potrafisz rozsądnie odpowiedzieć, czy zamiar ucieczki tym sposobem doprowadzonej do skutku miałby w sobie choć odrobinę bohaterstwa? W takim razie dlaczegóż by mu nie otworzyć kłódki? To jeszcze prościej, jeszcze łatwiej.

— W takim razie czegóż nam potrzeba?

— Parę noży składanych albo nawet i scyzoryków z większym ostrzem.

— Żeby nimi wykopać podziemne przejście z tej budy?

— Tak.

— A bierz cię licho, bo to szaleństwo!

— Ja nie wiem, czy to szaleństwo, ale wiem, że tak wypada i trzeba postąpić! O żadnym innym sposobie ucieczki z więzienia nie słyszałem, pomimo że przeczytałem wszystkie książki, które uczą, jak należy postępować w takim razie. Przejście musi być wykopane składanym nożykiem, i to nie w miękkiej ziemi ani w piasku, lecz w skale. Praca tego rodzaju ciągnie się całe tygodnie, miesiące, lata, a czasem nawet i do końca życia. Ot, weź na przykład więźnia, który siedział w podziemiach warowni[294] w porcie marsylskim. Jak ci się zdaje, ile on czasu kopał sobie przejście podziemne?

— Nie wiem.

— Zgaduj.

— Nie zgadnę. Miesiąc, półtora?

— Trzydzieści siedem lat! I wykopał przejście do samych Chin! Z niego trzeba brać wzór! Szkoda, że ta warownia nie stoi na skale.

— Jim nie zna nikogo w Chinach.

— A cóż to ma do rzeczy? I tamten nikogo nie znał. Ale ty zawsze podnosisz jakieś uboczne względy, odbiegając od głównej kwestii.

— Dobrze już, dobrze... Wszystko mi jedno, gdzie Jim wyjdzie, byle wyszedł, a i jemu także o nic więcej nie chodzi. Ale widzisz, trzeba jedno mieć na uwadze: Jim jest za stary, żeby kopał wyjście scyzorykiem. Nie wyżyje tak długo.

— Nie bój się, wyżyje. Zresztą nie będzie potrzebował trzydziestu siedmiu lat na wykopanie przejścia w miękkiej ziemi.

— Ile czasu potrwa taka robota?

— Nie może trwać tak długo, jak potrzeba, bo to za wielkie ryzyko. Do Nowego Orleanu niedaleko, wuj Silas niezadługo otrzyma stamtąd wiadomości. Otóż kopanie przejścia, które powinno trwać co najmniej parę lat, z powodu wyjątkowego położenia musi być bardzo przyśpieszone. Za to po ucieczce Jima można wmówić sobie, że robota trwała lat trzydzieści.

— Teraz rozsądnie mówisz — odpowiadam. — Przejście wykopiemy z łatwością, bez kłopotu, a jeżeli ci na tym zależy, to mogę powiedzieć, że sto pięćdziesiąt lat trwało kopanie. To już mi wszystko jedno, bylebyśmy postawili na swoim. No, a teraz trzeba ściągnąć ze dwa noże składane.

— Ściągnij trzy — mówi Tomek. — Z jednego musimy zrobić piłkę.

— Tomku — rzekłem — jeżeli nie będziesz tego uważał za bezbożność i lekceważenie uświęconych zwyczajów, to ci powiem, że tam pod ogrodzeniem, pomiędzy śmieciem i gratami, widziałem zardzewiałą piłę.

Ale on spojrzał na mnie z nieopisanym zniechęceniem i odrzekł:

— Ty się nigdy w życiu niczego nie nauczysz. Biegaj po noże. Pamiętaj, trzy nam potrzeba.

[294] *warownia* — forteca, budowla obronna. [przypis edytorski]

Ma się rozumieć, że pobiegłem.

ROZDZIAŁ XXXVI



Piorunochron. — Tomek ma zasady. — Dla sławy a potomności. — Kradzież łyżek. — Najście psów. — Dobra rada.

Wieczorem, gdy wszyscy posnęli, pobiegliśmy, zszedłszy po piorunochronie, do przybudówki, żeby się zabrać do roboty przy świetle próchna. Tomek [illegible] rozpoczęcie kopania tuż pod łóżkiem Jima, żeby przejście było pokryte kołdrą [illegible]. Kopaliśmy więc nożykami aż do północy, zmordowani strasznie, z pęcherzami na dłoniach, pomimo że robota wolno postępowała. Na koniec odzywam się do Tomka:

— Ależ my tego przez trzydzieści osiem lat nie wykopiemy!

Tomek nic nie odpowiedział, lecz westchnąwszy tylko, przestał kopać i przez długą chwilę tonął w zamyśleniu. Wreszcie rzekł:

— Na nic to się nie zda, Huck, co my robimy. Będąc w więzieniu, nie potrzebowalibyśmy się tak śpieszyć, bo nie zbywałoby nam na czasie. Zresztą kopiąc kilka minut dziennie, podczas zmian warty, nie mielibyśmy rąk w pęcherzach. Robota w ciągu wielu lat mogłaby być według wszelkich prawideł wykonana. My wszakże z powodu pośpiechu musimy kopać, nie tracąc czasu.

— Ale co robić, skoro noże wypadają nam z poranionych rąk?

— Niestety, widzę jeden sposób, wielce niemoralny, ale jedyny: dać spokój nożom składanym, a kopać... po prostu motykami.

— Złote słowa! Coraz mądrzejszą masz głowę, Tomku. Motyki! Nic innego, tylko motyki, a czy to moralnie, czy nie, to mniejsza o to... Ja przynajmniej nie dbam o moralność, od której mi pęcherze na dłoniach rosną. Czegóż ja chcę? Uwolnić Czarnego! Jeżeli więc najporęczniej mi osiągnąć ten cel motyką, biorę się do niej, zaś wszelkie tak zwane przez ciebie przykłady obchodzą mnie tyle, co zdechły szczur.

Dobro, Zło

— Zgoda! — powiada Tomek. — Przystaję na motyki, bo... nie można inaczej, ale gdyby okoliczności były inne, nie zgodziłbym się na to ustępstwo i nie pozwolił na naruszenie prawideł, bo dobre jest dobrem, a złe złem, i człowiekowi nie wolno postępować źle, gdy mając olej w mózgu, wie, co się dobrem nazywa. Daj mi nożyk!

Widząc, że go nie ma pod ręką, podałem swój. Rzucił go na ziemię, wołając:

— Podaj mi nożyk!

Domyśliwszy się wreszcie, o co chodzi, podałem mu motykę, znalezioną wśród starych narzędzi. Wziął ją i ani słowa nie rzekłszy, zaczął kopać. Taki to był Tomek. Nic dziwnego: miał zasady!

Gdy znalazłem łopatę, zaczęliśmy pracować we dwóch: jeden kopał, a drugi odrzucał ziemię, na przemiany[295]. Po jakimś czasie musieliśmy zaniechać roboty, bo ręce, strasznie zbolałe, już nam odmówiły posłuszeństwa, dół jednak był wcale porządny. Tomek wyszedł pierwszy, ja w kilka minut za nim.

Następnego dnia Tomek ukradł łyżeczkę od herbaty i mosiężny lichtarzyk, żeby porobić z tego pióra dla Jima, ukradł także i sześć świec łojowych, ja zaś trzy talerze cynowe. Gdy Tomek twierdził, że to za mało, poradziłem wyrzucone przez Jima talerze zbierać w chwastach pomiędzy okienkiem a ogrodzeniem i dawać je znów Jimowi. Tomek uspokoił się więc i mówi:

— Teraz trzeba obmyślić sposób dostarczenia wszystkiego Jimowi.

— Przez dziurę, którą wykopiemy.

Spojrzał na mnie z pogardą i nazwawszy pomysł idiotycznym, pogrążył się w myślach. Po niejakiej chwili oznajmia, że są dwa czy trzy sposoby, ale że nie ma gwałtownej potrzeby natychmiast wybierać pomiędzy nimi. Teraz trzeba myśleć o robocie.

Tejże nocy, podszedłszy pod okienko więzienia, usłyszeliśmy chrapanie Jima, który spał tak mocno, że ani zaglądanie nasze, ani wrzucona do komórki świeca, ani hałas przy robocie nie rozbudziły go ze snu. Uwijaliśmy się też z motyką i z łopatą tak dzielnie, że po paru godzinach robota była skończona. Wsunąwszy się jeden za drugim w wykopane przez

[295] *na przemiany* — na przemian. [przypis edytorski]

nas przejście, wyszliśmy akurat pod łóżkiem Jima, na środek budki. Tomek, znalazłszy wrzuconą poprzednio świecę, zapalił ją, ja zaś stanąłem nad łóżkiem śpiącego i patrząc na niego, przekonałem się, że nie wyglądał na znękanego niewolą więźnia.

Rozbudzony Jim tak się ucieszył, że o mało nie ryknął płaczem. Obsypawszy nas tysiącem pieszczot, prosił o pilnik dla przecięcia założonego na nogę łańcucha, bo chciał natychmiast być wolny.

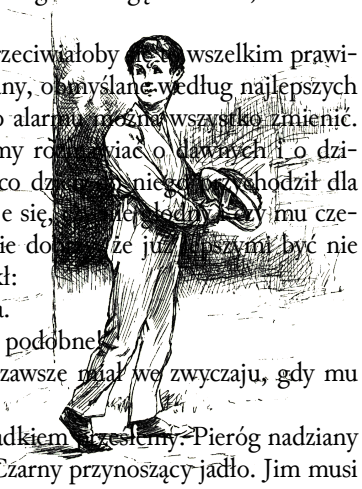

Tomek wszakże zaczął mu dowodzić, jak dalece sprzeciwiałoby się to wszelkim prawidłom, a siadłszy obok Jima, opowiedział mu swoje plany, obmyślane według najlepszych wzorów, dodając przy tym, że w razie niespodzianego alarmu można wszystko zmienić. Ponieważ Jim zgadzał się na wszystko, więc zaczęliśmy rozprawiać o dawnych i o dzisiejszych czasach. Jim powiedział nam, że wuj Silas co dzień [illegible] chodził dla odmówienia z nim modlitwy, a ciocia Salcia dowiaduje się, [illegible] czy mu czegoś nie brakuje. „Oboje — mówił — tak są dla mnie dobrzy, że już lepszymi być nie mogli". Tomek wypytywał o to i o owo, wreszcie rzekł:

— Teraz już wiem, przez nich ci prześlę, co trzeba.

— Nie czyńże tego — odparłem. — Do czego to podobne!

On jednak wcale na mnie nie zważał, co zresztą zawsze miał we zwyczaju, gdy mu jakiś plan zaświtał w głowie.

Zaczął więc wyliczać Jimowi wszystko, co mu ukradkiem prześlemy. Pieróg nadziany drabiną oraz inne większe przedmioty odda mu Nat, Czarny przynoszący jadło. Jim musi więc zachować ostrożność, nie dziwić się zaraz przy Czarnym ani nie rozłamywać pieroga, ani nie opróżniać koszyka. Przedmioty mniejszych rozmiarów przyniesie mu wujaszek Silas w kieszeniach swego palta, skąd Jim musi je wyciągać ukradkiem. To i owo może uda nam się przyczepić do tasiemek, którymi ciocia Salcia zawiązuje z tyłu swój fartuch, albo wsunąć je do kieszeni. Tomek wyszczególnił też owe przedmioty, objaśnił, do czego posłużą, i wspomniał wreszcie o dzienniku, który ma być pisany krwią na koszuli. Jim nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale wiedząc, że biali są rozumniejsi od niego, przyrzekał uczynić wszystko według rozkazu. Jim miał u siebie sporo cybuszków[296] trzcinowych i tytoniu, użyliśmy więc w towarzystwie, a zabawiwszy się bardzo wesoło, poszliśmy spać.

Pozycja społeczna

Tomek był w wybornym humorze. Mówił, że nigdy w życiu lepiej się nie bawił, że tylko taka rozrywka jest godna rozumnego człowieka i że gdyby rzecz była możliwa, to należałoby przedłużyć tę szlachetną rozkosz na całe życie, a obowiązek wyswobodzenia Jima z niewoli przekazać potomkom.

Nazajutrz rano poszliśmy do drwalni, żeby ciężkim toporem porąbać mosiężny lichtarz na kilka niewielkich kawałków, które Tomek schował wraz z łyżeczką do kieszeni. Stamtąd udaliśmy się do kuchni Czarnych, a gdy ja rozmawiałem z Natem dla odwrócenia jego uwagi, Tomek wpakował jeden z kawałków lichtarza w podpłomyk przygotowany dla Jima. Ciekawość nas brała, jak się nam uda przesyłka.

Poszedłszy z Natem do więźnia, przekonaliśmy się, że poszło wybornie: zapuściwszy zęby w podpłomyk, o mało wszystkich nie wyłamał. Nie mogło udać się lepiej, sam Tomek to przyznał.

Jim nic nie dał po sobie poznać, ale potem był ostrożniejszy i nigdy nie wziął chleba do ust, dopóki go nie wypróbował widelcem w kilku miejscach.

Gdy raz staliśmy sobie w więzieniu Jima, prawdę mówiąc bardzo ciemnawym, nagle spod łóżka wybiega w podskokach jeden pies, potem drugi i tak dalej, aż do jedenastu! Zrobiło się tak ciasno, że szpilkę wetknąć byłoby trudno. Tam do licha! Zapomnieliśmy założyć łańcuch na drzwi prowadzące z podwórza do przybudówki. Czarny Nat krzyknął tylko rozpaczliwie: „Czary!" i przykucnąwszy na ziemi pomiędzy psami, jęczał jak na śmiertelnej pościeli. Tomek zaś silnym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież i cisnął przez nie kawał mięsa z przyniesionego dla Jima posiłku.

Psy rzuciły się za mięsem jak szalone, Tomek wyszedł za nimi, a w pół minuty potem był już z powrotem, zamknąwszy drzwi jedne i drugie. Teraz dopiero dla uspokojenia Nata głaskał go i pieszczotliwie do niego przemawiał, pytając, czy mu się znów coś nie przywidziało... Nat, mrugając oczyma, drżącym jeszcze głosem powiada:

[296] *cybuszek* — część fajki łącząca ustnik z główką, w której znajduje się tytoń. [przypis edytorski]

— Panicz znów powie, że ja głupi... Ale jeżeli ja tu nie widziałem ze sto... z milion może czy psów, czy diabłów, to niech tu na miejscu padnę... Tu, jak żyw. Paniczu... widziałem ich i czułem... Pełno ich było wszędzie... Żebym to ja chociaż raz jeden mógł trzymać w ręku takie straszydło!... Tego bym pragnął!

A Tomek na to:

— Wiesz, ja ci powiem, co mi się zdaje. Dlaczego one napadają na ciebie wtedy właśnie, gdy ze śniadania przychodzisz? Dlatego, że są głodne, tylko dlatego. Upiecz ty im pieróg taki, co to umyślnie dla strachów go pieką.

— A jakżeż ja, paniczu, potrafię upiec pieróg strachom? Ja nie wiem, jak się to robi... Nigdy nawet o takim pierogu nie słyszałem.

— Ha! Trudno, skoro ty nie umiesz, to ja sam upiekę.

— Paniczu! Złoty paniczu! Upiecze panicz? Ślady nóg panicza będę [illegible]ać!

— Bądź spokojny, upiekę. Dla ciebie to uczynię, bo i ty wyświadczysz [illegible] grzeczność, pozwalając zobaczyć tego Czarnego. Ale pamiętaj, trzeba [illegible] być bardzo ostrożnym! Gdy tu wejdziemy, zaraz się od nas odwróć tyłem; niosąc miskę z pierogiem, [illegible] zaglądaj do niej, niech cię Bóg broni. Nie patrz także na Jima, gdy miskę do rąk [illegible], bo się może zdarzyć nieszczęście. Przede wszystkim zaś nie dotykaj wcale tych rzeczy, które dla strachów będą przygotowane.

— Nie dotykać? Ja bym ich miał dotknąć? Co też panicz mówi? Za żadne skarby!



ROZDZIAŁ XXXVII

Ostatnia koszula. — „Koniec świata!" — Ciocia Salcia chce nas obedrzeć ze skóry. — Pieczemy pieróg.

Potrzebując różnych rzeczy do wykonania ułożonego planu, pobiegliśmy na mały, tylny dziedzińczyk, gdzie rzucano znoszone obuwie, zdarte ubranie, potłuczone szkło, blaszane i żelazne naczynia kuchenne, naczynia przez rdzę zjedzone i tym podobne graty. Przetrząsnąwszy je, znaleźliśmy podziurawioną miednicę blaszaną, w której po zatkaniu dziur mieliśmy przygotować pieróg.

Tomek, znalazłszy parę nowych, dobrze zaostrzonych ćwieków, podniósł je z radością, mówiąc, że przydadzą się Jimowi do wyrycia na ścianie swego nazwiska i historii swych cierpień. Zaraz też Tomek wsunął do bocznej kieszeni fartuszka cioci jeden ćwiek, drugi zaś zatknęliśmy wujowi za wstążkę przy kapeluszu, ponieważ dzieci oznajmiły nam, że rodzice zaraz po śniadaniu pójdą odwiedzić Czarnego. Przed śniadaniem Tomek wpuścił łyżeczkę do kieszeni obszernego kitla, który wujaszek miał na sobie, i staliśmy już potem spokojnie, czekając na ciocię Salcię.

Przyszła nareszcie, ale zgrzana, czerwona, w złym humorze, i ledwie wujaszek odmówił modlitwę przed jedzeniem, zaraz rozpoczęła kroki wojenne.

— Cały dom przeszukałam, zajrzałam w każdy kącik i pojąć nie mogę, co się stało z twoją drugą koszulą.

Serce tak się we mnie rzuciło, że aż wpadło pomiędzy płuca, wątrobę i różne inne wnętrzności. Gryząc właśnie twardą skórkę od chleba, już miałem ją przełknąć, gdy kaszel, zastąpiwszy jej drogę, takiego dał skórce prztyczka, że wyskoczyła mi z ust jak z procy, przeleciała stół jak szeroki i uderzyła w oko jedno z dzieci. Dziecko wrzasnęło, jakby je kto oblał ukropem, i zaczęło fikać nogami. Ja zgłupiałem, Tomek zaczerwienił się po same uszy. Z ćwierć minuty może trwało zamieszanie, podczas którego, gdybym mógł, wyskoczyłbym z własnej skóry i uciekł, gdzie oczy poniosą. Ochłonąwszy, siedzimy spokojnie z niewinną miną, a wuj Silas mówi:

— Ja także nie rozumiem, co się z nią mogło stać. To ciekawe, doprawdy. Wiem doskonale, że ją zdjąłem z siebie, bo...

— Jedną masz na sobie, nie dwie. Z góry wiedziałam, że to powiesz. Wiem, że ją zdjąłeś, ale jej nie ma. Tobie, jak widzę, koszul nastarczyć nie można, a co z nimi robisz, tego nie mogę odgadnąć. Zdawałoby się, że człowiek w twoim wieku powinien pamiętać o swoich rzeczach.

— Niewątpliwie, Salciu, ja też czynię, co mogę: staram się pamiętać o rzeczach. Ale widzisz, w tym wypadku nie ja jeden jestem winien. Sama wiesz, że wtedy tylko widuję swoje koszule, kiedy je noszę, a przyznasz, że z siebie żadnej nie zgubiłem.

— To wcale nie twoja zasługa i nie masz się wcale czym chełpić. Gdybyś mógł zgubić, tobyś zgubił. A zresztą nie tylko koszula zginęła. Zginęła mi łyżeczka. Było ich dziesięć, a teraz jest tylko dziewięć. Dajmy na to, że koszulę psy poszarpały, ale łyżeczki nie wzięły. Tego jestem pewna.

— A czy jeszcze coś zginęło?

— Sześć świec zginęło! Ale świece mogły zjeść szczury. Nawet jestem pewna, że to zrobiły. I nawet się dziwię, że nie zjadły dotąd całego domu, razem z nami, a okruchów nie rozniosły po dziurach, bo tych dziur wszędzie pełno... Zawsze się zbierasz zatkać je, zakitować[297] i na projekcie się kończy. Gdyby nie były głupie... szczury, naturalnie... toby sypiały w twoich włosach, a ty byś ani się spostrzegł.

— Prawda, Salciu, prawda, dawno należało opatrzyć te dziury. No, ale jutro zrobię to już z pewnością, zobaczysz.

— Czegóż masz się śpieszyć? Możesz zrobić i za rok, i za dwa... Matyldo!

Rozlega się odgłos klapsa i maleńka Matylda Aniela Araminta Phelps pośpiesznie cofa łapki, po kostki zanurzone w cukrze. W tejże chwili wbiega pokojówka, Czarna:

— Proszę pani! Nie ma jednego prześcieradła!

— Jak to, nie ma?!

— No to dzisiaj zaraz opatrzę dziury — pojednawczo odzywa się wujek.

— Po co? Na kogóż w takim razie złożymy zgubę prześcieradła? Gdzie ono się podziało, Lizo?

— Albo ja wiem, proszę pani... Wczoraj jeszcze leżało w szafie [illegible], dziś go nie ma...

— Koniec świata! Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego!... Koszula, prześcieradło, łyżeczka, sześć św...

— Proszę pani — wpada młoda pokojówka, Mulatka — mosiężny lichtarz gdzieś zginął.

— Wynoś mi się stąd, kozo jedna, bo zedrę z ciebie skórę!

Kipiała z gniewu! Zacząłem spoglądać na drzwi, sądząc, że lepiej było wyjść chyłkiem i drapnąć w las, póki się widnokrąg nie rozchmurzy. Ciocia złościła się i gniewała, nie mając z kim wojować, bo wszyscy siedzieli cicho jak mysz pod miotłą.

Wtem wujaszek Silas, sięgnąwszy po coś do kieszeni, wyłowił z niej łyżeczkę, co jego samego niepomiernie zdziwiło. Ciocia Salcia umilkła na ten widok i wzniósłszy ręce do góry, zapomniała ust zamknąć, ja zaś wolałbym był znajdować się w Jerozolimie albo i dalej jeszcze. Niedługo jednak żywiłem to pragnienie, bo ciocia z udanym spokojem powiada:

— Tego się spodziewałam. Gdzież by łyżeczka mogła być? Ma się rozumieć, że nie gdzie indziej, jak w twojej kieszeni, i że cały czas tam leżała. Bardzo być może, że i wszystko inne tam się znajdzie. Co robiła łyżeczka w twojej kieszeni?

— Doprawdy nie wiem, Salciu, nie wiem — tłumaczył się wujaszek. — Znasz mnie przecież. Przecież powiedziałbym ci natychmiast. Czytałem przed śniadaniem Pismo Święte, chyba więc przez nieuwagę włożyłem do kieszeni łyżeczkę zamiast Biblii... Tak! To tak musiało być... Bo i sama zobacz: Biblii w kieszeni nie ma! Pójdę i przekonam się, jeżeli Biblia leży tam, gdzie ją czytałem, to znak, że jej nie włożyłem do kieszeni, jeżeli zaś nie włożyłem jej do kieszeni, to musiałem włożyć łyżeczkę, bo skoro łyżeczka jest, a...

— A dajże mi święty spokój! — przerwała mu ciocia zniecierpliwiona. — Idź, szukaj, przekonaj się, i wy wszyscy idźcie sobie także, a nie zbliżajcie się do mnie, dopóki cokolwiek nie ochłonę.

Gdy wychodzimy z pokoju, wuj bierze kapelusz i... z hałasem upada na ziemię ćwiek. Wuj, nie mówiąc ani słowa, podniósł go, położył na gzymsie od kominka i wyszedł. Widział to Tomek, a mając w świeżej pamięci przygodę z łyżeczką, powiada:

[297] *zakitować* — uszczelnić kitem: masą plastyczną twardniejącą pod wpływem powietrza. [przypis edytorski]

— Na nic się nie zda posyłanie przez wuja. Już to na nim polegać nie można. Ale z tą łyżeczką — dodał Tomek po chwili — to nam oddał prawdziwą przysługę, nie wiedząc o tym. W zamian za nią pójdźmy pozabijać owe dziury.

A było ich sporo w piwnicy i w spiżarni, toteż zabrała nam ta robota dobrą godzinę. Wszelako zrobiliśmy wszystko porządnie i trwale, szczelnie zabijając dziury czopami, a potem zalewając je smołą, tak jak się to zwykło czynić na okrętach. Wtem słyszymy na schodach kroki: zdmuchnąwszy świecę, czekamy. Po chwili wchodzi do piwnicy kto? Wujaszek! Świecę ma w jednej ręce, kłąb pakuł[298] w drugiej, a z oczu jego widać, że nie o szczurach myśli, lecz o czym innym. Idzie, schyla się, zagląda do jednej dziury, do drugiej, wszystkie obszedł po kolei. Stanął potem na środku piwnicy, myślał i myślał, a łój ze świecy kapie i kapie. Nareszcie, zawracając ku schodom powoli, jakby przez sen mówi do siebie:

— Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ja to zrobiłem! Mógłbym teraz powiedzieć Salci, że to nie moja wina, że to nie szczury... No, ale mniejsza o to... Czy powiem, czy nie, to wszystko jedno...

I tak mrucząc pod nosem, wyszedł z piwnicy, a w parę minut za nim my. Taki był z niego strasznie dobry staruszek!

Tomek okropnie się martwił, jak sobie poradzimy z łyżką, ale ponieważ była „koniecznie" potrzebna, łamał więc nad tym głowę. Znalazłszy sposób, zaraz też powiedział mi, co mam czynić. Wróciwszy do pokoju, stajemy nad koszyczkiem, w którym leżą łyżki, i czekamy cierpliwie na ciocię. Gdy weszła, Tomek liczy łyżeczki, przekładając je z jednej strony na drugą, ja zaś niepostrzeżenie wsuwam jedną w rękaw. Wtedy Tomek powiada:

— Ciociu Salciu, przeliczyłem łyżeczki, jest tylko dziewięć.

— Wracaj do zabawy i nie nudź mnie. Sama przecież liczyłam i było ich dziesięć.

— Cioteczko, liczyłem dwa razy i zawsze wypadało tylko dziewięć...

Jakkolwiek bardzo zniecierpliwiona, przyszła przeliczyć jeszcze raz. Każdy by zrobił to samo.

— Ależ prawda! — zawołała. — Dziewięć tylko! Cóż to jest? Nie, nie może być, raz jeszcze przeliczę.

Wtedy ja podkładam nieznacznie tę dziesiątą, która była u mnie w rękawie, ciocia Salcia liczy i niby obojętnie powiada:

— Naturalnie, że się pomyliliśmy. Dziesięć było i dziesięć jest.

— Czy doprawdy, ciociu? — pyta Tomek. — Mnie się zdaje, że nie.

— Widziałeś przecież, że liczyłam.

— Widziałem, ale...

— No, to przelicz jeszcze raz.

Wtedy ja znów ukradkiem ściągam łyżeczkę, ma się rozumieć, wypada dziewięć. Ciocia aż się zatrzęsła z gniewu, ale wciąż liczy, raz, drugi, trzeci i dziesiąty, aż doszło do tego, że już koszyk liczyła za łyżeczkę, wypadało zaś rozmaicie, to dziewięć, to dziesięć. Porwała więc koszyk i rzuciła go na ziemię z takim hałasem, że kot śpiący na oknie zerwał się i uciekł przestraszony. Po czym kazała nam wynosić się i dać jej święty spokój, bo gdy któryś z nas nawinie się jej na oczy przed obiadem, to go żywcem ze skóry obedrze. Odchodząc, wsunęliśmy łyżeczkę do kieszeni fartucha i znalazła ją tam dopiero razem z ćwiekiem i ze śliwkami, którymi ciocia wypchała kieszeń dla niego.

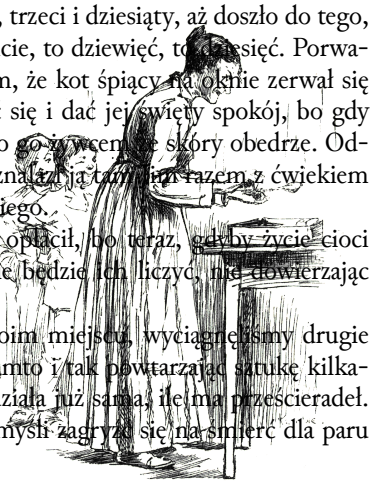

W przekonaniu Tomka zachód sowicie nam się opłacił, bo teraz, gdyby życie cioci zależeć miało od przeliczenia raz jeszcze łyżeczek, nie będzie ich liczyć, nie dowierzając sobie nawet wtedy, gdy się nie omyli w rachunku.

Tej samej nocy, położywszy prześcieradło na swoim miejscu, wyciągnęliśmy drugie z innej szafy. Potem, oddawszy je, znów wzięliśmy tamto i tak powtarzając sztukę kilkakrotnie, doprowadziliśmy ciocię do tego, że nie wiedziała już sama, ile ma prześcieradeł. Oświadczyła nawet, że jej to wszystko jedno, że nie myśli zagryzać się na śmierć dla paru głupich prześcieradeł, że woli umrzeć niż je liczyć.

[298] *pakuły* — krótkie, splątane włókna lnu, konopi bądź juty używane m.in. do uszczelniania. [przypis edytorski]

Zatem dzięki psom, szczurom i podwójnemu rachunkowi posiadaliśmy koszulę, prześcieradło, łyżeczkę i świece. Co zaś do lichtarza, to przedmiot ten był małej wagi i wiedzieliśmy, że wkrótce o nim zapomną.

Ale za to z owym pierogiem było kłopotu co niemiara; trzeba go było piec w lesie. Trzy miednice mąki wyszły na ten pieróg, przy którym poparzyliśmy ręce i nałykaliśmy się dymu.

Następnej nocy, pokrajawszy u Jima prześcieradło na wąskie paseczki, ukręciliśmy z nich przed świtem jeszcze sznur taki, że można by się na nim powiesić.

Niestety, drabina nie chciała wejść w pieróg, można nią było nadziać ze czterdzieści pierogów, zachowując coś jeszcze na zupę i na pieczyste[299]. Dlatego też trzeba było wyrzucić część drabiny, a szkoda, bo sznur był śliczny! Ostatecznie upiekliśmy pieróg nie w miednicy, bo zlutowanie stopiło się w ogniu i dno odleciało, lecz w mosiężnym żelazku do ogrzewania pościeli, które wujaszek Silas przechowywał na strychu jako pamiątkę po jednym z bardzo dawnych przodków. Tak więc Jim posiadał wszystko, co porządnemu więźniowi było potrzebne. Zostawszy sam, rozłamał pieróg, drabinę ukrył w sienniku, na jednym z cynowych talerzy wydrapał trochę kresek i kółek i wyrzucił talerz przez okno.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Nowy kłopot. — Martwy głaz. — Przyjaciel samotnika. — Uroczy kwiat.

Okropnie dużo roboty mieliśmy z piłą i z piórami. Sam Tomek przyznawał, że napis będzie najprostszy, jaki może być: nie wyryty na ścianie, ale zaledwie wydrapany. Był jednak niezbędny według Tomka.

Więc gdy Jim i ja mordowaliśmy się nad zaostrzeniem piór, które on robił z kawałków połamanego lichtarza, ja zaś z łyżeczki, Tomek zaczął układać napisy, którymi Jim miał wyrazić swoje cierpienia. Że jednak Jim nie znał liter, Tomek zafrasowany postanowił litery sam nakreślić węglem, resztę zaś miał Jim wykonać. Myślałem, że tego wystarczy, aż Tomek woła:

— Zapomniałem o najważniejszym: napis nie może być ryty na deskach, ściany więzienia muszą być z kamienia, a jęki więźnia obijać się mogą tylko o martwe, nieczułe głazy. Postaramy się o głaz.

— Już wiem! Trzeba przynieść kamień, a przy jednym ogniu upieczemy dwie pieczenie. O staję[300] stąd, pod młynem leży kamień młyński. Musimy go przynieść. Jim wyryje na nim swoje bolesne zwierzenia, a my użyjemy go zamiast osełki do wyostrzenia piór i wyzębienia piły.

Niezła to była myśl, ale i kamień niezłą też musiał mieć wagę, a trzeba go było przytoczyć. Zabraliśmy go bez przeszkody, ale niełatwo było toczyć kamień po nierównej drodze. Pomimo naszych wszelkich usiłowań, nie byliśmy w stanie zapobiec temu, żeby się od czasu do czasu nie przewracał, co nam za każdym razem groziło utratą nóg. Tomek godził się z myślą postradania jednej, ale ja wolałbym zachować obie.

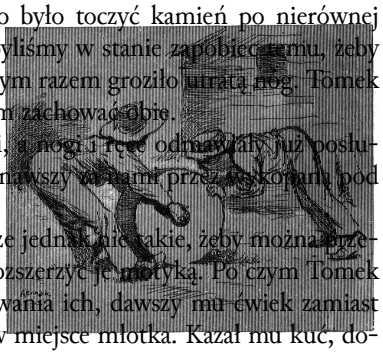

W połowie drogi, gdy pot lał się z nas strugami, a nogi i ręce odmawiały już posłuszeństwa, musieliśmy przywołać Jima, który wypełznąwszy za nami przez wykopaną pod łóżkiem dziurę, dopomógł nam przytoczyć kamień.

Nasze przejście podziemne było dość duże, zawsze jednak nie takie, żeby można było przesunąć przez nie duży głaz, Jim musiał więc bardzo rozszerzyć je motyką. Po czym Tomek narysował ćwiekiem litery i zasadził Jima do wykuwania ich, dawszy mu ćwiek zamiast dłuta, a żelazny gwicht znaleziony w przybudówce w miejsce młotka. Kazał mu kuć, dopóki wystarczy świecy, a potem ukryć kamień pod siennikiem i położyć się spać na nim. Gdy z naszą pomocą Jim założył łańcuch na nogę od łóżka, Tomek zapytał:

— Są tu pająki, Jim?

— Nie, paniczu, Bóg łaskaw, ani jednego.

— To nic! Wystaramy ci się o kilka.

[299] *pieczyste* — pieczone mięso. [przypis edytorski]

[300] *staja* — daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

— Paniczu złocisty, a po co? Po co mnie pająki? Ja się ich boję... Dla mnie pająk czy grzechotnik to wszystko jedno.

Tomek pomyślał trochę i powiada:

— To pyszna myśl! A gdzież byś go trzymał?

— Kogo, paniczu?

— Grzechotnika, ma się rozumieć!

— Łasko Boska! A panicz co mówi?! A przecież żeby tu miał ze mną mieszkać grzechotnik, tobym chyba głową wybił dziurę i uciekł.

— E! Jim, tak ci się zdaje. Z początku tylko bałbyś się grzechotnika, a potem oswoiłbyś go...

— Oswoił?

— I nawet bardzo łatwo. Każde zwierzę okazuje wdzięczność za pieszczoty i nie czyni krzywdy osobie, która ma o nie staranie. W książkach szeroko o tym piszą. Spróbuj: cóż ci szkodzi? Z początku będzie trudno, a potem, zobaczysz, przywiąże się do ciebie, nie odstąpi cię na krok, spać będzie z tobą, a nawet pozwoli ci swą głowę włożyć w usta. Zwierzę

— Mój paniczu, mój śliczny, niech panicz tego nie mówi! Nie mogę słuchać nawet... Co? Grzechotnik ma mi pozwolić, żebym włożył sobie w usta jego głowę? Mnie pozwoli? Cóż to? Robi mi łaskę czy co? Oho! Poczeka on, nim ja go o pozwolenie poproszę! Będzie ze mną spać? Nie chcę! Nie chcę! Paniczu!

— Miejże rozsądek, Jim. Każdy więzień musi posiadać jakieś obłaskawione stworzenie, a jeżeli nikt dotychczas nie próbował oswoić grzechotnika, to tym większa stąd sława dla ciebie. Zobaczysz, Jim, cały świat będzie wiedział o tobie.

— Nie, paniczu, dziękuję, co mi tam po sławie! Jak mnie wąż ukąsi, to się od sławy nie zagoi. Nie, nie, paniczu, nie chcę!

— Ach! Jim, czyż nie możesz nawet spróbować? Ja tylko chcę, żebyś spróbował. Nie uda się, to nie...

— Pewno, że się nie uda, jak mnie grzechotnik ukąsi... Nawet czasu nie będzie spróbować. Nie, paniczu, nie, kochanie moje złote, zrobię wszystko, co panicz każe, tylko niech to nie będzie takie głupstwo... A jeżeli mi tu przyniesiecie grzechotnika i każecie go oswajać, to ucieknę. Zobaczy panicz, że ucieknę... Bez pisania i bez drabiny.

— No, dobrze już, dobrze, skoro jesteś taki uparty, to nie... Nie chcesz grzechotnika, to ci przyniesiemy kilka jaszczurek, a ty im ponawlekasz po parę guzików na ogony i niech udają grzechotniki.

— Ja i tego paskudztwa nie mogę znieść, ale jeżeli już nie można bez nich, to niech tam... Niech panicz przyniesie... Żebym ja był wiedział, że to tyle kłopotu z tym siedzeniem w więzieniu i taki zachód...

— Ma się rozumieć, że jest zachód i kłopot, jeżeli wszystko idzie, jak się należy. Czy są tu szczury?

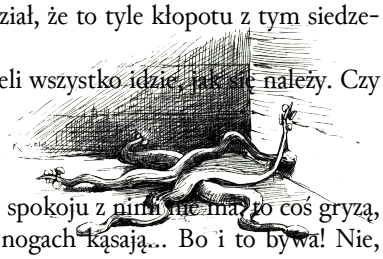

— Nie, paniczu, nie widziałem ani jednego.

— No, to ja ich kilka dostarczę.

— Kiedy ja i szczurów nie chcę, paniczu. Chwili spokoju z nimi nie ma, to coś gryzą, to skrobią, to biegają... A gdy człek zaśnie, to po nogach kąsają... Bo i to bywa! Nie, paniczu, jeżeli już koniecznie potrzeba, to niech panicz przyniesie jaszczurki, ale szczurów nie chcę! Co mi po tym?

— Dajże spokój, Jim. Nie ma więźnia bez szczurów. Każdy je ma i ty musisz mieć swojego. Powiadam ci: nie było przykładu, żeby więzień nie miał szczura! Oswoisz go, nauczysz sztuk i zobaczysz: będzie chodził po tobie śmiało, jak mucha. Ale trzeba, żebyś im grał na jakimś instrumencie, bo szczury przepadają za muzyką. Masz na czym grać?

— Mam grzebień, paniczu, i kawałek papieru, i gitarę z porwanymi strunami. Nie wiem, czy im się taka muzyka podoba.

— I jeszcze jak! Graj im byle jak, byleś grał, to dla nich dosyć. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie zwierzęta lubią muzykę, mianowicie, gdy są w więzieniu, a muzyka musi być smutna, płacząca... Na gitarze zaś, i to z porwanymi strunami, nie zagrasz nic wesołego. To im się bardzo podoba, zejdą się, obstąpią cię, skoczą ci nawet na głowę, byle słuchać! Widzisz, tak trzeba zrobić... Wieczorem, nim się położysz spać, i rano, bardzo rano usiądź na łóżku ze zwieszoną głową i zacznij przebierać palcami po strunach. Graj im: „Pękło ostatnie ogniwo...", to je najwięcej rozrzewni... Zobaczysz! Pograsz jakieś parę minut

i zaraz szczury, jaszczurki, pająki rozczulą się, powyłażą ze swoich dziur i wszystkie przyjdą do ciebie. To ci dopiero będzie uciecha!

— Dla nich może, paniczu, ale nie dla mnie. Żebym choć wiedział, na co to paniczowi potrzebne. Ale trudno, kiedy trzeba, to trzeba... Niech tam już! Pozłazi się ta gadzina do mnie, to przynajmniej w domu nie będzie dokuczać.

Tomek namyślał się jeszcze chwilkę, czy czasem czegoś nie zapomniał. W końcu powiada:

— Jeszcze jednej rzeczy zapomniałem. Jak ci się zdaje, Jim, czy mógłbyś tu pielęgnować jaką roślinę, której kwiat uroczy...

— Co do tego, to nie wiem, paniczu. Ciemnawo tu, na kwiatach się nie znam, a zachodu z tym sporo...

— Spróbuj, co ci szkodzi? Czynili to niektórzy więźniowie.

— Ja myślę, paniczu, że można by tu posadzić jakiś chwast: może pokrzywę? Ale kłopotu będzie dużo, a pożytku żadnego.

— Nie wierz temu. Ja ci przyniosę kilka krzaków pokrzywy i innego ziela, a ty je posadzisz tam w kącie. I pamiętaj nazywać je Picciolo[301], bo tak się nazywa roślina, która rośnie w więzieniu. Będziesz ją łzami podlewał.

— Po co, paniczu? Jest przecież źródlanej wody pod dostatkiem.

— Ale więzień nie może używać źródlanej wody, musi podlewać łzami. Każdy tak czyni.

— Kiedy, proszę panicza, od wody daleko prędzej rośnie... A z tymi łzami to jeszcze nie wiadomo jak...

— To nie twoja rzecz. Łzami podlewaj i koniec...



— Zobaczy panicz, że przepadnie... Skądże ja zresztą wezmę łez, skoro ja nigdy nie płaczę?

To ostatecznie przekonało Tomka. Pomyślał trochę i oznajmił, że jeżeli [illegible] inną roślinę, to musi pielęgnować cebulę. Przyrzekł też zajść do kuchni Czarnych i wziąwszy parę cebul, wrzucić je do imbryka, w którym co rano przysyłano [illegible] kawę. Jim skrzywił się trochę na kawę z cebulą i wyrzekł, że w ogóle za dużo [illegible] roboty: pielęgnowanie uroczego kwiatu, przygrywanie szczurom, oswajanie jaszczurek i pająków, ostrzenie pióra, kucie napisów, prowadzenie dziennika, jednym słowem, więźniem będąc, tyle miał pracy i odpowiedzialności, jak nigdy przedtem. Zniecierpliwiony Tomek ostro zaczął mu wymawiać niewdzięczność.

— Jak to? — powiada. — Zdarza ci się sposobność, nie każdemu dana więźniowi, rozsławić swe imię po całym świecie, przekazać je pamięci potomnych, a ty nie umiesz tego docenić? Wstydź się, Jim! Inaczej o tobie myślałem.

Jim zawstydził się więc, uznał swą winę, przyrzekł nie wpadać w nią więcej i przejednał Tomka, po czym obaj udaliśmy się na wypoczynek.

ROZDZIAŁ XXXIX

Szczury. — Mili towarzysze. — Listy.

Wstawszy raniutko, pobiegliśmy do najbliższej wioski, do sklepiku, po pułapkę na szczury, najlepszą, jaką mogliśmy znaleźć, a po otworzeniu największej nory w niespełna pół godziny mieliśmy z piętnaście ogromnych szczurów, które w pułapce dużej jak klatka schowaliśmy pod łóżko cioci Salci. Ale mały Tomek, Tomasz Franklin Benjamin Jefferson Aleksander Phelps znalazłszy pułapkę, otworzył drzwiczki dla przekonania się, czy szczury wyjdą. I wyszły! Wszystkie, co do jednego! Na to wchodzi ciocia Salcia i my też wracamy z pająkami. Ciocia, stojąc na łóżku, krzyczy wniebogłosy, a szczury robią, co mogą, żeby ją rozerwać, skacząc po pokoju, przewracając koziołki — istna heca! Przetrzepała nas ciocia prętem co się zowie i trzeba było znów łapać szczury, które już były znacznie mniejsze. Zmarnowała się nasza praca przez tego nieznośnego bębna[302]!

[301] *picciolo* (wł.) — szypułka. [przypis edytorski]
[302] *bęben* (daw.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

Za to dobraliśmy sobie pająki jak na wystawę. Nałowiliśmy także żab, gąsienic i różnych takich stworzeń; chcieliśmy także zabrać i gniazdo szerszeni, ale nie udało się. Za to jaszczurek, małych węży domowych, odznaczających się pięknym ubarwieniem, znalazło się co niemiara. Wpakowaliśmy to wszystko do worka, zanieśliśmy go do swego pokoju, a że się już miało ku wieczorowi, siedliśmy do kolacji z ogromnym apetytem po całodniowej mozolnej pracy.

Po kolacji wracamy i... cóż państwo powiecie? Ani jednego węża! Worek był źle zawiązany i wszystko to się rozlazło. Nie bardzo się jednak zmartwiliśmy, wiedząc, że nie pójdą daleko i zawsze gdzieś w domu się znajdą. I prawda! Przez kilka dni nikt nie mógł się uskarżać na brak ich w domu. Zwieszały się z sufitów, leżały na półkach, a najczęściej zdarzało się, że spadały na talerz albo na szyję, wtedy gdy ich wcale nie potrzebowałeś. Ale przynajmniej było z nimi w domu bardzo ładnie, zwłaszcza że nic złego nikomu nie robiły.

Kto jednak z ciocią Salcią trafi do ładu! Do wszystkich węży, do najrzadszych nawet, złoto prążkowanych, miała „obrzydzenie", jak mówiła. Nie mogła ich znieść! Co który na nią spadnie, to żeby nie wiem jak zajęta była robotą, rzuca wszystko i ucieka. Nigdy w życiu nie widziałem takiej grymaśnej kobiety. A krzyczała! Na drugim końcu świata było ją słychać. Nie chciała wziąć żadnego z nich nawet przez szczypce, a jeżeli, bywało, znalazł się któryś w jej łóżku, to wyskakiwała jak oparzona i podnosiła taki gwałt, jakby się palił cały dom.

Kobieta

Nawet wówczas, gdy już od tygodnia ani jednego węża nie było w domu, jeszcze się ciocia nie uspokoiła. Siedzi, bywało, i myśli o czymś — dosyć przyjść i delikatnie musnąć ją piórem po karku, żeby się zerwała na równe nogi, tak jakby chciała wyskoczyć z własnych pończoch. Istotnie, ciekawe to zjawisko! Tomek powiada, że wszystkie kobiety są takie, że już tak je Pan Bóg stworzył, nie wiadomo dlaczego.

Mniejsza o szturchańce, których nam ciocia nie szczędziła, bo ich nie czułem, ale co mieliśmy kłopotu ze zbieraniem węży, to strach! Nazbieraliśmy ich jednak sporo, jak również żab, jaszczurek i wszystkiego. Co to był za milutki kącik, ta komórka Jima, gdy się wszystko po niej rozpełzło! Jim nie mógł polubić pająków, a i one jego, że zaś po wszystkich kątach było ich pełno, więc biedny więzień nie wiedział, gdzie ma się podziać. Szczury, węże i kamień młyński tak przepełniały jego łóżko, że sam nie miał miejsca, a nade wszystko nie mógł spać. Ciągle się coś ruszało, mówił Jim, bo gady i szczury nie spały nigdy jednocześnie, lecz po kolei. Gdy spały węże, to szczury w harcach, a gdy one pozasypiały, wężom była w głowie zabawa. Zawsze więc jedne stworzenia leżały przy nim i pod nim, a inne roiły się poza nim. Gdy zaś ustąpił im z placu i przytulił się w jakimś kącie, to czyhały na niego pająki. Powiadał Jim, że jeżeli mu się uda wyjść z komórki, to już za żadne w świecie pieniądze nigdy nie wróci do więzienia.

Upłynęły tak trzy tygodnie. Przez ten czas przygotowaliśmy wszystko, jak należy. Koszula już dawno została przesłana (w pierogu), a Jim za każdym razem, gdy go ukąsił szczur, wstawał z łóżka i żywą krwią dopisywał parę słów w swoim dzienniku. Pióra zostały zaostrzone, napisy na kamieniu Jim wykuwał powoli; noga od łóżka przepiłowana była na dwoje, a trociny zjedliśmy obaj do szczętu tak starannie, że aż dostaliśmy kurczów żołądka. Były to widać jakieś niestrawne trociny! Ale przynajmniej dokonaliśmy prawie wszystkiego, obaj straszliwie zmęczeni, i Jim także.

Wujaszek pisał parę razy do właściciela plantacji pod Nowym Orleanem, żeby przybył zabrać niewolnika, odpowiedź jednak nie przychodziła, bo nie było na świecie ani takiego właściciela, ani plantacji. Stanęło więc na tym, że poda ogłoszenie do gazet w St. Louis, na którego wspomnienie aż mnie ciarki przeszły, widzę bowiem, że nie ma czasu do stracenia.

— Teraz trzeba rozsyłać anonimy — powiada Tomek.

— Po co? — pytam.

— Jako ostrzeżenie, że coś się gotuje. Takie ostrzeżenia bywają zawsze wysyłane w tej lub innej formie, bo przecież ktoś zwykle szpieguje w pobliżu zamku i zawiadamia o wszystkim komendanta. Gdy Ludwik XVI miał uciec z Tuileries[303], wyśledzony został przez służącą. To równie wyborny środek, jak anonimy. Użyjemy jednego i drugie-

[303] *Tuileries* — nieistniejący pałac władców francuskich, położony w Paryżu, spłonął w 1871 podczas Komuny Paryskiej. [przypis edytorski]

go. Jest też zwyczaj, że matka więźnia zamienia z nim ubranie: ona zostaje w więzieniu, a on ucieka w kobiecych sukniach. I to także zrobimy.

— Ale zastanów się, Tomku, po cóż my mamy ostrzegać, że coś się gotuje? Niech sami odkryją i niech się mają na baczności!

— Tak powinno być, ale czy to można na nich polegać? Sam przecież widzisz, jak postępowali od początku, my sami musieliśmy wszystko robić. Tacy łajdaki wierni! Toteż jeżeli my ich nie ostrzeżemy, nikt nam nie przeszkodzi i cała nasza praca, wszystkie zabiegi pójdą na nic, bo wszystko przejdzie bez wrażenia.



— Wiesz? Ja bym wolał, żeby tak było.

— Ty byś wolał! — pogardliwie powtórzył Tomek.

— Ależ ja nie narzucam swego zdania. Rób, jak uważasz, zgadzam się na wszystko. A jakże będzie z tą służącą?

— Ty nią będziesz. Zakradniesz się nocą i ściągniesz suknię tej dziewczyny, Mulatki.

— Zlituj się! Przecież to dopiero będzie hałas jutro rano, kiedy na nią ma zapewne innej sukni.

— Cóż z tego? Tobie suknia będzie potrzebna najwyżej tylko na kwadrans, na wsunięcie listu bezimiennego pod główne drzwi wejściowe.

— No, dobrze, wezmę suknię i list odniosę... Ale, co prawda, mógłbym go odnieść tak samo w swoim ubraniu.

— Tak, ale nie wyglądałbyś wtedy na służącą!

— Zapewne, że nie, ale nikt by nie widział, jak wyglądam.

— Cóż to ma do tego? Naszą rzeczą jest wypełnić wszystko, co do nas należy, prowadzić całą sprawę tak, jak to czynili znakomici i sławni więźniowie. A czy nas kto widzi, czy nie, to rzecz najmniejsza... Wiesz, Huck, nieraz myślę, że ty wcale nie dbasz o zasadę!

— No, nie powiem już nic: będę służącą, i do tego dziewczyną. A kto będzie matką Jima?

— Ja! Przebiorę się w suknię cioci Salci.

— To będziesz musiał pozostać w więzieniu podczas mojej ucieczki z Jimem?

— Nie na długo. Wypcham słomą ubranie Jima i położę taką lalkę na jego łóżku. Będzie to niby jego matka, za niego przebrana. A przez ten czas Jim ubierze się w suknię cioci, którą ja z siebie zdejmę, i wszyscy trzej razem uciekniemy. To jest nie uciekniemy, ale „ocalimy się ucieczką", bo uciekają tylko zbrodniarze, zaś więźniowie niepospolici, na przykład królowie, „ocalają się ucieczką". Ucieczka

Tomek napisał więc anonim, ja zaś tej samej nocy ściągnąłem suknię Mulatce, ubrałem się w nią i tak wystrojony poszedłem podsunąć list pod główne drzwi wejściowe. W liście było napisane tylko:

> „Miejcie się na ostrożności. Czeka was wielka nieprzyjemność. Czuwajcie z wytężoną uwagą.
>
> Wasz nieznany przyjaciel".

Następnej nocy przybiliśmy do drzwi wejściowych rysunek nakreślony krwią przez Tomka, a przedstawiający trupią czaszkę na dwóch skrzyżowanych piszczelach, zaś później na drzwiach od tyłu Tomek narysował ogromną, „familijną", jak mówił, trumnę.

Na całą rodzinę padł taki strach, że nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego. Gdyby cały dom był pełen duchów, zaczajonych w każdym kąciku i unoszących się w powietrzu, to i wtedy chyba nie byłoby większego popłochu. Tomek cieszył się, że tak dobrze idzie, twierdząc, że nigdy by się nie spodziewał takiego powodzenia.

— A to dlatego — mówił — że spełniamy swój obowiązek.

Lecz jeszcze nie wszystko było zrobione. Nazajutrz, o świcie, mieliśmy już przygotowany drugi list, nie wiedząc, co z nim zrobić, bo przez całą noc Czarny miał stróżować i obchodzić dom naokoło, żeby nikt nie miał dostępu do drzwi. Tomek zsunął się na dół po piorunochronie dla zbadania położenia, lecz okazało się, że Czarny siedzi pod drzwiami i śpi. Wsunąwszy mu więc list za kołnierz, powrócił tą samą drogą. W liście zaś tak było napisane:

> „Nie zdradźcie mnie: jam wasz przyjaciel. Banda opryszków z kraju Indian zamierza wykraść dziś w nocy zbiegłego Czarnego, którego trzymacie

w więzieniu. Użyli wszelkich środków dla wzbudzenia w was przestrachu, chcą bowiem, żebyście nie śmieli ruszyć się z domu i nie czynili im przeszkód. Ja także do ich bandy należę, lecz Boga mając w sercu, chcę ich opuścić i znów rozpocząć uczciwe życie, dlatego też zdradzam przed wami ich piekielne zamiary. O samej północy z dorobionym kluczem wejdą do komórki Czarnego. Ja mam stać na czatach i dać znak gwizdawką o niebezpieczeństwie lub zamiast tego beknąć jak owca. Potem zaś, gdy oni wezmą się do rozkuwania kajdan Czarnego, wy, wypadłszy z domu, zamknijcie na klucz opryszków, których też wybijecie co do jednego. Zaklinam, postępujcie według moich wskazówek: inaczej wzbudzicie podejrzenie i padniecie ofiarą nieszczęścia. Nagrody nie żądam; znajduję ją we własnym sumieniu, które chwali mój postępek.

Tenże nieznany wam przyjaciel!".

ROZDZIAŁ XL

Komitet czujności. — Zapalenie mózgu. — Ważne wypadki.



Po śniadaniu byliśmy w doskonałych humorach, bo wszystko składało się jak najlepiej. Wszedłszy do łódki, popłynęliśmy na ryby i mając ze sobą prowiant, używaliśmy wczasu[304]. Po obejrzeniu tratwy, która była w dobrym stanie, spędziliśmy cały dzień na rzece i do domu wróciliśmy dopiero na kolację. W domu wszyscy zupełnie potracili głowy, nie wiedząc, co się z nami dzieje. Nikt nic nie chciał nam powiedzieć, co zresztą nie było potrzebne, bo my i tak przecież o wszystkim wiedzieliśmy. Zapowiedziano nam tylko, że natychmiast po kolacji mamy iść spać. Dlatego też po odmówieniu kąsku ciocia Salcia poczęła nas wypędzać na górę, a dla większej pewności sama z nami poszła. Ale za to ledwie znikła nam z oczu, my ruszyliśmy najpierw do spiżarni po żywność, a potem do łóżka. O wpół do dwunastej byliśmy na nogach. Tomek ubrał się w suknię cioci Salci, rano jeszcze skradzioną, i już miał wychodzić z zapasami, gdy wtem pyta:

— A gdzie masło?

— Jest, nawet spora osełka. Włożyłem ją pomiędzy dwa żytnie placuszki.

— Włożyłeś i zostawiłeś. Nie ma tu masła.

— To się bez niego obejdziemy — powiadam.

— A po cóż mamy się obchodzić? Śpiesz do spiżarni i przynieś masło, a ja się tymczasem spuszczę po piorunochronie, wypcham słomą ubranie Jima i gdy przebrana matka będzie gotowa, beknę jak owca... Ty zaś także bądź gotów i nie siedź za długo w spiżarni.

Rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Istotnie zapomiałem osełki: leżała tam, gdzie ją zostawiłem. Wziąłem ją więc razem z placuszkami i zgasiwszy świecę, wstępowałem ostrożnie na schody, żeby się dostać do pokoju. Wtem nagle drzwi się otwierają, a w nich ciocia Salcia ze świecą w ręku. Ja więc czym prędzej masło i placuszki wsuwam do kapelusza, kładę go na głowę i idę. Ciocia Salcia, spostrzegłszy mnie, pyta:

— Byłeś w spiżarni?

— Tak, ciociu.

— Co tam robiłeś?

— Nic, ciociu.

— Nic?

— Nic.

— Więc po co tam chodziłeś o tej porze?

— Nie wiem, ciociu.

— Nie wiesz? Nie pleć mi głupstw, Tomku. Raz jeszcze pytam, co miałeś do roboty w spiżarni?

— Nic do roboty nie miałem, proszę cioci... Naprawdę, ciociu, nic.

Myślałem, że mnie już potem puści i kiedy indziej byłaby tak zrobiła, ale że się tyle nadzwyczajnych rzeczy działo teraz koło niej, więc pełna podejrzeń, wyrzekła bardzo stanowczym głosem:

[304] *wczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

— Ruszaj mi do tego pokoju i siedź tam. Coś, widzę, zbroiłeś, bo byłeś tam, gdzie nic nie masz do roboty, muszę zobaczyć, co zbroiłeś.

I poszła sobie, a ja rad nierad musiałem wejść do pokoju na dole, gdzie o tej porze zazwyczaj bywały pustki. Tymczasem rojno tam było jak w ulu! Piętnastu dzierżawców z sąsiedztwa, każdy ze strzelbą! Aż mi się niedobrze zrobiło. Wszyscy siedzieli na ustawionych w półkole krzesłach, rozmawiając ze sobą półgłosem, i widać było, że tylko udawali spokój. Mnie samemu było także nieswojo, a ponieważ oni siedzieli w kapeluszach na głowie i ja też nie zdjąłem swojego.

Z całej duszy pragnąłem powrotu cioci Salci i wyjścia z tego aresztu. Należało już raz dać spokój tym głupstwom i drapnąć czym prędzej razem z Jimem, zanim się wszyscy zorientują.



Ciocia, wróciwszy, zadawała mi różne pytania. Nie mogąc na żadne z nich dać prawdziwej odpowiedzi, wiłem się jak piskorz... „A co? A gdzie? A jak? A dlaczego?" Czuję, że przewraca mi się w głowie, że robi mi się coraz goręcej, masło zaś zaczyna mi stopnieć pod kapeluszem, spływając po karku i za uszami. I to nie tak, gdy jeden z dzierżawców odezwał się: „Ja teraz pójdę do komórki i tam będę czekał na mieszków". To tak mną rzuciło, że o mało nie runąłem z krzesła, a stopniałe masło pchnęło mi po czole coraz silniej. Zobaczywszy to wreszcie, ciocia Salcia zbladła jak chusta i woła drżącym głosem:

— Na rany boskie! Co temu dziecku jest? Nic innego, tylko dostał zapalenia mózgu, tak, że mu w głowie aż kipi!

Zrywają się wszyscy z przerażeniem, ciocia zdejmuje mi kapelusz z głowy, lecą na ziemię placuszki, leci reszta niestopniałego jeszcze masła, a ciocia, obejmując mnie za szyję i tuląc do piersi, woła:

— Ach! Jakże ja się przestraszyłam! Dzięki Bogu, że nic groźnego! Myślałam, że znów jakie nieszczęście, bo sypią się na nas bez miłosierdzia; złe nigdy samo nie przychodzi... Byłam pewna, że już po tobie!... Ach! Co by to było, gdyby tak mózg, nie masło... Czemu ty mi nie powiedziałeś, po co chodziłeś do spiżarni? Nie byłabym cię zatrzymywała. Bierz sobie tyle masła, ile chcesz... No, a teraz idź zaraz do łóżka i nie pokazuj mi się aż do rana!

Jednym susem przebyłem schody, drugim nasz pokój, a zsunąwszy się po piorunochronie w mgnieniu oka, pędzę ku przybudówce. Słowa więzły mi w gardle, gdy opowiadałem Tomkowi, co się dzieje, dodając, że nie ma minuty do stracenia, że dom pełen uzbrojonych mężczyzn...

Tomkowi aż się oczy iskrzą z radości:

— E! Doprawdy? — woła. — A to świetnie! To znakomicie! To nam się udało! Gdyby można jeszcze poczekać...

— Nie można! Nie można! — przerywam. — Gdzie Jim?

— Za tobą. Wyciągnij ramię poza siebie, a namacasz go. Już przebrany i wszystko gotowe. Zaraz ruszymy, a wówczas dam hasło...

Ale zanim to nastąpiło, usłyszeliśmy kroki zbliżające się ku drzwiom, a wreszcie głos:

— Mówiłem wam, że to za wcześnie... Nie przyszli... drzwi zamknięte... Niech kilku z was wejdzie do komórki i zaczai się na nich... Strzelajcie, jak tylko wejdą... Reszta niech się rozstawi, gdzie może, i nasłuchuje... Niezadługo już nadejść powinni...

Wszedłszy, nie widzą nas, bo ciemno, ale że komórka niewielka, a ich kilku, więc o mało nam nóg nie przydeptali podczas naszej wędrówki pod łóżko.

Jim wyszedł pierwszy, ja za nim, Tomek na ostatku, bo taki zalecił porządek. Stojąc już w przybudówce, słyszymy, że ktoś chodzi pod ścianą. Tomek szeptem oznajmia nam, że gdy usłyszy oddalające się kroki, trąci nas obu dla oznaczenia pory wyjścia: Jim pierwszy, ja drugi, on — ostatni. Przykłada więc ucho do szpary i słucha... Kroki to oddalają się, to przybliżają, to cichną... Nareszcie Tomek trącił mnie nogą, ja trąciłem Jima i wysunęliśmy się przez na pół otwarte drzwiczki, wstrzymując oddech. Idąc gęsiego, byliśmy już blisko ogrodzenia... już, już po drugiej jego stronie, bo Tomek i ja przeszliśmy szczęśliwie, gdy wtem Jim zaczepia suknią o jakiś sterczący pręt... Słysząc kroki, szarpnął się silniej, pręt zatrzeszczał, Jim już przy nas, już uciekamy, gdy wtem rozlega się głos.

— Kto tam? Odpowiadać, bo strzelę!

Wziąwszy nogi za pas, pędzimy, co sił starczyło; pogoń za nami, huk wystrzałów, kule nam świszczą koło uszu. Kilka głosów woła: Ucieczka

— Są! Są! Uciekają w stronę rzeki! Gonić ich, gonić! A spuścić tam psy z łańcucha!

Biegniemy ścieżką wiodącą do młyna, prawie nas doganiają, skręcamy więc na bok w zarośla, przepuszczamy ich naprzód, a sami zostajemy w tyle.



Wszystkie psy z wieczora jeszcze zamknięto, żeby [illegible] ktoś je wypuścił, bo nadbiegają, czyniąc taki hałas, [illegible]. Poznawszy nas, powiedziały nam tylko: „Jak się ma[illegible] naprzód. Teraz my w nogi! Dopadliśmy miejsca, gdz[illegible] kujemy do niej i szybkimi uderzeniami wiosła wypływamy [illegible] jak najciszej. No! Teraz już jak po maśle! Dobijamy do [illegible] czekała tratwa, a tamci biegają, krzyczą, słychać nawoływania, [illegible] zamęt!... Nareszcie jesteśmy wszyscy na tratwie.

— No, mój stary — rzekłem — jesteś znów wolny [illegible] już nie był niewolnikiem.

— Ale się też napracowaliście — rzecze Jim. — Jak [illegible] wykonane!... Głowę dam, że nikt by nie wpadł na tak [illegible] ma nawet co mówić! Złociście chłopcy, a i mądrale jakie[illegible]

Wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi, a najszczęśliwszy Tomek, bo go kula trafiła w łydkę.

Wielce nas zmartwiła ta wiadomość. Rana bolała go bardzo, krew płynęła obficie, położyliśmy więc Tomka w naszej budce i dalej drzeć na bandaże jedną z pozostałych po księciu koszul.

— Dajcie no te gałgany — rzekł Tomek. — Ja sam to zrobię. Wy czasu nie traćcie... Do tej pory świetnie wszystko idzie... Ocaliliśmy się ucieczką, aż miło! Będziemy wzorem dla potomności!... Gdyby nam poruczona[305] była opieka nad Ludwikiem XVI, to w jego biografii nie byłoby napisano: „Synu Świętego Ludwika, idź do nieba!”. Nie! My byśmy go byli przekradli przez granicę... i to jeszcze jak! Odbijajmy od brzegu! Odbijajmy!

Po kilku minutach narady z Jimem rzekłem nareszcie:

— No, Jim... powiedz...

— No to powiem — odrzekł. — Bo to ja myślę sobie tak: gdyby to on, Tomek, został uwolniony z więzienia, a jeden z nas był raniony, czy on powiedziałby wtedy: „Uciekajmy! Uciekajmy! Co mnie tam obchodzi, żeś ty ranny w nogę, że potrzebujesz doktora?”. Czy powiedziałby tak Tomek Sawyer? Czy powiedziałby to panicz Tomek? Paniczu Tomku? Nie! Głowę daję, że nie! A skoro nie, to z jakiej racji ma tak mówić Jim? Nie, paniczu, ja się stąd nie ruszę... Nie ruszę się, dopóki doktor nie obejrzy nogi, choćbym miał tu stać pięć lat albo nawet czterdzieści!

Wiedziałem, że Jim z wierzchu tylko jest czarny, a wewnątrz tak biały jak każdy z nas, i pewien byłem, że powie to, co powiedział, ale Tomek narobił hałasu i zabronił nam iść po doktora.



Wobec naszej stanowczości, Tomek chciał na czwo[illegible] na to nie pozwoliliśmy. Zaczął nam więc wymyślać, ale i to [illegible]

Aż wreszcie, widząc mnie już w łódce, powiada:

— No, skoro się uparłeś koniecznie przywieźć dokt[illegible] jak to zrobić. Wejdź, zamknij za sobą drzwi na klucz, [illegible] przysiąc, że będzie milczeć jak grób, potem wyprowadź [illegible] naokoło, skręcając to na prawo, to na lewo, żeby nie mo[illegible] dzisz. Dopiero wówczas wsiądź z nim do łódki, lecz ni[illegible] wysepkami. Obszukaj mu ściśle kieszenie i jeśli ma ołó[illegible] dopiero po powrocie. A nuż by naznaczywszy tratwę, [illegible] na ostrożności!

Przyrzekłem spełnić wszystkie jego zlecenia i popłynąłem ku wsi, Jim zaś zaczął się skryć w lesie i pozostać tam, dopóki doktor nie odjedzie.

ROZDZIAŁ XLI

Doktor. — Wujaszek Silas. — „Siostra” Hotchkiss. — Ciocia Salcia zmartwiona.

[305] *poruczyć* — powierzyć; przekazać kogoś pod czyjąś opiekę lub zwierzchnictwo. [przypis edytorski]

Doktor, niemłody już człowiek, wyglądał na bardzo poczciwego staruszka. Opowiedziałem mu, że mój brat i ja udaliśmy się wczoraj po południu na polowanie na wysepkę zwaną Spanish Island, że spędziliśmy noc na przypadkiem znalezionej tratwie, że około północy przytrafił się bardzo niemiły wypadek, gdyż mój brat potrącił widać przez sen fuzję, która wypaliła, raniąc go w nogę. Prosimy więc doktora, żeby był łaskaw odwiedzić go, opatrzyć i nic nikomu nie mówić, bo... bo chcemy, żeby nikt nie wiedział o wypadku.

— Skądże wy jesteście?

— Siostrzeńcy Phelpsów, z sąsiedztwa.

— Wiem, wiem.

I po chwili dodaje:

— Powtórz no, jakim to sposobem twój brat został postrzelony?

— Śniło mu się coś, panie doktorze i... i strzeliło.

— Hm! Dziwny sen! — powiada doktor.

Wziął jednak swoją latarnię, torbę z narzędziami i poszliśmy. Zobaczywszy czekające na nas czółno, skrzywił się jakoś...

— Na jednego dobre — powiada — ale na dwóch zbyt niebezpieczne.

— Niech się pan nie boi — zawołałem. — Przecież trzech nas było, a płynęliśmy bez obawy...

— We trzech?

— Tak, proszę pana. Ja, mój brat Sid i... i strzelby. Strzelby były na trzeciego, proszę pana...

— Aha! Strzelby. Hm! Hm!

— Wiesz co? — rzekł doktor. — Ja sam popłynę, a ty czekaj na mnie. Baw się polowaniem lub idź do domu, żeby przygotować wujostwo do niespodzianki. Jak wolisz!

Ale ja nic nie wolałem. Po otrzymaniu wskazówek doktor odpłynął, a ja pozostałem.

„Będę tu czekał — myślę sobie — lecz jeśli doktor, wróciwszy, powie, że jeszcze raz musi być na tratwie, to i ja mu będę towarzyszył, choćby mi nawet przyszło płynąć wpław. Na tratwie zaś związemy go, zatrzymamy gwałtem i popłyniemy w dół rzeki. Gdy zaś Tomek wyzdrowieje, zapłacimy, co mu się będzie należało i doktora wysadzimy na brzeg".

Wlazłem więc sobie pomiędzy ułożone w kilka stosów tarcice, żeby się zdrzemnąć. Po przebudzeniu widzę słońce wysoko nad głową! Zerwawszy się, pędzę do domu doktora, ale ten jeszcze nie wrócił. „Hm — myślę sobie — z nogą Tomka musi być źle. Nie ma co, ruszam na wyspę natychmiast..." I ruszyłem, ale tuż na zakręcie ulicy wpadłem na wujaszka Silasa tak, że mu o mało brzucha głową nie przebodłem[306].

— Tomek! Gdzie ty byłeś, urwisie jeden, przez tyle czasu?

— Ja, wujaszku? Nigdzie nie byłem, proszę wujaszka... Ja tylko... To jest my obaj, ja i Sid, puściliśmy się w pogoń za Czarnym.

— Ale gdzie się zapędziliście? Ciotka niepokoi się o was...

— Niepotrzebnie, bo nam się nie stało nic złego. Pobiegliśmy za ludźmi i za psami, ale wyprzedzili nas, proszę wujaszka, i zgubiliśmy się... A potem, proszę wujaszka... Aha! Potem... zdawało nam się, że tamci odpłynęli... na rzekę, proszę wujaszka, na rzekę... Więc i my wsiedliśmy w łódkę i za nimi... I pływaliśmy, pływaliśmy, dopóki się nie zmęczyliśmy... A już potem, proszę wujaszka, to nam sił brakło... No, to już wtedy uwiązaliśmy czółno i po długim spaniu wysiedliśmy na brzeg, żeby dowiedzieć, co tu słychać... No i Sid pobiegł na pocztę, może się tam czegoś dowie, proszę wujaszka, a ja... ja tu zostałem i szukam... czy nie znajdę czegoś do zjedzenia. A potem... potem, proszę wujaszka, to już idziemy do domu. Prosto jak strzelił, do domu.



Wskutek mego opowiadania musiałem pójść z wujaszkiem na pocztę „po Sida". Tu, naturalnie, Sida nie było, tylko wujaszkowi doręczono list. Czekaliśmy na Sida dość długo, lecz nie przyszedł, aż wreszcie zacny staruszek powiada:

— Wiesz ty co? Nie możemy czekać dłużej. Ciocia zamartwi się tam z niepokoju o nas. Sid przecież trafi do domu. Ty zaś siadaj ze mną i pojedziemy.

Próbowałem wymówek, obiecywałem odszukać Sida i z nim powrócić. Wszystko na nic!

[306] *przebość* — przebić, przekłuć. [przypis edytorski]

Gdy zajechaliśmy przed dom, ciotka, ujrzawszy mnie, zaczęła śmiać się, płakać, całować mnie i szturchać, mówiąc, że tak samo i Sid oberwie.

Dom był pełen gości, bowiem dzierżawcy zostali na obiedzie, razem z żonami, które do nich przybyły, gwarno więc było jak w ulu. Kobiety gadały okrutnie, a najwięcej stara *mistress* Hotchkiss, której język ani na chwilę nie odpoczywał.

— A wiesz, siostro Phelps — mówiła do cioci Salci — przetrząsnąwszy wszystkie kąty komórki, przekonałam się, że ten wasz Czarny był wariatem. Powiedziałam to nawet siostrze Dawrell... Siostro Dawrell, czy nie mówiłam? Ten Czarny, mówię, to czysty wariat, mówię... Tymi słowami powiedziałam. Nie tylko ona jedna słyszała, czysty wariat, powiedziałam. Ze wszystkiego widać, że wariat. Bo... ten kamień młyński, na przykład... Niech mi ktoś powie, czy człowiek przy zdrowych zmysłach będzie wykuwał jakieś banialuki na kamieniu? Tu: „pękło serce", a tam znów: „trzydzieści siedem lat" albo „naturalny syn Ludwika" i różne brednie. Zupełny wariat, powiadam. Od tego zaczęłam i na tym kończę; wariat gorszy od Nabuchodonozora[307]. Mówię i powiadam, że wariat.

— A widziałaś, siostro Hotchkiss, ową sznurową drabinę z poskręcanych gałganów? — pyta *mistress* Dawrell. — Na co też była potrzebna drabina?

— To samo, akurat to samo, słowo w słowo to samo mówiłam dobrusieńko siostrze Utterback. Niech sama powie, czy nie mówiłam? Spójrz, siostro, [illegible], na tę drabinę. Na co mogła mu być potrzebna drabina?

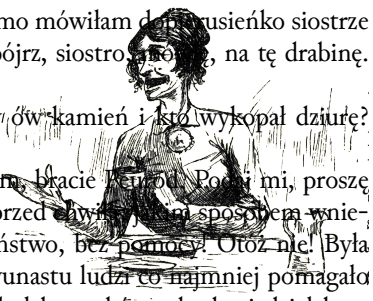

— Ale jakimże sposobem został tam wniesiony ów kamień i kto wykopał dziurę? I kto...

— To samo, słowo w słowo to samo i ja mówiłam, bracie [illegible]. Podaj mi, proszę cię, salaterkę z melasą[308]. Siostrze Dunlap mówiłam przed chwilą, jakim sposobem wnieśli ten kamień młyński? I bez pomocy, mówicie państwo, bez pomocy? Otóż nie! Była pomoc, ja mówię, było nawet dużo pomocy... Ze dwunastu ludzi co najmniej pomagało Czarnemu... Ze wszystkich Czarnych, jacy tu są, odarłabym skórę, ale dowiedziałabym się, kto pomagał...

— Bo też i prawda. Przez cztery tygodnie wszyscy wasi Czarni musieli po całych nocach pracować, siostro Phelps. Bo, proszę cię, ta koszula? Calusieńka zapisana tajemnym pismem afrykańskim i krwią pisana, nie atramentem! To nie jeden człowiek pisał, co najmniej dziesięciu! Tu muszą być ważne tajemnice. Dałabym ze dwa dolary, żeby wiedzieć, co tu stoi, tym zaś, co mu pomagali, plag bym nie szczędziła. On musiał mieć pomoc!

— Ma się rozumieć, że miał! — odezwała się ciocia Salcia. — Gdybyście byli w tym domu przez ostatnie cztery tygodnie! Co się tu działo! Strach! Spod ręki ginęło wszystko, choć czuwaliśmy dzień i noc, ja, Silas i moi dwaj siostrzeńcy. Duchy by zręczniej nie działały. Ja nawet myślę, że to duchy, skoro nasze psy, najlepsze w całej okolicy, nie wpadły na trop! Nic nie zwęszyły. Proszę mi to wytłumaczyć? Proszę! Kto mi to wytłumaczy?

— Boże, zmiłuj się, strasznie żyć w takim domu!

— Pewnie, że strasznie! Ja taka byłam wystraszona, że bałam się położyć do łóżka, wstać, usiąść, poruszyć się z miejsca. Do tego doszłam! Już mnie rozum opuszczał. Mój Boże — myślałam — na górze śpią moi siostrzeńcy... Sami jedni, od wszystkich daleko. Tak drżałam o chłopców, że... nie śmiejcie się państwo... zamknęłam ich na klucz. Każdy by zrobił to samo. Bo tu z jednej strony obawa, jak się to skończy, a z drugiej to cudze dzieci!. Gdyby im się, broń Boże, coś przytrafiło! W strachu człowiek sam nie wie, co robi. Bo choć to dobre dzieci, ale zawsze chłopcy! Więc jakże tu drzwi nie zamknąć, kiedy...

Tu cioci Salci zabrakło głosu. Wzrokiem tylko wodziła po obecnych, a kiedy spojrzenie jej zatrzymało się na mnie, podniosłem się cichutko i wyszedłem.

Późnym już wieczorem, gdy się wszyscy rozjechali, przyszedłem do ciotki i zacząłem opowiadać, że hałas i strzały obudziły nas, a ponieważ drzwi były zamknięte, nam zaś szło o zabawę, więc też zsunęliśmy się po piorunochronie, czego zresztą nigdy już nie uczynimy. Potem powtórzyłem to wszystko, co opowiedziałem wujaszkowi. Ciotka, przebaczywszy nam, pocałowała mnie, zamyślając się jednak, bo wciąż ją gnębił niepokój o Sida.

— Ach, nieszczęście... Noc już prawie, a Sida nie ma... Co się z tym chłopcem stało?

[307] *Nabuchodonozor* — imię królów babilońskich; wg biblijnej *Księgi Daniela* król tego imienia w ramach kary za bluźnierstwo zaczął jeść trawę jak wół. [przypis edytorski]

[308] *melasa* — gęsty, ciemnobrunatny syrop, produkt uboczny przy wyrobie cukru. [przypis edytorski]

Chcąc skorzystać ze sposobności, zrywam się i mówię:

— Ciociu, dobiegnę do miasta i powrócę z nim.

— Nie, nie. Zostaniesz w domu. Jeżeli Sid nie powróci na kolację, to wuj pójdzie po niego.

I rzeczywiście tak się stało, lecz wujaszek wrócił niespokojny, bo nie mógł odnaleźć Tomka. Zgnębiona ciocia oświadczyła, że nie pójdzie spać, zaś w oknie postawi świecę, żeby Sid łatwiej trafił do domu.

Cóż miałem robić? Poszedłem spać, ledwie się jednak położyłem, wchodzi ze świecą ciocia Salcia i okrywa mnie, i otula jak matka. Tak mi się dziwnie w duszy zrobiło, że nie śmiałem spojrzeć jej w oczy. Usiadłszy na łóżku, rozmawiała ze mną bardzo długo, a ciągle jedno i to samo.

— Gdzie też może być Sid? Jak ci się zdaje, Tomku, gdzie Sid? Może on gdzie zabłądził lub zachorował, albo i utonął, i leży teraz sam jeden, chory, umarły, nie mając żadnego ratunku?!



Mówi, mówi, a łzy ciurkiem płyną jej po twarzy, rzęsiste, takie, że mi serce pękało na ich widok. Pocieszam ją, jak mogę, zapewniając, że nad ranem Sid wróci na pewno, ciocia zaś ściskając mnie za rękę i całując w czoło, każe mi to powtórzyć raz, drugi, trzeci i dziesiąty, bo moje słowa przynoszą ulgę jej sercu. Wreszcie [illegible] już do wyjścia, patrzy mi w oczy tak łagodnie a błagająco i mówi:

— Tomku, drzwi nie będą zamknięte, a choćby i były, to ty wiesz, wyjść przez okno. Nie czyń tego jednak... Nie uczynisz, prawda? Jeżeli mnie [illegible]

Pomimo że postanowiłem wyjść, żeby się czegoś dowiedzieć o Tomku i o Jimie, bo aż mnie z łóżka podrywało, po jej słowach już wyjść nie mogłem! Gdyby mi królestwo dawali, nie poszedłbym!

Że zaś w myślach stała mi i ciotka, i Tomek, więc też sen miałem niespokojny. Dwa razy wstawałem, dwa razy spuszczałem się na dół, żeby popatrzeć w okna od frontu, i za każdym razem widziałem ciotkę siedzącą z oczami pełnymi łez. Nie wiem, co byłbym zrobił, żeby ją pocieszyć, ale to nie było w mojej mocy! Przysiągłem tylko, że nigdy jej niczym nie zmartwię. Gdy się obudziłem po raz trzeci, dniało już. Ciotka siedziała jeszcze przy dogasającej świecy; oparłszy na ręku siwą głowę, zasnęła.

ROZDZIAŁ XLII

Tomek ranny. — Opowiadanie doktora. — Poczciwy Czarny. — Wyznania Tomka. — Ciocia Polcia. — Listy.

Wujaszek znów pojechał do miasta, lecz nie przywiózł żadnej wiadomości o Tomku. Siedliśmy do stołu smutni i zamyśleni, wujostwo mało mówią, nic nie jedzą, że aż serce bolało na nich patrzeć. Na koniec odzywa się wujaszek:

— Czy ja ci oddałem list?

— List? Jaki?

— Z wczorajszej poczty.

— Nie, nie oddałeś mi żadnego listu.

— Nie? Ano, to musiałem zapomnieć.

I zaczyna szukać po kieszeniach, ale w żadnej listu nie było. Przypomniał sobie wreszcie, gdzie go położył, poszedł, przyniósł i oddał ciotce.

— Chwała Bogu! List od siostry. Pewno pyta o swoich chłopców.

Wolałabym zejść jej z oczu, a tu, jak na złość, nie można wstać. Lecz zanim ciotka zdążyła list otworzyć, upuściła go i wybiegła, zobaczywszy przez okno to samo, co i ja spostrzegłem.

Tomek Sawyer na materacu, obok niego doktor, dalej Jim w perkalowej sukni cioci Salci, ze związanymi rękami, w orszaku mnóstwo ludzi. Schowałem list za pierwszy sprzęcik, jaki mi się nawinął, i w nogi. Ciocia zaś biegnie ku Tomkowi i zalewając się łzami, woła:

— Nie żyje! Nie żyje! Wiem, że nie żyje!

Ale Tomek, poruszywszy głową raz i drugi, zaczął coś mówić.

— Żyje — zawołała ciocia, wznosząc ręce do góry. — Dzięki Ci, Boże.

I ucałowawszy go, skoczyła do domu, żeby posłać łóżko, dając polecenia każdemu, kogo po drodze spotkała. Idź tam... Zrób to... Przynieś... Zanieś... Powiedz...

I ja poszedłem za wszystkimi, chcąc widzieć, co uczynią z Jimem, zaś stary doktor i wujaszek Silas poszli za Tomkiem.

Cały tłum był silnie rozjątrzony, niektórzy chcieli natychmiast powiesić Jima dla przykładu wszystkim Czarnym. Drudzy zaś mówili: Pogarda, Pozycja społeczna

— Nie czyńcie tego. Nie macie prawa, to nie wasz Czarny. Znajdzie się właściciel i każe wam zapłacić za szkodę, jaką mu wyrządzicie, wieszając zdrowego niewolnika.

Ochłonęli więc najzapalczywsi, klnąc tylko Jima i szturchając, gdzie popadło. Jim, smutny i milczący, patrzył na mnie tak, jakbyśmy się spotkali pierwszy raz w życiu. Zaprowadzono go do tej samej komórki, kazano mu włożyć jego własne ubranie i wzięto na łańcuch, tym razem do potężnego haka przytwierdzony. Włożono mu kajdany na ręce i na nogi, a wreszcie zapowiedziano mu, że będzie dostawał tylko chleb i wodę, póki się nie zgłosi jego właściciel; w przeciwnym razie będzie sprzedany na licytacji.

Po tych operacjach zagrzmiały znów przekleństwa i wymyślania, podczas których zjawił się doktor.

— A nie wymyślajcie mu — rzekł — nad potrzebę, bo to poczciwy Czarny. Kiedy dostałem się na ową tratwę, gdzie miałem znaleźć chorego, byłem w trwodze, że nie dam sobie rady bez pomocnika. O zostawieniu chłopca samego nawet nie mogło być mowy, gdyż bredził nieprzytomny, rzucał się, nie pozwalając przystąpić do siebie. Groził, krzycząc, że jeżeli się ośmielę naznaczyć kredą jego tratwę, to mnie zabije, i plótł tym podobne brednie. Widząc, że z każdą chwilą mu gorzej, że nie dam rady, mówię sam do siebie, rzecz prosta, że bądź co bądź, trzeba chorego tak zostawić i poszukać jakiejś pomocy. Wtem, jakby spod ziemi, staje przede mną Czarny, oświadczając, że mi pomoże... I pomógł. Doskonale zrobił wszystko, co trzeba. Naturalnie, zaraz się domyśliłem, że to zbiegły Czarny, więc nie mogąc się ruszyć, musiałem siedzieć jak przykuty przez resztę nocy, a potem znów dzień i noc. Mam kilku pacjentów chorych na febrę i chętnie bym poszedł ich odwiedzić, a tu... boję się ruszyć, bo nuż przez ten czas Czarny ucieknie, to będę za to odpowiadał! Trzeba więc było siedzieć kamieniem[309] i muszę przyznać, że nigdy nie widziałem Czarnego, który by troskliwiej doglądał chorego i okazywał mu więcej przywiązania z narażeniem własnej wolności. O! Taki Czarny, panowie, wart jest tysiąc dolarów... no i łagodniejszego obchodzenia się z nim. Dopiero dziś rano, gdy spostrzegłem o brzasku kilku ludzi płynących łódką, kiwnąłem na nich i przybyli akurat w porę, gdy Czarny, złożywszy głowę na kolanach, spał jak zabity. Związali go więc prędko i cicho. Że zaś chory, zasnąwszy, nic nie wiedział, wiosła owinęli gałganami i popłynęli do brzegu. Czarny nie stawiał żadnego oporu, milczał i spoglądał tylko na chłopca, czy się nie zbudzi, nie jęknie... Poczciwy Czarny, powiadam... Związać go trzeba było, na to nie ma już rady... Ale nie róbcie mu krzywdy...

— Doktor ma rację — wtrącił jakiś głos. — Nie należy krzywdzić Czarnego.

Słysząc to, zmiękli i inni, a ja byłem wdzięczny doktorowi, że ujął się za Jimem i że mówił o nim słowo w słowo to samo, co ja zawsze o nim myślałem. Bo, muszę przyznać, że po pierwszej rozmowie z Jimem odgadłem w nim zaraz zacnego człowieka i dobre serce — a że czarne, to już on temu nie jest winien. Pozycja społeczna

Dla złagodzenia doli Jima postanowiłem, po rozejściu się wszystkich, pójść do cioci Salci i powtórzyć jej słowo w słowo to wszystko, co mówił doktor.

Miałem też przed ową rozmową nie lada orzech do zgryzienia, bo przecież trzeba było wytłumaczyć cioci, dlaczego jej nie powiedziałem o ranie Tomka, dlaczego skłamałem, że jest na poczcie, dlaczego pozwoliłem jej całą noc czekać na niego.

Miałem jednak dość czasu do namysłu, gdyż ciocia Salcia przez dzień i noc nie wychodziła z pokoju Tomka.

Nazajutrz rano usłyszałem, że Tomek jest zdrowszy i że ciocia Salcia poszła zdrzemnąć się trochę. Postanowiłem wówczas wejść do pokoju chorego i jeżeli nie śpi, obmyślić wspólnie najlepsze zamydlenie oczu naszym starym. Ale Tomek spał smacznie i spokojnie, a zamiast czerwonych jak ogień policzków, z którymi go tu przyniesiono, miał twarz bladą jak płótno.

[309] *siedzieć kamieniem* — bardzo długo przebywać w jednym miejscu. [przypis edytorski]

Usiadłem więc w kąciku i czekam, aż się obudzi. Po jakiejś godzinie weszła na palcach ciocia Salcia. Sam nie wiedziałem, czy zostać, czy uciekać, ale ona, dawszy mi znak, żebym nie czynił hałasu, usiadła przy mnie i szeptem zaczęła opowiadać o pocieszających symptomatach choroby.



Wreszcie Sid poruszył się, przeciągnął, otwiera oczy, rozgląda się po [illegible] pokoju i zupełnie naturalnym już głosem powiada:

— Aha! To ja jestem w domu! Skądże się tu wziąłem? Gdzie [illegible]?

— Nie troszcz się, wszystko dobrze — odpowiadam.

— A Jim?

— Bezpieczny!

— A to dobrze! Doskonale! Teraz możemy być spokojni. Powiedziałeś też cioci?

— O czym, Sid? — wtrąciła ciocia.

— Ano, o wszystkim, co zrobiliśmy...

— O jakim wszystkim?

— Że to my wykradliśmy Czarnego... My we dwóch!

— Łasko Boska! Oni wykradli! We dwóch! Co też ten chłopiec wygaduje! Nieszczęście! Znów stracił przytomność!

— Nie, ciociu, jestem przytomny i wiem doskonale, co mówię. My uwolniliśmy Jima, my we dwóch: Tomek i Sid. Postanowiliśmy to uczynić i tak się stało.

Rozgadawszy się, wciąż jechał dalej, a ciocia nawet nie próbowała go powstrzymać, tylko słuchała z oczyma szeroko rozwartymi.

— Tak, ciociu — trzepał Tomek. — Napracowaliśmy się przy tym okrutnie przez kilka tygodni po całych nocach, gdy wszyscy spali. Bo to, widzi ciocia, musieliśmy mnóstwo rzeczy zrobić: ukraść świece, prześcieradło, koszulę, cioci suknię, łyżeczkę, składany nóż, starą formę blaszaną, żelazko do ogrzewania pościeli, kamień młyński, mąkę i jeszcze mnóstwo różnych drobiazgów. A żeby ciocia wiedziała, jak nam było trudno zrobić piłę i pióra i kuć napisy! Ale też bawiliśmy się przewybornie! Musieliśmy także rysować trumny i trupie głowy, pisać anonimy, zsuwać się i wdrapywać po piorunochronie, wykopać przejście podziemne, skręcić sznur na drabinę, zapiec ją w pierogu, ukradkiem przesyłać Jimowi łyżeczkę i ćwieki. Z tym zresztą najmniej było kłopotu, bo ciocia mu je sama zaniosła w kieszeni swego fartucha...

— Czy to możliwe?

— Nałapać szczurów, węży, jaszczurek, żeby Jim miał towarzyszy swej samotności... A potem, jak to ciocia trzymała Tomka tak długo... z masłem w kapeluszu, wie ciocia... to o mało wszystko w łeb nie wzięło, bo pogoń weszła do komórki, zanim my zdążyliśmy z niej uciec. Musieliśmy więc biec bardzo szybko, usłyszano nas, puszczono za nami strzały, no i jeden trafił mnie w nogę, potem puściliśmy ścigających naprzód, a sami ukryliśmy się w krzakach, zaś psy spuszczone z łańcucha przywitawszy się z nami, dalej pobiegły, a my swoją łódką do tratwy... I wszystko nam poszło po myśli, Jim uciekł z więzienia i został wolny dzięki nam! A co? Spisaliśmy się!

— Jak długo żyję na świecie, nie słyszałam nic podobnego! Więc to wy, urwisy, przewróciliście cały dom do góry nogami, napędzając nam tyle strachu?! Że ja wam tego nie daruję, to pewne! Zobaczycie! Jak to! Ja się bałam przez tyle nocy, tyle mi rzeczy poginęło... A to wy! Wy smarkacze niegodziwi! Poczekajcie, nie ujdzie wam to na sucho!

Ale Tomek był taki uradowany i dumny z siebie i z nas obydwóch, że chociaż ciotka mu groziła, on wcale na to nie zważał. Ona swoje, a on swoje. Ona się złości i wymyśla nam, a on trzepie i trzepie... Wreszcie ciotka powiada:

— Cieszcie się, cieszcie, lecz zapowiadam, że jeżeli wam się jeszcze zachce nim opiekować...

— Kim? — zapytuje Tomek zadziwiony, przestając się uśmiechać.

— Jak to, kim? Czarnym, ma się rozumieć. O kimże innym mogłabym mówić?

Tomek spoważniał, patrzy na mnie i pyta:

— Tomku, czy nie powiedziałeś mi, że wszystko dobrze? Więc Jim nie jest wolny? Niewola, Pozycja społeczna

— Jim? — wykrzykuje ciocia. — Jim, zbiegły Czarny! Ma się rozumieć, że nie wolny... Jeszcze by tego brakowało! Schwytali go, związali, przyprowadzili tutaj i siedzi znów w tej samej komórce, o chlebie i wodzie, w kajdanach i będzie siedział, dopóki się po niego nie zgłosi właściciel lub dopóki nie sprzedadzą go przez licytację.

Tomek zrywa się z poduszek i siada na łóżku wyprostowany, oczy mu się iskrzą, nozdrza wydymają i na cały głos krzyczy:

— Nikt nie ma prawa go zamykać! Wypuścić go! Zaraz wypuścić! Jim nie jest niewolnikiem! Wolny on, jako my wszyscy!

— Co to ma znaczyć, chłopcze?

— To znaczy, ciociu, że Jim jest wolny! A jeżeli nikt go nie oswobodzi, ja to uczynię. Znam go, odkąd na świecie żyję i Hu... Tomek, chciałem powiedzieć, zna go także. Dwa miesiące temu stara miss Watson umarła i wstyd jej było, że powzięła kiedyś zamiar sprzedania Jima do oddalonej plantacji. Odkupując tę winę, testamentem darowała wolność Jimowi.

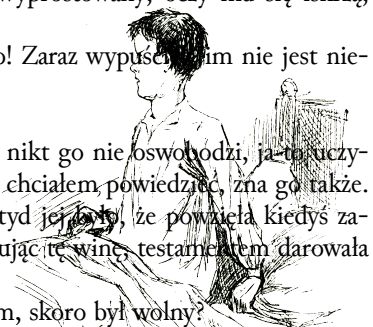

— Więc po co uwalnialiście go z takim zachodem, skoro był wolny?

— W tym właśnie sęk! To prawdziwie kobiece pytanie! Uwalniałem... Uwalnialiśmy go... bo chciałem doznać przygód i zwalczać niebezpieczeństwa. I byłbym w krew szedł po szyję w drodze do celu, byłbym... Masz tobie... Ciocia Polcia!

I prawda! Ciocia Polcia stoi we drzwiach, prosta jak tyka, uśmiechnięta, zadowolona i słodziutka jak anioł, który się najadł ciastek. A żeby ją... Ciocia Salcia skoczyła do niej i z czułości mało jej głowy nie urwała. Ja zaś wynalazłem sobie bezpieczne schronienie pod łóżkiem, będąc pewny strasznej katastrofy. Wychyliwszy cokolwiek głowę spod łóżka, spostrzegłem, że ciocia Polcia, oswobodzona z objęć naszej cioci, stanęła nad łóżkiem i patrzy na Tomka przez okulary, ale tak patrzy, jakby go chciała wzrokiem wgnieść w ziemię. Nareszcie, otwarłszy usta, mówi:

— Tak! Ukryj twarz, Tomku! Odwróć głowę! Ja, będąc na twoim miejscu, tak bym uczyniła, Tomku!

— „Tomku"? — podchwytuje ciocia Salcia. — Czyżby go tak choroba zmieniła? To przecież nie Tomek, to Sid! Tomek!... Gdzie on się podział? Tomku! Tomku! Dopiero co tu był...

— Huck Finn tu był, nie Tomek. To chyba chcesz powiedzieć. Zdaje mi się, że wychowując przez tyle lat takiego gagatka jak mój Tomek, znam go dobrze... Poznam go zawsze i wszędzie. Patrzcie ją! Tego by tylko brakowało, żebym ja nie poznała Tomka! Wyłaź spod łóżka, Hucku Finnie!

Wylazłem. Ale jakoś ckliwo[310] mi było. Któż wyrazi zdumienie cioci Salci, a jeszcze więcej wujaszka Silasa, gdy powrócił do domu i opowiedziano mu całą historię. Słuchał, ale był zupełnie nieprzytomny... Całą resztę dnia chodził jak błędny, a wieczorem na zebraniu wiernych miał kazanie, które ogromnie wpłynęło na powagę i reputację[311], jaką się cieszył, bo najstarsi ludzie nie mogli z niego zrozumieć ani słowa.

Ciocia Polcia rozpowiedziała wszystkim, kim jestem, byłem więc zmuszony dopowiedzieć o sobie resztę i objaśnić, jakie to okoliczności zmusiły mnie udawać Tomka Sawyera, kiedy *mistress*[312] Phelps...

Tu ciocia Salcia przerywa mi:

— Dlaczego „*mistress*"? Nazywaj mnie dalej ciocią Salcią. Przywykłam już do tego i nie widzę powodu, żebyś mnie inaczej nazywał.

Opowiadam więc w dalszym ciągu, że kiedy ciocia Salcia wzięła mnie za Tomka, nie mogłem temu zaprzeczyć, wiedząc, że Tomek nie będzie się gniewać, bo dla niego wszystko, co pachnie tajemnicą, przygodą, to specjał nad specjały. Okazało się, że miałem rację, bo Tomek nie tylko mnie nie zdradził, ale nawet dopomógł mi chętnie, przyjmując imię Sida i udając mojego brata.

Ciocia Polcia potwierdziła też słowa Tomka, że miss Watson dała Jimowi wolność. Tomek zatem „przewrócił dom do góry nogami!" — jak mówiła ciocia Salcia — po to tylko, ażeby uwolnić wolnego!

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Tomek, w tak porządnym domu wychowany, wykradał ze mną Czarnego!

Ciocia Polcia mówiła jeszcze, że dowiedziawszy się z listu cioci Salci o przyjeździe Tomka z Sidem, zaraz sobie pomyślała:

---

[310] *ckliwo* a. *ckliwie* — sentymentalnie; nudno, mdło; przykro. [przypis edytorski]

[311] *reputacja* — opinia, którą ktoś lub coś ma wśród ludzi. [przypis edytorski]

[312] *mistress* (ang.) — pani. [przypis edytorski]

— No, patrzcie państwo! Mogłam się spodziewać, że ten urwis znów coś spłata! Niepotrzebnie go puściłam samego, bo wiem przecież, co on potrafi... Toteż rada nierada musiałam wyjechać w taką podróż, tysiąc sto mil płynąć okrętem, żeby położyć koniec sprawkom tego urwisa... A musiałam, nie mogąc doczekać się od ciebie odpowiedzi na moje listy...

— Nie pisałaś do mnie ani razu — przerywa ciocia Salcia.

— Jak to może być? Dwa razy pisałam, zapytując, co znaczą twoje słowa: „Sid i Tomek są tutaj".

— Nie otrzymałam żadnego listu!

Co usłyszawszy, ciocia Polcia powoli zwraca oczy na Tomka i uroczyście, surowym głosem zapytuje:

— Słyszysz?

— Słyszę... No i co? — z dąsem odpowiada Tomek.

— Powiedz mi, ladaco, co zrobiłeś z tymi listami?

— Jakimi znów listami?

— Z moimi. Jeżeli natychmiast nie powiesz, to ja cię...

— Są w kufrze. Gdzież by być miały, jak nie w kufrze. Leżą nietknięte, tak jak je z poczty zabrałem. Ani ich nie tknąłem, ani do nich nie zaglądałem... Mnie cudzych listów nie jestem ciekaw. Nie oddawałem ich przez wzgląd na ciocię, która z pewnością narobiłaby kramu[313]. W listach zaś nie było przecież nic pilnego...

— A skądże o tym wiedziałeś, ty nicponiu? A gdzie list trzeci, zapowiedzią mego przyjazdu? Pewno i ten także...

— Nie, ten przyszedł. Nie czytałam go jeszcze, ale przyszedł. Możesz być spokojna.

I bez tego dobrze wiedziałem, że ciocia Salcia nie czytała jeszcze żadnego listu. Uważałem jednak, że lepiej milczeć.



ROZDZIAŁ XLIII

Uroczystość wyzwolin. — „Szczerze panu oddany Huck Finn".

Gdy się nareszcie znaleźliśmy sam na sam z Tomkiem, pytam go, jaki miał cel w wykradaniu Jima? Dlaczego tak się mordował i nas tak męczył, wiedząc, że Jim otrzymał już wolność?

— Nie rozumiesz tego — wyjaśnił Tomek. — Oto chciałem, żebyśmy po wykradzeniu Jima popłynęli razem w dół rzeki aż do jej samego ujścia. Mielibyśmy przygód bez liku, a dopiero po ukończeniu podróży Jim dowiedziałby się o swej wolności i powrócił z nami do domu na parostatku, jak się należy, z wynagrodzeniem pieniężnym za stracony czas. Uprzedzeni o naszym powrocie, wszyscy Czarni zebraliby się i z muzyką, z pochodniami wprowadziliby Jima do miasta. I on by został bohaterem, i my! Nie udało mi się do końca, ale i to, co się udało, to nie lada sztuka!

Ma się rozumieć, że natychmiast wypuszczono Jima z komórki, a gdy obie ciocie i wujaszek dowiedzieli się od doktora, jak Jim troskliwie doglądał Tomka, zaczęli rozczulać się nad nim, karmić go, poić, nie dając mu żadnej roboty, żeby należycie odpoczął. Przyprowadziłem go do Tomka, który musiał jeszcze leżeć w łóżku, i nagadaliśmy się, aż miło! Jim, okrutnie uradowany, rzekł do mnie:

— A pamiętasz, Huck, co ci mówiłem, jeszcze tam, w domu u miss Watson? Mówiłem, że mam na piersiach włosy i że to znak szczęśliwy... A co? Nie miałem racji? Czy nie przepowiedziałem, że po raz drugi będę bogaty? Nie, Huck, nie gadaj! Znaki są znakami, pamiętaj to sobie!

Potem Tomek zabrał głos i prawił... prawił... namawiając nas, żebyśmy nakupiwszy zapasów, uciekli we trzech którejkolwiek nocy i puścili się na szukanie przygód wśród Indian, gdzie zabawilibyśmy z kilka tygodni.

— Dobrze — odpowiadam — z ochotą, tylko że nie mam pieniędzy, a i z domu nic nie dostanę, bo zapewne tatko od dawna musiał zabrać mój skarb od sędziego i przepić wszystko co do grosza.

[313] *kram* — tu: zamęt, kłopot. [przypis edytorski]

— Nie, masz go dotąd — powiada Tomek. — Pieniądze są wszystkie, sześć tysięcy dolarów z górą. Twego ojca nie było do chwili mego wyjazdu.

Na to Jim rzekł uroczyście:

— I nie będzie go wcale. Nie powróci.

— Dlaczego, Jim?

— Mniejsza o to, dlaczego. Powiadam ci, Huck, że nie wróci.

Lecz gdy na tym twierdzeniu nie poprzestałem, rzekł w końcu z wielką powagą:

— Pamiętasz, Huck, ten dom, który spotkaliśmy, płynący z wodą w dół rzeki? W tym domu był człowiek, miał przykrytą głowę. Myśleliśmy, że śpi. Powiedziałem ci: nie odkrywaj go... Pamiętasz? Sam jednak poszedłem i odkryłem, a gdy usiłowałeś wejść powtórnie, to cię nie wpuściłem... Pamiętasz? No... To znaczy... że nie wiesz odebrać swoje pieniądze, bo tym człowiekiem był twój ojciec...

Tomek wyzdrowiał zupełnie, kulę, którą mu wyjęto z łydki, nosi na łańcuszku od zegarka i ciągle patrzy, która godzina.

Nie mam już nic więcej do pisania, z czego okropnie jestem rad, bo gdybym był wiedział, jaka to praca napisać książkę, to nie byłbym wcale zaczynał. Drugi raz też pewno nie zacznę. Książka

Zdaje mi się, że z wyprawy do kraju Indian nic nie będzie, a przynajmniej nie teraz, bo ciocia Salcia chce zostać moją matką, to jest usynowić mnie i ucywilizować. Czy ja to wytrzymam? Już próbowałem tego przysmaku i...

Skończyłem.

Szczerze panu oddany,



Huck Finn.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/twain-przygody-hucka-finna/

Tekst opracowany na podstawie: Mark Twain, Przygody Hucka, t. I-II, tłum. Teresa Prażmowska, 1912.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki. Ilustracje E. W. Kemble'a pochodzą z wydania z 1855 roku i znajdują się w domenie publicznej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marianna Czabator, Michał Orzechowski, Monika Kępska.

ISBN 978-83-288-7266-0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.